

W cyklu „Temeraire” ukazały się
Smok Jego Królewskiej Mości
Nefrytowy tron
Wojna prochowa
Imperium kości słoniowej
Zwycięstwo orłów
Języki węży

NOVIK NAOMI

JĘZYKI WĘŻY

REBIS

DOM WYDAWNICZY REBIS POZNAŃ 2010

Tytuł oryginału Tongues of Serpents

Copyright © 2010 by Temeraire LLC All rights reserved

This translation published by arrangement with Ballantine Books, an imprint of The Random House Publishing Group, a division of Random House, Inc.

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2010

Redaktor Krzysztof Tropiło

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki Jacek Pietrzyński

Ilustracje na okładce Thomas Schluck GmbH iStockphoto.com/Saturated

Wydanie I

ISBN 978-83-7510-507-0

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o. ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74 e-mail: rebis@rebis.com.pl www.rebis.com.pl

Skład 7QPIS Gdańsk, tel. 58-347-64-44

Dla mojego ojca, Samuela Novika, który także przybył przez morze do nieznanego kraju

Podziękowania

Jestem ogromnie wdzięczna moim długoletnim beta czytelniczkom Georginie Paterson i Vanessie Len, które nie tylko przewędrowały ze mną Góry Błękitne, ale także podczas lunchu w Sydney pomagały mi opracować plan trzech ostatnich powieści z cyklu o Temerairze. Chyba też wypiliśmy przy okazji po parę drinków? (Żeby ocenić, czy był to dobry pomysł, czy też nie, będziecie musieli poczekać, aż napiszę te książki.)

Serdeczne podziękowania za przeczytanie manuskryptu należą się również Meredith Lenne i Alison Feeney, a także cudownej Terri Oberkamper, za całą jej pomoc; i raz jeszcze jestem zachwycona niesamowitą okładką, którą zaprojektował Dominie Harman! Pragnę też przekazać wyrazy miłości i wdzięczności mojej fantastycznej redaktorce Betsy Mitchell z wydawnictwa Del Rey, i mojej cudownej agentce Cynthii Manson. Specjalne podziękowania składam Rachel Kind, która pilnowała moich książek na całym świecie. Rachel, zapchane półki mojej biblioteczki może i nie są tobie wdzięczne, ale ja jestem!

I przede wszystkim dziękuję Charlesowi, który każdego dnia obsypuje mnie tyloma darami, że żadne słowa nie mogą tego oddać.

C[^]i-I 'lónc - J 1 Jezioro

Sydney

. Ze wstępu do książki

Opis podróży w głąb Terra Australis odbytej w roku 1809

Sipho Tsuluka Dlamini

[Londyn, 1819]

Pozwoliłem sobie zaznaczyć trasę naszej podróży na uproszczonej wersji niezwyklej i pięknej mapy kontynentu, opublikowanej przez nieodżałowanej pamięci pana Matthew Flindersa, dowódcy statku hwestigator, w jego dziele Podróż do Terra Australis, pomijając dane o głębokościach morza i tych geograficznych cechach wybrzeża, które tymczasem zostały zbadane dokładnie.

Muszę przeprosić czytelników za niepełność i niewątpliwą niedokładność moich notatek, które nie przedstawiają wystarczająco zarówno wielkości tubylczych terytoriów, jak i różnorodności oraz liczby plemion. Na swoje usprawiedliwienie mogę powiedzieć tylko tyle, że te obserwacje poczyniłem w bardzo młodym wieku, podczas podróży odbytej bez tłumaczy i przewodników, kiedy to moje możliwości prowadzenia badań były niestety mocno ograniczone, i od tamtej pory nie miałem okazji ich powtórzyć. (...)

Jednakże myślę, że moje informacje są wystarczające do zilustrowania całej głupoty, która obecnie zdaje się dominować w rozmowach dotyczących interioru tego kon tynentu, zwłaszcza twierdzeń o istnieniu rozległego morza wewnętrznego, nieważne, czy słodko- czy słonowodnego, którego tak dogodne istnienie powinno ułatwić rozwój rolnictwa na tych terenach. Jezioro, które zaznaczyłem na mapie, było jedynym większym zbiornikiem wody, na który natrafiliśmy podczas naszej podróży, i okazało się, że jako jej źródło może być wykorzystywane tylko sezonowo. To, że niespotykana suchość klimatu, z jakim się tam zetknęliśmy, wyjąwszy kilka krótkich i niewiele zmieniających burz, jest raczej sytuacją stałą, a nie czymś niezwyklej, jest przypuszczeniem potwierdzonym nie tylko przez świadectwo tubylców, z którymi rozmawialiśmy, ale i przez wielce osobliwe zachowania miejscowej fauny, jak tego dowiodą moje zapiski.

Rozdział 1

W Sydney tylko kilka ulic zasługiwało na to miano, poza główną arterią, ale nawet ta była w zasadzie drogą gruntową, wzdłuż której stało tylko trochę małych, nędznych domów. Tharkay odwrócił się od nich i wąską alejką między dwoma drewnianymi budynkami poprowadził towarzyszy na osłonięty od góry zadaszeniem z brezentu podwórzec pełen pijących, ponurych mężczyzn.

Wzdłuż jednego boku dziedzińca, z dala od kuchni, siedzieli skazańcy w burych i wyblakłych spodniach z drelichu, wyczerpani i zakurzeni po pracy w polu lub kamieniołomach; wzdłuż drugiego małe grupki członków Korpusu Nowej Południowej Walii, którzy z nieukrywaną wrogością patrzyli, jak Laurence i jego towarzysze zasiadają przy małym stoliku na skraju lokalu.

Oprócz tego, że byli obcymi, uwagę powszechną zwracał surdut Granby ego: butelkowa zieleń nie była pospolitym kolorem, i chociaż pozbył się złotego szamerunku i złotych guzików, którymi Iskierka uparcie go ozdabiała, haftu z mankietów i kołnierza nie mógł już tak łatwo usunąć. Laurence miał na sobie cywilne, brązowe ubranie: stwarzanie pozorów, że jest oficerem Korpusu Powietrznego, było oczywiście wykluczone, a jeśli w związku z jego

strojem rozdziły się wątpliwości co do jego pozycji, było to z pewnością całkiem naturalne, gdyż ani

on sam, ani nikt inny nie zdołał jeszcze znaleźć odpowiedzi na pytanie, jaka ona praktycznie powinna być.

- Myślę, że on się tu zaraz pojawi - odezwał się Granby, niezbyt szczęśliwy; to on nalegał, żeby przyszedli tutaj, ale nie dlatego, że aprobował plan.

- Ustaliliśmy, że spotkamy się o szóstej - odparł Tharkay, a potem odwrócił głowę: jeden z młodszych oficerów wstał od stołu i zmierzał w ich stronę.

Osiem miesięcy spędzonych na statku bez żadnych obowiązków i z załogą niemal całkowicie zjednoczoną w okazywaniu mu pogardy przygotowało Laurence'a na scenę, która z prawie nużącym podobieństwem rozegrała się znowu. Sama zniewaga była irytująca, gdyż wymagała jakiejś odpowiedzi, bardziej niż czegokolwiek innego; nie miała jednak mocy ranienia w ustach młodego, ordynarnego prostaka, śmierzącego rumem i wyraźnie niegodnego stania nawet w szeregach tej nędznej formacji wojskowej, zwanej również Korpusem Rumowym. Laurence popatrzył tylko na porucznika Agreutha z niesmakiem i powiedział krótko:

- Panie poruczniku, jest pan pijany; niech pan wraca do swojego stolika i zostawi nas samych.

Na tym jednak podobieństwo tej sytuacji do innych się skończyło.

- Nie rozumiem, dlaczego ja - zaczął Agreuth i tu język mu się wyraźnie zaplątał, musiał więc przerwać i powtórzyć kwestię z pijacką, przesadną starannością - dlaczego ja miałbym słuchać czegokolwiek, co wychodzi z pieprzonej gęby kurew- skiego zdrajcy...

Laurence patrzył na niego i słuchał tej tyrady z rosnącym niedowierzaniem; spodziewałby się, że tak rynsztokowego języka użyje w chwili wściekłości jakiś portowy kieszonkowiec, ale po prostu nie wiedział, jak zareagować, słysząc go z ust oficera.

Granby miał z tym wyraźnie mniej trudności, gdyż zerwał się na nogi, mówiąc:

- Na Boga, przeprosisz natychmiast albo wychloszczę cię na ulicy.

- Chciałbym zobaczyć, jak spróbujesz to zrobić - odpowiedział Agreuth i pochyliwszy się nad blatem stołu, napluł do szklanki Granby'ego, a ten chlusnął mu w twarz jej zawartością, zanim Laurence zdążył złapać go za ramię i powstrzymać.

To był oczywiście koniec wszelkich nadziei na spokojne rozwiązanie tej sytuacji; Laurence pociągnął Granby'ego do tyłu, usuwając go z drogi pięści Agreutha, który zadał zamaszysty cios, i puściwszy ramię przyjaciela, tą samą ręką uderzył pijanego napastnika w twarz.

Nie hamował się; nawet jeśli wdawanie się w bijatyki było czymś niegodnym oficera i dżentelmena, wyglądało na to, że ta jest nieunikniona, i chciał ją zakończyć jak najszybciej. Dlatego w cios, który skierował prosto w szczękę Agreutha, włożył całą siłę, budowaną od dzieciństwa najpierw na linach takielunku, potem na smoczycach uprzężach; głowa porucznika odskoczyła do tyłu, a on sam zatoczył się i wywracając sąsiedni stół, wylądował twarzą na bruku, przy akompaniamencie brzęku rozbijanych szklanic i w cuchnących oparach taniego rumu.

To mogłoby zakończyć sprawę, gdyby nie kompani Agreutha, którzy, chociaż oficerowie i niektórzy starsi oraz trzeźwiejsi od niego, bezzwłocznie włączyli się do tak rozpoczętej bijatyki. Mężczyźni, którzy siedzieli przy przewróconym stole, marynarze ze statku handlowego pływającego do Indii Wschodnich, także poczuli się urażeni tym, że przerwano im libację; a tłum składający się z marynarzy, robotników i żołnierzy, przeważnie już dobrze, podpitych, oraz garstki kobiet, nielicznych w porównaniu z tymi, które można było znaleźć w niemal każdej znanej Laurence'owi portowej speluncie na świecie, i tak już był beczką prochu czekającą na podpalenie lontu. Rum jeszcze nie wsiąkł między kamienie brukowe, a już ze wszystkich ław i krzeseł wokół nich wstawali wściekli i gotowi do walki mężczyźni.

Na Laurencea rzucił się kolejny oficer z Korpusu Nowej Południowej Walii: większy od Agreutha i kompletnie pijany. Laurence skrętem ciała uwolnił się z jego uścisku i powalił go na podłogę, wpychając pod stół najdalej, jak mógł. Tharkay ruchem świadczącym o dużym doświadczeniu w takich sytuacjach złapał butelkę rumu za szyjkę i kiedy zaatakował go inny mężczyzna - tym razem człowiek nie mający nic wspólnego z Agreuthem i najwyraźniej chcący po prostu przyłożyć komukolwiek - dzielił go nią w skroń.

Granby'ego chwyciło trzech napastników naraz; dwaj z nich, kompani Agreutha, trzymali go z czystej złości, a trzeci robił, co mógł, żeby odebrać mu szpadę z wysadzaną klejnotami rękojeścią i pas. Laurence uderzył złodzieja w nadgarstek i złapawszy go za pokryty łupieżem kołnierz, rzucił nim z taką siłą, że ten przeleciał, zataczając się, przez dziedziniec. W tej chwili Granby krzyknął i Laurence, obróciwszy się, zobaczył, że jego przyjaciel uchyla się przed nożem, brudnym i pokrytym plamkami rdzy, którym jeden z napastników chciał go pchnąć w twarz.

- Na Boga, czy wyście kompletnie postradali zmysły? - ryknął Laurence, chwycił obiema dłońmi rękę nożownika i wykręcił ją, wrywając broń, a Granby tymczasem powalił sprawnie trzeciego napastnika i przyszedł mu z pomocą. Zamieszanie rozprzestrzeniło się gwałtownie, w czym znacznie pomagał Tharkay, który z zimną krwią rzucał krzesłami, wywracał kolejne stoły i ciskał szklankami rumu w twarze klientów, kiedy rozwścieczeni zrywali się na nogi.

Laurence, Granby i Tharkay byli tylko we trzech i oficerowie z Korpusu Nowej Południowej Walii ich otoczyli, zostawiając reszcie zirytowanych klientów tylko jeden cel, samych siebie;

16 zwłaszcza skazańcy nie mieli nic przeciwko temu, żeby właśnie na tym celu wyładować swój zły humor. Nie była to jednak furia, którą kierowała jakaś logiką, i kiedy atakujący Laurencea oficer padł dziedzony z tyłu w głowę ciężkim stołkiem, rozjuszony napastnik z takim samym zapalem rzucił się na niego samego.

Laurence pośliznął się na mokrych deskach podłogi, którą w tym miejscu położono na bruku, ale zdołał odbić cios zadany w jego twarz stołkiem, po czym uklęknął szybko na jedno kolano. Pchnął z całych sił nogę mężczyzny, wybijając go z równowagi, za co został nagrodzony tym, że tamten zważył mu się całym ciężarem na barki, i w rezultacie obaj znaleźli się na podłodze.

W bok Laurence'a, tam gdzie jego koszula wysunęła się całkowicie ze spodni, wbiły się drzazgi, a wielki skazaniec, obrzucając go przekleństwami, uderzył go w twarz zaciśniętą pięścią. Laurence poczuł smak krwi z przygryzionej wargi, a wzrok zaćmiła mu mgła. Tarzali się po podłodze i Laurence nie bardzo pamiętał, co się stało w ciągu następnych kilku chwil; bił brutalnie drugiego mężczyznę, zadając mu uderzenie przy każdym obrocie i waląc jego głową o podłogę raz za razem. To była zaciekle, zwierzęca walka, w której nie było miejsca na żadne myśli ani nawet odczucia; jakby z oddali docierało do niego, że dostał kopniaka, czy też uderzył plecami w ścianę lub jakiś przewrócony mebel.

Bezwładność ciała jego nieprzytomnego przeciwnika sprawiła, że w końcu się opamiętał, puścił włosy mężczyzny i podparłszy się obu rękami na podłodze, spróbował się podnieść. Po chwili stwierdził, że bijąc się i tarzając, dotarli aż do drewnianego kontuaru przy kuchni. Chwycił się jego krawędzi, podciągnął i wstał chwiejnie na nogi, uświadamiając sobie aż za dobrze, że jednocześnie czuje przeszywający ból w boku oraz pieczenie licznych ranek na policzkach oraz rękach. Uniósł rękę do twarzy i wyciągnąwszy z niej długi odprysk szkła, rzucił go na kontuar.

Bijatyka zaczynała już dogasać - była bez porównania krótsza od walki na pokładzie okrętu, w której można było coś zyskać. Laurence pokuśtyka! wśród przewróconych stołów i dotarł do Granby'ego: Agreuth oraz jeden z towarzyszących mu oficerów zdołali jakoś dowlec się do niego i teraz szarpali się z nim, rozjuszeni, ale niemal

całkowicie wyczerpani, tak że wszyscy trzej chwiali się i zataczali, nie robiąc sobie większej krzywdy.

Laurence uwolnił Granby'ego z ich rąk, po czym podpierając się nawzajem, wyszli obaj niepewnym krokiem z dziedzińca na wąską, śmierdzącą alejkę, która jednak po pobycie pod prowizorycznym zadaszaniem z brezentu wydała im się chłodna i przyjemna, na co zapewne miał wpływ siąpiący deszczyk. Laurence oparł się z ulgą

o chłodną ścianę, na której zebrała się wilgoć, ignorując mężczyznę, który kilka kroków od niego opróżnił zawartość żołądka do rynsztoka. Idące alejką dwie kobiety uniosły spódnice, przechodząc nad strużką błota i wymiocin, i minęły ich bez zatrzymywania się, nawet nie patrząc na zamieszanie na dziedzińcu tawerny.

- Mój Boże, wyglądasz strasznie - odezwał się Granby.

- Nie wątpię - odparł Laurence, dotykając ostrożnie twarzy. - I ośmielę się dodać, że mam dwa złamane żebra. Przykro mi to mówić, John, ale ty wcale nie prezentujesz się dużo lepiej ode mnie.

- Nie, jestem pewny, że nie - mruknął Granby. - Musimy wynająć jakiś pokój, jeśli gdzieś nas przepuszczą przez drzwi, żeby się umyć. Nie mogę sobie nawet wyobrazić, co zrobiłaby Iskierka, gdyby zobaczyła mnie w takim stanie.

Laurence miał zupełnie dobre wyobrażenie o tym, co zrobiłaby Iskierka, a z nią Temeraire, i co potem zostałyby z kolonii.

- No cóż - powiedział Tharkay, który przyłączył się do nich

1 owiązywał właśnie krwawiącą rękę swoją chustką - wydaje mi się, że widziałem, jak nasz człowiek zagląda na dziedzińiec tawerny chwilę temu, ale obawiam się, że w tych okolicznościach postanowił się oddalić. Będę musiał o niego poprosić, żeby przygotować kolejne spotkanie.

- Nie - odparł Laurence, wycierając chusteczką wargę i policzek. - Nie, dziękuję ci; myślę, że możemy się obyć bez jego informacji. Widziałem już wszystko, czego mi trzeba, żeby wyrobić sobie opinię o dyscyplinie panującej w kolonii i jej sile wojskowej.

Temeraire westchnął i zjadł resztkę potrawy z kangurzego mięsa - miało przyjemny smak dziczyzny, przypominający trochę sarninę, i początkowo uznał je za miłą odmianę po rybach, którymi się żywił podczas długiej morskiej podróży. Teraz jednak był zdania, że po ugotowaniu jest ledwo jadalne, a w potrawce stawało się nadto żylaste i niezbyt smaczne, zwłaszcza że zapasy przypraw pozostawiały nawet więcej do życzenia.

Ze swego punktu obserwacyjnego na cyplu górującym nad portem widział zagrodę ze stadem bardzo ładnego bydła, ale najwyraźniej było ono tutaj zbyt drogie, by Korpus mógł je zapewnić swoim smokom. A Temeraire nie mógł oczywiście zaproponować takiego wydatku Laurence'owi, który z jego winy utracił cały majątek. Dlatego też przestał narzekać na brak urozmaicenia w jadłospisie, ale niestety Gong Su zrozumiał to jako zachętę i przez ostatnie cztery dni od rana do wieczora przygotowywał jedynie potrawy z kangurzego mięsa - co wcale nie było śmieszne.

- Nie rozumiem, dlaczego nie możemy przynajmniej polecieć trochę dalej na polowanie - odezwała się Iskierka, wylizując bardzo nieelegancko swoją misę; stanowczo odmówiła nauki dobrych manier. - To wielki kraj i musi być tu coś więcej do jedzenia. Jeśli dobrze poszukamy, to na pewno coś znajdziemy. Może są tu słonie, o których wciąż gadasz; chciałabym spróbować jednego z nich.

Temeraire wiele by dał za pysznego słonia, przyprawionego[^] dużą ilością pieprzu i być może szaławii, ale Iskierki nie wolno było zachęcać absolutnie do niczego.

- Możesz sobie lecieć, dokąd chcesz - odparł - ale nie narzekaj, jeśli się zgubisz. Nikt nie wie, jaki jest ten kraj za górami i nikogo nie można też zapytać o drogę; ani ludzi, ani smoków

- To bardzo głupie - pożaliła się Iskierka. - Nie twierdzą, że te kangury są smaczne, bo nie są, a poza tym jest ich zbyt mało, ale z pewnością są lepsze od tego, co jedliśmy w Szkocji podczas ostatniej kampanii, a więc ci, którzy mówią, że tam nie ma żadnego życia, opowiadają brednie; niby dlaczego tak miałyby być? Jestem pewna, że jest tam wiele smoków, tylko że są gdzieś dalej, i jedzą o wiele lepiej niż my tutaj.

Wydało się to Temeraireowi bardzo prawdopodobne i zanotował sobie w głowie, żeby później przedyskutować tę kwestię na osobności z Laurence'em; co przypomniało mu o jego przedłużającej się nieobecności. Laurence oczywiście nie potrzebował opiekunki, ale obiecał wrócić przed kolacją i przeczytać mu kolejny fragment powieści, którą kupił dzień wcześniej w mieście.

- Roland - zawołał z lekkim niepokojem. - Roland, czy nie jest już po piątej?

- Boże, tak, musi być już prawie szósta - odpowiedziała Emily Roland, odkładając szpadę; wraz z Demane ćwiczyła się trochę w szermierce. Wytarła twarz wyciągniętą ze spodni połą koszuli i podbiegła do krawędzi wzniesienia, skąd krzyknęła coś do marynarzy w dole, po czym wróciła i powiedziała: - Nie, myliłam się; już kwadrans po siódmej. Jakie to dziwne, że dzień jest tak długi, kiedy już prawie Boże Narodzenie!

- To wcale nie jest dziwne - odparł Demane. - Dziwne jest tylko twoje przekonanie, że ponieważ w Anglii jest teraz zima, to musi być także i tutaj.

- Ale gdzie jest Granby, jeśli jest tak późno? - wtrąciła .^?erka, która ich podsłuchiwała, i natychmiast się nastroszyła. -

a newnił mnie, że nie wybiera się do żadnego eleganckiego L&P .
jomu. bo nigdy nie puściłabym go w tak wytartym ubraniu.

Temeraire postawił nieco krezę, biorąc sobie tę uwagę do serca; boleśnie przeżywał to, że Laurence chodził w cywilnym surducie, bez nawet odrobiny szamerunku lub złotych guzików. Chętnie poprawiłby jego wygląd, gdyby miał szansę, ale Laurence nadal nie godził się na sprzedaż jego ozdobnych pochw na pazury, a nawet gdyby się zgodził, Temeraire nie zobaczył jeszcze w tej części świata niczego, co uznałby za odpowiednie dla swojego kapitana.

- Może polecę poszukać Laurence'a - powiedział. - Jestem pewny, że nie miał zamiaru być tam tak długo.

- A ja polecę poszukać Granby'ego - oświadczyła Iskierka.

- Nie możemy lecieć razem - odparł zirytowany Temeraire. - Ktoś musi zostać z jajami.

Rzucił szybkie, krytyczne spojrzenie na trzy jaja leżące w gniazdach zrobionych z koców i osłonięte małym baldachimem z płótna żaglowego. Nie był zbyt zadowolony z warunków, w jakich je trzymano: mały piecyk węglowy, pomyślał, nie zaszkodziłby nawet przy tak ciepłej pogodzie, i być może należałoby nakryć je jakąś bardziej miękką tkaniną. I nie podobało mu się, że baldachim był zbyt nisko, przez co nie mógł wsunąć pod niego głowy, by powąchać jaja i sprawdzić, jak bardzo stwardniały ich skorupy.

Po zejściu na ląd było z nimi trochę kłopotów: kilku oficerów Korpusu, których wysłano razem z nimi, próbowało się sprzeciwić temu, że Temeraire postanowił zatrzymać jaja, jakby sami mogli zapewnić im lepszą ochronę, co było kompletnym nonsensem. Podnieśli nawet krzyk, że Laurence próbuje je porwać, ale Temeraire zbył te oskarżenia pogardliwym parsknięciem.

- Laurence nie chce innego smoka, bo ma mnie - powiedział im - a co do porwania, to chciałbym wiedzieć, czyj to był pomysł, żeby wysłać jaja na drugi koniec świata przez ocean na którym szaleją sztormy i w którym roi się od morskich węży i to do tego dziwnego miejsca, które nawet nie jest właściwie krajem i w którym nie ma smoków; z pewnością nie mój.

- Pan Laurence zostanie skierowany do ciężkich robót, tak jak reszta skazańców - rzekł porucznik Forthing, całkiem głupio, jakby Temeraire kiedykolwiek na coś takiego pozwolił.

- Dosyć tego, panie Forthing - wtrącił Granby, który usłyszał tę wymianę zdań i podszedł do nich. - Dziwi mnie, że pozwoli! pan sobie na tak niemądre słowa; Temeraire, nie zwracaj proszę na to uwagi, żadnej.

- Och! Nie zwróciłem, najmniejszej - odparł Temeraire - ani na żaden z ich pozostałych zarzutów; to wszystko nonsens, jeśli myślicie - zwrócił się do Forthinga i jego towarzyszy - że uda wam się zatrzymać jaja, by młode po wykluciu myślały, iż nie mają innego wyboru, tylko natychmiast zgodzić się na założenie uprzęży i wziąć tych z was, którzy je wylosują; słyszałem, jak wczoraj wieczorem w zbrojowni rozmawialiście o ciągnięciu losów, więc nie próbujcie zaprzeczać. Ja z całą pewnością na to nie pozwolę i spodziewam się, że młode też nie będą chciały żadnego z was.

Oczywiście postawił na swoim i przeniósł jaja w miejsce, gdzie były w miarę bezpieczne, ale nie miał złudzeń co do wiarygodności ludzi, którzy pozwalali sobie na tak złośliwie fałszywe komentarze; nie miał wątpliwości, że spróbują wykraść jaja, jeśli da im choćby najmniejszą szansę. Dlatego sypiał zwinięty w kłębek wokół namiotu, a Laurence kazał także pełnić warty Roland, Demane i Siphon.

Okazało się jednak niestety, że odpowiedzialność, którą wziął na barki, poważnie ograniczała jego swobodę, zwłaszcza iż Iskierce nie można było powierzyć jaj nawet na chwilę. Na

cZęście miasto było bardzo małe, a cypel widać było niemal ^każdego miejsca, jeśli się tylko wyciągnęło szyję, i dlatego femeraire sądził, że może zaryzykować i polecieć tam na ten krótki czas konieczny do odnalezienia Laurence'a. Oczywiście smok był pewny, że nikt nie będzie tak głupi, by okazać Lauren- ce'owi brak szacunku, ale nie można było zaprzeczyć, iż ludzie od czasu do czasu mają skłonność do robienia niewytłumaczalnych rzeczy, a uwaga Forthinga, którą sobie nagle przypomniał, zbudziła w nim lekki niepokój.

To prawda, jeśli ktoś chciałby być bardzo drobiazgowy w tej sprawie, że Laurence był skazanym zbrodniarzem: skazanym za zdradę, a po ostatniej kampanii w Anglii, na żądanie lorda Wellingtona, wyrok zmieniono mu na deportację. Ale w opinii Temeraire'a ten nowy wyrok został już wykonany: nikt nie mógł zaprzeczyć, że Laurence'a deportowano, a doświadczenia zdobyte podczas podróży były już same w sobie wystarczająco ciężką karą.

Nieszczęsny Allegiance został wypełniony aż po bulaje jeszcze bardziej nieszczęśliwymi skazańcami, którzy przez całe dni pozostawali skuci i straszliwie śmierzeli, kiedy pobrękujących łańcuchami wyprowadzano szeregami na pokład, by zażyli trochę ruchu, przy czym niektórzy zwisali bezwładnie w swoich okowach. Dla Temeraire'a niewiele się to różniło od niewolnictwa; nie rozumiał, dlaczego tak wielką różnicę miałoby sprawiać to, jak mówił Laurence, że sądy uznały, iż ci biedni skazańcy coś ukradli; w końcu każdy mógł wziąć sobie owcę lub krowę, jeśli właściciel pozostawił je bez opieki, zamiast pilnować.

Pewne było natomiast to, że okręt cuchnął jak każdy statek niewolniczy; smród przeciskał się przez deski pokładowe, a wiatr niemal przez cały czas niósł go do przodu, na smoczy pokład; nawet aromat gotującej się w kambuzie poniżej solonej szynki nie mógł go stłumić. A po mniej więcej miesiącu podróży

Temeraire dowiedział się przez przypadek, że Laurence zostł zakwaterowany dokładnie nad pomieszczeniami dla skazańców gdzie smród musiał być o wiele gorszy.

Mimo nalegań smoka Laurence odrzucił pomysł złożenia jakiejś skargi.

- Jest mi bardzo dobrze, mój drogi - powiedział - jako że, mam dla siebie całą przestrzeń smoczego pokładu w ciągu dnia i spokojniejszych nocy, czego nie może powiedzieć o sobie żaden z oficerów na okręcie. Byłoby czymś skrajnie nieuczciwym gdybym ja, który nie dzielę ich trudu, domagał się dla siebie lepszych warunków; ktoś inny musiałby się przenieść, żebym ja dostał jego miejsce.

Tak więc sama podróż była w istocie wielce nieprzyjemna, a teraz byli w tym miejscu, którego także nie dało się lubić. Poza sprawą kangurzego mięsa, było tu zbyt mało ludzi, a i

samo miasto w niczym nie przypominało normalnego. Temeraire przywykł do nędznych kryjówek, w jakich żyły smoki w Anglii, ale tutaj ludzie nie spali w dużo lepszych warunkach, wielu w prowizorycznych małych domkach, właściwie budach, które często się przewracały, kiedy się nad nimi przelatywało, nawet niezbyt nisko, zasypując szczątkami wrzeszczących mieszkańców.

Nic nie wskazywało również na to, że czeka ich jakaś walka. Podczas podróży dotarło do nich kilka listów oraz gazet, które dostarczały im szybsze fregaty, kiedy mijały ciężko pracujący na falach kadłub Allegiance. Laurence czytał je Temeraire'owi, który z rosnącym przygnębieniem dowiadywał się, że Napoleon znowu wojuje, tym razem w Hiszpanii, grabiąc miasta leżące wzdłuż wybrzeża, i Lien na pewno jest razem z nim: a tymczasem oni znaleźli się na drugim końcu świata i w niczym nie mogli pomóc. To wcale nie było sprawiedliwe, myślał zde gustowany Temeraire, że Lien, która uważała, że smoki Niebiańskie wcale

winy walczyć, miała dla siebie całą wojnę, podczas gdy n'e. pdział tutaj, doglądając jaj. onsiu

jsja morzu nie mieli okazji stoczyć nawet najmniejszej potyczki na pocieszenie: raz dostrzegli francuskiego korsarza, dali ale mały okręt postawił wszystkie żagle i szybko zniknął za horyzontem. Iskierka i tak rzuciła się w pościg - sama, gdyż Laurence zwrócił mu uwagę, że nie może zostawić jaj dla tak bezowocnej przygody - i ku satysfakcji Temeraire'a wróciła z niczym.

Francuzi z pewnością nie zaatakują Sydney, zwłaszcza że nie ma w nim niczego poza kangurami i nędznymi budami mieszkalnymi. Temeraire nie rozumiał, po co w ogóle tu przybyli; oczywiście należało pilnować jaj do czasu, gdy wylęgną się młode, ale kiedy to się stanie, co jego zdaniem nastąpi już wkrótce, nie będą mieli nic do roboty poza siedzeniem na brzegu i wpatrywaniem się w morze.

Wszyscy ludzie albo pracowali na roli, co nie było zbyt interesujące, albo byli skazańcami, którzy wymaszerowywali bez wyraźnego powodu, jak zdawało się Temeraire'owi, każdego ranka i wracali wieczorem. Pewnego dnia poleciał za jedną z tych grup, żeby to sprawdzić, i okazało się, że oni szli tylko do kamieniołomu, by wyrąbać trochę kamieni, które potem ładowali na wozy i wieźli do miasta, co wydało mu się absurdalnie nieskuteczne; sam mógłby za jednym zamachem przenieść ładunek pięciu takich wozów, i to w dziesięć minut, ale kiedy wylądował i zaproponował pomoc, skazańcy rozbiegli się w popłochu, a później do Laurence'a przyszli żołnierze ze skargą, którą przedstawili z wyraźnym chłodem.

Z pewnością nie lubili Laurence'a; jeden z nich był bardzo niegrzeczny i powiedział: „Gdyby to ode mnie zależało, też wylądowałbyś w kamieniołomach”, na co Temeraire pochylił głowę i rzekł: „Gdyby to zależało ode mnie, wylądowałbyś w oceanie; chciałbym wiedzieć, co takiego robiliście, kiedy Laurence i ja wygraliśmy kolejne bitwy i kiedy przepędziliśmy z Anglii Napoleona. Siedzieliście tu tylko i niczego nie działaliście. Nie udało wam się nawet wyhodować przyzwoitej liczby krów”

Temeraire doszedł teraz do wniosku, że ta drwina była może nieco nieroztropna i że jednak nie powinien puścić Laurence'a do miasta, kiedy jest tam tylu ludzi, którzy chcieliby go zagnać do kamieniołomu.

- Polecę poszukać Laurence'a i Granby'ego - powiedział do Iskierki - a ty zostaniesz tutaj; gdybyś ty poleciała, najpewniej zaraz byś coś podpaliła.

- Niczego nie podpalę! - odparowała Iskierka. - Chyba że trzeba będzie to zrobić, żeby uwolnić Granby'ego.

- Właśnie to miałem na myśli - odrzekł Temeraire. - Wy tłumacz mi, proszę, co dobrego może wynikać z podpalenia jakiegoś domu?

- Proszę bardzo - zaczęła Iskierka. - Jestem pewna, że jeśli nikt nie będzie chciał mi powiedzieć, gdzie on jest, wszyscy zmienią zdanie, kiedy podpalę jakiś dom i powiem im, że to samo zrobię z resztą.

- Tak - powiedział Temeraire - a tymczasem okaże się, co jest wielce prawdopodobne, że Granby był w jednym z domów, które podpaliłaś, i ucierpiał w pożarze; a jeśli nawet był w innym, ogień rozszerzy się na sąsiednie budynki, czy to ci się będzie podobało, czy nie, a on będzie w którymś z nich. Podczas gdy ja po prostu zdejmę dach domu, zajrzę do środka i wyjmę ich z niego, jeśli tam będą, a ludzie i tak mi powiedzą, gdzie szukać.

- Ja też mogę zdjąć dach z domu! - krzyknęła rozzłoszczona Iskierka. - Jesteś po prostu zazdrosny, ponieważ jest bardziej prawdopodobne, że ktoś wolałby porwać Granby'ego, który ma na sobie więcej złota od Laurence'a i wygląda od niego dużo piękniej.

Oburzony Temeraire oniemiał i już miał wybuchnąć, kiedy Roland przerwała im pospiesznie:

Och, przestańcie się kłócić! Popatrzcie, tam są, wracają: to oni idą tą drogą, jestem pewna.

Temeraire spojrział za siebie: z małego skupiska domów, które składały się na miasto, wyłoniły się właśnie trzy małe postaci i zmierzały wąskim szlakiem dla bydła w stronę cypla.

Temeraire i Iskierka unieśli wysoko głowy, patrząc w dół na zbliżającą się trójkę. Laurence pomachał energicznie ręką, nie zważając na ból złamanych żeber, który tylko trochę się zmniejszył po kąpieli i założeniu bandaża; to obrażenie mógł jednak ukryć.

- Są tam; przynajmniej nie rzuciły się na dół i nie niszczą domów - mruknął Granby, który opuścił rękę, krzywiąc się lekko z bólu, po czym pomacał ostrożnie ramię.

Sytuacja wciąż jednak była napięta, kiedy weszli na cypel - był to powolny marsz i zanim dotarli na górę, gdzie mogli usiąść na prowizorycznych ławkach, pod Laurence'em od czasu do czasu ugiwały się nogi. Temeraire zaczął węszyć, po czym pochylił nagle głowę i powiedział z niepokojem:

- Jesteś ranny; krwawisz.

- To nic takiego, nie martw się; mieliśmy po prostu mały wypadek w mieście - odparł z lekkim poczuciem winy Laurence, który wolał drobne oszustwo od nieuniknionych komplikacji, jakie byłyby następstwem gniewu smoka.

- Widzisz więc, najdroższa, że dobrze zrobiłem, wkładając mój stary surdut - powiedział Granby do Iskierki w przypiływie natchnienia - gdyż jest teraz brudny i podarty, czym byś się przejęła, gdybym miał na sobie coś ładniejszego.

Iskierka, której uwagę tak sprytnie odwrócił od swoich sińców, przyjrzała się jego odzieniu i natychmiast oświadczy, że to konsekwencja przebywania w takim otoczeniu.

- Jeśli się idzie do tak lichej i nędznej dziury jak to miasto nie można się spodziewać niczego innego - powiedziała - i ^ prawdy nie rozumiem, dlaczego tu w ogóle siedzimy; myślę, ^ najlepiej zrobimy, jeśli natychmiast wyruszymy z powrotem do Anglii.

Rozdział Z

N

ie jestem w najmniejszym stopniu zaskoczony - powiedział Bligh - w najmniejszym; sam pan widzi, jak to jest, kapitanie Laurence, z tymi skurwysyńskimi psami i merynosami.

Jego język nie był o wiele lepszy od języka wyżej wspomnianych psów i Laurence nie przepadał za jego towarzystwem. Sarr^ miał do siebie pretensję o to, że myślał tak królewskim gubernatorze i oficerze floty, a zwłaszcza tak znakomitym żeglarzu^ jego znany wyczyn, przepłynięcie 3600 mil otwartego oceanu w szalupie, w której zostawiła go zbuntowana załoga Bounty wciąż uchodził za prawdziwy cud.

Allegiance zatrzymał się przy brzegu Ziemi van Diemena dla (uzupełnienia zapasów wody, i tam znaleźli gubernatora, którego^ spodziewali się zastać w Sydney, usuniętego ze stanowiska przez^. Korpus Rumowy i żyjącego na wygnaniu. Miał wąskie, wykrzywione w gorzkim grymasie usta, co zapewne było następstwem jego kłopotów; jego rzednące włosy odsłaniały szerokie, wysiękłe czoło, a delikatne rysy wiecznie zatroskanej twarzy niezbyt^ pasowały do

wulgarnego języka, jakiego miał skłonność używać w tych nierzadkich chwilach, kiedy był z jakiegoś powodu p^o irytowany.

Zaczepiał przechodzących oficerów marynarki, zarzucając ich żądaniami przywrócenia na stanowisko, ale ci wszyscy dżentelmeni starali się roztropnie nie stawać po żadnej ze stron konfliktu, czekając, aż z dalekiej Anglii dotrze oficjalna reakcja na wydarzenia w kolonii. Laurence przypuszczał, że sprawa ta została zaniedbana w rezultacie chaosu, jaki zapanował w kraju po inwazji Napoleona, gdyż nic innego nie tłumaczyło tak dużego opóźnienia. Nie przysłano żadnych nowych rozkazów ani następcy gubernatora, a tymczasem w Sydney członkowie korpusu Nowej Południowej Walii oraz ci z miejscowych posiadaczy ziemskich, którzy popierali zamach, umacniali się na swoich pozycjach.

Tego samego wieczoru, kiedy Allegiance rzucił w porcie kotwicę, Bligh przyплыł łodzią na konsultację z kapitanem Rileyem, niemal wprosił się na kolację i narzucił temat rozmowy przy stole, całkowicie lekceważąc przywileje dowódcy okrętu, chociaż jako oficer marynarki nie mógł nie znać panujących w niej zwyczajów.

- Upłynął już rok i nie ma żadnej odpowiedzi - rzucił wściekle, pryskając śliną i kiwając ręką na stewarda Riley'a, żeby znowu napełnił mu kieliszek. - Cały rok minął, kapitanie, a tymczasem te gnidy w Sydney szerzą wśród ludności rozpustę i pijaństwo; nie ma dla nich żadnego znaczenia, żadnego, jeśli wszystkie dzieci urodzone na tych brzegach będą bękartami, gnojkami i wiecznie pijanymi pijawkami, o ile tylko będą pracowały na ich farmach i spokojnie nosiły jarzmo. „Niech się leje rum”, to jedyna maksyma, której są wierni, a alkohol jest ich jedynym pieniądzem i bogiem.

Sam jednak nie żałował sobie wina, choć było już niemal skwaśniałe, ani resztek porto Riley'a; jadł także z apetytem, jak można się było spodziewać po człowieku żywiącym się głównie sucharami i od czasu do czasu dziczyzną.

Laurence, który w milczeniu obracał w palcach nóżkę swojego kieliszka, mógł mu tylko współczuć: odrobina mniej samokontroli i sam zacząłby z równym ferworem pomstować na tchórzostwo oraz głupotę ludzi, którzy wysłali Temeraire'a na wygnanie. Także chciał odzyskać, jeśli nie stopień i miejsce w społeczeństwie, to przynajmniej możliwość robienia czegoś pożytecznego; a nie tylko siedzieć beczynnie tu na drugiej stronie świata i użalać się nad sobą.

Ale teraz upadek Bligha mógł łatwo stać się jego własnym. Jego jedyną nadzieją na powrót było ulaskawienie przez gubernatora kolonii, ulaskawienie dla niego i Temeraire'a; albo przynajmniej wystarczająco korzystny dla nich raport, żeby uspokoić tych w Anglii, których lęki oraz dbałość o własne, wąskie interesy przyczyniły się do podjęcia decyzji o skazaniu ich na wygnanie.

To zawsze była słaba nadzieja, nieco na wyrost; ale Jane Roland z pewnością pragnęła powrotu jedyne brytyjskiego Niebiańskiego, kiedy musiała walczyć z Lien, wciąż stojącą po stronie nieprzyjaciela. Laurence mógł mieć pewną nadzieję, że niemal przesądny lęk przed tą rasą, który narodził się po strasznym w skutkach ataku Lien na flotę podczas bitwy pod Shoeburyness, nieco już zmalął i chłodniejsze umysły w Admiralicji zaczynały żałować odesłania tak cennej broni.

Tak przynajmniej napisała, żeby dodać mu otuchy, i poinformowała go: „Istnieje cię szansa, że uda mi się wysłać po was Viceroya, kiedy tylko zostanie ponownie wyposażony; tylko, na litość boską, bądź z łaski swojej uprzejmy dla Gubernatora. Będę ci wdzięczna, jeśli nie narozrabiasz znowu: najlepiej by było, gdyby w następnych doniesieniach z kolonii pisano o tobie jak najmniej, ani dobrze, ani źle, oprócz tego, że jesteś potulny jak baranek”.

Co do tego nie było jednak żadnej nadziei, zwłaszcza od chwili, gdy Bligh otarł usta, odłożył serwetkę i powiedział:

- Nie będę owijał w bawełnę, kapitanie Riley: mam nadzieję, że rozumie pan, co w obecnych okolicznościach jest pańską powinnością, jak również pańską, kapitanie Granby. Było nią oczywiście przewiezienie Bligha do Sydney i ^ groźenie tam kolonii bombardowaniem, jeśli główni spisków^ MacArthur i Johnston nie zostaną oddani pod sąd. ij^J

- I natychmiast powieszni jak zbuntowani łajdacy, którzy, mi są - dodał Bligh. - Tylko tak można naprawić szkody, które wyrządzili. Na Boga, chciałbym, żeby ich gnijące, zżerane przez robaki ścierwa wisały tam przez rok lub dłużej, jako nauczka dla ich kamratów; wtedy może udałoby się przywrócić trochę dyscypliny. ifl

- Cóż, nie zrobię tego - odparł Granby, nierozważnie, ale szczerze - i sądzę - dodał później w prywatnej rozmowie z Laurence'em i Rileyem - że zmuszanie kolonistów, by wzięli go z powrotem, nie jest naszą sprawą. Wydaje mi się, że jeśli przeciwko temu człowiekowi podnoszono bunt trzy lub cztery razy, jest w tym coś więcej niż tylko zwykły pech.

- W takim razie niech pan mnie weźmie na pokład - powiedział Bligh z grymasem niezadowolenia na twarzy, kiedy Riley także, chociaż grzeczniej, mu odmówił. - Wrócę z wami do Anglii i tam bezpośrednio przedstawię moją sprawę. Tej mojej prośbie, jak ufam, nie może pan odmówić - podkreślił, nie bez racji: taka odmowa byłaby politycznie bardzo niebezpieczna dla Riley'a, którego pozycja była mniej pewna niż Granby'ego, i nie chroniona przez wpływy żadnych znaczących postaci. Jednak zamiarem Bligha nie był oczywiście powrót do Anglii, ale do kolonii, w ich towarzystwie i pod protekcją Riley'a, i kontynuowanie prób uzyskania od niego pomocy przez czas, który okręt spędzi w porcie.

Laurence nie mógł ofiarować swoich usług Blighowi, w obecnym stanie ducha tego dżentelmena, jeśli nie chciał otrzymać natychmiast rozkazu przywrócenia go na stanowisko i skierowania

ire'a przeciwko buntownikom. Chociaż takie posunięcie mu przynieść korzyść, byłoby całkowicie sprzeczne z jego uczuciami. Raz już pozwolił wykorzystać siebie i Temeraire podczas wojny - przez Wellingtona przeciwko francuskim ^ eźdźcom. Na wspomnienie tego, co wtedy robił, jego serce wciąż ogarniał mrok, i wiedział, że nigdy już nie będzie tak uległy.

Gdybv jednak ofiarował swoje usługi Korpusowi Nowej Południowej Walii, stałby się niemal współuczestnikiem buntu. Nie trzeba było mieć wielkiego politycznego talentu, by wiedzieć, że ze wszystkich oskarżeń właśnie na takie najmniej mógł sobie pozwolić i że właśnie ono zostałoby najchętniej podchwyczone przez jego i Temeraire'a wrogów, by odebrać im jakkolwiek nadzieję powrotu.

- Nie rozumiem, na czym polega trudność; nie ma żadnych powodów, żebyś musiał się komukolwiek podporządkowywać - powiedział z uporem Temeraire, kiedy Laurence z pewnym niepokojem poruszył ten temat podczas rozmowy z nim na pokładzie okrętu, gdy wyruszyli z Ziemi van Diemena do Sydney w ostatni etap ich długiej podróży, którą Laurence przedtem chętniej by przyspieszył, a teraz jeszcze chętniej by opóźnił. - Dobrze radziliśmy sobie podczas tego rejsu i równie dobrze będziemy sobie radzić nadal, nawet jeśli kilku irytujących ludzi okazało się gburami.

- Z prawnego punktu widzenia podlegałem do tej pory władzy kapitana Riley'a i może tak być jeszcze przez jakiś czas, ale niezbyt długo - odpowiedział Laurence. - Zgodnie z przepisami powinien oddać mnie w ręce miejscowych władz razem z innymi więźniami.

- Dlaczego miałby to zrobić? - rzekł Temeraire. - Riley to rozsądny człowiek i, jeśli już musisz komuś podlegać, z pewnością jest lepszy od Bligha. Nie mogę lubić kogoś, kto uparcie przerywa nam czytanie, cztery razy, tylko po to, że chce ci jeszcze raz

powiedzieć, jak nikczemni są koloniści i jak dużo piją ru^ naprawdę nie wiem, dlaczego miałoby to kogoś interesować

- Mój drogi, Riley nie pozostanie z nami zbyt długo - odp[^] Laurence. - Okręt do transportu smoków nie może tak stać w porcie; to pierwszy raz, kiedy wysłano jeden z nich do tej części świata, i tylko po to, żeby nas tu dostarczyć. Kiedy oczyszczą kadłub i wymienią stengę bezanmasztu, którą straciliśmy w p0. bliżu Prowincji Przylądkowej, odpłyną. Jestem przekonany, że Riley spodziewa się lada chwila nowych rozkazów i przywiezie mu je następnym statkiem, który wpłynie do portu.

- Och - mruknął Temeraire, nieco przybity - a my zostaniemy, jak sądzę.

- Tak - odparł Laurence. - Przykro mi.

A bez okrętu transportowego Temeraire stanie się naprawdę zakładnikiem nowej sytuacji, w której się znaleźli: było tylko kilka jednostek, żadna klasy handlowej, które mogły przewieźć smoka jego rozmiarów, a z Nowej Południowej Walii nie mógł bezpiecznie dolecieć do żadnej innej części świata. Smok kurierski, lżejszy i bardziej wytrzymały, być może zdołałby w ostateczności tego dokonać, z dobrze poinformowanym nawigatorem i pod warunkiem że sprzyjałaby mu pogoda oraz szczęście i że znajdowałyby po drodze skaliste wysepki, na których mogłyby odpocząć; ale Korpus Powietrzny nie ryzykował nawet tych stworzeń do przeprowadzania regularnych lotów do tak odległej kolonii, a Temeraire nigdy nie mógłby wyruszyć tą trasą, nie narażając się jednocześnie na skrajne niebezpieczeństwo.

Istniała także możliwość, że Granby'emu uda się w końcu przekonać Iskierkę do powrotu z Rileyem, by nie znalazła się w podobnej pułapce, i wtedy Temeraire zostanie całkowicie sam, odcięty od swojego gatunku, jeśli nie liczyć trzech smoków, które miały się wkrótce wylęgnać z jaj i o których ewentualnych zaletach nic jeszcze nie było wiadomo.

Cóż gdyby do tego doszło, nie będzie czego żałować - b rknął Temeraire, łypiąc dość złowrogo na Iskierkę, która właśnie spała, wypuszczając kłęby pary z wyrostków na swoim ciele; para skraplała się niemal natychmiast, przez co cały pokład pod nią był wilgotny. - To nie znaczy - dodał - że nie potrzebuje towarzystwa; byłoby miło zobaczyć znowu Maksimusa, i Lily, i dobrze byłoby się dowiedzieć, jak Perscitia radzi sobie ze swoim pawilonem; ale jestem pewny, że napiszą do mnie, gdy tylko się zdomowimy, a co do niej, może sobie wracać, kiedy tylko zechce.

Laurence czuł, że kara może się okazać dla Temeraire[^] znacznie cięższa, niż się spodziewał. Jednak perspektywa tych przykrości, która przez całą podróż tak bardzo zajmowała jego myśli, wydawała się teraz czymś wręcz błahym wobec katastrofalnej sytuacji, w jakiej się znaleźli: zmuszeni do odgrywania ról zarazem skazańców, jak i królotwórców, bez żadnej możliwości ucieczki, oprócz tej, że zerwą wszelkie związki ze społeczeństwem i poszukają dla siebie miejsca w dzicy.

- Proszę, nie martw się, Laurence - powiedział stanowczo Temeraire. - Jestem pewny, że uznamy to za bardzo interesujące miejsce, a poza tym - dodał - przynajmniej będzie tam coś lepszego do jedzenia.

Jednak przyjęcie, jakiego doznali, uwiarygodniło tylko skargi Bligha, pogłębiając przy tym niepokój Laurence'a. W żadnym razie nie można było powiedzieć, że Allegiance przybył do kolonii ukradkiem: wpłynęli do zatoki o jedenastej w bezchmurny dzień i z ledwie wyczuwalnym wiatrem. Po ośmiu miesiącach na morzu można było im wszystkim wybaczyć niecierpliwość, ale nikt z nich nie był przygotowany na niemal szokujące piękno tego ogromnego naturalnego portu: gęsto porośniętych lasem stoków, opadających stromo ku wodzie, pociętych małymi zatoczkami, które wykrzywiały linię brzegową głównego ka[^] i jaśniały w słońcu połaciami złotego piasku.

Tak więc Riley nie rozkazał spuścić szalup, żeby pociąg[^] okręt, ani nawet postawić więcej żagli; pozwolił ludziom przy relingach i patrzeć na otwierający się przed ich oczy[^] widok na nowy kraj, podczas gdy Allegiance sunął stateczni wśród mniejszych jednostek niczym ogromny płetwal wśród chmur sardeli. Zanim zrzucili żagle i opuścili kotwicę, płyn[^] tak, wolno i spokojnie, przez niemal trzy godziny, a i tak nikt nie wyszedł im na powitanie.

- Wygląda na to, że powinienem oddać salut armatni - powiedział z powątpiewaniem Riley; i działa ryknęły. Wielu kolonistów odwróciło się na pokrytych kurzem uliczkach swojego miasta, żeby popatrzeć, ale nadal nie było żadnej reakcji. Po kolejnych dwóch godzinach Riley spuścił w końcu szalupę i posłał na brzeg lorda Purbecka, pierwszego oficera.

Purbeck wrócił krótko potem i złożył raport, że rozmawiał z majorem Johnstonem, obecnym dowódcą Korpusu Nowej Południowej Walii, i że ten dzentelmen odmówił przybycia na pokład, dopóki jest tam Bligh; najwyraźniej wieść o powrocie byłego gubernatora dotarła do Sydney wcześniej, najpewniej przywieziona przez mniejszy i szybszy statek, który przyplłynął tą samą trasą z Ziemi van Diemena.

- Może w takim razie my się do niego udamy - powiedział Granby, zupełnie nieświadomy spojrzeń, jakie rzucili mu Laurence i Riley, zbulwersowani propozycją, żeby kapitan marynarki zniżył się do złożenia wizyty majorowi wojsk lądowych, który zachował się tak oburzająco i w sposób tak niegodny dzentelmena po czym dodał niefortunnie: - Nie usprawiedliwiam go, ale nie wykluczyłbym tego, że Bligh wysłał wiadomość, że zamierzamy go przywrócić na stanowisko.

Było to niestety dość prawdopodobne, a co gorsza, nie mieli w boru. Ich zapasy się kończyły, a nie była to błahostka? Ładownie okrętu wypełniał tłum skazańców, w sytuacji,

okład uginał się pod ciężarem smoków. Riley sztywny i chłodny, udał się zatem na brzeg z oddziałem • choty morskiej, i zaprosił przy tym Laurence'a oraz Granby'ego, żeby mu towarzyszyli.

_ To może niezbyt zgodne z zasadami, ale w tej całej cholernej sprawie nie ma nic normalnego - powiedział do Laurence'a _ i obawiam się, że właśnie ty, bardziej niż ktokolwiek z nas, powinieneś skorzystać z okazji oceny tego człowieka.

Nie musieli długo czekać na tę okazję.

- Jeśli zamierzacie spróbować narzucić nam tego tchórzliwego węża, to mam nadzieję, że jesteście gotowi tu pozostać i znosić jego bezczelność razem z nami - rzucił Johnston - bo jeśli odpłyniecie, w okamgnieniu znowu go wywalimy; co do mnie, odpowiem każdemu, kto ma prawo pytać o to, co zrobiłem, ale to żaden z was, panowie.

To były jego pierwsze słowa, poprzedzające nawet prezentację, które wypowiedział, gdy tylko stanęli przed nim; nawet nie w jego biurze, ale w przedpokoju w długim budynku, który służył zarazem jako koszary oraz kwatera główna Korpusu.

- Chciałbym wiedzieć, co to ma wspólnego z właściwym powitaniem królewskiego okrętu, kiedy przybywa do portu - odparł podniesionym głosem Granby - i w najmniejszym stopniu nie obchodzi mnie ani Bligh, ani pan, o ile tylko dostanę jedzenie dla mojej smoczy; czym radzę panu szybko się zająć, chyba że woli pan, by sama o siebie zadbała.

Ta wymiana zdań niespecjalnie ociepliła atmosferę powitania; nawet pominiawszy podejrzenia, że chcą pomóc Blighowi, Johnston, mimo swych wszystkich pogróżek, był wyraźnie zaniepokojony, i nie bez racji, niepewną sytuacją, w której znalazł się wraz ze swoimi zwolennikami, zwłaszcza że ich działania były ewidentnie nielegalne, a milczenie Anglii tak bard^ przeciągało. W innych okolicznościach Laurence mógłby ^ nawet trochę współczuć: Allegiance ze smokami na pokładzie był nieznanym czynnikiem, który mógł zakłócić cały ustal0 porządek.

Ale widok kolonii z bliska bardzo nim wstrząsnął. Nie mie ściło mu się w głowie, że w tej pięknej i bujnej krainie zobaczył obrazy takiego rozkładu i ogólnego nieporządku, pijanych ludzi kobiety i mężczyzn, zataczających się na ulicach jeszcze przed zachodem słońca, i żyjących przeważnie w rozpadających się 1 budach, które trudno było nazwać domami, oraz namiotach. | Jednak nawet one nie były zamieszkałe na stałe: w drodze na to mało satysfakcjonujące spotkanie przeszli obok jednej z takich chałup, w której nie było drzwi, i

zszokowany Laurence zobaczył w środku mężczyznę, do połowy jeszcze w mundurze wojskowym, który kopulował energicznie z kobietą, podczas gdy obok na podłodze chrapał inny mężczyzna, a w rogu siedziało brudne, zasmarkane dziecko.

Jeszcze bardziej przygnębiający był widok zakrwawionych ciał przed koszarami, gdzie pełen entuzjazmu egzekutor zdawał sobie robić tylko króciutkie przerwy między kolejnymi ze swoich ofiar, ponurymi i zakutymi w łańcuchy mężczyznami, którzy czekali w rzędzie na swoje pięćdziesiąt lub sto batów - co najwyraźniej uchodziło tutaj za lekką karę.

- Gdyby nie to, że sam wkrótce doczekałbym się buntu - bąknął pod nosem Riley, kiedy wrócili na Allegiance - za nic nie pozwoliłbym moim ludziom wyjść tutaj na brzeg: Sodoma i Gomora to fraszka w porównaniu z tym, co widzieliśmy.

Kolejne trzy tygodnie, które spędzili w kolonii, raczej nie wpłynęły na poprawę opinii Laurence'a o jej obecnych lub poprzednich władzach. Bligha rzeczywiście nie dawało się lubić: był

i opryskliwy' a kiedy jego próby zaznaczenia swojego ^cetu paliły na panewce, rozpoczynał kampanię nieszczę- aUt01^ chlebstw przerywaną wybuchami irytacji, która tylko ^iewielkim stopniu przesłaniała jego głębokie przekonanie \vm, że ma absolutną rację.

Jednak to, co się stało, było o wiele gorsze od jakiegoś zwykłego buntu: ten człowiek był królewskim gubernatorem i zdradzili właśnie ci żołnierze, którzy byli odpowiedzialni za wykonywanie jego rozkazów. Ponieważ Riley i Granby pozostawali nieugięci, a poza tym było wielce prawdopodobne, że wkrótce odpłyną, Bligh skupił swoją uwagę na Laurencie, jako na kimś, kto stwarzał mu najbardziej obiecującą możliwość odzyskania dawnej pozycji, i zdawało się, że nic go nie zniechęci: każdego dnia wygłaszał Laurence'owi tyrady o tym, jak źle kolonią rządzą obecne, nielegalne władze, i o nieszczęściach, jakie na pewno wynikną, jeśli pozwole się, by taka sytuacja trwała nadal.

- Każ Temeraire'owi wyrzucić go za burtę - zasugerował lakonicznie Tharkay, kiedy Laurence, szukając chwili spokoju, ukrył się w swojej kajucie, mimo niemal duszącego upału, jaki panował pod pokładem; powietrze, jakie wpadało przez otwarty bulaj, było jeszcze gorętsze. - Może go potem wyłowić - dodał po zastanowieniu.

- Poważnie wątpię, czy coś tak przyjemnie ciepłego jak woda oceanu skutecznie ostudziłoby zapał tego dżentelmena na dłużej niż tylko chwilę - odparł Laurence, poprawiając sobie zły humor odrobiną sarkazmu: Bligh posunął się tego dnia tak daleko, że otwarcie zaczął mówić o swoim prawie, jeśli zostanie przywrócony na stanowisko, do ułaskawiania skazańców, i Laurence musiał opuścić go w połowie zdania, żeby tej próby przekupstwa nie odebrać jako zniewagi. - Byłoby mi łatwiej - dodał zmęczonym głosem, kiedy się trochę uspokoił - gdybym nie wiedział, że jego oskarżenia nie są tak zupełnie bezpodstawne.

Kolonia bowiem była rzeczywiście bardzo źle rządzona i dać to było nawet z dalekiej perspektywy ich okrętowego z ? Laurence wiedział, że skazańcy przybywali tu generalnie ? rokami ciężkich robót, po których odbyciu odzyskiwali wolli i mieli prawo otrzymać ziemię. Był to głęboko przemyślany pij. stworzony przez pierwszego gubernatora w celu zasiedlenia w krainy. Jednak przez następne dwa dziesięciolecia pozostał q> tylko planem i praktycznie niemal wszystkimi posiadaczami ziemskimi w kolonii byli oficerowie Korpusu Nowej Południowej Walii lub ich dawni towarzysze broni.

Skazańców w najlepszym razie wykorzystywali jako tanią siłę roboczą; w najgorszym jako majątek ruchomy. Pozbawieni per- spektyw czy koneksji, dzięki którym albo byliby w jakiś sposób zainteresowani swoją przyszłością, albo wstydziłoby się swojego zachowania, a także uwięzieni w kraju, który był więzieniem nie potrzebującym murów, skazańcy łatwo dawali się kupić pracą i szukali zapomnienia w tanim rumie, sprowadzanym ze znacznym zyskiem przez żołnierzy, i w taki to sposób ci, którzy powinni wymuszać porządek, przyczyniali się do jego upadku, nie dbając o powszechny zamęt oraz postępującą degrengoladę ludzi, jakie były tego skutkiem.

- A przynajmniej tak Bligh bez ustanku dowodzi, a wszystko, co widziałem, jest potwierdzeniem jego zarzutów - podjął po chwili Laurence. - Ale nie mogę sobie w pełni zaufać, Tenzing; boję się, że za bardzo chciałbym, by jego skargi były uzasadnione. Przykro mi to powiedzieć, ale miałbym dzięki temu dobre usprawiedliwienie, żeby go przywrócić na stanowisko.

- Obawiam się, że mam capot! - powiedział Tharkay, kładąc ostatnią kartę. - Jeśli upierasz się, że chodzi ci o sprawiedliwość, a nie tylko własny interes, dowiedziałbyś się więcej, rozmawiając

- miejscowym obywatelem, człowiekiem osiadłym, który t jaki"15 ?o skarg na traktowanie przez żadną ze stron.

nic ""jeśli nawet znalazłbym takiego człowieka, nie widzę po- 7- ? C\\A których miałby się podzielić ze mną swoją opinią ak delikatnej sprawie - odparł Laurence i zebrałszy karty, potasował je na nowo.

Mam listy polecające do kilku miejscowych kupców - mruknął Tharkay, a Laurence zaczął się zastanawiać nad tą nową dla niego informacją. Myślał dotąd, że Tharkay przybył do Nowej Południowej Walii tylko po to, żeby zaspokoić swoją nienasyconą żądę podróżowania; ale oczywiście nie mógł naruszyć jego prywatności bezpośrednim pytaniem.

_ Jeśli chcesz - kontynuował Tharkay - mogę popytać; a to z tego powodu, że jeśli tli się tu niezadowolenie wystarczająco duże, byś mógł na tej podstawie podjąć swoją decyzję, to jestem przekonany, iż znajdzie się ktoś skłonny do mówienia.

Jednak próba skorzystania z tej wyśmienitej rady skończyła się właśnie publiczną sromotą, a Bligh aż nadto ochoczo starał się wykorzystać sytuację, żeby skłonić Laurence'a do dalszych działań.

- Psy, kapitanie Laurence, wszyscy oni to psy i tchórzliwe owce - powtórzył, ignorując kolejną uwagę Laurence'a, który usiłował go przekonać, żeby nazywał go panem, a nie kapitanem; Blighowi po prostu bardziej odpowiadało, jak myślał rozdrażniony Laurence, żeby przywrócił go na stanowisko oficer, a nie cywil. - Przypuszczam, że teraz nie może się pan już ze mną nie zgodzić - kontynuował Bligh. - To niemożliwe, żeby się pan ze mną nie zgadzał. To, co się wydarzyło, jest bezpośrednim następstwem uzurpacji przez nich władzy, którą przekazał mi król. Przecież pod rządami tych ludzi nie można utrzymać ani szacunku dla korony, ani dyscypliny, pod rządami, nie mającymi żadnych podstaw prawnych, stojącymi w całkowitej sprzeczności, z przysięgą wierności i...

Tu Bligh przerwał, zastanawiając się być może jeszcze czy w świetle reputacji Laurence'a apel do cnoty posłuszeństwa ma sens; uznawszy najwyraźniej, że lepiej nieco inaczej rozłoży akcenty, dokończył pospiesznie:

- ...zwykłą przyzwoitością; zapewniam pana, kapitanie, ^ \ takie haniebne zachowania są czymś powszechnym wśród żoł-1 nierzy w kolonii, a ich dowódcy nie tylko przykrywają na to oko, 1 ale nawet zachęcają do tego.

Laurence był zmęczony i obolały, zarazem fizycznie i duchowo, przez co z trudem panował nad sobą: żebra mu spuchły pod prowizorycznym bandażem i przy każdym ruchu przeszywał go ostry ból; głowa mu pękała, a co gorsza, wszystko to było zupełnie bez sensu: niczego nie zyskał przez tę całą awanturę, jeśli nie liczyć uczucia niesmaku. Nie był skłonny myśleć dobrze o władzach kolonii, o Johnstonie i MacArturze; ale za Blighiem też niewiele przemawiało, a jego niemal radosne zadowolenie było zbyt prostackie, zbyt oportunistyczne.

- Zastanawiam się - odparł w końcu - jak pan by rządził, jeśli byłby pan zmuszony opierać się na tych samych żołnierzach, którymi teraz pan tak gardzi. Jak, usunawszy przywódców, którzy tak im folgowali i dawali im tak wielką swobodę, zaskarbiłby pan sobie ich względy i lojalność, kiedy sam zostałby pan przywrócony na stanowisko przez kogoś, kogo już teraz postrzegają jako wyjątego spod prawa?

- Och! Zbyt wysoko ceni pan ich lojalność - powiedział lekceważąco Bligh - a zbyt nisko zdrowy rozsądek. Muszą oczywiście wiedzieć, że MacArthur i Johnston są skazani na klęskę. Udało im się dotąd zachować życie za sprawą długotrwałości podróży morskich i kłopotów, które mieliśmy w Anglii; ale pętla kata czeka na nich obu i w miarę jak ten czas się zbliża, korzyści

z trwania przy nich tracą swój blask. Oczywiście będę

pl% ?ić na pewne ustępstwa, zapewnić, że będą mogli za- musiat pop"- r -i'
ć swoje nadania ziemi i że te nominacje, które nie są nie p°z°staną w mocy-

Wygłosi! jeszcze kilka ogólnych uwag tego typu, z których

-nikało, że nie przewidywał żadnych działań oprócz nałożenia szeregu nowych, ale tylko kosmetycznych ograniczeń, co i pewnością, zdaniem Laurence'a, tylko rozwścieczyłoby ludzi już rozdrażnionych usunięciem, przez obcego i wroga, ich tolerowanych, choć niekoniecznie wybranych przywódców.

- W takim razie nie bardzo widzę - powiedział Laurence, niezbyt uprzejmie - jak zamierza pan naprawić to całe zło, które pan potępia i którego wcale, jak rozumiem, nie próbował pan wykorzenić podczas pańskiej pierwszej administracji; poza tym Temeraire nie jest, jak się najwyraźniej panu wydaje, jakąś magiczną armatą, którą można wymierzyć w każdego, kto wzbudzi pańską niechęć.

- Jeśli tymi wymówkami chce pan się wykręcić od wyświadczenia mi przysługi, panie Laurence - odparł Bligh, czerwieniejąc na twarzy - muszę to uznać za kolejne rozczarowanie, świadczące także o pańskim charakterze. - Te ostatnie słowa wypowiedział zgryźliwym, nieprzyjemnym tonem, po czym z zaciśniętymi ze złości wargami opuścił smoczy pokład.

Było jednak pewne, że już wkrótce pożałuje swych pochopnych słów i poszuka okazji do kolejnej rozmowy; Laurence wiedział o tym aż za dobrze, ale był tak urażony, że nie miał ochoty wysłuchiwać nieszczerých przeprosin, a potem niewątpliwie jeszcze raz tych samych argumentów, które już znał i odrzucił.

Miał przedtem zamiar spędzić tę noc na pokładzie statku, gdyż panująca na nim atmosfera znacznie się poprawiła: skazańców przekazano już w podejrzanę rękę władz kolonii, a Riley Pogonił wszystkich marynarzy do zmywania dolnych pokładów i usuwania zaskorupiałego brudu pozostawionego przez kilkuset

mężczyzn i kobiet, którym zezwalano tylko na odrobinę r koniecznego dla zachowania zdrowia.

Po usunięciu fizycznych zanieczyszczeń i przewietrz, okrętu, przez co znikła panująca stale w jego wnętrzu aura iy szczęścia, mała kabina Laurence'a stała się wygodnym, jeśli ni luksusowym mieszkankiem, według jego standardów, u kształty wanych w młodości przez rozmiar koi midszypmena. Tymc sem mała chata na cyplu smoków nie miała jeszcze dachu o jednej ściany, ale Laurence czuł się bardziej obolały duchowo niż cieleśnie, a pogoda była dobra; zszedł zatem na dół po parę swoich rzeczy, po czym opuścił okręt, żeby szukać pociechv w towarzystwie Temeraire'a.

W tym nastroju nie był w żadnym razie przygotowany na to, że po drodze na cypel zaczępił go jadący konno dżentelmen

0 orlich rysach twarzy, według standardów kolonii ubrany bardzo elegancko, któremu towarzyszył sługa. Nieznajomy pochylił się z wysokości końskiego grzbietu i zapytał ostrym tonem:

- Czy rozmawiam z panem Laurence'em?

- Ma pan nade mną przewagę - odparł Laurence, także nieco nieuprzejmie; ale nie był skłonny żałować swojej szorstkości, kiedy nieznajomy powiedział:

- Jestem John MacArthur; chciałbym zamienić z panem kilka słów.

Nie było wątpliwości, że to on był architektem całej rebelii;

I chociaż załatwił sobie mianowanie na stanowisko sekretarza kolonii, nie złożył jeszcze nawet wizyty Rileyowi, co było w najwyższym stopniu nieuprzejme z jego strony.

- Wybrał pan na to dziwne miejsce - odparł Laurence - a ja nie mam ochoty rozmawiać na stojąco w pyłe tej drogi. Może mi pan towarzyszyć do kryjówki, jeśli pan chce; chociaż radziłbym panu zostawić konia.

? m zaskoczony, kiedy MacArthur przekazał cugle słu- gwał niecu

^<iadł z konia i ruszył razem z nim.

Słyszałem, że miał pan drobne kłopoty dziś w mieście - .. j^acArthur. - Przykro mi z tego powodu. Powinien pan j vr nanie Laurence - kontynuował - że dajemy tu ludziom wiedzieć p

^ ?0 swobody; mają sporo wolności i to się świetnie sprawdza, wiele lepiej, niż można było mieć nadzieję. Być może na kimś, kto właśnie przybył z Londynu, nasza kolonia nie robi dobrego wrażenia; ale ciekaw jestem, co by pan pomyślał, gdyby był pan tu na samym początku, w pierwszych latach jej istnienia. Ja przybyłem tutaj w roku 1790; uwierzy pan, że wtedy obsiane było mniej niż tysiąc akrów i nie mieliśmy żadnych zapasów? Mało brakowało, a umarlibyśmy wszyscy z głodu.

Zatrzymał się i wyciągnął ręce, które lekko drżały.

- Tak jest przez cały czas, od tej pierwszej zimy - powiedział, po czym znowu zaczął iść.

- Pańska wytrwałość jest godna podziwu - stwierdził Laurence - i pańskich towarzyszy.

- Przynajmniej tego mogę być pewny - potwierdził MacArthur. - Ale to, że odnieśliśmy sukces, nie zdarzyło się przypadkiem i nie było łatwe; było to możliwe tylko dzięki dalekowzroczności mądrych przywódców i wewnętrznej sile zdeterminowanych ludzi. To jest kraj dla zdeterminowanych ludzi, panie Laurence. Przybyłem tu jako porucznik, bez grosza przy duszy; teraz mam dziesięć tysięcy akrów. Nie przechwalam się - dodał. - Każdy człowiek może tu osiągnąć to samo. To wspaniały kraj.

Słowa „każdy człowiek” wypowiedział z naciskiem, który Laurence odebrał ze skrajnym niesmakiem; w pięknej mowie MacArthura doszukał się tej samej zawołanej propozycji łapówki, co w napomknieniach Bligha o ułaskawieniu, zacisnął zatem usta i przyspieszył kroku.

MacArthur chyba uświadomił sobie swoją pomyłkę; przyspieszył, żeby dotrzymać mu kroku, i zmienił temat:

- A kogo rząd nam tu przysyłał? Sam pan był oficerem i rynarki, panie Laurence; musiał pan się stykać z najróżniejsi mi mętami wyciąganymi z więzień i wcielany do służby; ^L1 pan, o czym mówię. Tacy ludzie nie wiedzą, co to przyzwoitość Można tylko nimi kierować i wykorzystywać ich, a do tego po. trzeba jest rum i bat. Obawiam się jednak, że przez to staliśrm się tu nieco nieokrzesani; jest nas tutaj po prostu zbyt mało Zastanawiam się, jak podobałaby się panu załoga składająca się ze stu takich więziennych ptaszków i tylko kilku godnych tego miana marynarzy.

- Co do jednego pan się nie myli: miałem dziś trochę kłopotów - odparł Laurence, zatrzymując się na drodze; ostry ból żeber utrudniał mu oddychanie - będę zatem szczerzy. W ciągu ostatnich dwóch tygodni mógł pan porozmawiać ze mną, kapitanem Rileyem czy kapitanem Granbym, gdyby miał pan na to ochotę, gdyby tylko wyraził pan takie życzenie. Czy mogę prosić, żeby pan się nieco streszczał?

- Ma pan rację, czyniąc mi te wyrzuty - powiedział MacArthur - i dlatego nie będę już pana dzisiaj dłużej męczyć; czy uczyni mi pan tę grzeczność i odwiedzi mnie jutro rano w koszarach?

- Proszę wybaczyć - odrzekł Laurence - ale nie jestem obecnie w nastroju do składania towarzyskich wizyt w tym mieście; jak dotąd gościnność mieszkańców przeszła moje wszelkie wyobrażenia.

- Może w takim razie ja złożę panu kolejną wizytę - zaproponował MacArthur, lekko zaciskając wargi, i na to Laurence mógł już tylko skinąć głową.

isjje oczekuję tych odwiedzin nawet z odrobiną przyjemno- powiedział Laurence - ale jeśli on przyjdzie, powinniśmy ^przyjąć i wysłuchać.

° popóki nie będzie zachowywał się obraźliwie ani nie bę- znie próbował wysłać cię do kamieniołomu, może przyjść, jeśli tecro chce - ustąpił Temeraire, ale jednocześnie postanowił, że dobrze się przyjrzy temu MacArthurowi; sam nie widział żadnego powodu, żeby wyświadczać grzeczność komuś, kto był panem miejsca tak fatalnie zorganizowanego i miał tak wielu źle wychowanych znajomych. Gubernator Bligh może nie był zbyt miłym człowiekiem, ale przynajmniej zdawał się nie uważać, że to coś normalnego, gdy dzentelmenom przydarzają się na ulicach jakieś tajemnicze wypadki.

MacArthur przyszedł krótko po tym, gdy zjedli śniadanie. Zatrzymał się dość raptownie, gdy dotarł na szczyt wzniesienia; Laurence jeszcze go wtedy nie zauważył, ale Temeraire patrzył właśnie w kierunku miasta, gdzie do zagrody zapędzano szesnaście owiec - bardzo apetycznych owiec - i zobaczył, jak MacArthur zwalnia i przystaje z takim wyrazem twarzy, jakby chciał zawrócić.

Temeraire może by mu na to pozwolił i spędził potem spokojny ranek na czytaniu, ale posiłek mu nie smakował i dlatego powiedział z irytacją:

- Moim zdaniem to bardzo niegrzeczne, tak przyjść do czyjegoś domu, żeby się tylko pogapić na mieszkańców, a potem zblednąć i odejść, jakby to w nich było coś osobliwego, a nie w tak absurdalnym zachowaniu. Nie rozumiem, dlaczego w ogóle wspiąłeś się na wzgórze, jeśli jesteś tak wielkim tchórzem; przecież musiałeś wiedzieć, że tu jestem.

- Wypraszam sobie - rzucił MacArthur, purpurowiejąc ze złości. - Nie godzi się nazywać mnie tchórzem tylko dlatego, że stanąłem, by złapać oddech.

- Bzdury - powiedział stanowczo Temeraire - byłeś wy. straszony.

- Nie mówię, że człowiek nie ma prawa być przez chwilę wystraszony, kiedy zobaczy gotową go pożreć bestię wielkości fregaty - odparł MacArthur - ale niech mnie szlag trafi, jeśli przełknę taką obelgę. Przecież nie uciekłem, co?

- Nigdy bym nie zjadł człowieka - rzekł z odrazą Temeraire - a ty nie musisz być taki obmierzły, nawet jeśli nie umiesz się zachować.

- Przyganiał kocioł garnkowi - powiedział na to, dość oschle, Laurence, który wychynał właśnie zza jego boku. - Może pan usiądzie, panie MacArthur - dodał. - Żałuję, że nie mogę panu oferować niczego lepszego od kawy lub czekolady, a odradzani kawę.

Usłyszawszy to, Temeraire zrozumiał, z pewnym żalem, że przegapił szansę pozbycia się niemiłego gościa.

MacArthur usiadł na krześle, ale ciągle odwracał głowę, żeby popatrzeć na smoka, i po jakimś czasie, pomieszawszy czekoladę tak wiele razy, że musiała być już całkiem chłodna, zauważył:

- Z dołu nie wydają się takie duże

Temeraire także lubił czekoladę, ale nie chciał jej pić bez mleka i wtedy, gdy była tak strasznie droga. Nie było warto próbować tej odrobiny, którą mógł dostać i która jedynie sprawiłaby, że chciałby więcej. Westchnął ze smutkiem.

- Jest ogromny - powtórzył MacArthur, zerkając ponownie na Temeraire'a. - Musi sporo jeść.

- Dajemy sobie radę - odpowiedział uprzejmie Laurence. - Jest tutaj mnóstwo dzikich zwierząt, które najwyraźniej nie są przyzwyczajone do tego, że poluje się na nie z powietrza.

Temeraire pomyślał, że jeśli już MacArthur przyszedł do nich, to może się przynajmniej do czegoś przydać.

- Czy macie tu w pobliżu jeszcze jakieś inne zwierzęta, na

które można by zapolować? - zapytał. - To nie znaczy oczy- iście - dodał niezbyt szczerze - że ktoś narzeka na kangury.

_ Jestem zaskoczony, że znaleźliście jakieś w promieniu dwudziestu mil - odpowiedział MacArthur. - Zjedliśmy niemal wszystkie w pierwszych latach.

_ Cóż, łapaliśmy je w pobliżu rzeki Nepean i w górach - wyjaśnił Temeraire, a MacArthur uniósł głowę znad filiżanki tak gwałtownie, że łyżeczka, którą w niej zostawił, wypadła i zachlapała jego białe spodnie czekoladą.

Najwyraźniej nie zwrócił nawet na to uwagi i powiedział w zadumie:

- W Górach Błękitnych? Przypuszczam, że możesz nad nimi przelecieć, czyż nie?

- Już lataliśmy nad nimi - odrzekł Temeraire z pewnym zniechęceniem - ale nie ma tam niczego oprócz kangurów i tych królików, które nie mają uszu i są zbyt małe, by warto je było jeść.

- Często zdarzało się, że sam miałem ochotę zjeść womba- ta-powiedział MacArthur-ale prawdą jest, że w tym kraju nie mamy takiej zwierzyny łownej, jaka jest gdzie indziej. Przykro mi to mówić, ale wiem to z doświadczenia. Mięso zwierząt, które tu żyją, jest o wiele za chude i żywiąc się tylko nim, nie można utrzymać odpowiedniej wagi, a dla bydła brakuje wciąż pastwisk. Wiecie, nie znaleźliśmy jeszcze drogi przez góry - dodał. - Jesteśmy tu zupełnie odcięci.

- Szkoda, że nikt nie próbował hodować słoń - powiedział Temeraire.

- Ha, ha, hodować słonie, dobre - zaśmiał się MacArthur, jakby usłyszał żart. - Czy słonie są smaczne?

- Wyborne - odparł Temeraire. - Nie jadłem słonia od czasu, gdy byliśmy w Afryce. Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek skosztował czegoś równie dobrego jak właściwie ugotowany słoń; to znaczy poza Chinami - dodał lojalnie - gdzie chyba nie mogą ich trzymać. Ale wydaje mi się, że ten kraj byłby dla ni[^] idealny: na pewno nie jest tu tak gorąco jak w Afryce, gdzie je hodują. Tak czy owak, wkrótce będziemy potrzebować więcej jedzenia dla młodych.

- Cóż, sprowadziłem tu owce, ale nawet do głowy mi nie przyszło, żeby sprowadzić słonie - rzekł MacArthur, spoglądając niepewnie na trzy jaja. - Jak dużo zwykle zjada smok? Mam na myśli bydło.

- Maksimus potrafi zjeść dwie krowy dziennie, jeśli może je dostać - odparł Temeraire - ale myślę, że to niezbyt zdrowe. Ja zadowalam się jedną, chyba że stoczyłem właśnie walkę albo mam przed sobą długi lot; lub jestem jakoś szczególnie głodny.

- Dwie krowy dziennie, a już wkrótce będzie was tu pięć? - zapytał MacArthur. - Chroń nas, Panie Boże!

- Jeśli to pomogło panu lepiej zrozumieć konieczność zajęcia się tym problemem - zaczął Laurence, raczej uszczypliwie zdaniem Temeraire'a - muszę być wdzięczny za pańską wizytę; major Johnson nie wykazywał do tej pory zbytnej ochoty do współpracy z nami w jego rozwiązywaniu.

MacArthur odstawił filiżankę z czekoladą.

- Wczoraj wieczorem mówiłem, jak sądzę - zaczął - o tym, co człowiek może osiągnąć w tym kraju, kim się może stać; to temat bliski mojemu sercu i mam nadzieję, że nie rozwodziłem się nad tym zbyt długo. To bardzo przykre, chyba pan mnie rozumie, panie Laurence, kiedy widzi się taki kraj; kraj, który błaga o gospodarne ręce, o lemiesz i ziarno siewne, a do pracy nie ma nikogo oprócz armii najgorszych mętów zrodzonych przez ladacznice, burzących się, jeśli dostaną mniej niż pół galonu rumu dziennie, który wypijaliby nawet o dziesiątej rano, gdyby tylko mogli go o tej porze zdobyć. My w Korpusie może i nie sprawiamy najlepszego wrażenia, ale wiemy, jak pracować; wierzę, że niektórzy mogliby tak scharakteryzować także Korpus Powietrzny - ciągnął

. cArthur. _ j wiemy5 jak nakłonić ludzi do pracy. Wszystko,

zbudowano w tym kraju, powstało dzięki naszym wysiłkom, • mieć... Może lepiej będę trzymał język za zębami; jeśli się nie myl? gubernator Bligh był członkiem waszej załogi, prawda?

Nie powiedziałbym, że był członkiem naszej załogi - wtrącił Temeraire; nie chciał być obciążony taką znajomością. - Wszedł na pokład naszego statku, ale tak naprawdę nikt go nie chciał; tylko że trzeba być uprzejmym.

Laurence wyglądał na nieco zrezygnowanego, a MacArthur powiedział z uśmiechem:

- Cóż, nie powiem nic przeciwko temu dżentelmenowi, może tylko to, że niezbyt mu się podobały nasze zwyczaje. Które - dodał - z pewnością można zmienić na lepsze, panie Laurence, nie przeczę; ale nikt nie lubi być pouczany przez nowo przybyłych.

- Kiedy ten nowo przybyły został przysłany przez króla - odparł Laurence - można tego nie lubić, ale należy się podporządkować.

- To bardzo rozsądne; ale rozsądek ma swoje granice - rzekł na to MacArthur - kiedy jest sprzeczny z honorem; pewnych spraw człowiek honoru nie jest w stanie znieść i nie baczy wtedy na konsekwencje.

Laurence nie odpowiedział. Milczenie, które zapanowało, po chwili przerwał MacArthur, dodając:

- Nie zamierzam się przed panem usprawiedliwiać; wysłałem do Anglii najstarszego syna, który ma przedstawić moją sprawę ich lordowskim gościom. Powiem panu jednak, że nie drzę ze strachu, nie boję się, jaką otrzymam odpowiedź; przesypiam noce spokojnie.

Temeraire, słuchając go, uświadomił sobie stopniowo, że ktoś go szarpie. Spojrzał w dół i zobaczył Emily, która energicznie pociągała koniuszek jego skrzydła.

- Temeraire! - syknęła. - Nie mogę się pokazać człowiekowi, bo na pewno rozpozna we mnie dziewczyn^ musimy powiedzieć kapitanowi, że z Anglii przyplłynął o!^ - Widzę go! - odrzekł smok, zwróciwszy wzrok na ^ gdzie zobaczył smukłą, małą fregatę, najwyżej dwudziesto^ rodziolową, która stała na kotwicy w pobliżu Allegiance. rence - powiedział, pochylając głowę - Roland mówi, że z przyplłynął okręt: myślę, że to Beatrice. W

MacArthur umilkł nagle. <H

Emily znowu pociągnęła Temeraire'a za skrzydło. ^H

- To nie wszystko - rzuciła niecierpliwie. - Na pokładzie jest kapitan Rankin.

- O! A co on tu robi? - odparł Temeraire, stawiając krezę. - Czy jest skazańcem? - Nie czekając na odpowiedź, zwrócił głowę w drugą stronę. - I Roland mówi, że ten Rankin jest tutaj, na okręcie; ten okropny człowiek z Loch Laggan. Jego z pewnością możesz posłać do kamieniołomów - zwrócił się do MacArthura. - Nie przychodzi mi do głowy nikt, kto bardziej na to zasługuje, za sposób, w jaki traktował biednego Levitasa.

- Och, nie przerywaj i wysłuchaj mnie do końca - krzyknęła Emily. - On nie jest wcale skazańcem; przyplłynął po jedno z

zJ3j.

Rozdział 3

Z

powodu tonu naszej ostatniej rozmowy jest zupełnie niemożliwe, żebyśmy ja i pan Laurence utrzymywali ze sobą jakiegokolwiek stosunki... Mam nadzieję, że nie sprawię kłopotu - mówił Rankin, a jego czysty, arystokratyczny głos niósł się wyraźnie po całym pokładzie Allegiance; fregata Beatrice, którą przybył, już odpłynęła, nie przekazawszy żadnych dodatkowych wiadomości dla kolonii: wyruszyła z Anglii ledwie dwa miesiące po Allegiance i wieści o buncie nie dotarły jeszcze wtedy do rządu. - Ale jest ogólnie przyjęte, jak wierzę, że smoczy pokład jest zarezerwowany dla oficerów Korpusu; i jeśli ten dżentelmen jest zakwaterowany bliżej rufy, to nie widzę powodów, dla których miałyby dojsć między nami do jakichś nieprzyjemnych scen.

- Nie widzę powodu, dla którego nie powinienem mu dać w nos - powiedział Granby, dołączywszy do Laurence'a na zawietrznej stronie pokładu rufowego. - A najgorsze jest to - dodał - że nie widzę również żadnej możliwości odmówienia mu: rozkazy mówią czarno na białym, że ma przejąć młode, które wylęgły się z jaja Tłuczki. Co za cholerna strata.

Laurence kiwnął lekko głową; on także otrzymał list, chociaż nieoficjalnie, „...choć najbardziej by mnie ucieszyło, utonął gdzieś w oceanie po drodze do ciebie”, napisała Jane

...ale jego przekłeta Rodzina wrzeszczy na Ich Lordów ^ Moście już niemal od Pięciu Lat, a on miał tak piekielnego Pecha - to znaczy, ja miałam - że znalazł się w Szkocji ostat. nio, kiedy byliśmy w tarapatach: poleciał wtedy na jednym z dzikusów z bandy Arkadego, wziął udział w jakiejś malej utarczce i znowu dał się zranić.

Muszę więc dać mu Smoka, a przynajmniej Szansę na to, że go dostanie, i Ktoś musi go potem znosić; jako że już niedługo będę miała dwadzieścia sześć młodych do wykarmienia i Wojnę w Hiszpanii na głowie, bez skrupułów powiem, Lepiej Ty Niż Ja.

To ostatnie zdanie było podkreślone i pełne dużych liter.

Wy tłumaczyłam mu, że to jest pierwsze Jajo, które mamy od dzikich smoków, a Doświadczenie, jakie zyskał, walcząc na nich, powinno być mu pomocne podczas Treningu młodego.

Myślę, że moje intencje były dość oczywiste, ale Tytuł czyni cuda, Laurence: gdybym wiedziała, jaki jest przydatny, starałabym się o niego dużo wcześniej. Ci sami Dzentelmeni, którzy sześć miesięcy temu spieraliby się ze mną do Sądneho Dnia i klęli mnie jak przekupki, stali się teraz słodcy jak miód, przytakują mi i mówią, Tak, Bardzo Dobrze, a wszystko to dlatego, że Regent podpisał dla mnie kawałek papieru. Bardzo korzystne jest także to, że żaden z nich nie wie, czy mówić do mnie Milady czy Sir, a gdy tylko podejmą Decyzję, zaraz znowu zmieniają zdanie. Mam tylko nadzieję, że nie zrobią mnie Księżną, by mogli się do mnie zwracać Wasza Książęca Mość; nie byłoby to już tak zabawne.

Nawiasem mówiąc, jestem bardzo wdzięczna twojej Matce: isała do mnie, kiedy zobaczyła moje nazwisko w przewodniku Debrett's2 - jako J. Roland, bardzo dyskretnie - i wydała dla mnie miłe, małe przyjęcie, na które ściągnęła wielu członków gabinetu. Wszyscy oni byli bardzo zszokowani, gdyż nie potrafili nawet wydusić słowa do Jaśnie Pani siedzącej u szczytu Stołu, jakby Masło nie Topiło się w jej ustach, ale ich żony nie krępowały się w najmniejszym nawet stopniu, gdy tylko zrozumiały, że jestem Oficerem, a nie jakąś komediantką. Przekonałam się, że wszystkie są rozsądnymi istotami, i myślę, iż być może miałam o nich zupełnie błędne pojęcie, jako o przedstawicielkach swojej klasy; sądzę, że powinnam podtrzymywać znajomości z nimi. Nie mam nic przeciwko bywaniu w Towarzystwie, jeśli tylko będę mogła nosić Spodnie, a kobiety te były bardzo miłe i zostawiły mi swoje bilety wizytowe.

Poza tym radzimy sobie zupełnie dobrze i udało nam się przywrócić pewien Porządek. Karmienie smoków gotowaną baraniną jest o wiele tańsze, Dzięki Bogu, nawet jeśli starsze narzekają. Ekscidium bez przerwy Wzdycha i głośno Wspomina świeżą wołowinę, a imię Temeraire'a nie cieszy się wśród nich wielką popularnością, gdyż zapoznał nas z tą Metodą.

Chciałabym, żebyś o czymś z nim porozmawiał: niepokoi mnie ta cała Sprawa z Hiszpanią. Bonaparte nie jest głupcem i nie mogę zrozumieć, dlaczego miałby niszczyć kilkanaście miast na południowym Wybrzeżu, które dopiero podnosiły się z ruin po jego Inwazji. Mulgrave myśli, że on zamierza zająć Hiszpanię i uniemożliwić nam zaopatrywanie ich z Morza, ale w takim razie powinien raczej palić miasta w Portugalii. Gdyby Temeraire doszedł do wniosku, że to jakiś podstęp

Lien, jakiś chiński fortel, chciałabym o tym wiedzieć nJ jeśli wiadomość przyjdzie z tak dużym opóźnieniem: ba^ dziwnie się czuję, Laurence, myśląc, że nie mogę mieć n, dziei na odpowiedź po mniej niż dziesięciu miesiącach i ?t najpewniej dostanę ją po półtora roku.

Teraz, kiedy straci liśmy Kapsztad, smoki kurierskie nie mogą nawet lecieć do Indii, żeby odbierać twoje listy w połowie drogi.

Na Pociągę przypomnę ci, że gdybyś ogarnięty Fu. riał przypadkowo zepchnął Rankina ze skały lub tak jakoś nieszczęśliwie przebił go szpadą, przynajmniej nie usłyszę o tym równie długo, a poza tym ty już jesteś zesłańcem, co muszę nazwać Okolicznością wielce wygodną w wypadku Morderstwa. Nie zamierzam ci jednak niczego podpowiadać, chociaż to wielka Szkoda marnować na niego Jajo, nawet jednego z naszych biednych, niechcianych Przybranych Dzieci.

Mam nadzieję, że Emily nie popadła w Tarapaty zbyt wiele razy. Chociaż oficjalnie nie może być twoim chorązym, jestem pewna, że wyświadczysz mi tę przysługę i powstrzymasz ją przed zrobieniem czegoś naprawdę nierozważnego. Nie pozwól też Rankinowi namieszać jej w głowie: znam życie i wiem, że Kanalia jego pokroju wykorzysta każdą okazję, by z Fałszywym Współczuciem mówić o jej Poświęceniu

1 wygadywać inne Nonsensy.

Trzy jaja, które wysłano razem z nimi, żeby dać początek eksperymentowi, nie były, z punktu widzenia brytyjskich hodowców, nadzwyczaj cenne: jedno, pochodzące od Yellow Reopera, wysłano dlatego, że na terenach rozplodowych trzymano jeszcze siedemnaście takich samych; drugie, niepozorne i bardzo małe, było nieoczekiwanym i rozczarującym rezultatem skrzyżowania Parnassiana i Chequered Nettle'a, smoków wagi ciężkiej. Ostatnie i najbardziej obiecujące z trzech, wielkie, cętkowane

kryte żłobieniami, kryło w sobie potomka Arkadego, przy- ' dzikich smoków, i Tłuczki, najdzielniejszej z jego stada. W°\VBrytanii nie przyjęto tego jaja z wielkim entuzjazmem, gdyż wdowcy przeważnie postrzegali nowo zwerbowane dzikie smoki demony wysłane z piekieł po to, by siały spustoszenie w ich tarannie wyselekcjonowanych liniach hodowlanych; wysłano więc je jak najdalej od kraju. Jednak wśród awiatorów, którzy popłynęli ^Allepance jako kandydaci na kapitanów młodych smoków, szybko utrwaliło się przekonanie, że można się po nim spodziewać wielkich rzeczy. „Jest oczywiste - podsłuchał Laurence przy więcej niż jednej okazji, jak jeden oficer mówił do drugiego - że jeśli Tłuczka tak bardzo wyrosła w dziczy, młode powinno osiągnąć jeszcze większe rozmiary dzięki właściwemu odżywianiu i treningowi, a nikt nie może odmówić dzikim smokom ducha walki”.

Ci młodzi oficerowie byli teraz w rozterce, co sprawiało, że Laurence odczuwał pewnego rodzaju ponure zadowolenie. Przedtem byli stanowczy i zjednoczeni w swojej pogardzie, zarówno z powodu jego zdrady, jak i tego, co uznawali za jego nieumiejętność właściwego obchodzenia się z Temeraire'em. Ale teraz pojawił się Rankin, by zająć miejsce jednego z nich i przejąć najlepsze z jaj; natychmiast został ich najbardziej zniechęconym wrogiem, a krnąbrność Temeraire'a stała się ich największą nadzieją na to, że niechciany przybysz odejdzie z kwitkiem.

- On nie może go dostać - wybuchnął Temeraire, gdy usłyszał o tej propozycji - a jeśli chce, niech spróbuje tu przyjść i je wziąć; chętnie z nim o tym podyskutuję - dodał złowieszczym tonem, który zdawał się być odpowiedzią na wszystkie nadzieje Jane.

- Mój drogi - odparł Laurence, opuściwszy rękę z listem - ja także nie jestem tym zachwycony; ale jeśli mu w tym przeszkodzimy, to tylko odsuniemy zło w czasie, bo on po prostu wróci do Anglii i z pewnością dostanie inne jajo, a tam biedne młode będzie miało znacznie mniejszą możliwość odmówienia mu. No i wina spadnie na Granby'ego; to on otrzymał rozkazy i ponosj odpowiedzialność za ich wykonanie.

- Na pewno nie pozwolę, żeby Granby brał na siebie wir^ za cokolwiek - odezwała się Iskierka, unosząc głowę - i w ogóle nie rozumiem, o co chodzi; młode się wkrótce wylęgnie i dla^ czego miałyby nas obchodzić, co zrobi potem? Może go wzią^, lub nie, jak zechce.

Iskierka po wykluciu się z jaja od razu potrafiła zionąć ogniem, od początku też była stanowcza i dość opryskliwy- z pewnością odrzucenie niegodnego kandydata nie sprawiłoby żadnych trudności. Jednakże większość młodych po przyjściu na świat nie przejawiała takiej siły charakteru i dlatego w Korpusie Powietrznym rozwinięto wiele metod i zachęt w celu przekonania młodych smoków, by dobrowolnie dały sobie założyć uprząż. Rankin dobrze się do tego przygotował: zniósł z pokładu Beatrice nie tylko dwa kufry osobistego bagażu, ale i rzemienne uprząż, sieć z metalowych kółek oraz ciężki skórzany kaptur. cE^Ł

- Jeśli jesteś na dworze, zakładasz to na głowę młodego, gdy wychodzi z jaja - wyjaśnił Granby, kiedy Laurence go ** zapytał - i wtedy nie może uciec; kiedy to zdejmiesz, światło je oślepi i jeśli wtedy położysz przed nim mięso, jest niemal pewne że pozwoli ci nałożyć sobie uprząż, bylebyś tylko pozwolił zjeść. I niektórzy z nas to lubią, ponieważ, jak mówią, smok.^-*® łatwiej się potem kieruje. Jednak moim zdaniem - dodał z ryczą w głosie - stają się przez to lękliwe; nigdy później nie? ! już pewnie siebie i tego, na czym stoją.

- Zastanawiam się, czy moglibyście poznać mnie z handlarzem bydła - mówił tymczasem Rankin do Riley'a i 1 cr* Purbecka. - Mam zamiar zapewnić młodemu pierwszy pos*^j w jego życiu i chcę zapłacić za to z własnej kieszeni.

? iC. "

- Przecież musi być jakiś sposób, żeby go powstrzym^-'^® powiedział cichym głosem Laurence.

?e wygasi w nim ten gniew sprzed lat, kiedy wszyscy Bl^j->Tiowolnym' świadkami okrucieństwa, z jakim Rankin iS^wT swojego pierwszego smoka. Rankin należał do tego to iatorów których członkowie sztabu marynarki wojennej ^bardziej lubili; zarówno w jego, jak i ich opinii smoki były tyłowego rodzaju naturalnymi zasobami, i to niebezpiecznymi, nadktórymi należało panować i maksymalnie je wykorzystywać. To był ten sam sposób myślenia, który nie tylko dopuszczał, ale czynił wręcz czymś pożądanym rozważanie planu zabicia tysięcy tych istot poprzez podstępne zarażenie ich śmiertelną chorobą.

Kiedy Rankin mógł okazać Levitasowi dobroć, był obojętny: kiedy powinien być obojętny, celowo traktował go okrutnie, a wszystko w imię tego, żeby biedne, stale poniewierane stworzenie nie miało takiej siły ducha, by odmówić spełnienia któregośkolwiek ze stawianych mu żądań. Kiedy Levitas z desperacką odwagą przyniósł im ostrzeżenie o pierwszej podjętej przez Napoleona próbie przekroczenia kanału, w roku piątym, i został przy tym śmiertelnie ranny, Rankin zostawił swojego powoli umierającego smoka na małej, nędznej polance, a sam poszedł opatrzeć drobne obrażenia, jakie odniósł.

Ten rodzaj relacji między smokami a ich opiekunami w ostatnim wieku całkowicie wyszedł z mody wśród większości awiatorów- row' którzy w coraz większym stopniu woleli, by ich partnerzy nie tracili ducha. Jednak rząd nie zawsze się z tym zgadzał, a Rankin pochodził z rodziny od dawna trzymającej smoki, która zachowała własne zwyczaje i metody, przekazując je wysyłanym by (j12 ^ W ^orPus'e potomkom, w wieku odpowiednio późnym, ażyli je sobie głęboko przyswoić, wraz z przekonaniem o ich asr>ej wyższości na resztą awiatorów.

Nie wolno mu pozwolić zniszczyć życia temu stworzeniu -

użvu7 - ^aurence. - Moglibyśmy przynajmniej zabronić mu kaptura...

i wina spadnie na Granby'ego; to on otrzymał rozkazy i ponosi odpowiedzialność za ich wykonanie.

- Na pewno nie pozwolę, żeby Granby brał na siebie winę za cokolwiek - odezwała się Iskierka, unosząc głowę - i w ogóle nie rozumiem, o co chodzi; młode się wkrótce wylęgnie i dlatego miałyby nas obchodzić, co zrobi potem? Może go wziąć lub nie, jak zechce.

Iskierka po wykluciu się z jaja od razu potrafiła zionąć ogniem, od początku też była stanowcza i dość opryskliwa; z pewnością odrzucenie niegodnego kandydata nie sprawiłoby jej żadnych trudności. Jednakże większość młodych po przyjściu na świat nie przejawiała

takiej siły charakteru i dlatego w Korpusie Powietrznym rozwinięto wiele metod i zachęt w celu przekonania młodych smoków, by dobrowolnie dały sobie założyć uprząż. Rankin dobrze się do tego przygotował: zniósł z pokładu Beatrice n'e tylko dwa kufry osobistego bagażu, ale i rzemionną uprząż, s'eć z metalowych kólek oraz ciężki skórzany kaptur.

- Jeśli jesteś na dworze, zakładasz to na głowę młodego, gdy wychodzi z jaja - wyjaśnił Granby, kiedy Laurence go o to zapytał - i wtedy nie może uciec; kiedy to zdejmiesz, światło je °ślepi i jeśli wtedy położysz przed nim mięso, jest niemal pewne, że pozwoli ci nałożyć sobie uprząż, bylebyś tylko pozwolił mu zjeść. I niektórzy z nas to lubią, ponieważ, jak mówią, smokami łatwiej się potem kieruje. Jednak moim zdaniem - dodał z goryczą w głosie - stają się przez to lękliwe; nigdy później nie są już pewne siebie i tego, na czym stoją.

- Zastanawiam się, czy moglibyście poznać mnie z jakimś handlarzem bydła - mówił tymczasem Rankin do Rileya i lorda ^urbecka. - Mam zamiar zapewnić młodemu pierwszy posiłek w jego życiu i chcę zapłacić za to z własnej kieszeni.

- Przecież musi być jakiś sposób, żeby go powstrzymać - Powiedział cichym głosem Laurence.

Jeszcze nie wygasł w nim ten gniew sprzed lat, kiedy wszyscy oni byli mimowolnymi świadkami okrucieństwa, z jakim Rankin traktował swojego pierwszego smoka. Rankin należał do tego typu awiatorów, których członkowie sztabu marynarki wojennej najbardziej lubili; zarówno w jego, jak i ich opinii smoki były tylko swego rodzaju naturalnymi zasobami, i to niebezpiecznymi, nad którymi należało panować i maksymalnie je wykorzystywać. To był ten sam sposób myślenia, który nie tylko dopuszczał, ale czynił wręcz czymś pożądanym rozważanie planu zabicia tysięcy tvch istot poprzez podstępne zarażenie ich śmiertelną chorobą.

Kiedy Rankin mógł okazać Levitasowi dobroć, był obojętny; kiedy powinien być obojętny, celowo traktował go okrutnie, a wszystko w imię tego, żeby biedne, stale poniewierane stworzenie nie miało takiej siły ducha, by odmówić spełnienia któregokolwiek ze stawianych mu żądań. Kiedy Levitas z desperacką odwagą przyniósł im ostrzeżenie o pierwszej podjętej przez Napoleona próbie przekroczenia kanału, w roku piątym, i został przy tym śmiertelnie ranny, Rankin zostawił swojego powoli umierającego smoka na małej, nędznej polance, a sam poszedł opatrzeć drobne obrażenia, jakie odniósł.

Ten rodzaj relacji między smokami a ich opiekunami w ostatnim wieku całkowicie wyszedł z mody wśród większości awiatorów, którzy w coraz większym stopniu woleli, by ich partnerzy nie tracili ducha. Jednak rząd nie zawsze się z tym zgadzał, a Rankin pochodził z rodziny od dawna trzymającej smoki, która zachowała własne zwyczaje i metody, przekazując je wysyłanym do służby w Korpusie potomkom, w wieku odpowiednio późnym, by zdążyli je sobie głęboko przyswoić, wraz z przekonaniem o ich własnej wyższości na resztą awiatorów.

- Nie wolno mu pozwolić zniszczyć życia temu stworzeniu - Powiedział Laurence. - Moglibyśmy przynajmniej zabronić mu u?ywac kaptura...

- Mielibyśmy ingerować w proces wylęgu? - krzyknął skonsternowany Granby, patrząc z ukosa na Laurence'a. - Nie: on ma prawo zrobić to tak, jak jego zdaniem będzie najlepiej. Jeśli jednak nie uda mu się tego dokonać w ciągu piętnastu minut, ktoś inny będzie mógł spróbować - dodał na pociechę - i możesz być pewny, że dostanie tylko piętnaście minut i ani jednej więcej; to wszystko, co mogę zrobić.

- Ale j a mogę zrobić więcej - zapowiedział groźnie Te- meraire - i nie zamierzam siedzieć bezczynnie i pozwolić mu zarzucać sieci, łańcuchy oraz kaptury na młode: nie dbam wcale o to, że wyjdzie już ono ze skorupy, dla mnie nadal będzie to tak, jakby było prawie jajem.

Uświadomił sobie natychmiast, że był to nieco dziwny sposób patrzenia na sprawę, ale w końcu jeśli młode jeszcze niczego nie zjadło i może kawałki jaja były wciąż przyłączone do

jego skóry, nie można było mieć pewności, że jest już gotowe radzić sobie samemu, a zatem wciąż ponosiło się za nie odpowiedzialność.

- Poza tym - dodał - wcale go nie lubię i nie uważam, żeby miał jakiegokolwiek prawo zostać znowu kapitanem; po prostu pozwól mu tu przyjść, a ja mu przyłożę.

- Nie zrobisz niczego, co nie spodobałoby się Granby'emu! - syknęła Iskierka, wypuszczając kłęb pary.

- Jakbyś miała coś do powiedzenia na ten temat - odparł chłodno Temeraire. - A zresztą sama każdego dnia robisz rzeczy, które nie podobają się Granby'emu.

- Tylko wtedy - odparowała Iskierka - kiedy jest to szczególnie ważne - co było monstrualnym kłamstwem - a poza tym to coś zupełnie innego. Możesz sobie gadać, że nie dbam odpowiednio o Granby'ego, ale nigdy nie dopuszczę do tego, by go zdegradowano, jak twój Laurence'a, tylko dlatego, że znowu mówisz głupstwa i zamartwiasz się o smoki, które się jeszcze nie wykluły - dodała, co dotknęło go tak boleśnie, że Temeraire wzdrygnął się mimowolnie i położył kresę.

_ Tak w ogóle - kontynuowała Iskierka - to widziałam tego Rankina: jest mniejszy nawet od kucyka. Mogłabym go spalić na węgiel, gdy tylko rozbiłam skorupę jaja.

_ Gdyby cię chciał, mógłby sobie ciebie wziąć i dobrze by się stało - usiłował się odgryźć Temeraire, ale nie dość, że jego próba była słaba, to jeszcze niezbyt sprawiedliwa; zwiesił głowę i popatrzył ze smutkiem na jaja. - Poza tym - odezwał się chwilę później do Laurence'a - jeśli młode go nie wybierze, to myślę, że będzie chciał spróbować drugi raz, a potem i trzeci. Jestem pewny, że nie zrezygnuje tak łatwo, skoro przebył tę całą drogę i dotarł tu, gdzie nikt go nie chce, żeby sprawiać nam kłopoty.

- Żeby dostać nowego smoka; ale co do reszty, obawiam się, że możesz mieć rację - odparł cicho Laurence. - Jednak nie możemy wiele zrobić w tej sprawie, mój drogi, jeśli nie chcemy postawić Granby'ego w bardzo kłopotliwej sytuacji i znacznie pogorszyć naszej. To on formalnie sprawuje opiekę nad jajami, a nie my.

- Ale Arkady obarczył mnie odpowiedzialnością za swoje - zaprotestował Temeraire - a ja mu dałem słowo; z pewnością mam więc prawo interesować się jego losem.

Laurence zastanowił się, po czym skinął posępnie głową i odparł:

- To dodatkowo komplikuje całą sprawę.

I w niczym nie przybliżyło rozwiązania sytuacji, chyba że miałyby nim być rozdeptanie Rankina, co jednak zdaniem Temeraire'a byłoby całkowicie nie fair, zważywszy na różnicę wielkości, i czego, według Laurence'a, nie należało nawet przez chwilę brać pod uwagę, pomimo sugestii z listu admirała Roland.

Laurence nie odwodził jednak Temeraire'a od tego pomysłu z nadmiernym zapałem; w innych okolicznościach nie miałby nic

co y, temu, gdyby Rankin skończył jako krwawa miazga ale j 2 (jCriej sytuacji wszyscy przyjęliby nie dość, że bez bólu lankfc Z", m zadowoleniem. Jego nastrój pogorszył się jeszcze rence następnego dnia, kiedy przyszedł do nich Riley: Lau- miocie spędzić kolejną noc na cyplu w swoim małym na- na ' było mu teraz znacznie wygodniej niż na okręcie,

Ha u^ wychodzić jedynie na pokład rufowy, ty, a o^ "n bowiem miał oczywiście rację w kwestii etykie- jedyną . 'cn obowiązywał zakaz pojedynkowania się, co było d°ITlaga1'nną zadoścuczynienia, jakiej Rankin mógł się

wid^iej C' brutalność, z jaką Laurence potraktował go, kiedy zało\yaj Sl<? ostatni raz.

Laurence w najmniejszym stopniu nie dze^^i Sv°jego czynu, ale żeby zachować formy obowiązujące zacsepi^16113' n'e mógł ani narzucać się Rankinowi, ani szukać

^ j 'na którą tamten nie mógł odpowiedzieć. Posta^,e mogę cię też za to winić - powiedział Riley - ale się r»a u ° mn'e to w kłopotliwej sytuacji. Musiałem go zapro- stras2r(.

B'igha także, żeby nie wyjść na skąpca; jest mi

tego Przykro, Laurence, ale czy jest szansa, żeby sprawę bo & Załatwić jakoś

poza normalną procedurą? Pytam o to,
ośwajac lfl Już po dziesięciu minutach spędzonych przy stole
banejy Bligh padł ofiarą monstualnej zdrady i że tej

j^Ur,towniczych psów nie można tolerować.
nier^ szlag trafi - warknął Laurence z rozdrażnie-
drze' ^e, Tom, jeżeli chodzi o jajo; nie, jeśli nie chcesz za- z ^p*
mog^ emeraire'em. Czy mamy stoczyć bitwę w porcie? Nie

0°jąĆ' ° czym on myśli, musi rr, C1 to wyjaśnić - odparł Riley. - On myśli, że
Pros>ę Cc smoka, czy ci się to podoba, czy nie. A teraz posłuchaj, mowaj' Przyjął to nasz
pasazer: Bligh natychmiast poinfor- J*aJa ^os^11'6'doP'lnowanie, by rozkazy Admiralicji
dotyczące ały wykonane, jest moim obowiązkiem, i że napisze list
jo ich lordowskich mości, w którym przedstawi im swoją opinię oraz powiadomi ich, że mi to
uświadomił.

A ostatnią rzeczą, jakiej obecnie pragnął Riley, była jakakolwiek sugestia jego
niesubordynacji czy niekarność, a już tym bardziej, gdyby cokolwiek świadczyło, iż to jego
zachowanie zostało sprowokowane przez Laurence'a lub choćby przez niego pochwalone. Ich
dawny związek już ogromnie zdyskredytował go w oczach ich lordowskich mości i na nim,
tak jak na wszystkich byłych towarzyszach Laurence'a, ciążyły teraz podejrzenia. Bligh w
swych działaniach mógł nie osiągnąć swego celu, którym było odzyskanie stanowiska
gubernatora kolonii, a błędy, jakie popełnił, kiedy nią rządził, mogły raczej wzbudzić pogardę
niż współczucie członków Admiralicji, nie znaczyło to jednak, że nie powitają chętnie
wszelkich oskarżeń wniesionych przez niego przeciw Rileyowi.

Tym bardziej, jak wiedział Laurence, że mieli właśnie nowy powód, żeby traktować
Temeraire'a, i każdego, kto był nawet luźno z nim powiązany, podejrzliwie: Temeraire także
dostał list, w poczcie przywiezionej przez Beatrice\ od Perscittii, która najwyraźniej w jakiś
sposób znalazła sobie skrybę.

Skończyliśmy już Pawilon...

- Och! - powiedział ze smutkiem Temeraire - a ja nie mogę go zobaczyć.

...i zaczęliśmy budowę drugiego; zastanawiamy się, skąd zdobyć fundusze, gdyż to
doprawdy zdumiewające, jak szybko rozchodzą się Pieniądze. Rząd próbował nas przekonać,
żebyśmy wszyscy wrócili na Tereny Rozpłodowe i zostawili budynek: kiedy go już niemal
skończyliśmy, wyobrażasz sobie? Obiecane dostawy Żywności docierały z dużym
opóźnieniem i w niedostatecznej ilości, a kiedy przysyłali nam
Krowy, były one chude i niezbyt smaczne, musieliśmy więc sami kupować Pożywienie, a jest
ono teraz bardzo drogie; n0 i Requiescat oczywiście je jak skończony obzartuch. ?

Ale poradziliśmy sobie: za radą Majestatisa wysłaliśmy Lloyda do Dover, żeby popytał tam
o prace przewozowe i dowiedzieliśmy się, że ludzie są gotowi dużo zapłacić tylko za to,
żebyśmy przynosili rzeczy do Londynu i innych Miast, jako że możemy to zrobić o wiele
szybciej niż Konie; a ja opracowałam bardzo zgrabną Metodę, dzięki której można
wyznaczyć najbardziej efektywny sposób poruszania się między miastami, zabierania różnych
towarów, zostawiania innych; tylko że to się staje dość nużące, jeśli się chce lecieć do więcej
niż pięciu lub sześciu Miejsc.

Podniosło się trochę krzyku z powodu naszych lotów po kraju - ludziom nie robiło
specjalnej różnicy, kiedy były to Winchestery lub nawet Reapery; ale oczywiście Requiescat
może unieść dużo więcej - nawet jeśli jest za leniwy, by lecieć dalej niż z Dover do Londynu i
z powrotem - jak również Ballista, Majestatis i inne ciężkie smoki, więc naprawdę nie
widzieliśmy powodu, żeby je z tego wyłączyć. Ale wtedy Rząd się zdenerwował - gdyby od
początku dawali nam odpowiednio dużo jedzenia, nigdy nie musielibyśmy zadawać sobie
tego trudu - i próbował szukać Zaczepki. Umieścili w Kryjówce grupę zaprzęzonych smoków
i kazali im nie wpuszczać nas do niej.

Te smoki były ze Szkocji, jak myślę; nie znaleźliśmy ich zbyt dobrze, ale Ballista powiedziała im, że to nie ma sensu sprzeczać się o takie głupstwa; no bo zobacz, ludzie z Rządu umieścili je w Kryjówce, ponieważ nie chcieli w niej nas, chociaż te smoki były tak samo duże; a poza tym było w niej jeszcze dużo Miejsca, a my byliśmy tylko przelotem. Wszystkie uznały, że to całkiem rozsądne, kiedy w geście przyjaźni dała im kilka naszych Krów; wydaje się, że także w kryjówkach Krowy są bardzo drogie i nikt już nie dostaje ich zbyt często, nawet zaprzężone smoki.

Oprócz tych wiadomości w liście było sporo plotek na temat stosunków między smokami, które Laurence przeczytał Temeraire'owi niezbyt uważnie; między wersami relacji Percitii mógł bez trudu wyczytać gorączkowe raporty krążące po Whitehall: niezaprężone ciężkie smoki hulają po kraju, lądują w każdym wielkim mieście Brytanii, zastraszają ludność i rujnują zwykłych wozaków; i z łatwością przekupują swoich zaprzężonych towarzyszy, pomimo wszelkich prób perswazji i wysiłków kapitanów tych smoków.

- Wielka szkoda, że Gladius i Cantarella pokłócili się ze sobą - powiedział Temeraire - bo byłem pewny, że będą mieli wspaniałe jajo; niezbyt także lubię Queritorisa, bo zawsze bardzo wydziwiał przy przenoszeniu żołnierzy, a przecież wszyscy musieliśmy to robić; to było bardzo męczące, dla każdego z nas, ale narzekanie w niczym nie pomagało. Laurence, jak myślisz, czy moglibyśmy przynosić tutaj rzeczy dla ludzi i dostawać za to pieniądze? Tylko że... Nie - przerwał własną myśl i dokończył z przygnębieniem - tu jest tylko jedno miasto i nie ma dokąd przynosić towarów; jak żałuję, że nie jesteśmy w domu!

Laurence także tego żałował, ale złożył tylko w milczeniu list, który odebrał mu wszelką nadzieję powrotu; wciąż szeleścił w jego kieszeni, kiedy odpowiedział Rileyowi:

- Przykro mi, że musisz wysłuchiwać tak nieprzyjemnych grózb. Oczywiście nie poprosimy cię o interwencję, Tom; ani, mam nadzieję, nie postawimy cię w żadnej kłopotliwej sytuacji.

- Cóż, mam nadzieję, że nie myślisz o mnie jako o małym człowieczku, który z lęku o siebie przyszedł tu prosić cię półgębkiem, byś uważał - rzekł Riley. - W końcu mam zupełnie dużo pieniędzy z przyzwoitych i jeśli odbiorą mi okręt, to przynajmniej będę mógł zabrać mojego synka do domu i nie martwić się bez końca o to, jakie znowu absurdałne rzeczy wyczynia z nim Catherine. - W jego ostatnich słowach pobrzmiwała lekka gorycz: on nie dostał listu

- Ale to łatwo może się przekształcić w znacznie poważniejszą sprawę od zwykłej kłótni - powiedział Laurence do Temeraire'a, kiedy Riley już odszedł. - Jeśli Bligh postanowi zrobić z tego oskarżenie o nieposłuszeństwo, ich lordowskie moście ucieszą się, że mają pretekst do oddania go pod sąd wojenny; łatwo mogę to sobie wyobrazić.

- Ja też - odparł Temeraire - i wiem, że nie powinniśmy mu pozwolić skrzywdzić Rileya lub Granby'ego; ale nie możemy także pozwolić Rankinowi skrzywdzić młodego. Laurence, kazałem Roland i Demane przynieść do mnie jajo, żebyś mógł je sobie obejrzeć, i myślę, że młode już wkrótce się wykluje; czy nie możemy go po prostu wynieść i gdzieś ukryć?

- Ukryć? - powtórzył Laurence. - Gdzie? a

- Och, gdzieś w okolicy - odparł Temeraire - to znaczy tylko do czasu, gdy młode się wykluje; a potem tu wrócimy i ono będzie mogło sobie wybrać tego spośród oficerów, który mu się spodoba. Albo, jeśli wolisz - dodał - możemy wziąć ze sobą jednego lub dwóch, których uznamy za najlepszych z nich, żeby młode mogło wybierać bezpośrednio między nimi: ale żadnego, który chciałby posłużyć się kapturem, lub siecią.

Był to plan, który Laurence powinien z miejsca odrzucić, ale sam siebie zaskoczył, myśląc zupełnie trzeźwo, że tak bezczelny manewr mógł przynajmniej być posunięciem na tyle śmiałym, żeby zapisano to jedynie na ich konto, którego stan był już mocno przekroczone. Na Granby'ego i Rileya, którzy zostaliby na miejscu i nie zdołaliby wyśledzić miejsca ich pobytu, nie można by tak łatwo składać skarg, jak na Granby'ego i Rileya, którzy przyglądaliby się beczynnemu, jak na ich oczach ktoś łamie rozkazy.

Nie było to pomyślane jako sposób na zyskanie aprobaty ich lordowskich mości, a już z pewnością nie Bligha; ale w braku czego- kolw iek, co można by mu jeszcze zgodnie z prawem zabrać, nawet nadziei, przyznał w duchu z odrobiną czarnego humoru Laurence, bvto coś wyzwalającego. Przyjrzał się uważnie jaju: nie uważał się za eksperta, ale skorupa z pewnością była twardsza niż przedtem, na pokładzie okrętu, i jakby bardziej krucha. Pamiętał, że tak wyglądały jaja Temeraire'a i Iskierki tuż przed ich wykluciem się.

_ Nie mogliśmy wziąć z nami nikogo - powiedział - przynajmniej nie za jego przyzwoleniem; i byłoby coś dziwnego w porwaniu awiatora, żeby go zrobić kapitanem; cokolwiek by zrobił, nigdy potem by mu nie ufano.

- Cóż, mówiąc szczerze, myślę, że tym bardziej nie powinniśmy zabierać ze sobą żadnego z nich - odparł Temeraire. - Niezbyt cenię ich wszystkich: byli bardzo nieuprzejmi na okręcie i myślą, że mają prawo do jaj, chociaż nie mieli nic wspólnego z ich zrobieniem, i to ja przez cały czas się nimi opiekowałem. Niewiele za nimi przemawia, wcale nie więcej niż za Rankinem: nie wydaje mi się, żeby młode chciało któregoś z nich.

- Jesteśmy w zbyt wielkiej niełasce, mój drogi, by oczekiwać, że któryś z nich okaże nam swoją przychylność - rzekł Laurence - ale, jak dowiedziałem się od Granby'ego, porucznik Forthing jest przynajmniej uważany za dobrego oficera i wykazał się odwagą podczas bitwy pod Shoeburyness.

- Och, on jest najgorszy z nich wszystkich! - zaprotestował natychmiast Temeraire, przyjmując bardzo krytyczny ton, chociaż Laurence nie bardzo wiedział, co go tak wzburzyło - i nie dbam o to, że jesteśmy w niełasce; to w żaden sposób nie tłumaczy jego zachowania. Poza tym - dodał smok - on jest okropnie niechlujny: z jego surduta wychodzą nitki, a na spodniach ma łatę na łacie; nawet Rankin tak źle nie wygląda.

- Rankin - powiedział Laurence - jest trzecim synem hrabiego i stać go na ładne ubrania; obawiam się, że pan Forthing był znajdują, którego porzucono w dokach w Dover i który od dziecka przekradał się do kryjówek, żeby spać ze smokami; nie ma żadnych krewnych na tym świecie.

- Mimo to mógłby przynajmniej szcztokować swój surdut- upierał się przy swoim Temeraire. - Nie: już wolałbym, żeby młode nie wybrało nikogo, niż miałyby to być on; jestem pewny, że Arkady byłby na mnie oburzony, gdybym na to pozwolił. - Pochylił się, żeby popatrzeć na jajo, i wyciągnąwszy swój cienki, rozwidlony język, dotknął nim delikatnie skorupy.

- Nie mogę się z tobą o to sprzeczać, jeśli on zostawił jajo pod twoją opieką - powiedział Laurence. - Zrobisz to, co uznasz za słuszne. Zresztą trudno byłoby to przeprowadzić. Musimy także zdobyć jakieś przykrycie dla jaja i...

- Och - przerwał mu Temeraire - och, nie, co ty robisz?

Laurence umilkł skonsternowany.

- Słucham?

- Nie, Laurence; ja mówię do jaja - powiedział Temeraire, unosząc głowę z wyrazem konsternacji na pysku i krezą rozplaszczoną na karku. - Młode się wykluwa; jak je teraz stąd zabierzemy?

- Pamiętaj, że musisz z nim wytrzymać tylko przez chwilę - poinformował Temeraire jajo, kiedy to zakołysało się nieco mocniej - inaczej narobi wszystkim wielkich kłopotów, ale to będzie tylko kilka minut, a potem będziesz mógł wybrać sobie kogoś innego z nich, albo żadnego. A jeśli nałoży ci coś, co ci się nie spodoba, poczekaj tylko chwilę, a ja to zaraz zdejmę. Mogłeś - dodał z lekką irytacją - poczekać w skorupie trochę dłużej, do czasu, aż zabralibyśmy cię daleko stąd, gdzie byłbyś zupełnie bezpieczny: wszyscy myśleliby, że wcale mnie nie słuchałeś.

- Kapitanie Granby, czy byłby pan tak dobry i kazał przenieść jajo tam, gdzie nikt nie będzie się wtrącał - odezwał się Rankin, kiedy z grupą oficerów wspiął się ścieżką na cypel -

byłbym panu bardzo wdzięczny; jeśli to panu odpowiada, chciałbym, żeby to wszystko odbyło się tutaj - dodał, wskazując miejsce, gdzie stał, blisko ścieżki i z dala od krawędzi wzniesienia.

Temeraire nastroszył krezę: Rankin rzeczywiście trzymał kaptur, o którym mówił Laurence, i ciężką sieć z łańcuchami, podobnymi do tych, jakimi Temeraire został kiedyś przymocowany do pokładu podczas tajfunu; wcale mu się to wtedy nie podobało.

- Pamiętaj, to tylko chwila - syknął do jaja, a potem niechętnie, z ociąganiem, pozwolił awiatorom je zabrać: przynajmniej nieśli je bardzo ostrożnie.

Kiedy znalazło się na wskazanym miejscu, Rankin wyznaczył dwóch młodszych oficerów, midszypmenów, którym kazał stać po obu stronach jaja z siecią, jakby mieli złapać w nią biedne młode, gdyby próbowało odlecieć. Jakby tego było mało, pojawił się chłopiec, który prowadził na sznurku smakowitą owcę, i gdy tylko na skorupie pojawiało się pierwsze pęknięcie, Rankin skinął głową, po czym dwóch ludzi zarznęło ją nad balią - w powietrzu uniósł się cudowny zapach świeżej krwi - i położyło przed jajem. Temeraire pomyślał, że to całkowicie nie w porządku - wyłamujące się ze skorupy młode są tak głodne, iż oparcie się pokusie jedzenia jest dla nich bardzo trudne - i zastanowił się, czy nie powinien może zabrać tego mięsa.

- Granby - odezwała się Iskierka, stawiając swoje kolczaste wyrostki, kiedy także to zauważyła - nie widzę powodu, dla którego nie moglibyśmy sami kupić owcy lub dwóch; czy też krowy. Jestem pewna, że mamy wystarczająco dużo pieniędzy.

- To nie byłoby stosowne, moja droga - odpowiedział Granby.

- Nie rozumiem dlaczego - nalegała Iskierka. - Temeraire także mógł mieć pieniądze, gdyby był tak dobry w zdobywaniu przyzów jak ja; to nie moja wina, że nie potrafił sobie lepiej z tym radzić, i nie muszę z jego powodu jeść kangurów.

- Proszę, porozmawiajmy o tym później - odparł pospiesznie Granby. - Poza tym młode właśnie się wykluwa.

Jajo nie pękło zbyt ładnie, zauważył krytycznie Téméraire zamiast tego rozleciało się na kawałki, a potem młode jednym szarpnięciem wyrwało się w końcu na swobodę w dość obrzydliwej fontannie śluzu. Nie było także zbyt ładne, jego zdaniem: całe ciało miało szare jak Tłuczka, z wyjątkiem dwóch bardzo szerokich, czerwonych smug, które ciągnęły się od mostka, pod stawami skrzydeł, aż po długi, chudy ogon.

- Dobra budowa - bąknął pod nosem Granby do Lauren- ce'a. - A niech to! Barki tak silne, że lepiej być nie mogło.

Młode było rzeczywiście dość masywne, zgodził się w duchu Temeraire, i miało bardzo chwytne przednie łapy, których użyło niemal natychmiast: Rankin zrobił dwa szybkie kroki do przodu, trzymając kaptur, ale ku radości Temeraire'a młode otrząsnęło łapy ze śluzu i wyrwało mu go z rąk, mówiąc:

- Nie, nie zgadzam się na nic takiego.

Następnie wbiło zęby w kaptur z drugiej strony i jednym szarpnięciem rozerwało na części. Rzuciwszy z wyraźną satysfakcją oba kawałki na ziemię, powiedziało:

- A teraz weź to sobie i daj mi mięso.

Rankin szybko doszedł do siebie, pomimo tego niepowodzenia, i odparł:

- Dostaniesz je, gdy tylko dasz sobie założyć uprząż.

- Wcale go nie potrzebujesz - wtrącił się Temeraire, ignorując spojrzenia pełne dezaprobaty, którymi obrzucili go awia- torzy. - Możesz sobie wziąć bardzo smacznego kangura, kiedy tylko zechcesz.

- Cóż, nie chcę; podoba mi się zapach tego mięsa, które tam leży - odparł mały smok i przechylił głowę na bok, jakby się zastanawiał. - A co do ciebie: jesteś synem hrabiego, tak? - zapytał Ranki na, przyglądając mu się z uwagą. - Jakiegoś szczególnie ważnego hrabiego?

Rankin wyglądał na nieco zbitego z tropu i dopiero po chwili odpowiedział:

_ Korzenie rodziny mojego ojca sięgają dwunastego wieku.
_ Tak, ale czy on jest bogaty - doprecyzował mały smok.
_ Mam nadzieję - odparł Rankin - że wolno mi będzie uniknąć tak prostackiego zachowania, jak opowiadanie o sytuacji materialnej mojej rodziny.
_ Cóż, ładnie powiedziane, ale nie mówi mi to niczego pożytecznego - odrzekł mały smok. - Czy on ma krowy?
Rankin zawahał się, wyraźnie zdezorientowany, a potem odpowiedział:
- O ile mi wiadomo, w jego posiadłościach jest trochę mleczarskich gospodarstw - ma ze siedemset sztuk bydła, jak sądzę.
- Dobrze, bardzo dobrze - skwitował to z aprobatą mały smok. - No cóż, popatrzmy na tę uprzęż i dopóki starsz się być uprzejmy, mógłbyś dać mi coś przekąsić, kiedy będę się zastanawiał; podobają mi się twoje włosy - dodał; Temeraire musiał przyznać w duchu, że włosy Rankina rzeczywiście miały szczególnie przyjemny dla oka odcień żółci, przez co wyglądały trochę jak złoto o zachodzie słońca - i twój płaszcz, chociaż on ma ładniejsze guziki - to o Granbym - ale przypuszczam, że możesz przyszyć sobie podobne, prawda?
- Ale ty go wcale nie chcesz! - wybuchnął Temeraire. - On jest bardzo niemiłym człowiekiem i okropnie traktował Levi- tasa, chociaż on ciągle próbował go zadowolić, a potem Levitas "marł i to była jego wina.
- Tak, powtarzałeś mi to bez końca, kiedy przygotowywałem się do wyjścia, i mogę ci na to odpowiedzieć tylko tyle, że ten Levitas musiał być strasznym nudziarzem - odrzekł mały smok - a ja chcę mieć kapitana, który jest synem hrabiego, i to bogatego; nie zamierzam jeść dzień w dzień kangurów, wielkie dzięki, ani trudzić się zdobywaniem przyzów. Ale to - dodał, patrząc na uprzęż, którą z lekko niepewną miną trzymał Rankin - nie jest wcale ładne: wydaje mi się, że te sprzączki są brudne.
- Z pewnością są brudne - wtrącił gorączkowo Temeraire - i tak samo przez cały czas wyglądała uprzęż Levitasa: cała pokryta błotem, a Rankin nie pozwał mu się nawet wykapać.
- To tylko tymczasowa uprzęż - powiedział Rankin, po czym dodał z wahaniem - i każę zrobić dla ciebie ładniejszą, zdobioną złotem - co zdaniem Temeraire'a było wręcz żenującym sposobem prowadzenia negocjacji.
- O tak, to brzmi o wiele lepiej - odrzekł młody smok.
- I nadam ci imię, od razu - dodał Rankin z większą stanowczością. - Będziemy cię nazywać Serenitus...
- Myślałem raczej o imieniu Conquistador - przerwał mu mały smok - albo Cezar; tylko że, jak rozumiem, konkwistadorzy zdobyli o wiele więcej złota.
- Nikt nie będzie cię nazywał Cezarem - zaprotestował Temeraire. - Poza tym będziesz tylko średniej wagi, jeśli uda ci się ją osiągnąć; Tłuczka nie dorównuje wielkością nawet Reaperom.
- Nigdy nie wiadomo - odparł niewzruszony smok. - Lepiej być przygotowanym. Sądzę, że imię Cezar jest dla mnie odpowiednie, a teraz trochę jeszcze o tym wszystkim pomyślę.
- No cóż, nie biorę na siebie odpowiedzialności za to wszystko - powiedział później Temeraire do Laurence'a, więcej niż tylko trochę wzburzony, patrząc, jak Cezar - och! jakie to absurdalne - pożera drugą owcę; Rankin posłał po nią, kiedy mały smok zjadł pierwszą aż do ostatniego kawałeczka, i zasugerował z bardzo łatwą do rozszyfrowania miną, że być może jedzenie dużych ilości mięsa pomoże mu osiągnąć większą wagę. - I nie mogę w to uwierzyć - dodał.
- Cóż, mój drogi, wygląda na to, że oni nad podziw dobrze do siebie pasują - odparł sucho Laurence. - Tylko zupełnie nie wiem, co my mamy teraz począć.

Rozdział 4

L

aurence, mam nadzieję, że mi wybaczysz - odezwał się cicho Granby, podczas gdy po drugiej stronie wzniesienia Cezar nadal siał spustoszenie w stadzie, którym Rankin najwyraźniej zamierzał karmić go przez pierwszy tydzień. - Nie zamierzałem powiedzieć ani słowa, jeżeli nie zdołałby zaprząć tego smoka; ale udało mu się i nie ma innego wyjścia... Musisz mi pozwolić być pośrednikiem między wami i zakończyć waszą kłótnię.

- Słucham? - powiedział Laurence, pewny, że źle zrozumiał; Granby jednak pokręcił głową i odparł:

- Wiem, że nie jesteś do tego przyzwyczajony; ale proszę, nie bądź taki nieustępliwy: w kryjówce nie ma miejsca dla dwóch kapitanów, którzy są ze sobą na noże, a nie możesz się z nim pojedynkować. Trzeba zatem to zakończyć, niezależnie od tego, co myślisz o tym łajdaku - dodał pojednawczo, ale ta jego próba niezbyt się powiodła.

Do czegoś takiego Laurence w żadnym razie nie był przyzwyczajony; myśl o wystąpieniu wobec Rankina z czymś na kształt przeprosin za to, na co sobie po stokroć zasłużył swoim Postępowaniem i co Laurence chętnie by jeszcze uzasadnił ze szpadą w dłoni, była tak bulwersująca, że aż trudna do zniesienia.

- Nie powinienes się tym tak przejmować - mówił dalej Granby - bo oczekuje się tego od ciebie tylko dlatego, że ^Jl cięższego smoka: taka jest po prostu zasada. To do ciebie nale' zrobienie pierwszego gestu; on nie może, bo straciłby twarz. I nie oznacza to, że oficjalnie nie jesteś już kapitanem, bo Temeraire przez to nie rozwieje się w powietrzu.

Laurence nie mógł się jednak łatwo pogodzić, pomimo oczy. wistego sensu takiego posunięcia, z koniecznością wykonania kroku, który w jego opinii łączył przeprosiny z oszustwem.

- Ponieważ niczego nie cofam, John; w żadnym razie nie mogę cofnąć. Udawanie, że żałuję mojego postępowania, byłoby z mojej strony najobrzydliwszym fałszem, a poza tym w obecnych okolicznościach taki mój gest musiałby nosić znamiona oportunisty, którym gardzę.

- Boże, nie mówię, że masz się poniżyć przed nim! - powiedział na to Granby z miną wyrażającą po części sympatię, a po części irytację- - Nic w tym rodzaju; musisz mi tylko pozwolić z nim porozmawiać, a potem nie będziecie już o tym mówić, żaden z was: to wszystko. Nikt o tobie źle nie pomyśli: wręcz przeciwnie, bo gdybyś tego nie zrobił, byłoby to podłe w stosunku do małego smoka. Jeślibyś traktował lekceważąco jego kapitana, musiałoby się to skończyć zwadą między nim a Te- meraire'em, a nie możesz powiedzieć, że to byłoby w porządku.

Ten argument był zbyt ważki, żeby Laurence mógł go zignorować; z wielkim trudem skinął głową, raz, wyrażając zgodę, i skierował wzrok w drugą stronę, kiedy tego samego wieczoru Rankin przysiadł się do stołu Granby'ego w małej gospodzie, do której wybrał się z innymi oficerami na kolację, żeby uczcić swój awans. Granby rzucił Laurence'owi niespokojne spojrzenie, po czym z nieco przesadną serdecznością zwrócił się do Rankina:

- Obawiam się, że Cezar zamierza dać panu w kość, to bardzo zdeterminowane stworzenie.

Granby'emu, który o kierowaniu zdeterminowanym, jeśli nie {ótlwym stworzeniem wiedział więcej od dziesięciu ludzi, 0źr>a było wybaczyć odrobinę satysfakcji, z jaką wygłosił tę "gę. „Jeśli to może być dla ciebie jakąś pociechą - powiedział seśniej i bardziej szczerze do Laurence'a - ten mały jest jego zaSłużoną karą: ale będę się śmiał, kiedy zobacze go ciąganego tarn i z powrotem, krzyczącego, że Cezar musi go słuchać. To stworzenie nie da się zdominować i pognać.

Laurence nie potrafił dostrzec niczego wesołego w żadnym aspekcie sytuacji, która zmuszała go do znoszenia towarzystwa Rankina, ale odczuł pewną ponurą satysfakcję, która zmieniła się w niedowierzanie, kiedy Rankin odpowiedział chłodno:

- Jest pan w błędzie, kapitanie Granby; nie spodziewam się niczego takiego. Wprawdzie w okresie opieki nad jajem popełniono pewne błędy, a i samo młode początkowo dało powody do takich obaw, o których pan wspomniiał, ale teraz jestem wielce podbudowany, gdyż Cezar okazał się stworzeniem z natury niezmiernie układnym. Zaiste nie przesadzę, mówiąc, że uważam go za niezwykle stworzenie, bardzo wyróżniające się na tle innych inteligencją oraz posłuszeństwem.

Skonsternowany Laurence zapomniał o swoich uczuciach, a Granby wyglądał na równie zaskoczonego, gdyż do tej pory, jak widzieli, Cezar przez całe popołudnie demonstrował jedynie nienasycone obżarstwo. Może Rankin wolał oszukiwać sam siebie, zamiast myśleć, że trafił na smoka, który nad nim góruje, zastanawiał się Laurence; ale Rankin dodał z samozadowoleniem, które zdawało się wykraczać poza zwykłe pobożne życzenia:

- Już zacząłem go uczyć lepszych zasad zachowania i mam wszelkie nadzieje, że ukształtuje jego charakter tak, by stał się uważnym i posłusznym stworzeniem, co musi być ambicją każdego awiatora. Podziela już część moich uczuć oraz poglądów, jak być powinno, i ceni sobie moją opinię na temat innych spraw.

- No cóż - mruknął z powątpiewaniem Granby, po czym rzucił: - Forthing, obok ciebie stoi butelka - i rozmowa przybrała zupełnie inny obrót; ale rano Laurence ze zdziwieniem zobaczył, że Rankin przyszedł na cypel z książką w ręku, by towarzyszyć Cezarowi przy śniadaniu. Usiadł przy nim i podczas gdy mały smok jadł, zaczął mu czytać. Z tego, co Laurence'owi udało się podsłuchać, wynikało, że był to jakiś rodzaj podręcznika awiacji, aczkolwiek jego język był bardzo osobliwy.

- Och, nigdy jeszcze nie wyciągnął tej staroci - odezwał się zde gustowany Granby i dodał: - To pochodzi z epoki Tudorów, jak myślę; wszystko o tym, jak radzić sobie ze smokiem. Czytamy to w szkole, ale nie ma już chyba nikogo, kto przywiązywałby do tego jakąś wagę.

Jednak Cezar słuchał bardzo uważnie, ogryzając jednocześnie kość, a potem powiedział poważnie:

- Mój drogi kapitanie, nie mogę się nie zgodzić, to wszystko brzmi rzeczywiście bardzo rozsądnie, ale czy nie powinienem spróbować zjeść jeszcze jedną owcę? Biorę sobie bardzo do serca to, co ta księga mówi o znaczeniu odpowiedniego karmienia smoka od samego początku. Oczywiście jeśli to się zgadza z twoją oceną. Jestem całkowicie skłonny zrobić wszystko, co podyktuje mi twoje ogromne doświadczenie; ale muszę powiedzieć, że o wiele łatwiej mi się skupić, kiedy mam pełny brzuch.

- Tak to się kończy - stwierdziła Iskierka - kiedy za bardzo martwisz się o młode.

Temeraire nie uważał, że to było sprawiedliwe: z pewnością nie martwił się o Cezara bardzo długo, a teraz nie dałby nawet kawałka wątróbki za jego zdrowie i szczęście; zwłaszcza że nie wydawało się, by Cezarowi czegokolwiek brakowało. W ciągu jednego tygodnia zjadł dziewięć owiec, całą krowę, wielkiego tuńczyka i nawet trzy kangury, po tym, gdy Rankin był zmuszony zastanowić się jeszcze raz nad szybkością, z jaką uszczuplał jego fundusze.

To by zupełnie wystarczyło, żeby stał się nie do zniesienia, zwłaszcza to jego mlaskanie i triumfalne miny, z jakimi pożerał posiłki, ale poza tymi odrażającymi zachowaniami popisywał się i potrafił wyrywać innych z przyjemnej drzemki w środku upalnego dnia, wykrzykując głośno: „O, idzie mój kapitan, żeby się ze mną zobaczyć”, by potem z wielkim zadowoleniem poinformować Rankina, że wygląda bardzo ładnie tego dnia, i znaczącym tonem wspomnieć o każdym kawałku złota, jaki tamten miał na sobie.

Jedyna pociecha, jaką obiecywał sobie Temeraire, czyli zaniechanie małego, niewdzięcznego smoka przez Rankina, a co za tym idzie jego nieobecność, nie ziściła się; zamiast tego Rankin przychodził nieustannie i Temeraire musiał znosić nie tylko Cezara, ale i jego kapitana, i przez całe dni słuchać, jak tym swoim irytującym głosem czyta tę absurdalną

książkę pełną nonsensów o tym, że nigdy nie wolno kwestionować rozkazów kapitana, a cały czas poświęcać na ćwiczenia w szyku.

- Zupełnie nie rozumiem - narzekał Temeraire - dlaczego, kiedy miał najmilszego ze smoków, nigdy go nie było widać, a teraz nie można się go pozbyć. Dawałem mu nawet dość niedwuznacznie do zrozumienia, że mógłby się stąd zabrać, szczególnie popołudniami, kiedy jest gorąco i wszyscy chcą spać, ale on nigdy nie odchodzi.

- Myślę, że w Brytanii miał więcej okazji do życia towarzyskiego, które mu bardziej odpowiadało - odparł Laurence. - Był kapitanem smoka kurierskiego o niezbyt wielu obowiązkach i łatwo mógł odwiedzać ludzi ze swojej sfery; nigdy nie był szczególnie lubiany przez innych awiatorów.

- Tak, jestem pewny, że nie był - potwierdził z odrazą Temeraire.

Tymczasem nie widać było końca kłopotów, gdyż oprócz Cezara Rankin przestawał głównie z gubernatorem Blighiem, którego Temeraire zaliczał obecnie do szczególnie nieprzyjemnych osób, co nie było zbytnio zaskakujące, jeśli się pamiętało o tym, że był on częścią rządu. Bligh z pewnością wyobrażał sobie, że kiedy Cezar trochę urośnie, Rankin pomoże mu odzyskać dawne stanowisko; Temeraire podsłuchiwał nawet, jak Rankin omawiał tę sprawę ze swoim smokiem.

- Och, oczywiście - powiedział Cezar - zawsze z radością wyświadczę ci przysługę, mój drogi kapitanie; i gubernatorowi Blighowi. Jest niezmiernie ważne, żeby nasza kolonia - „nasza kolonia”, wściekał się w duchu Temeraire - miała możliwie najlepszy rząd. Jak rozumiem - dodał - gubernatorowie mają dużą władzę, czyż nie? Mogą nadawać ziemię?

Rankin umilkł na chwilę, po czym odrzekł:

- Tak, bezpieczna ziemia jest w gestii gubernatora.

- No właśnie, właśnie - mruknął Cezar. - Jak rozumiem, potrzeba dużo ziemi, żeby hodować bydło i owce; jestem pewny, że gubernator Bligh musi sobie z tego zdawać sprawę.

- Bystrzak z niego - skomentował to sucho Laurence, kiedy oburzony Temeraire powtórzył mu tę wymianę zdań. - Obawiam się, mój drogi, że możemy się jeszcze przez niego znaleźć w niezłych tarapatach.

- Laurence - odparł zaszokowany Temeraire - chyba nie wyobrażasz sobie, że on mógłby mnie pokonać. Jeśli kiedykolwiek przysporzy nam jakichkolwiek kłopotów...

- Gdybyście kiedykolwiek zaczęli się bić - przerwał mu Laurence - znaczyłoby to, że już jesteśmy w tarapatach; takiego konfliktu trzeba za wszelką cenę unikać. Nawet pokonany może ci jeszcze zadać straszną ranę i ryzykowanie czegoś takiego po to, by stać się po dwakroć wyjętym spod prawa i straszyć miejscową ludność, nie jest racjonalnym wyborem. Zważ na to, że każdy tydzień zbliża nas do decyzji z Anglii i, jak ufam, ustanowienia tu nowego porządku.

- Który - rzeki na to Temeraire - najprawdopodobniej będzie równie zły jak rządy Bligha.

- _ Dopóki nie jesteśmy odpowiedzialni ani za jego ustanowienie, ani zniszczenie - powiedział ponuro Laurence - jak również nie jesteśmy ani jego znienawidzonymi wrogami, ani hołubionymi sojusznikami, nasza sytuacja może się tylko poprawić.

- Nie bardzo rozumiem dlaczego - odrzekł Temeraire, medytując nad jego słowami; nie był zupełnie pewny, czy widzi to tak samo. - Laurence, jeśli musimy tu pozostać przez jakiś czas...? - Zawiesił znacząco głos.

Laurence nie odpowiedział natychmiast.

- Obawiam się, że tak - odparł w końcu cicho. - Marnowanie twoich umiejętności zakrawa na zbrodnię, mój drogi, i Jane oczywiście zrobi dla nas wszystko, co jest w jej mocy, ale zważywszy na to, jak się obecnie sprawy mają z niezaprężonymi smokami w Anglii, i na te raporty na nasz temat, które Bligh najpewniej wyśle, nie radzę ci liczyć na szybki powrót.

Temeraire nie mógł nie dostrzec, że Laurence jest mocno przybity własnymi słowami.

- Cóż, jestem pewny, że pobyt tutaj może być zupełnie przyjemny - powiedział mężnie, upewniając się, że przycisnął skrzydła do tułowia w uprzedzająco grzeczny sposób. - Tylko że jeśli mamy tu pozostać... - nie chciał dopuścić, by rozczarowanie choć w najmniejszym stopniu zabarwiło jego głos - ...to wydaje mi się, że Cezar ma rację w tej jednej sprawie: powin- niśmy mieć lepszych przywódców, takich, którzy będą potrafili zadbać o właściwe jedzenie dla nas i inne rzeczy... Może nawet Pawilon, z cieniem i wodą, by łatwiej było nam znosić te upały. Moglibyśmy nawet zbudować tu trochę dróg, tak szerokich jak w Chinach, i postawić pawilony bezpośrednio w mieście; tałą jak w cywilizowanym kraju.

- Nie możemy mieć nadziei na realizację takich projektów, jakkolwiek są pożądane, bez poparcia władz cywilnych; nie możesz wymusić tak ogromnej zmiany - odparł Laurence. Po chwili milczenia dodał: - Moglibyśmy dobić takiego targu z Blighiem, jak sądzę; na pewno zdaje sobie sprawę z twojej o wiele większej siły i wie, że musi mieć przynajmniej nasze przyzwolenie, nawet gdy zapewni sobie pomoc Rankina.

- Ale ja wcale nie lubię Bligha, Laurence - zaprotestował Temeraire. - Już dawno doszedłem do wniosku, że to kanalia. Powie wszystko i wszystko zrobi, i będzie miły dla każdego, żeby tylko znowu zostać gubernatorem, ale nie wydaje mi się, żeby pragnął tego, ponieważ bardzo chce zrobić coś dobrego dla innych.

- Nie, on chce się tylko oczyścić z zarzutów - potwierdził Laurence - i zemścić. - Nie żeby nie miał powodu - dodał - ale... - Urwał i pokręcił głową. - Zawsze będzie pokusa tyranii, kiedy rządzi się tak długo i bez sprzeciwów ze strony obywateli.

Temeraire rozmyślał o tym wszystkim później, tego popołudnia, kiedy Cezar omawiał entuzjastycznie z Rankinem szczegółowe plany stworzenia wielkiego gospodarstwa hodowlanego, zupełnie rozwiewając nadzieje Temeraire'a na drzemkę. Zaczynał dobrze rozumieć sens powiedzenia, że żebracy nie mogą przebierać. Nikt nigdy nie chciałby się znaleźć w tym miejscu; ale teraz, skoro już tu byli, musiał radzić sobie najlepiej, jak się da, dla dobra swojego i Laurence'a. W pewnym momencie uświadomił sobie ze smutkiem, że się oszukiwał i pocieszał, myśląc, iż Iskierka jest tylko godną pogardy piratką, jej brak umiaru w obsypywaniu Granby'ego prezentami jest w złym guście, a Laurence'owi i tak by się to nie podobało. Ale teraz pojawił się Rankin, także błyszczący złotymi guzikami, i na dodatek był kapitanem, którym powinien być Laurence. Nie było wątpliwości: Temeraire nie dbał o niego należycie; całkowicie zawiódł w tej sprawie.

_ Demane - odezwał się, unosząc głowę. Demane spojrział na niego z miejsca, gdzie podliczał pieniądze z Emily, a raczej podawał sumy Siphona, żeby ten podliczył je za niego, podczas gdy sam czyścił kolejną rusznicę skałkową; ostatnio kupił w mieście jeszcze cztery. - Demane, czy pamiętasz tego człowieka, który był tu niedawno, tego MacArthura? - zapytał w języku xhosa, żeby Rankin nie mógł go podsłuchać, i Cezar też. - Mógłbyś pójść do miasta, dowiedzieć się, gdzie on mieszka, i przekazać mu wiadomość?

- Nie mogę oprzeć się uczuciu... że... że źle rozgrywam tę sytuację - powiedział ponuro Laurence, uderzając nerwowo ręką w stół, dopóki sobie tego nie uświadomił, ale nawet wtedy zaprzestanie tego stukania wymagało od niego wysiłku.

Laurence, który początkowo pragnął tylko, żeby nie musiał podejmować żadnej decyzji, stwierdził nagle, że nie może z czystym sumieniem przyglądać się obaleniu przywódców kolonii i, co najwyraźniej było intencją Bligha, straceniu ich nawet bez czekania na instrukcje z Anglii.

- Ale jeśli Rankin udzieli mu poparcia, nie będę mógł uniknąć podjęcia decyzji; musimy albo stać z boku, albo interweniować. Mam jedynie nadzieję - dodał z zalem - że nie jestem tak małostkowy i że nie sprzyjam bardziej Johnsonowi °raz MacArthurowi, a mniej Blighowi, tylko dlatego że Rankin stanął po jego stronie.

- Mógłbyś mieć znacznie gorszy powód - odpowiedział Fharkay. - Przynajmniej nie możesz nazwać swojej decyzji wyrachowaną; powrót Bligha na stanowisko byłby dla ciebie bardziej korzystny.

- Nie, jeśli sam bym mu w tym nie pomógł - rzekł Laurence - a tego nie mógłbym pogodzić z moim poczuciem sprawiedliwości; i wątpię, czy nawet to by mi się dobrze przysłużyło - dodał pesymistycznie. - Każde nasze działanie musi obudzić nowe podejrzenia, gdyż oni chcą od nas jedynie cichego posłuszeństwa.

- Przepraszam, że to powiem - odparł Tharkay - ale pod tym względem nigdy ich nie zadowolisz: ostatnim, czego ktokolwiek może oczekiwać od ciebie i Temeraire'a, jest ciche posłuszeństwo. Czy nie przyszło ci do głowy, że może lepiej tego nie próbować?

Laurence chciał się sprzeciwić: wierzył w sens wojskowej dyscypliny i wciąż w głębi serca uważał się za oficera w służbie czynnej; jeśli został zmuszony przekroczyć granice posłuszeństwa wobec władzy, postąpił tak w najwyższym stopniu niechętnie. Ale zaprzeczenie uwięzło mu w gardle; to wyjaśnienie miało dokładnie taką wartość, jaką przypisały mu ich lordowskie moście, czyli żadną.

Tharkay pozwolił mu się zмагаć przez chwilę z tym problemem, po czym dodał:

- Są inne możliwości, jeśli zechciałbyś je rozważyć.

- Siedzieć beczynnym na drugim końcu świata, patrząc, jak Temeraire dręczy się sprawą jaj, i nudzić się całymi dniami z braku jakiegokolwiek życia towarzyskiego? - zapytał znużonym głosem Laurence. - Moglibyśmy, jak sądzę, wykonywać jakieś prace dla kolonii: przenosić towary i pomagać w budowie dróg...

- Moglibyście wyruszyć na morze - przerwał mu Tharkay i Laurence popatrzył na niego ze zdumieniem. - Nie, wcale nie bujam w obłokach. Pamiętasz może Awrama Madena?

Laurence skinął głową, lekko zaskoczony: nie słyszał, by Tharkay wspomniał o tym kupcu od czasu, gdy opuścili Stambuł, ani o córce Madena; a Laurence starał się o nich nie mówić, gdyż bał się go zranić.

_ Nadal uważam się za jego dłużnika; mam nadzieję, że dobrze mu się wiedzie... Czy po naszej ucieczce nie padło na niego jakieś podejrzenie?

_ Nie; jak rozumiem, opuściliśmy Stambuł w tak dramatycznych okolicznościach, że Turcy nabrali przekonania, że działaliśmy na własną rękę, i w rezultacie nie szukali innych spiskowców. - Tharkay umilkł na chwilę, a potem jego usta wykrzywiły się lekko. - Ostatnio został dziadkiem; ma pierwszego wnuka - dodał.

- Ach - mruknął Laurence i wyciągnął rękę ponad stołem, żeby napełnić kieliszek Tharkaya.

Tharkay uniósł go w milczeniu i wypił. Minęła minuta, po czym, nie dodawszy już nic do tego, co wcześniej powiedział, nagle rzekł:

- Na jego prośbę zostałem zatrudniony przez dyrektorów Kompanii Wschodnioindyjskiej. Jak rozumiem, kilku z tych dżentelmenów jest zainteresowanych wyposażeniem okrętów korsarskich do zwalczania francuskiego handlu na Pacyfiku.

- Tak? - odpowiedział uprzejmie Laurence, zastanawiając się, jaki to może mieć związek z jego sytuacją. Nie mógł zrozumieć, jakich usług mogli wymagać ci handlowi magnaci w tym wciąż niewielkim porcie, chociaż tłumaczyło to przynajmniej, dlaczego Tharkay przyszedł do niego... A potem uświadomił sobie nagle, wyprostowując się z zaskoczeniem na krześle, że Tharkay w istocie złożył mu propozycję.

- Nie sądzę, żeby udało mi się zmieścić Temeraire'a na pokładzie okrętu korsarskiego - powiedział, dziwiąc się trochę w duchu, że Tharkay mógł uznać to za wykonalne; przecież widział Temeraire'a.

- Chociaż nie poruszyłem tego tematu z dżentelmenami, o których mowa - odrzekł Tharkay - niemniej mogę cię zapewnić, że wszelkie problemy praktyczne będą rozwiązane, jeśli

tylko wyrazisz chęć. Można zbudować okręty do przewożenia smoków, kiedy tylko jest zainteresowanie; a smok, który potrafi zatopić każdy statek, musi budzić zainteresowanie.

Powiedział to z wielką pewnością i Laurence mógł zrozumieć jego punkt widzenia. W normalnych okolicznościach nigdy nie udałoby się pozyskać smoka do takiego celu; jak dotąd wszystkie one były w wyłącznej dyspozycji państwa. Smoki i okręty do ich przewozu przeznaczono do służby w blokadzie kontynentalnej oraz do działań wojennych na morzu, a nie do szybkich i kąśliwych uderzeń na nieprzyjacielskie linie żeglugowe. Temeraire nie miałby przeciwników, a okręt korsarski z takim uzbrojeniem mógłby pokonać każdy statek, na który by się natknął.

Laurence nie wiedział, jak odpowiedzieć. W korsarstwie nie było niczego haniebnego - nawet w najmniejszym stopniu. Sam znał kilku byłych oficerów marynarki wojennej, którzy zaczęli uprawiać ten proceder, i nie stracił wcale szacunku do żadnego z nich.

- Wątpię, by rząd odmówił ci listu kaperskiego - powiedział Tharkay.

- Tak - odparł Laurence. To by rzeczywiście bardzo odpowiadało ich lordowskim gościom. Temeraire siejący spustoszenie wśród francuskich statków handlowych byłby znacznie lepszy od Temeraire'a siedzącego beczynnym w Nowej Południowej Walii, przy czym nie byłoby w tym żadnego ryzyka, które nieodłącznie wiązałoby się ze sprowadzeniem go z powrotem na front, gdzie przyłączyłby się do innych, podatnych na jego wpływ smoków, i pewnie znowu podzegał je do buntu.

- Nie zamierzam cię ponaglać - odezwał się Tharkay. - Jeśli jednak zechcesz poznać tych ludzi, będę do twoich usług.

- Ależ to brzmi wspaniale - zawołał z prawdziwym entuzjazmem Temeraire, kiedy Laurence przedstawił mu w naj- 0<7Ólniejszym zarysie propozycję Tharkaya. - Jestem pewny, że weźmiemy wiele przyzów; Iskierka nie powinna mieć z tym nic wspólnego. Jak myślisz, ile czasu upłynie, zanim wybudują dla nas okręt?

Laurence z największym trudem przekonał go, żeby nie uważał tego za sprawę załatwioną; Temeraire już snuł plany wykorzystania swojego przyszłego bogactwa.

- Chyba nie chciałbyś zamiast tego zostać tutaj? - zapytał zaniepokojony smok. - Nie żebym sugerował, oczywiście, że coś mi się tu nie podoba - dodał nieprzekonująco.

Poranki i późne wieczory były teraz jedynymi w miarę znośnymi porami dnia i zaczęli je przedłużać, wstając wcześniej i kładąc się późno do snu; słońce właśnie dopiero wstało nad portem, zalewając światłem wodę i zatoczki, przez co jaśniały blaskiem na tle ciemnej krzywizny wznoszącego się w dali lądu, ciemnozielonego i cichego. Temeraire nie jadł od dwóch dni. Nie było to szczególnie niepokojące, jeśli zważyć na jego beczynność, ale Laurence obawiał się, że w dużej mierze wynikało ze skrywanej niechęci smoka do tego, czym go karmiono. Był to godny ubolewania skutek tego, że Temeraire stał się wybredny w jedzeniu, co z kolei było bardzo niebezpieczne dla żołnierza- i tu Laurence musiał sobie znowu powtórzyć w duchu, że żaden z nich nie służył już w wojsku.

Mimo to mocny żołądek miał swoje zalety: on sam, od wczesnej młodości wychowany na prowiancie okrętowym, mógł bez końca zadowalać się zepsutymi sucharami i soloną wieprzowiną; chociaż nieczęsto musiał znosić takie warunki. Jednakże Temeraire zbyt wcześnie w życiu wyrobił sobie delikatne podniebienie i choć Gong Su robił, co w jego mocy, dał w końcu jasno do zrozumienia, że nie jest w stanie zmienić chudej dziczyzny, ze zwierzęcia składającego się w połowie z kości, ściągien i dziwactw anatomicznych, w kawał smakowitej, poprzerastanej lekko tłuszczem pieczeni wołowej. Na myśl o tym Laurence kolejny raz z rzędu zaczął się zastanawiać, czy jego finanse zniosłyby kupno jednej lub dwóch sztuk bydła na mały poczęstunek dla Temeraire'a.

- Oto idzie śniadanie Cezara - powiedział z westchnieniem Temeraire, usłyszawszy dobiegające z dołu żalosne muczenie krowy; ale kiedy dotarła na szczyt wzniesienia,

ciągnięta przez tylko trochę mniej przerażonego wyrostka, ten doprowadził ją nie do Cezara, ale do nich, po czym jękając się, przekazał wyrazy szacunku od pana MacArthura, a Laurence'owi podał kartę wizytową z zaproszeniem na kolację.

- Zastanawiam się, dlaczego zdobył się na taki gest - powiedział dość zaskoczony Laurence; przyjdzie MacArthura do kryjówki, która, choć jeszcze niezbyt dobrze zorganizowana, pełniła jednak rolę oficjalnej placówki wojskowej, było czymś zupełnie innym od zaproszenia Laurence'a do jego domu, gdzie w mieszanym towarzystwie, najpewniej z żoną gospodarza na czele, miałby zjeść kolację. - Naprawdę mnie to dziwi; chyba że-dodał cichym głosem-dotarły już do niego jakieś informacje o zainteresowaniu Rankina sprawą Bligha: to byłby wystarczający powód do takiego posunięcia.

- Uhm - mruknął niewyraźnie Temeraire, ogryzając wielką kość udową; całą uwagę niemal bez reszty skupił na entuzjastycznych przygotowaniach Gong Su. Poćwiartowana krowa była już w wielkim dole w ziemi, razem z wszelkiego rodzaju zieleniną oraz dodatkiem kaszy; nawet Cezar otworzył oko i przyglądał się temu ze skrywanym zainteresowaniem.

Ponieważ kolację wyznaczono na odpowiednio późną godzinę, mogli poczekać, aż dzienny skwar zelżeje i wyruszyć o zmierzchu; Temeraire, który po tak wspaniałym posiłku czuł się znakomicie, wzbіл się lekko w powietrze i poniósł go w ciemniejący, ale niczym niezmacony błękit nieba; znowu przez cały dzień nie widzieli na nim ani jednej chmury. Odległość, której pokonanie konno wymagałoby godzinnej jazdy po dość trudnym terenie, przebyli po dziesięciu minutach łatwego lotu. Obok domu ujrzeni duże, leżące odłogiem pole, na którym wylądował Téméraire.

- Podziękuj mu proszę za moją krowę - powiedział smok, układając się z zadowoleniem do drzemki. - To był bardzo hojny gest z jego strony i wcale go już nie uważam za tchórza.

Laurence ruszył przez pole w kierunku domu, ale przed wejściem na trawnik zatrzymał się na chwilę, by strząsnąć ziemię z obcasów: miał na sobie wytarte spodnie i wysokie buty, bardziej odpowiednie do latania, ale z uwagi na zaproszenie staranniej niż zwykle zawiązał krawat i włożył swój lepszy surdut. Na dziedziniec wyszedł stajenny i rozglądał się przez chwilę zdezorientowany, szukając konia Laurence'a, po czym wskazał mu drzwi: dom był wygodny, ale niespecjalnie okazały, zbudowany praktycznie, z myślą o pracy, ale jego wnętrze zostało urządzone elegancko i ze smakiem.

Wprowadzono go do salonu, gdzie powitały go zaciekawione spojrzenia zebranych tam ludzi: były tam tylko cztery kobiety na siedmiu mężczyzn, z których większość miała na sobie oficerskie mundury. Jedna z kobiet wstała i pan MacArthur, który właśnie podszedł do Laurence'a, żeby go powitać, przedstawił ją jako swoją żonę, Elizabeth.

- Mam nadzieję, że wybaczy pan nam dość swobodną atmosferę naszych spotkań towarzyskich - powiedziała, kiedy pochylił głowę nad jej dłonią. - Przestaliśmy niestety zważać na maniery w tym dzikim kraju, a upał dodatkowo niszczy wszelkie aspiracje do sztywnych zachowań. Mam nadzieję, że jazda do nas zbyt nie zmęczyła.

- Wcale, Temeraire mnie tu przyniósł - odparł Laurence. - Jest teraz na południowo-zachodnim polu; ufam, że nie jest to d' państwa duża niedogodność.

- Ależ żadna - odrzekła, ale otworzyła przy tym szerzej oc^ . a jeden z oficerów zapytał:

- Czy chce pan powiedzieć, że jeden z tych potworów siedzi na zewnątrz?

- Najostrzejszą bronią tego potwora jest jego język-wtrąci) się MacArthur. - Dał mi się nieźle we znaki. Czy udało mi się go choć trochę zjednać ta krową?

- Nawet bardzo - odpowiedział sucho Laurence. - Trafił pan dokładnie w jego słaby punkt.

Kolacja, niezależnie od ukrytych motywów, jakie jej przyświecały, była przyjemnym, cywilizowanym wydarzeniem. Laurence nie bardzo wiedział, czego może się spodziewać po kolonialnej elicie towarzyskiej, ale pani MacArthur była najwyraźniej kobietą z charakterem i chociaż rzeczywiście nie starała się przestrzegać wszystkich konwenansów, co z uwagi na klimat i sytuację w kolonii byłoby męczące i nieco absurdalne, dyrygowała wszystkim

wprawnie i z niemalym wdziękiem. Nie mogła podać wszystkiego naraz, podzieliła zatem posiłek na dwa dania, a w przerwie zachęciła gości do spaceru po oświetlonym lampami ogrodzie, po czym zmieniła ich rozmieszczenie przy stole, by damy miały nowych partnerów do rozmowy.

Sam posiłek był także dobrze dostosowany do pogody: zimna zupa ze świeżych ogórków i mięty, mięso w galarecie, bardzo cienkie plastry wołowiny, lekko gotowany drób, zamiast pud- dingu szeroki wybór ciastek, ze słoikami dżemu, oraz wyborna, aromatyczna herbata, podana w serwisie z porcelany najwyższej jakości, jednym przykładzie prawdziwego luksusu, jaki zauważył Laurence: wszystkie naczynia były białe i miały ten szczególny, delikatny odcień błękitu, którego nie udawało się odtworzyć w żadnej europejskiej wytwórni.

Wspomniał o tym gospodyni, przekazując jej wyrazy swoje- uznania: ku jego zaskoczeniu zrobiła nieco markotną minę "odpowiedziała:

Och, odkrył pan mój słaby punkt, panie Laurence; nie potrafię się oprzeć pokusie kupowania tych pięknych rzeczy, choć dobrze wiem, że nie powinnam tego robić, gdyż najpewniej pochodzą z przemytu.

_ Nie mów tego głośno! - krzyknął MacArthur. - Dopóki nie wiesz tego na pewno, możesz mieć swoje naczynia, a my naszą herbatę; a te wszystkie łobuzy niech sobie długo prosperują.

Jednym z wielu oskarżeń, z którymi Bligh wystąpił przeciwko buntownikom, było tolerowanie szmugłu: wszystkie zaułki

1 domy handlowe w Sydney były zalane towarami z Chin, których ceny dobitnie świadczyły o tym, że uniknęły monopolu Kompanii Wschodnioindyjskiej na taki handel.

- I spodziewam się, że obarczyłby nas także winą za suszę, gdyby usłyszał, jak mówię, iż moim zdaniem pogoda się nie zmieni jeszcze przez miesiąc - rzekł MacArthur, podając Laurence'owi kieliszek porto, kiedy damy ich opuściły. - Nie powiem, że nigdy nie sprowadziłem tu towarów, których gubernator mógłby nie pochwalić, ale mówię o rumie, który musimy mieć; nie zdołasz skłonić tu ludzi do pracy, jeśli nie napełnisz im szklaneczek, i to nie takim trunkiem, który kosztuje pięć szylingów za butelkę. To skądinąd cholerna głupota: ich marynowane w alkoholu wątroby nie potrafią odróżnić dobrego ciemnego rumu z Indii Zachodnich od towaru z Bengalu. Ale teraz nie możemy sprowadzić nawet tego; odkąd straciliśmy Przylądek nie ma też najmniejszego śladu żadnych innych dóbr 2 Afryki. A co do towarów chińskich, mój Boże! Gdybym miał sprzedawać chińskie wyroby w Sydney po dwa funty za skrzynię, Pokrywając przy tym wszystkie koszty i biorąc na siebie ryzyko transportu, to zamiast tego pakowałbym raczej to wszystko na statki i wysyłał do Anglii, i umarł bogaty jak Krezus. Słyszałem, że niektórzy tak robią i zarabiają niezły grosz, nawet jeśli mogą kupić tylko jedną skrzynię za każdym razem.

Odpowiedział mu ogólny pomruk zgody, po czym panowie opowiedzieli sobie kilka anegdot dotyczących umów handlowych. Słuchając tego, Laurence doszedł do wniosku, że wszyscy oficerowie byli także do pewnego stopnia kupcami, wszyscy kupcy byłymi oficerami, a niektórzy z nich także posiadaczami ziemskimi: nie czynili między sobą żadnych rozróżnień i być może nie powinni, jeśli nie byli jeszcze ludźmi interesu 0 odpowiednio wyrobionych pozycjach w kolonii albo też ich wyrosłe z awanturniczych przedsięwzięć fortuny nie były jeszcze wystarczająco duże, by zapewnić im przewagę nad innymi.

Gdy rozdano i zapalono cygara, MacArthur odciągnął go na bok, ku otwartym drzwiom, które wychodziły na ogród: chmury popiskujących nietoperzy unosiły się wokół drzew, na których poprzednio spały, wisząc do góry nogami.

- Jestem wdzięczny, że przyjął pan moje zaproszenie - zaczął. - Nie daliśmy panu zbyt wielu powodów, żeby pan z niego skorzystał.

- Jest pan dobrym gospodarzem - odpowiedział Laurence -
1 prawdę mówiąc, nie oczekiwałem takiego przyjęcia.

- Gubernator Bligh nazywa mnie zdrajcą- mówił dalej MacArthur- i chętnie by mnie powiesił. Nie będę udawał, że jest mi to całkowicie obojętne, w tych okolicznościach. Powiedziałem już panu, jak mi się wydaje, że jestem gotów stawić się przed sądem, który oceni moje czyny; i nadal jestem, ale nie mam zamiaru dać się zaciągnąć na szafot, zanim wyrok zostanie wydany.

Laurence nieco pośpiesznie spojrział na ogrody - kwiaty przywędły z powodu upałów, ale wciąż przyjemnie się patrzyło na nie, starannie uporządkowane w grządkach, i na szeroko rozpościerające się za nimi pola. Był świadomy tego, że posiadłość MacArthura jest sama w sobie potężnym argumentem na poparcie jego twierdzenia, iż osiągnął coś w swoim życiu, i w tym odległym» surowym kraju niósł sztandar cywilizacji: stając się symbolem dobrego smaku i ciesząc się powszechnym poważaniem. Laurence, tak długo już poza Anglią i jeszcze dłużej otoczony pogardą, tym mocniej czuł siłę tego argumentu.

- Proszę pana - zaczął - dobrze rozumiem, czego pan oczekuje; ale nie zobowiązę się z góry do podjęcia jakichkolwiek działań, a tym bardziej nie zrobię tego w imieniu Temeraire'a. Reputacja, którą się cieszę, może skłaniać do przypuszczeń, że zawsze będę sprzyjać buntownikom, ale wcale tak nie jest; i z tego powodu moja pomoc, gdyby ją pan uzyskał, wcale nie musiałaby być dla pana wielkim dobrodziejstwem.

- Z drugiej strony, jeśli mogę mówić otwarcie - odparł Mac- Arthur - pan, który niechętnie zapatruje się na przywrócenie gubernatora Bligha na stanowisko, znajdzie się w dość nieciekawej sytuacji, jeśli za kilka tygodni przyplynie tu fregata z wiadomością, że ogłoszono nas najgorszymi, nie powieszonymi jeszcze draniami na południe od równika, i że gubernator ma wrócić do władzy, choćby wymagało to użycia broni. Nie, nie poproszę żadnego człowieka tak nie związanego ze mną jak pan, żeby kładł obok mnie głowę na katowskim pieńku; ale jeśli jest pan wystarczająco otwarty, by mnie wysłuchać, mam propozycję, która pozwoli panu uniknąć konieczności angażowania się w nasze spory.

Zaprowadził Laurence'a do swojego gabinetu i wyłożył na biurko mapy kolonii oraz rysunki ciągnącego się wokół niej łańcucha gór, wielkiego labiryntu wąwozów i szczytów, naszkicowanego tylko z grubsza.

- Nasze cele mogą być zbieżne - podjął MacArthur. - Pan n'e chce mieć do czynienia z naszymi sprawami; no właśnie: ja także pragnę, by był pan stąd jak najdalej, a z panem wszystkie Srrri°ki. Przynajmniej do czasu przybycia fregaty. To nie może trwać zbyt długo, gdyż ta ostatnia przywiozła z Anglii pocztę datowaną na zaledwie miesiąc przed pojawieniem się tam statku z wieściami od nas.

Zaproponował wysłanie ekspedycji, której celem miałyby być znalezienie przejścia przez Góry Błękitne i wytyczenie szlaku dla bydła prowadzącego z kolonii na rozciągające się za tymi górami otwarte terytoria.

- Gdzie - kontynuował - możecie założyć kryjówkę dla waszych smoków i wziąć sobie tyle ziemi, ile tylko zechcecie: nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek przeciw temu protestował, kiedy to wy otworzycie drogę. O ile mi wiadomo, kapitan Granby jest wśród was najwyższy rangą i może rozkazać kapitanowi Rankinowi, żeby wziął udział w takiej misji: jeśli to nowe stworzenie zamierza nadal jeść tak dużo, wydaje mi się, że wy wszyscy powinniście zacząć myśleć, jak je wyżywić, zwłaszcza że niedługo wyklują się jeszcze dwa.

- Obawiam się, że to zmusi cię do przedłużenia pobytu tutaj - powiedział Laurence, dość niepewnie przedstawiając propozycję: nie podobało mu się, że prosi Granby'ego o udział w realizacji tego planu, jakkolwiek by to było korzystne.

Czuł się tak, jakby płynął nieznanym kanałem między płyciznami a skalistym brzegiem, na który spychał go wiatr: machinacjom MacArthura przyświecały cele wcale nie bardziej szlachetne niż te, do których dążył Bligh, a najpewniej mniej; nawet jeśli otwartość, z jaką zostały przedstawione, czyniła je bardziej pociągającymi, czemu sprzyjało także to, że sam MacArthur był człowiekiem o większym uroku osobistym. Ale żaden z nich nie patrzył

szerzej, poza granice ich zaściankowej kłótni, i nie dostrzegali tytanicznych zmagania obejmujących cały świat. Jeśli któryś z nich myślał o wojnie, Laurence tego nie zauważył, i chociaż chętnie złożyliby mu każdą obietnicę, żeby zyskać w nim potężnego sojusznika, którego potrzebowali, obaj nie rozumieli, jak kolosalną głupotą było marnowanie Temeraire'a w tym zapadłym zakątku świata.

To wystarczyło, żeby raz jeszcze zaczął się zastanawiać nad propozycją Tharkaya: pragnął znowu poczuć morski wiatr na twarzy, zobaczyć otwarty ocean i mieć przynajmniej tę świadomość, że robi coś dla dobra kraju, choćby to było działanie na tak małą skalę i tylko dywersyjne. Coś w jego sercu zrywało się na myśl o życiu najemnika; ale nie był pewny, czy powinien pozwolić, by to niemiłe uczucie stało mu na drodze i na drodze Temeraire'a. Nawet jeśli nie było w tym honoru, to nie widział go także tutaj, gdzie w najlepszym razie spełnialiby rolę chłopców na posyłki obojętnego nadzorcy, a w najgorszym pionków w egoistycznych sporach.

Jednak przyjmując propozycję MacArthura, dostałby szansę ucieczki, przynajmniej chwilowej, od konieczności dokonania wyboru. Nawet jeśli nie trwałoby to zbyt długo, Laurence w swoim obecnym nastroju był skłonny cieszyć się również tak drobnymi darami losu.

- Ale w żadnym razie nie będziemy ci tego narzucać - dodał - i ufam, że nie zrobisz niczego, co będzie sprzeczne z twoją oceną sytuacji, ani...

Ani, zamierzał dorzucić pospiesznie, nazbyt pochopnie, ale zanim zdążył dokończyć, Granby przerwał mu, mówiąc żarliwie:

- Na litość boską, ruszajmy jutro z samego rana. Żyję w śmiertelnym strachu, że pewnego dnia obudzę się gdzieś w głębi interioru: ona wciąż mówi o tym, żeby ruszyć na poszukiwanie słoni. Nie wiem jednak, co zrobić, jeśli Rankin nie zechce nam towarzyszyć. Nikt nie może zaprzeczyć, że Iskierka jest smokiem innej klasy, ale nie mam oficjalnego rozkazu, by tu być, Podczas gdy on go posiada; a kwestia starszeństwa jest tu smutną zagadką: on pierwszy był kapitanem, nawet jeśli od lat nie miał smoka.

- Sugeruję, żebyście się tym nie martwili, dopóki ten problem się nie pojawi - powiedział Tharkay - jeśli się pojawi - i tylko wzruszył ramionami, kiedy Rankin, ku zaskoczeniu Laurence'a, nie przedstawił żadnych zastrzeżeń ani co do planu, ani przyjęcia dowództwa przez Granby'ego. - Poparcie Bligha było mu potrzebne, kiedy myślał, że możesz próbować odmówić mu prawa do jaja - wyjaśnił Tharkay. - Angażując się w ten spór teraz, może już tylko bardzo mało zyskać, a wiele stracić; wyobrażam sobie, jak bardzo jest zadowolony z tego, że dałeś mu wygodną wymówkę, by się wycofać, zwłaszcza w sytuacji, gdy Granby musi wkrótce wrócić do kraju, co da mu okazję do przywrócenia swojego pierwszeństwa.

Jeśli pominąć drobną satysfakcję, że uniknie w ten sposób najgorszego, Laurence nie potrafił myśleć o ekspedycji z najmniejszą nawet przyjemnością. Nie było nic pociągającego w perspektywie pędzenia przez bezdroża bandy skazańców, a miesiąc w towarzystwie Rankina byłby dla niego dotkliwą karą nawet na terenie mniej ograniczonym od małego obozowiska; i jakby tego było mało, mógł się jeszcze spodziewać wrogości ze strony reszty awiatorów.

- Wiem, że zachowują się jak bęcwały, ale przydałby ci się choć jeden oficer - powiedział Granby w swojej kabinie okrętowej, dopisując na chybił trafił nazwiska awiatorów do listy na serwetce, którą tworzył z myślą wyznaczenia tymczasowych załóg dla Temeraire'a i Iskierki. Razem z rangą Laurence'owi odebrano oczywiście wszystkich podwładnych, a Iskierka zostawiła swoją załogę w Brytanii, kiedy tylko z Granby'm na grzbiecie ulotniła się bez pozwolenia, żeby popłynąć z nimi na antypody. - Czy weźmiesz Forthinga?

- Temeraire żywi do niego lekką awersję - odparł Laurence.

- Tak, wiem - mruknął Granby. - Chciałbym dać Forthingowi szansę pogodzenia się z nim; bo inaczej będziemy musieli przekonywać Temeraire'a, żeby dał mu spróbować szczęścia z

jednym z pozostałych jaj. Nie żeby Forthing był mniejszym bęcwałem od reszty, ale przynajmniej jest bęcwałem kompetentnym. Większość z pozostałych to wyrzutki Korpusu, podobnie zresztą jak same jaja. Ten cały Blicoln jest zadowolony z siebie, jeśli z szóstką ludzi uda mu się porządnie poskładać uprząż; zresztą słusznie, bo nie zdarza się to zbyt często.

Laurence kiwnął głową.

- Weźmiemy Fellowesa i Dorseta, oczywiście; a Roland i Demane dadzą sobie radę z resztą zadań, jak mniemam - powiedział. - Nie powinniśmy brać więcej ludzi, niż to będzie konieczne; nie ma potrzeby obciążać smoki.

- Mam nadzieję - wtrącił Tharkay- że pozwolicie mi wziąć udział w waszej wyprawie, jeśli nie będzie to dla was zbyt kłopotliwe.

Popatrzyli na niego ze zdziwieniem. Po chwili Laurence, tłumiąc z wysiłkiem ciekawość, odpowiedział:

- Oczywiście, jeśli tego chcesz.

Natomiast Granby nie mógł się powstrzymać i zapytał:

- Ale na Boga, po co? Skończy się to tak, że będziemy przez miesiąc kilofami przebijać się przez skały, i to w najgorętszej porze roku, a tam nie ma żywej duszy: chyba że zobaczymy jakichś krajowców, ale z trzema smokami na pewno nam się to nie uda.

Tharkay milczał przez chwilę, po czym odpowiedział spokojnie:

- Najpierw będziecie badać teren z powietrza; jeśli jest tam jakiś używany szlak, w ten sposób najłatwiej będzie go znaleźć.

- Gdyby tam był jakiś używany szlak, nie musielibyśmy go budować - odpowiedział Granby.

- Nie spodziewam się znaleźć drogi odpowiedniej do powszechnego użytku - rzekł Tharkay.

- W najlepszym razie Sc'eżkę dla mułów, jak myślę.

- Ale... - zaczął Laurence i ledwie zdołał się powstrzymać

Granby także umilkł, z otwartymi ustami: było jednak jasne że Tharkay nie zamierza powiedzieć więcej.

- Och, jeśli tego chcesz, dobrze - powiedział w końcu lekko zakłopotany Granby, zerkając na Laurence'a.

- Będziemy się cieszyć z twojego towarzystwa - dodał Laurence z ukłonem i dopiero potem, w rozmowie z Temeraireem, dał wyraz swojej konsternacji.

- Może zamierza szukać przemytników - odparł beztrząsoko smok, skubiąc następną porcję nadziewanej rodzynekami baraniny: MacArthur przysłał kolejny prezent tego ranka, nie zasypiając gruszek w popiele.

Laurence popatrzył na niego pytająco.

- Cóż, jeśli ktoś zna tajną drogę i nikomu o niej nie powiedział - zaczął Temeraire, przełknąwszy - to oczywiście, że musi ukrywać ją z jakiegoś powodu; a sam niedawno mówiłeś mi o tych wszystkich towarach z Chin, które jakoś tu docierają.

- To byłby bardzo osobliwy sposób sprowadzania towarów do miasta portowego - powiedział powątpiewająco Laurence, ale wtedy przypomniał sobie, że Tharkay jest teraz w służbie dyrektorów Kompanii Wschodnioindyjskiej: na prośbę Madena mógł także podjąć się takiego zadania, nawet jeśli nie wydawało się to prawdopodobnym wytłumaczeniem jego chęci towarzyszenia im w wyprawie.

- Ale każdy mógłby pomyśleć o przeszukaniu statków i doków, żeby ich złapać - odparł Temeraire i Laurence po krótkim namyśle przyznał, że jeśli ostatecznym celem było wysłanie towarów do Anglii, takie rozwiązanie byłoby idealne: najpierw wprowadzało się je skrycie na rynki w mieście, po czym kapitan każdego statku mógł je otwarcie kupić i wywieźć dalej.

- W takim razie muszą je wylądowywać w jakiejś wygodnej zatoczce, gdzieś dalej na wybrzeżu - powiedział Laurence - • transportować lądem; ale to by była bardzo okrężna droga, przez niezamieszkały i niebezpieczny kraj.

Nie ma żadnego niebezpieczeństwa, jeśli są tam tylko kangury - odrzekł lekceważąco Temeraire.

Zwinęli obóz zgodnie z najszczerzszymi pragnieniami Gran- bv'ego już następnego ranka, z całą szybkością i zamieszaniem typowymi dla Korpusu Powietrznego, zwłaszcza gdy wyruszał w drogę z tak lekkim oporządzeniem: większość bagażu stanowiły proste oskardy, młoty i łopaty, zamiast bomb i prochu, oraz kilka namiotów, które miały zapewnić im schronienie na noc. Pomimo pełni lata góry były bujnie zielone, nawet widziane z dużej odległości, mogli więc liczyć na znalezienie wystarczająco obfitych źródeł wody i dlatego nie musieli zabierać ze sobą jej dużych zapasów. Zgromadziwszy zatem tylko kilka worków sucharów oraz beczek solonej wieprzowiny, byli gotowi do drogi.

Robotników zebrano z takim samym pośpiechem. Kilkunastu skazańców, którym obiecano wolność za wykonanie tego jednego zadania, zapędzono z pewnym trudem na cypel, a potem umieszczono w sieci pod brzuchem Temeraire'a. Była to dziwna, niezbyt piękna zbieranina ludzi, w większości wychudzonych i żylastych, o twarzach, w których można było wyczytać osobliwe podobieństwo, być może zrodzone z cierpienia i przedkładanej przez nich nad inne formy pociechy; świadczyły o tym siateczki popękanych naczynek krwionośnych wokół ich nosów i przekrwione oczy.

Kilku spośród nich sprawiało wrażenie trochę lepiej nadających się do czekającej ich pracy: Jonas Green, o potężnych barkach i ramionach, wyglądał, jakby go wykuto, i to niezbyt starannie, ze skały; ze wszystkich skazańców tylko on nie był Pijany, kiedy dotarli na cypel. Robert Maynard był bardziej otyły niż umięśniony i nikt nie mógł mu zarzucić abstynencji, ale podobno znał się trochę na kamieniarstwie, a jego dłonie to potwierdzały: stwardniałe jak żelazo, nieproporcjonalnie duże, o grubych palcach.

- Lepiej, żebyście na niego uważali - poradził MacArthur, przekazując im listę tych ludzi. - Został zesłany za kradzieże kieszonek. Nie może narobić wiele szkody w dziczy, ale radzę wam pilnować sakiewek, kiedy będziecie wracać.

Chociaż prawie wszyscy byli jeszcze trochę podchmieleni i kiedy maszerowali na cypel, było tak wcześnie, że noc jeszcze w pełni nie ustąpiła, perspektywa podróży na smoku, a właściwie pod smokiem, wyraźnie się skazańcom nie spodobała, zwłaszcza gdy zobaczyli wyłaniający się z mglistego półmroku łeb Temeraire'a, i byli skłonni natychmiast się wycofać.

- Nie można wymagać czegoś takiego od ludzi - krzyknął piskliwym głosem Jack Telly, wątpy człowieczek o smutnych oczach i wyrazie wiecznego rozczarowania na twarzy, którego niepozorna postać dziwnie nie pasowała do gwałtowności, z jaką wyraził swój protest. - Mogę machać kilofem przez dzień i noc, i będę to robił, ale nie dam się bez pytania mnie o zgodę wepchnąć pod brzuch smoka.

Powszechna zgoda, z jaką pozostali podchwycili jego sprzeciw, opierała się wszelkim logicznym argumentom, i udało się ją przewyciężyć tylko dzięki odpowiednio dużym dawkom rumu oraz pochlebstw. Dopiero wtedy ludzie, mniej lub bardziej otepiali - co niewiele różniło się od metod wykorzystywanych przy przenoszeniu bydła, zauważył z rezygnacją Laurence - dali się umieścić w sieci ładunkowej. Tylko Green pokręcił przecząco głową, kiedy podawano mu szklanekę z rumem, nie dając się tak przekupić; był jednym ze skazańców, których przywiózł niedawno Allegiance, i teraz wszedł do sieci nie tyle z wyrazem pewności siebie na twarzy, ile raczej stoickiej rezygnacji: jakby było mu zupełnie obojętne, czy smok go pożre, czy też nie.

Forthing, bacznie obserwowany przez Temeraire'a, sprawnie pokierował załadunkiem, po czym nieco sztywno, ale bez otwartej nieuprzejmości, powiedział:

_ Uważam, że jesteśmy gotowi, panie Laurence.

Granby, pomyślał Laurence, musiał w rozmowie z nim rzucić kilka przejrzystych aluzji na temat jego perspektyw i tego, jakie ma szanse je poprawić, jeśli zdenerwuje smoka opiekującego się jajami, które są jego jedyną nadzieją na awans.

- Czy jaja są dobrze zabezpieczone? - zapytał Temeraire, węsząc pod własnym brzuchem, gdzie je umocowano, starannie opatulone kocami; absolutnie odmówił pozostawienia ich na miejscu, nawet pod opieką Riley'a.

- Nie: gdyż Bligh jest wciąż na okręcie - odpowiedział, gdy przedstawiono mu korzyści płynące z takiego rozwiązania - i pomijając już to, że mógłby im zrobić coś złego, to gdyby się właśnie wyklulo jedno z młodych, wcale bym się nie dziwił, jeśli Bligh spróbowałby wziąć je dla siebie, ponieważ Rankin chyba jednak nie wyświadczy mu tej przysługi, której od niego oczekiwał. W normalnych okolicznościach wcale bym się nie martwił - mówił dalej - ale najwyraźniej podróż morska bardzo źle wpłynęła na jaja: to jedyne wyjaśnienie zachowania Cezara, moim zdaniem - dodał z wielką dezaprobatą.

- Sprawdźcie proszę, czy to małe jest dobrze umocowane - oznajmił teraz. - To byłoby po prostu straszne, gdyby wypadło.

- Sieć jest ciasno naciągnięta i wyściółka się nie przesuwająca - odparł Laurence, pociągając grube liny sieci brzusznej i opierając się na niej całym ciężarem. - I nie musimy się obawiać spadku temperatury. Teraz spróbuj ty.

Temeraire stanął na tylnych łapach i potrząsnął uprzężą; nie 2 takim wigorem, jak to czynił zwykle, gdyż bardzo bał się o jaja, aie wystarczająco mocno, by się upewnić, że nic się nie urwie.

- Wszystko leży dobrze - oświadczył.

- Jeśli jesteś gotowy - powiedziała Iskierka - to może bvś. my już ruszyli o jakiejś rozsądnej porze, zamiast siedzieć tu godzinami.

- Niektórzy z nas - odparował ostro Temeraire - przenoszą różne rzeczy, zamiast być zupełnie bezużytecznymi; a jeśli ty nie dbasz o bezpieczeństwo jaj, ja taki nie jestem.

Iskierki nie można było łatwo wykorzystać do transportu: przez jej kostne wyrostki, z których niemal bez przerwy wydobywała się para, podróżowanie na niej było ryzykowne dla wszystkich z wyjątkiem dobrze wyćwiczonych ludzi, a wszelkie pakunki, które przenosiła, musiały być starannie owinięte ceratą; dlatego była o wiele mniej obciążona od Temeraire'a, niosąc tylko Granby'ego i swoją tymczasową zredukowaną do minimum załogę.

- Nie rozumiem, dlaczego musimy się tak spieszyć - powiedział z niezadowolaniem Cezar, żeby zająć przeciwne stanowisko; nie był jeszcze skłonny robić czegokolwiek oprócz spania i jedzenia, jak to zwykle było ze świeżo wyklutymi młodymi, i nuda, przez którą Iskierka stawała się zagrożeniem dla wszystkich, jeszcze mu specjalnie nie dokuczała. - Moglibyśmy wyruszyć jutro; albo wtedy, gdy będzie chłodniej.

- To nie nastąpi jeszcze przez trzy miesiące - odparł Temeraire. - A teraz przestań narzekać i zabierajmy się stąd.

Mimo obaw przed trudnościami i nudą Laurence nie mógł jeszcze się oprzeć uczuciu przyjemności, jakie towarzyszyło mu, gdy wspinał się na grzbiet Temeraire'a, gdy słyszał znajomy szcęk metalowych karabińczyków, którymi przypinał się do pierścieni uprząży; i myślał o swojej załodze, nieważne, jak małej, zajmującej miejsca za nim; i o pozostałych smokach, wyruszających z nimi na tę wyprawę. A potem potężny skok w górę: rozpostarte z trzaskiem skrzydła Temeraire'a, bijące powoli i miarowo gorące powietrze, nieskończony błękit nad nirni i blask wody w dole.

Allegiance i całe Sydney malowały w oczach, zmieniając się w malownicze obrazki, zakurzone drogi stawały się złotymi wstążkami, a regularne prostokąty pól i sadów poza granicami miasta rozwijały się pod nimi niczym dywan; cienie smoków przesuwały się po nich, prześlizgując się po szczytach wzgórz, zapadając w doliny między nimi, a w dali wznosiły się tonące w błękitnej mgłę góry.

Rozdział 5

T

o uczucie narastało stopniowo, w miarę jak pola uprawne ustępowały nietkniętemu ludzką ręką pustkowiu, urozmaiconemu przez kępy prastarych eukaliptusów, których dziwnie ostry zapach wzmagął się, jeśli lądowali w ich pobliżu. Powoli znikły też pod warstwą liści ostatnie ścieżki myśliwych. Przelecieli nad dość dużą rzeką i podążyli na zachód wzdłuż jej małego, wijącego się leniwie dopływu, w nadziei, że w końcu znajdą przejście; ale nie było żadnego. Zamiast tego dzień po dniu natykali się na kolejne wysokie, strome urwiska, u których podnóży piętrzyły się stosy kamyków i popękanych głazów zwietrzałego piaskowca, tych żółtych, niedawno odpadłych, i starych, z szarymi plamami.

Wąwozy miały w sobie coś z labiryntu. Słońce zaglądało do nich późno i szybko znikало, kryjąc się za ścianami skalnymi, które wznosiły się niemal pionowo. Na początku byli zadowoleni z chłodniejszego powietrza przy rzece i głębokiego, długo utrzymującego się tam cienia, ale w miarę upływu dni, gdy kolejne zmiany kierunku poszukiwań i próby podążania jeszcze jednym odgałęzieniem strumienia okazywały się bezowocne, Laurence zaczął zdawać sobie sprawę z narastającego w nim i innych niepokoju. Nie oddalili się jeszcze od Sydney nawet o czterdzieści

?1 lotem smoka, a mimo to pokonali już odległość chyba dziesięć razy większą, poruszając się tam i z powrotem.

jsjie chodziło tylko o brak śladów cywilizacji; to nieobecność jakichkolwiek oznak ludzkiego życia sprawiała, że czuli się tak nieswojo. Mieli wrażenie, że cały ten kraj jest niezamieszany, nie pusty, lecz opuszczony. Raz w nocy zobaczyli odległe ognisko; rankiem ruszyli pieszo, żeby to sprawdzić, mając nadzieję spotkać jakiegoś tubylca, którego może udałoby się zatrudnić jako przewodnika; ale w głębokich, gęstych zaroślach nie znaleźli nawet śladów obozowiska, które potwierdziłyby, że rzeczywiście widzieli ogień, czy też pozwoliły się im upewnić, iż gdzieś w promieniu dziennego lotu jest choćby jedna żywa dusza. Od czasu do czasu znajdowali na kamieniach znaki: białe lub czerwone ślady dłoni; ale wszystkie one były stare, podniszczone przez deszcze oraz wiatr, i świadczyły tylko o tym, że jeśli ktoś zamieszkiwał te tereny, upłynęło już od tego czasu wiele lat.

- Wymarli, na ospę lub inne choroby - powiedział O'Dea, kiedy Laurence w rozmowie z Tharkayem zaczął się zastanawiać, dlaczego ta kraina została opuszczona: był starszym skazańcem, człowiekiem posiwanym i przepitym po ciężkich latach zsyłki, ale niepozabawionym wykształcenia. - Mocno ich to uderzyło, w pierwszych latach po naszym przybyciu tutaj. Widzieliśmy, jak umierali w Sydney: ich ciała pływały w zatoce, pokryte żalobną bielą, a ich ogniska stopniowo gasły, aż zupełnie znikły; teraz zupełnie odeszli i tylko ich klątwy zostały.

Był Irlandczykiem i dawnym prawnikiem, aresztowanym podczas rozruchów z dziewięćdziesiątego ósmego i skazanym na dożywotnie zesłanie; ta ekspedycja była dla niego pierwszą 'zapewne ostatnią szansą odzyskania wolności, gdyż przybył do kolonii piętnaście lat wcześniej i chociaż często pocieszał się przez ten czas rumem, nie utracił całkowicie ducha ani talentu do niewygodnej dla władz poezji.

Ponieważ wiele zdawało się świadczyć, że O'Dea ma rację, Laurence nie wątpił w jego wyjaśnienie, choć mogło być ono nieco przesadzone: w Sydney widywał czasem tubylców, przechodzących przez miasto lub pływających w łódkach po zatoce, albo na pozór niezainteresowanych życiem kolonii, albo sprawiających wrażenie nieprzyjaznych. Ale było ich niewiele, a tu miał przed sobą dowody przemawiające za tym, że ten kraj był kiedyś zamieszany, że do tego zapadłego zakątka świata ściągali ludzie - nie raz, ale często, gdyż najświeższe ze znaków położono na starszych - a teraz był opustoszały. Było coś przynębiającego w tych blaknących odciskach dłoni na skałach, które znikwały w półmroku,

gdy wchodzili głębiej w wąwozy: będąc zarazem upamiętnieniem, jak i roszczeniem, zdawały się być symbolem tej ziemi, która odmawiała im przejścia.

Od kiedy odkryli te ślady, nastrój niepewności wśród członków ekspedycji jeszcze bardziej się pogłębiał. Temeraire także nie był na to uodporniony.

- Nie rozumiem, dlaczego jeszcze nie znaleźliśmy drogi - narzekał. - Ilekroć wzbijamy się ponad szczyty gór, wygląda to tak, jakby jeden wąwóz powinien się spotykać z drugim, pod drzewami, ale kiedy wracamy na ziemię, okazuje się nagle, że poszliśmy w złą stronę, albo że wąwozy wcale się nie łączą i czeka na nas wielka kupa kamieni; i wszystko wygląda tak samo. Wcale mi się to nie podoba i wydaje mi się to wielce osobliwe, że tak często gubimy drogę.

Brakowało też dużej zwierzyny, a kiedy udało im się coś upolować, wszystko zjadały smoki; Cezar niemal bez ustanku narzekał na swoje bardzo pomniejszone menu, aż w końcu i jemu udzieliło się ogólne przygnębienie, i wtedy mówił już tylko o powrocie do Sydney.

- W tym miejscu nie ma niczego dobrego - powtarzał. - Lepiej postarajmy się o nadanie ziemi bliżej miasta, gdzie jest słoneczniej i przyjemniej; a nie tutaj, gdzie nawet niczego nie można zobaczyć za tymi drzewami.

Niemal każdego dnia musieli poświęcić trochę czasu na poszukiwanie wody, chociaż w rezultacie nieudanych prób znalezienia drogi często mogli wrócić do swojego poprzedniego obozu nad rzeką. Jednak piąty dzień ich badań terenu zakończył się jeszcze większym zamieszaniem. Z powietrza wydawało im się, że dwie doliny łączą się bardzo wąskim przejściem, przez które mogliby przejść piesi wędrowcy, aczkolwiek tylko gęsiego.

- Zadowolę się tym, chętnie - powiedział Granby. - Można to poszerzyć i być może, gdy już znaleźliśmy jeden szlak, znajdziemy i inny, jeśli poszukamy go gdzie indziej.

- Co więcej, kiedy my będziemy go szukać, ludzie mogliby się tymczasem zabrać do pracy, na co nadeszła już najwyższa pora - dodał Rankin, spoglądając chłodnym wzrokiem na skazańców, którzy nie wygramolili się jeszcze ze swoich legowisk w prowizorycznym obozowisku, chociaż był późny ranek. - Jak dotąd nie zajmują się niczym oprócz picia rumu i próżniactwa, i jestem pewny, że możemy się po nich spodziewać tylko kłopotów, jeśli zostawimy ich na pastwę urojeń i szalonych wymysłów.

Te szalone wymysły szerzyły się obecnie nie tylko między skazańcami.

- Mam nadzieję, sir - bąknął cicho do Laurence'a Fellowes, jego stateczny i zwykle trzeźwo myślący dowódca załogi naziemnej - mam nadzieję, że zachowa pan ostrożność w tym przejściu; jestem pewny, że ten pech prześladował nas nie bez powodu.

- Mnie się to także nie podoba - powiedział Temeraire. - Może powinienem spróbować to poszerzyć, zanim tam wejdzie- c'e; przekonałem się, że boski wiatr zupełnie dobrze nadaje się do rozbijania skał.

- Może też spuścić połowę urwiska na nasze głowy-wtrącił Rankin.

- Chyba na twoją głowę, ale to by nikogo nie zmarzło - wybuchnął Temeraire, ale ta krytyka była niestety stu[^] i eksperyment został poniechany: ściany z miękkiego piasków kruszyły się nawet wtedy, gdy pocierali je mocno dłońmi w rżanych rękawicach, i wszędzie ponad linią drzew skały nosiły blizny po małych lawinach i osuwiskach.

Dno wąskiego wąwozu było nierówne i pokryte żwirem oraz małymi kamykami, w których tonęły ich stopy, a tam, gdzie trawa i różne rośliny zdołały zapuścić korzenie, sięgający po łowy łydek gąszcz dodatkowo utrudniał marsz. Mogli iść tylko gęsiego, a wznoszące się po obu stronach skalne ściany były tak blisko siebie, że gdy spoglądali w górę, widzieli tylko wąski pasek nieba; Laurence nie mógł się oprzeć wrażeniu, że te ściany napierają na nich.

Wiatr, dodatkowo stłoczony w wąskim przejściu, gwizdał na ostrych krawędziach lub w szczelinach skalnych. W pewnym momencie natknęli się na wysokie usypisko i Laurence pośliznął się, schodząc po drugiej stronie, po czym zjechał w dół w kaskadzie luźnych

kamyków, czując, jak piasek wciska mu się we wszystkie zakamarki ubrania: przewróciwszy się na plecy, próbował niezdarnie wesprzeć się na rękach, które utonęły w żwirze aż po nadgarstki, ale tylko zsunął się jeszcze niżej.

Kiedy w końcu się zatrzymał, leżał najpierw przez chwilę lekko oszołomiony, po czym, gdy skupił wreszcie wzrok, zobaczył dokładnie przed sobą kolejny występ skalny, na wysokości równej wzrostowi kilku ludzi nad ziemią, pokryty znakami wykonanymi ochrą: odciskami dłoni i wyblakłymi malowidłami. Ze ściany skalnej wystawała bardzo wąska i stroma półka, dzięki której wyjątkowo sprawny wspinacz mógłby się dostać na górę.

Laurence podniósł się z trudem i dopiero wtedy zobaczył, że droga się skończyła: kolejny raz dotarli do końca wąwozu, który okazał się ślepy. Była tam tylko mała trawiasta polana przez niemałe zaokrąglone ściany skaty, z których

Otj-n w yrastało prawie horyzontalnie trochę iglastych roślin, SZCZ^ minających pnącza, i małych drzewek, a widoczny nad P1^70 teD z malowidłami sprawiał wrażenie opuszczonego nim' wysivF stanowiska wartowniczego.

Granby, który zsunął się z usypiska w sposób bardziej kontrolowany, zobaczył od razu ślepy koniec i nic nie powiedział. Oprócz grzechotu kilku kamyków, które potoczyły się spod jego stóp, niczego nie było słychać. Cisza była wręcz namacalna, gdyż wszystkie dźwięki tłumili otaczające ich ściany skalne oraz usypisko za ich plecami.

- Kolejny fałszywy trop, co? - burknął zirytowany Rankin ze szczytu usypiska, przerywając ciszę, ale nie naruszając dziwnego, niemal katedralnego spokoju tego miejsca. Nawet on mu się poddał: jego słowa utonęły bez echa i więcej się nie odezwał.

Wydostać się z tej polanki było trudniej, niż na niej wylądować; Granby zdołał to jakoś zrobić, za cenę otartych do krwi dłoni, ale Rankin musiał się w końcu zaprzeć o ścianę i podać rękę Laurence'owi, żeby pomóc mu wdrapać się na usypisko. Pomimo niestabilnego gruntu Rankin bez trudu utrzymywał równowagę: w końcu był, Laurence nie mógł temu zaprzeczyć, urodzonym awiatorem; jego trening rozpoczął się, gdy bliżej mu było jeszcze do kołyski niż wieku siedmiu lat, kiedy to większość chłopców wstępuje na służbę.

Wrócili w ponurych nastrojach długim, wąskim wąwozem, w milczeniu przeżywając kolejne niepowodzenie. Ponieważ słońce tymczasem wzniosło się wysoko i świeciło nad ich głowami, droga dłużyła im się o wiele bardziej niż wtedy, gdy szli w przeciwną stronę, a kiedy w końcu dotarli do czekających smoków, Laurence był bardzo znużony i mokry od potu.

- Nie - powiedział krótko, gdy Temeraire uniósł pytająco głowę. - Nie ma przejścia. Musimy wrócić nad rzekę.

- To jakiś przeklęty kraj - oświadczył głośno i cierpko Jack Telly, przekrzykując pomruki zniechęcenia i sprzeciwu innych skazańców, kiedy porucznik Blincoln bez entuzjazmu próbował ustawić ich w szeregu i przygotować do wejścia do sieci ładunkowej - i nie rozumiem, po co komu jakaś droga przez to pustkowie; jeśli nie chcemy skończyć jako wysuszone trupy, które ktoś znajdzie za dziesięć lat, wracajmy lepiej do miasta. I nie dostałem nic do picia przez cały ranek.

- Wystarczy tego, panie Telly; dostanie pan swoje, kiedy rozbijemy obóz nad rzeką, jeśli przedtem nie otrzyma pan batów za symulowanie choroby - powiedział Forthing i dwoma uderzeniami kija obudził Maynarda i Hoba Wesseksa, którzy nawet nie zdjęli kapeluszy ze swoich twarzy.

Poszedł także szturchnąć Jonasa Greena, który leżał zwinięty w cieniu drzewa, ale ten nie poruszył się nawet, tylko jęknął; po drugim szturchnięciu Forthing spojrział na Laurence'a i powiedział cicho:

- Sir, czy mógłby pan...

Stojący po drugiej stronie polany Rankin odwrócił się od Cezara, któremu poprawiał pas uprzęży, i powiedział, marszcząc brwi:

- Co tam się dzieje? Obudź tego człowieka.

Forthing zawahał się; teraz wszyscy patrzyli już w jego stronę, a Green wciąż się jeszcze nie poruszył.

- On nie jest pijany, sir - powiedział.

Laurence podszedł i popatrzył na leżącego; Green był zwinięty w kłębek i dosłownie spływał potem, który przesiąkał przez koszulę wielkimi, ciemnymi plamami; kiedy go odwrócili, okazało się, że jego ręka jest spuchnięta i zaczerwieniona wokół dwóch małych czarnych nakłuc.

Dorset obejrzał ją-choć dbał głównie o zdrowie smoków, był wśród nich kimś najbliższym lekarzowi - po czym pokręcił głową-

- Może wąż albo pająk; trudno powiedzieć.

- Co powinno się zrobić? - zapytał Laurence.

- Będę szczegółowo zapisywał objawy i postępy choroby - odparł Dorset. - Jak rozumiem, w tej części świata odkryto już wiele wysoce jadowitych gatunków; to będzie ogromnie interesujące dla Towarzystwa Królewskiego.

- Tak, ale co tymczasem można zrobić dla tego biednego nicponia? - wykrzyknął Granby.

- Ach, mogę zawiązać mu rękę, ale myślę, że jad już się rozprzestrzenił - odpowiedział z roztargnieniem Dorset, starając się wyczuć puls Greena. - Może nie umrze; to zależy od siły jadu i od jego naturalnej odporności.

Green zajączał cicho i niezrozumiale, kiedy poczuł dotknięcie, i zwymiotował, zanim zdążyli przenieść go do sieci ładunkowej; z powodu jego stanu ucichły najgłośniejsze narzekania, ale ciche pomruki niezadowolenia narastały, kiedy skazańcy zajmowali miejsca pod brzuchem Temerairea: to ostatnie wydarzenie wydawało im się kolejnym dowodem wrogości kraju, który ich otaczał.

Być może z powodu tego wypadku, albo tylko na skutek zmęczenia, skręcili gdzieś w złym kierunku, a przynajmniej do takiego wniosku doszedł Laurence, kiedy po godzinie lotu nie odnaleźli jeszcze miejsca ich poprzedniego obozowiska nad rzeką. Wprawdzie słychać było szum płynącej wody, ale w wąwozach odległe odgłosy wydawały się czasem bliskie, i nawet z dużej wysokości widzieli tylko nieprzeniknioną zieleń i występujące na przemian płaskie szczyty urwistych wzniesień, wyrastające z kompletnie zarośniętych drzewami dolin między nimi.

Było bardzo gorąco. Nagle i bez żadnego ostrzeżenia Cezar opadł na ziemię, całkowicie wyczerpany. Znalazł sobie odrobiną cienia na skraju polany i zwinął się w kłębek, choć raz bez żadnego narzekania; zamknął tylko oczy i leżał, ciężko oddychając, Rankin zszedł na ziemię i stanął obok niego ze zmarszczonym z niepokoju czołem, natomiast Dorset, lekarz smoków, zsunął się z grzbietu Temeraire'a, żeby przeprowadzić badanie. Zajrzał do pyska Cezara, jego nozdrzy, a potem znowu nałożył okulary i wyprostował się.

- Moim zdaniem nic poważnego mu nie dolega, ale jest przegrzany i spragniony: na tym etapie swojego rozwoju nie potrafi jeszcze gromadzić wody na zapas, żeby móc dłużej znosić jej niedostatek.

- Cóż, nie widzę tu żadnej wody, nie ma więc sensu, żeby tu teraz leżał - powiedziała bezdusznie Iskierka, trącając nosem Cezara w bok; nie poruszył się, tylko słabo zamachał długim, wąskim końcem ogona. - Ja też jestem spragniona; i wcale nie zaspokajam pragnienia, kiedy tu siedzimy.

- Kapitanie Granby - warknął Rankin - czy byłby pan łaskaw zapanować nad swoim zwierzęciem? Nie pozwolę Cezarowi latać dłużej na oślep w tym upale; będziemy musieli poczekać do zmroku.

- Tylko że to moje zwierzę, jak pan to określił, ma rację; nie mamy tu wody i nie znajdziemy jej łatwiej po ciemku - odparował Granby. - Już niedługo on będzie potrzebował czegoś więcej niż tylko odpoczynku. Czy nie moglibyśmy go posadzić na grzbiecie Temeraire'a?

Temeraire położył krezę i dość niechętnie powiedział do Laurence'a:

- Och, mogę go ponieść, jeśli będę musiał, ale myślę, że lepiej by było, gdybyśmy zostawili wszystkich na ziemi i najpierw poszukali wody sami. Gdy już ustalimy, gdzie jest, możemy wrócić i przenieść ich tam, kiedy się ochłodzi i latanie z pełnym obciążeniem nie będzie tak nieprzyjemne.

Laurence pokręcił głową.

- Wolałbym, żebyśmy się nie rozdzielali - odparł - zwłaszcza kiedy się już przekonaliśmy, jak łatwo tu zabłądzić; przez to myślenie, że wystarczy wzbić się wyżej, by odnaleźć drogę, staliśmy si? zbyt pewni siebie. Mam wrażenie, że w ciągu ostatniego kwadransa lataliśmy w kółko, bo słońce nie zmieniło położenia.

- Wydaje mi się - wtrąciła Iskierka - że przyczyną naszych kłopotów są te wszystkie drzewa dookoła nas; mogłabym część z nich podpalić i wtedy być może zobaczylibyśmy rzekę.

- Jednak po czterech dniach pożaru lasu byłoby to nam już raczej obojętne - powiedział uszczypliwie Rankin.

Drzewa też nie należały do takich, które łatwo dałoby się podpalić czy też powalić; nie były to karłowate krzewy, lecz stare olbrzymy o potężnych pniach, które choć dziwnie się łuszczyły, były surowcem najwyższej jakości; Laurence widział kilka, z których można by zrobić nowy grotmaszt Allegiance. Nawet Temeraire, mimo swej siły, nie zdołałby łatwo powalić któregoś z nich, a upadek jednego drzewa byłby niewielkim i niemal niezauważalnym ubytkiem w zielonej pokrywie.

Ostatecznie postanowili poczekać trochę dłużej: słońce osiągnęło zenit i z rozpalonego nieba żar lał się prosto na nich. Powietrze było niemal nieruchome, a leciutki wietrzyk, który czasem wiał, nie przynosił ulgi, tylko sprawiał, że skóra stawała się jeszcze bardziej sucha, a spękane usta białły.

Zdjęli ładunki ze smoków, po czym Rankin rozkazał skazańcom nałamać gałęzi z młodych drzew, powyrywać trochę krzaków i obłożyć nimi boki Cezara, żeby zapewnić mu nieco głębszy cień oraz odrobinę chłodu z wody, która w nich pozostała. Mężczyźni spełnili jego polecenia z najwyższą niechęcią i niedbale, po czym z większą ochotą zrobili to samo dla Jonasa

Greena: ułożono go w największym cieniu, a Dorset starał się wlać mu do ust odrobinę wody z małego kubka.

Reszta skazańców znalazła sobie miejsca pod drzewami i wróciła do typowego dla siebie stanu odrętwienia. Rankin krążył przez jakiś czas po polanie, jakby się zastanawiał, czy powinien spróbować popędzić ich znowu do pracy, ale pokonany w końcu przez skwar usiadł pod jednym z wysokich eukaliptusów naprzeciw swojego smoka i zamknął oczy. Green pojękiwał od czasu do czasu i poruszał się; wciąż obficie się pocił, a kiedy się budził, nie mógł mówić, tylko mamrotał coś niezrozumiale, po czym znowu zasypiał. JB

Temeraire westchnął, ale niezbyt głośno: on i Iskierka z trudem zmieścili się na małej polance i leżeli, niezbyt wygodnie, owinąwszy się wokół strzelistych pni najwyższych drzew. Nie dość, że nie był całkowicie osłonięty przed intensywnym światłem słońca, to jeszcze nie mógł rozłożyć skrzydeł, jak to zwykł czynić, kiedy było mu bardzo gorąco. Zrobił zatem, co mógł, żeby osłonić głowę, po czym także zamknął oczy. Laurence który siedział nie przy nim, ale w pobliżu, też zasnął lub zapadł w stan podobny do snu, choć ani w połowie tak kojący: miał wrażenie, że unosi się gdzieś bezwolnie, świat w dole oddala się od niego, a promienie słońca przenikają od czasu do czasu przez zasłonę liści, żeby go boleśnie dźgać.

W końcu słońce skryło się za drugą krawędzią wąwozu i mieli trochę więcej cienia: ale znużenie nie odeszło tak łatwo, wręcz przeciwnie, pogłębiło się jeszcze nieco, tak że gdy w końcu Laurence się ocknął, z trudem, dzień chylił się już ku końcowi: pomyślał, że jest już co najmniej po szóstej, a może nawet później. W powietrzu unosił się zapach pieczonego mięsa, który wyrwał go z tej studni niespokojnego snu. To Demane smażył na rożnach kilka wombatów nad niewielkim ogniskiem i właśnie podał swojemu bratu mały kubek z krwią do wypicia.

Nie jestem głodny - odezwał się Temeraire, otwierając

_ a!e naprawdę chętnie napiłbym się wody. Proszę, lećmy oczy ^ ...

szukać rzeki, a potem, jak przypuszczam, nie będę miał nic przeciwko kawałkowi wombata, choć moim zdaniem nie są one warte jedzenia.

_ To sam go sobie złap - rzucił oburzony Demane. - Dla mnie są warte jedzenia. Wypij do końca - dodał, zwracając się do Shi- po, który wpatrywał się w kubek bez szczególnego entuzjazmu.

- Jest gorąco, a to jest bardzo niesmaczne - odparł Sipho, ale poskromiony spojrzeniem brata zaakceptował swój los i wypił resztę zawartości kubka. Kilku skazańców, także obudzonych przez zapach pieczonego mięsa, patrzyło na to z większą zazdrością niż współczuciem; wszyscy mieli gardła suche jak pieprz.

- Może by wysłać chłopaka, żeby przyniósł ich więcej - powiedział Telly, nie spuszczać wzroku z Demane, który rzucił mu gniewne spojrzenie i obrażony odwrócił się do niego plecami.

- Lepiej ruszajmy poszukać tego strumienia - odezwał się Granby. - Nie będziemy mieli więcej światła, niż mamy teraz.

Już mieli go mało, a i to szybko gasło. Chociaż na szczęście nie rozładowali wszystkiego, tylko przesunęli bagaże, żeby Temeraire mógł się położyć, należało je na nowo zabezpieczyć, zwłaszcza jaja; a Cezara trzeba było namawiać do wejścia na grzbiet Temeraire'a.

- Nie rozumiem, dlaczego muszę lecieć na nim; jest bardzo gorąco i nieprzyjemnie - gderał mały smok; wraz z ochłodzeniem ożywił się wystarczająco, żeby robić trudności. - Myślę, że dużo lepiej będzie, jeśli ja tu zostanę, a wy poszukacie wody i przyniesiecie mi jej trochę; wtedy znowu nabiorę ochoty do latania.

- To będzie o wiele bardziej nieprzyjemne dla mnie - odparł Temeraire - więc przestań się drzeć: noszenie ciebie wcale nie będzie wielką radością i moim zdaniem to wielka szkoda, że Pozwolono ci się tak obżerać i obrastać bez sensu tłuszczem; Jestem pewny, że to dlatego tak szybko się zmęczyłeś.

Ta uwaga była dość niesprawiedliwa, zwłaszcza ze strony smoka, który zwiększył wagę z pięć razy w ciągu tygodnia od chwili, gdy wyklął się z jaja, i wyraźnie nie spodobała się Cezarowi; ale Iskierka była w tak złym humorze, że choć raz zareagowała szybciej i gwałtowniej od niego. Osiągnąwszy już granice wytrzymałości nerwowej, nie zwracała sobie głowy wzajemnymi oskarżeniami, tylko wypuściła wąski strumień ognia prosto na zad Cezara; co jako forma perswazji sprawdziło się znakomicie, gdyż mały smok wdrapał się zaraz na górę.

- Au! - krzyknął Temeraire, gwałtownie wywijając osmalonym ogonem i kuląc skrzydła, żeby znalazły się jak najdalej od pazurów Cezara. - To wcale nie było pomocne; a ty przestań mnie drapać i szczypać. Na mnie się nie włazi jak na jakąś górę.

Mimo wszelkich starań wyruszyli w drogę z takim opóźnieniem, że kiedy się znowu wzbili w powietrze, było już niemal zupełnie ciemno: tylko ściany wąwozu połyskiwały jeszcze odbitym światłem, natomiast drzewa pod nimi stały się solidną, ciemną masą, która okrywała ziemię. Z braku pewności co do drogi lecieli wzdłuż linii wąwozu na wschód od znikającego słońca, w nadziei, że przynajmniej częściowo odtworzą kierunek, z którego przybyli; co jakiś

czas dodatkowych cierpień przysparzał im szum płynącej wody, tak dobrze słyszalny, że podniecony Temeraire unosił wyżej głowę i stawiał krezę.

Od czasu do czasu Iskierka lądowała tam, gdzie było choć trochę miejsca, i wsuwała głowę pod pokrywę drzew: ale nigdzie nie było nawet śladu wody. Powoli zaczęły pojawiać się gwiazdy i Laurence, spojrzawszy na Krzyż Południa, uświadomił sobie z niepokojem, że znowu bezwiednie skręcili: zamiast na wschód, lecieli na północny zachód.

- Temeraire - zawołał - ląduj; tam, na tym miejscu u podstawy tamtego urwiska.

- Co ty robisz, do diabła? - zapytał ostrym tonem Rankin.

- Znowu zgubiliśmy drogę - odparł Laurence. - Nie możemy latać w kółko i męczyć smoki; lepiej dajmy im odpocząć i poczekajmy, aż gwiazdy będą wyraźnie widoczne.

Temeraire rzeczywiście był bardzo zgrzany i zmęczony; kiedy Laurence dotknął gołą ręką jego boku, gdy już wylądowali, odniósł wrażenie, że smok jest tak rozpalony, jakby miał gorączkę: w jego wielkiej, napęczniałej żyłce, która biegła w dół od stawu skrzydłowego, gwałtownie pulsowała krew.

- Nie czuję się chory; jestem tylko spragniony - powiedział Temeraire.

Cezar także był w gorszym stanie niż poprzednio: znowu senny i nieruchomy, ledwie drgnął, kiedy Rankin dotknął jego łba. Zostało im już tylko kilka pojemników z wodą; Temeraire przytrzymał ostrożnie pazurem głowę młodego smoka, a oni wiali mu do pyska wszystko, co jeszcze mieli. Wystarczyło to jedynie na zwilżenie mu języka i wnętrza pyska, ale przynajmniej przyniosło mu pewną ulgę: zdawał się potem leżeć nieco swobodniej.

- W takim razie napijmy się trochę rumu - zaproponował Telly lekko płaczącym głosem i Laurence, z pewnym wahaniem, polecił Blincolnowi nalać każdemu ze skazańców po małym kubku. W ich obecnym stanie było to najgorsze z możliwych lekarstw, ale zważywszy na konieczność zachowania dyscypliny, wręcz niezbędne; w miarę jak smoki popadały w coraz większe otępienie, oni stawali się coraz bardziej niespokojni i głupota lub niewygody, które musieli znosić, łatwo mogły pchnąć ich do ucieczki w głąb tego pierwotnego lasu, niezależnie od tego, jak mało było prawdopodobne, że uda im się znaleźć wodę na własną rękę.

- Myślę, że moglibyśmy spróbować dokopać się do wody - zasugerował Granby. - W końcu nie jesteśmy na pustyni.

Mieli łopaty, namówili także Iskierkę do pomocy; ale grunt był zbyt porowaty: zdołali wykopać dół o głębokości około dzie. sięciu stóp, do którego napłynęło kilka cali wody, ale szybko wsiąkała, a ściany tej prowizorycznej studni zbyt łatwo się osypwały, żeby można było kontynuować pracę. Wszyscy skazańcy zamoczyli w wodzie chustki, które potem wyżyłali, wyciskając tę odrobinę życiodajnego płynu do ust. Zdażyli nawet namoczyć jeszcze kilka, które położyli na twarzy biednego Jonasa Greena, by mu trochę ulżyć w cierpieniu; a potem musieli się poddać: nie mogli napęlić nawet kubka.

Niebo przesłoniły chmury i tylko od czasu do czasu widać było wśród nich gwiazdy.

- Powinniśmy byli od początku słuchać Temeraire'a - powiedział cicho Laurence. - Myślę, że rano musimy go rozładować i rozdzielić się; nie możemy sobie pozwolić na kolejny dzień bezowocnych poszukiwań z jego grzbietu lub Iskierki.

- A kiedy już znajdziecie wodę, jak zamierzacie odnaleźć drogę powrotną? - zapytał Rankin. - Zakładając oczywiście, że macie taki zamiar; to z pewnością uprościłoby sprawę.

- No nie, coś takiego! - rzucił Granby, co było bardziej wyważoną, choć mniej formalną odpowiedzią od tej, jaka cisnęła się na usta Laurence'owi; w końcu Temeraire stracił tak dużo sił między innymi dlatego, że niósł Cezara. Rankin zacisnął usta i nie przeprosił, ale nie próbował też rozwijać dalej tego wątku; popatrzył zamiast tego na Cezara z prawdziwym niepokojem. Nie mógł, pomyślał Laurence, nawet marzyć o tym, że dostanie następnego smoka, jeśli utraci także i tego; i być może nauczył się bardziej cenić ten przywilej, kiedy już raz został go pozbawiony.

- Rano Iskierka rozпали ogień, trochę wyżej - powiedział Granby. - Przypuszczam, że jeśli połamiemy jednego z tych starych olbrzymów, możemy zrobić ognisko, które widać będzie z Sydney: wtedy bez trudu odnajdziemy drogę powrotną. Jeśli o ranniej idzie - dodał - zamierzam przelecieć nad częścią tych gór, zamiast podążać wzdłuż wąwozów: nie wiem, czy choć trochę zbliżyliśmy się do drogi, którą tu przybyliśmy, i myślę, że lecąc w bok, mamy większe szanse znalezienia wody, nawet jeśli nie będzie to ten sam cholerny strumień.

- Widzę, że mam niewiele do powiedzenia w tej sprawie - odparł chłodno Rankin. - Ufam, że nie zostaniemy zamordowani przez naszych kompanów, zanim wrócicie; myślę, że przynajmniej mogą pozwolić im się dobrać do rumu, jeśli już dojdzie do jakichś niepokojów.

- Powiedziawszy to, wstał, podszedł do Cezara i ułożył się obok niego do snu.

- Nie lubię być wulgarny - powiedział Granby do Laurence'a - ale gdybym lubił, powiedziałbym mu coś do słuchu.

Laurence podzielał to uczucie: nie mógł się powstrzymać od rozmyślenia, z pewną rezygnacją, o perspektywie długich lat uwięzienia w kolonii z Rankinem jako wyższym rangą kapitanem, mającym wsparcie zarówno struktur wojskowych, jak i wpływowej w Anglii rodziny; nie zapowiadało mu to spokojnej i bezproblemowej przyszłości.

Jednak niezależnie od tego, jakie podstępne plany mógł snuć na przyszłość Rankin, nie miało to żadnego znaczenia w ich obecnej sytuacji. Rano muszą znaleźć wodę albo smoki zginą: jeszcze jeden wysiłek w tym słońcu, w tak piekielnym upale, bez żadnej ulgi, wyczerpie je do tego stopnia, że nie będą już mogły przelecieć nawet małej odległości.

- Jeśli nie znajdziemy niczego do południa - powiedział Laurence - musimy spróbować wykopać porządną studnię; może gdy wzmocnimy ściany korą i odpowiednio ją poszerzymy, uda nam się dotrzeć do wody.

Granby skinął lekko głową; nie chcieli nawet mówić o drugiej możliwości.

Rozdzielili się i położyli do snu przy swoich smokach, ale Laurence nie mógł zasnąć; po ich długim, na wpół wymuszonym odpoczynku podczas dnia nie był zmęczony. Leżał jeszcze przez jakiś czas, po czym usiadł przy szczęce Temeraire'a, gdzie ciepło, którym promieniowało całe jego ciało, nie było zbyt do- kuczliwe; noc była całkowicie bezwietrzna, a powietrze ciężkie i gorące. Księżyc w końcu wzeszedł i świecił przez cienką za- słonę chmur, otoczony jasną aureolą w różnych odcieniach bieli i perłowej szarości.

Było coś bardzo dziwnego w tym, że w tej bujnej, odwiecznej puszczy o żyznej i miękkiej glebie dręczyło ich tak straszne pragnienie, chociaż nie ulegało wątpliwości, że gdzieś w pobliżu jest mnóstwo wody; coś prawie jak umyślne okrucieństwo. Laurence nigdy nie wierzył w zabobony; teraz też im nie uległ, ale uświadomił sobie, jak źle byli przygotowani do pobytu w tym kraju, nie znając go zupełnie, nic nie rozumiejąc.

- Mówią - usłyszał Jacka Telly'ego zwracającego się cicho do pozostałych - że jeśli się ruszy na północ po drugiej stronie gór, można dotrzeć aż do Chin: dostać tam robotę na jakimś statku kupieckim i wrócić do Anglii, jeśli się chce. Rozmawiałem z facetem, który tam był i wrócił, rok temu.

- Uroczy pomysł, nie sądzisz? - odezwał się Tharkay, który tymczasem podszedł do Laurence'a i usiadł obok niego.

- Słyszałeś o tym przedtem? - zapytał Laurence.

Tharkay skinął głową.

- Takie opowieści są dosyć popularne w porcie, tym bardziej że ludzie widzą te wszystkie towary, które stamtąd napływają; chociaż sądzę, że wyobrażają to sobie raczej w kategoriach jakiejś bajkowej krainy, a nie prawdziwego Kantonu.

Mimo wciąż gorącej nocy skazańcy skupili się jeden obok drugiego, być może z powodu tego samego uczucia przygnębienia i zagubienia, które musiało ich dręczyć nawet mocniej, gdyż przybyli do tego kraju wbrew własnej woli, pomyślał Laurence.

On i Téméraire przynajmniej się na to zgodzili, chociaż pod wielkim naciskiem, mając niewiele, jeśli w ogóle, innych znośnych możliwości do wyboru; nie zapakowano ich pod groźbą użycia broni do ładowni dla więźniów, żeby ich przesiać jak niepożądany bagaż na drugi koniec świata. Ci ludzie podczas podróży mieli tylko rzadkie okazje oglądania morza oraz nieba i mało wiedzieli o upływającym czasie oraz pokonywanej odległości.]\[ic dziwnego, że żyli urojeniami, tak całkowicie oderwanymi od prawdziwego kształtu świata.

Kolejno zmieniali się przy Greenie, wyciskając ostatnie krople wody z chust do jego ust i wachlując go, pomimo niemal całkowitego pesymizmu, z jakim oceniali jego i własne szanse.

- On na pewno umrze i nie będzie ostatnim z nas, którego to spotka, możecie być pewni - powiedział O'Dea, ocierając brwi.

Laurence w końcu wyciągnął się na ziemi, raczej z obowiązku niż prawdziwej chęci zaśnięcia. Nad głową widział gęste plamy liści; w tle księżyc zatonął głębiej w zwałach chmur, rozświetlając niebo bladą poświatą, tak różną od głębokich ciemności pogodnej nocy. Cisza i upał pozostały. Laurence otworzył oczy i pomyślał, że być może zasnął na trochę, ale nie miał wrażenia upływu czasu. Słychać było dziwne, ciche jęczenie, ale to nie był Jonas Green, jak uznał w pierwszej chwili: to był śpiew dolatujący gdzieś z daleka.

Laurence przez chwilę się nie ruszał, po czym gwałtownie usiadł, gdy ten dźwięk dotarł w pełni do jego świadomości. Kilku innych mężczyzn już siedziało i nasłuchiwało w napięciu, Połyskując w ciemnościach białkami oczu. Nie mogli wychwycić Poszczególnych słów, ale narastające i cichnące raz za razem bębnienie dobiegało do niech wyraźnie: i brzmiące na jego tle nienaturalne, monotonne grzechotanie, które przypominało Szelest suchych liści na wietrze. Wszystko to ucichło po jakimś Czasie; a potem zaczęło się od nowa.

- To bardzo dziwny dźwięk - odezwał się sennie Temeraire nie otwierając oczu. - Kto to może robić? To brzmi tak, jakby nje czuli się zbyt dobrze albo może byli rozgniewani.

Ta interpretacja najwyraźniej nie przypadła do gustu słuchającym skazańcom.

- Nie przejmuj się tym, proszę — powiedział Laurence, wystarczająco głośno, żeby jego słowa dotarły do ich uszu. - To nie może mieć dla nas znaczenia, kiedy jesteś z nami, a ty najlepiej zrobisz, jeśli nałęczycie wypoczniesz.

Temeraire nie odpowiedział, tylko lekko westchnął, po czym znowu zasnął. Laurence położył rękę na jego nozdrzach i odwrócił się w stronę siennika; na leżącym obok sienniku nie było Tharkaya, zniknął też jego mały plecak.

Laurence położył się znowu, głównie po to, żeby dać przykład ludziom, których chciał uspokoić; nie miał ochoty spać, zwłaszcza że ta niesamowita, nieludzka muzyka wciąż pobrzmiwała w dali. Przystawała do całej reszty, była niczym obcy krzyk obcego kraju.

Słychać jeszcze było trochę cichych szeptów, niewyraźnych, a jednak świadczących o niepokoju, aż nagle rozległ się głos Rankina, który przeciągając w charakterystyczny dla siebie sposób samogłoski, powiedział z nieskrywaną ironią:

- Przykro mi, ale muszę was prosić, panowie, żebyście byli tak dobrzy i zachowali swoje przeczucia co do nieuniknionej katastrofy na rano: nie jestem dostatecznie wykwalifikowany, by znieść historię, nie wzmocniwszy się najpierw dobrym snem i mocną kawą.

Jego chłodna pogarda odniosła ten skutek, którego przypuszczalnie nie dałoby współczucie: uciszyła ich. Dziwna jękliwa pieśń umilkła raz jeszcze. Laurence patrzył na liście poruszające się nad jego głową i czas znowu mu się wymknął. Tym razem otworzył oczy, gdy poczuł, że ktoś dotknął jego ramienia; usiadł i zobaczył Tharkaya, który w milczeniu podał mu manierkę, pełną i ociekającą wodą.

Dzięki Bogu - powiedział cicho Laurence i popatrzył pytająco na Tharkaya, zdziwiony, że nie obudził on jeszcze całego obozu wiadomością o swoim odkryciu.

Nie znalazłem śpiewaków - rzekł Tharkay - ale natknąłem się na ich ślady, jak sądzę: jest tam ścieżka przez grań, która prowadzi do innej rzeki. Odkryłem tam tylko trochę

niewyraźnych śladów, ale szlak nie jest nieużywany. Myślę, że to może być to, czego szukałeś - i być może ja też.

__ Przemycnicy? - zapytał Laurence, polegając na intuicji Temeraire'a.

Tharkay zawahał się, po czym odparł:

- Pewnie uważasz, że byłem bardzo skryty; chociaż okazuje się, że nie aż tak, jak lubiłem o sobie myśleć.

- Możesz sobie gratulować, ile chcesz - powiedział smętnie Laurence. - To Temeraire wszystkiego się domyślił, nie ja. Nie mam także najmniejszego prawa domagać się od ciebie szczerości w twoich prywatnych sprawach. Mam wobec ciebie tak duży dług - dodał - że będę wdzięczny za każdą okazję, by go choć w części spłacić; i nie musisz mi niczego wyjaśniać.

Tharkay uśmiechnął się tak szeroko, że jego zęby błysnęły lekko nawet w ciemności.

- To bardzo miłe z twojej strony; mogę sobie bez trudu wyobrazić, jak rwiesz się do tego, by ślepo pomagać komuś w realizacji jego celów.

Nie da się ukryć, przyznał w duchu Laurence.

- Ale i tak się nie wycofam - powiedział - a jeśli wolisz zachować milczenie, uwierz mi proszę, że nie będę cię naciskać.

- Nie zamierzam przesadzać z tajemniczością - odparł Tharkay - chociaż poproszę, żebyś poszedł ze mną na stronę: n'e zadowala mnie ta wielkopańska fikcja prywatności, kiedy Jedynie drewniana deska oddziela mnie od setki nasłuchujących Uszu lub otaczają mnie ludzie, którzy mogą tylko udawać, że śpią.

Rozdział 6

T

ak - zaczął Tharkay - szukam przemycników.

Weszli w las na pewną odległość od obozowisk depcząc poszycie; chrzęst kamyków pod nogami i trzeszczenie odsuwanych na bok gałęzi upewniły ich, że nikomu nie uda się podążyć za nimi tak, by tego nie usłyszeli.

- Kompania Wschodnioindyjska - kontynuował Tharkay - traci z ich powodu około pięćdziesięciu tysięcy funtów rocznie. Boją się, że może być jeszcze gorzej, znacznie gorzej. Jak dotąd nielegalny handel to tylko strużka, ale strużka, której nie potrafią powstrzymać i która wciąż rośnie.

Laurence kiwnął głową.

- I towary nie docierają tu morzem?

- Nawet więcej - odparł Tharkay. - Towary nie opuszczają Chin przez Kanton. - Laurence popatrzył na niego ze zdumieniem. - Myślę, że zaczynasz rozumieć, jak bardzo są zaniepokojeni.

- Jak możesz być tego pewny? - zapytał Laurence. - W tym porcie panuje fantastyczny ruch; niektóre transporty muszą im umknąć.

- Kiedy zaczęto sobie zdawać sprawę z istnienia przemytu - odpowiedział Tharkay - trochę ponad rok temu, do biur w Kantonie wysłano polecenie obserwowania wszystkich statków rzepliwających przez port, w celu wyśledzenia źródła. Oczywiście podobnych prób dokonywano już wcześniej, chociaż tym razem władze Kompanii były zadziwione metodą tak okrężną, jak przesyłanie towarów przez Sydney...

__ Koszty tej operacji muszą pochłaniać niemal cały zysk - przerwał mu Laurence.

__ Oni też tak myśleli - podjął Tharkay - i początkowo nie brali tego zbyt poważnie.

Spodziewali się, że stoi za tym ktoś ogarnięty przesadnym entuzjazmem, skłonny wydać funta, by zarobić sześć pensów: niemal nic nie pobudza tak ludzkiej pomysłowości, jak rządowe taryfy i zezwolenia. Ale statki i ich ładunki udało się sprawdzić, prawie co do jednego. Było kilka przypadków... - Wzruszył lekko ramionami, jakby nie przywiązywał do tego wagi. - Nic, co mogłoby tłumaczyć stały napływ towarów, który jeszcze rośnie.

- Obawiają się zatem, że Chińczycy otworzyli inny port - podsumował Laurence.

- Może nieoficjalnie - potwierdził Tharkay. - Ale gdyby urzędnicy w jakimś portowym mieście przymykali oczy na wpływające od czasu do czasu obce jednostki, gdyby na przykład dali się przekonać komuś sympatyzującemu z jakimś obcym krajem...

- Lien - domyślił się natychmiast Laurence - i Napoleona nie obchodziłyby zyski; nie zważaliby na ich brak, dopóki mogliby osłabiać nasz handel.

Tharkay pokiwał głową.

- To wszystko ładnie do siebie pasuje - rzekł. - Francuzi zasypują nasze rynki tanimi towarami, podkopując pozycję Kompanii Wschodnioindyjskiej...

Handel był fundamentem i siłą napędową Wielkiej Brytanii: pokrywał koszt utrzymywania marynarki handlowej, która szkoliła jej marynarzy i budowniczych statków; przynosił złoto i srebro, za które zdobywała sojuszników i wysyłała armie na kontynent, żeby krzyżowały plany Bonapartego.

- Jeśli ceny spadną za bardzo, może to wywołać panikę na giełdzie - powiedział Laurence. - Ale czy ktokolwiek w Chinach chciałby tak ryzykować, żeby zrobić przysługę Lien?

Podpadła w Chinach w niełaskę wraz ze śmiercią jej towa. rzysza, księcia Yongxinga, stojącego na czele konserwatywnej frakcji, która była przeciwna utrzymywaniu jakichkolwiek stosunków z krajami Zachodu, handlowych czy politycznych. Jej członkowie planowali usunąć następcę tronu, księcia Mianninga, który prywatnie skłaniał się ku bardziej liberalnym poglądom. Ich zamiary zostały wykryte i pokrzyżowane, Yongxing zginął, a Lien udała się na wygnanie do Francji, zrywając wszelkie związki ze swoją dawną ojczyzną w nadziei, że Napoleon będzie narzędziem jej zemsty.

Tharkay wzruszył ramionami.

- Wiesz równie dobrze jak ja o tym, jaką czcią otacza się tam smoki Niebiańskie, a polityczni sojusznicy Yongxinga zostali tylko pokonani, nie wyeliminowani. Od tamtego czasu mogli odzyskać wpływ.

- To mi wygląda na właśnie coś takiego, co Lien chętnie by zrobiła - powiedział Temeraire, otrząsając wasy z wody, której właśnie się napił do syta. - Ona i Yongxing - mówił dalej z pogardą i oburzeniem - tak się złościli na myśl, że Chiny mogą prowadzić handel z Zachodem, i robili tyle złych rzeczy, by temu zapobiec; a teraz proszę, ot tak zmieniła poglądy i chce go rozwijać.

Laurence zawahał się, po czym rzekł z powątpiewaniem:

- Nie przypuszczałem, że ona była tak zdecydowanie przeciwna otwarciu chińskich granic; to trochę dziwne - dodał i pogrążył się w zadumie.

- O tym właśnie mówię - odparł Temeraire. - A teraz bez najmniejszych oporów zapomina o tym wszystkim, byle tylko nam zaszkodzić; to do niej podobne, zawsze wiedziałem, że jest wredna. Laurence, nie chcę się skarżyć - dodał - bo ta woda jest bardzo smaczna - tak świeża i chłodna! - ale jestem głodny.

Po zaledwie półgodzinie lotu wzdłuż odkrytego przez Tharkaya strumienia dotarli do rzeki, do której wpływał; szerokiej i czystej, o brzegach porośniętych wysokimi, strzelistymi sosnami. Z ich punktu widzenia płynęła w złym kierunku, na południe, ku Sydney, zamiast w przeciwnym, a poza tym była pełna kamieni i miejscami bardzo płytka; ale jej brzegami można było iść, a Tharkay był zdania, że jeśli podążą w górę rzeki, może się okazać, że znajdują jej początek gdzieś w przełęczy, po drugiej stronie gór.

Temeraire uznał, że pozostawanie w pobliżu rzeki jest wspaniałym pomysłem; tak szybko traciło się w tym upale wodę, znacznie szybciej, niż można się było spodziewać, no i oczywiście był jeszcze Cezar...

Spojrzał na niego z niesmakiem: Cezara trzeba było donieść do rzeki, nawet po tym, gdy wlał mu do gardła dwie manierki wody i powiedzieli, że tam jest jej więcej, nawet chłodniejszej i bardziej orzeźwiającej; nawet wtedy nie zdobył się na żaden wysiłek.

Powiedział tylko wielce nonszalanckim tonem: „Nie mam ochoty latać, jeszcze nie teraz;

Temeraire może mnie tam zabrać", i wzdychał nawet wtedy, gdy poproszono go, by wspiał się na grzbiet Temeraire'a. A kiedy dostarczyli go w końcu nad rzekę, zszedł szybko na ziemię i zanim zdążyli go zatrzymać, zanurzył się cały w wodzie, tak że każdy, kto chciał się napić lub napęlić manierkę, musiał skorzystać z innego, mniej dogodnego miejsca powyżej tego, na którym wylądowali.

Nawet ten biedny, chory skazaniec Jonas Green zachował się lepiej: usiadł z heroicznym wysiłkiem, a kiedy wypił pełen kubek w°dy, powiedział: „Niech mnie diabli, jeśli teraz umrę, po tym Wszystkim; dajcie mi jeszcze trochę!" i chociaż strasznie drżał, kiedy próbował wstać, pokuścił z pomocą dwóch mężczyzn do rzeki i siedział tam do czasu, aż zdołał się umyć, i wypł^ swoje okropnie śmierdzące ubranie, które rozłożył w słońcu obok siebie na płaskich kamieniach, żeby wyschło.

Natomiast Cezarowi trzeba było przypomnieć, żeby zaczął pić; potem, żeby już przestał, a jeszcze później ponaglać go ostro, by wreszcie wyszedł z wody i zrobił miejsce dla innych, którzy też chcieli się wykapać. Opierał się i marudził, że chciałby być wyszorowany, podczas gdy wystarczyło, żeby się rozpląszczył na dnie i woda bez niczyjej pomocy obmyłaby mu grzbiet. Rankin natychmiast rozkazał kilku skazańcom, by spełnili jego życzenie, co oznaczało, że byli już zmęczeni i niechętni, kiedy Temeraire chciał być także trochę obmyty i potrzebował kogoś, kto nosiłby wiadra z wodą na jego grzbiet i polewał go.

Temeraire westchnął i zadowolił się tym, co mogli dla niego zrobić Demane i Roland, zanurzając tymczasem głowę w najgłębszej części rzeki i unosząc ją, żeby woda spływała po jego szyi.

- Możecie też umyć jaja - dodał - miękką szmatką, jeśli łaska, i niezbyt mocno, tylko tak, żeby skorupy były czyste.

Do tej pracy bardzo szybko i chętnie włączył się porucznik Forthing, na co Temeraire patrzył z dezaprobatą; postanowił go obserwować i dopilnować, żeby nie próbował mówić do jaj, łudzić je jakimiś obietnicami lub się przechwalać.

- Wystarczy; jest już czyste, zrobiłeś swoje - powiedział, kiedy Forthing wytarł kurz z większego jaja, Yellow Reapera; przynajmniej nie rwał się tak do pomocy przy tym bardzo małym.

- Temeraire - zwrócił się do niego Tharkay, kiedy już wszyscy napili się do syta i ułożyli wygodnie w cieniu, żeby odpocząć i odczekać, aż słońce przejdzie przez najwyższy punkt na niebie i nieco się zniży - czy gdzieś wzdłuż rzeki widzisz jakieś ślady ognia?

Temeraire nie miał nic przeciwko temu, żeby przez chwilę polatać, kiedy już się napił, wzbil się zatem w powietrze i podczas zataczania kręgów popatrzył z uwagą w obu kierunkach, śledząc wzrokiem rzekę aż do miejsc, gdzie znikająca z pola widzenia, zakręcając w jednym i gwałtownie wpadając do wąwozu w drugim, ale nie dostrzegł żadnych śladów ludzi

_ ...a także - dodał, kiedy wylądował - przykro mi to powiedzieć, żadnych śladów zwierzyny. Mam nadzieję, że nie byłem zbyt niewdzięczny, kiedy narzekałem na kangury.

_ To może być dla nas trochę uciążliwe, ale jest w tym coś dla mnie pocieszającego, jeśli zwierzyna została przepłoszona - odparł Tharkay i odwrócił się w stronę obozowiska.

- A zatem proponuje pan zbudowanie drogi wzdłuż rzeki - powiedział Rankin do Laurence'a - drogi, która będzie meandrowała w każdym kierunku, wydłużając się niepotrzebnie o dwadzieścia mil na każde trzydzieści, i nadto, zbudowana w środku lata i suszy, zostanie zalana po pierwszych deszczach, a wszystko to, zanim jeszcze prześledziliśmy bieg tej rzeki.

- Kapitanie Rankin - odrzekł Laurence w ten spokojny, powściągliwy sposób, który znać było, że jest szczególnie rozzłoszczony - jeśli znalazł pan w nocy pewniejsze przejście, chętnie o tym posłucham. A tymczasem powinniśmy wykonywać to, co nam polecono, czyli budować drogę...

- Nikt nam nie polecił, żebyśmy marnowali całe dni na włóczenie się na próżno po tym pustkowiu, całymi godzinami przesiadywali beczynnie, i nie wiadomo po co ciągnęli ze sobą tych ludzi - odparował Rankin. - A noc wykorzystałem na to> żeby się nad wszystkim zastanowić i lepiej zrozumieć to, co każdy rozsądny człowiek - podkreślił z naciskiem - mógł zaobserwować podczas naszych wczorajszych lotów: nie ma żadnego Powodu, żeby przez któryś z tych wąwozów prowadziło przejście na drugą stronę, gdyż najwyraźniej zawałają się one przy lada okazji. Nawet gdybyśmy jakieś znaleźli, nie moglibyśmy być pewni jego trwałości. Poruszamy się w labiryncie, z którego nie ma wyjścia. Lepiej byśmy zrobili, szukając drogi prowadzącej górą, wzdłuż tych grani.

- Tak by każdą krowę, zanim trafi na rynek, trzeba by(0 wciągnąć na tysiąc stóp w górę, a potem znowu sprowadzić tysiąc stóp w dół - włączył się Granby. - Świetne rozwiązanie,

Dzień był równie duszny i nieprzyjemny jak poprzedni, a że wszystkim dokuczał dodatkowo głód, byli coraz bardziej rozdrażnieni i skłonni do kłótni; chwilowo nie zamierzali nigdzie iść, więc nie mieli nic innego do roboty, a było zbyt gorąco, żeby spać.

- Wydaje mi się, że powinniśmy trzymać się wody i urządzić się przy niej jak najwygodniej - odezwał się Jack Telly, który nigdy nie bał się przedstawić własnej opinii.

- A to mi niespodzianka-warknął Rankin. - Pewnie chcielibyście też pracować po dwie godziny każdego dnia, a przez resztę leżeć i zalewać się do nieprzytomności.

Temeraire pomyślał jednak w głębi duszy, że przynajmniej na graniach, z uwagi na wysokość, byłoby chłodniej i dużo przyjemniej; można by liczyć na odrobinę wiatru, no i nie byłoby tych ścian skalnych, które tu, na dole, wznosiły się wszędzie, gdzie się popatrzyło: takie ograniczenie. Ale oczywiście nie powiedziałby niczego, co mogłoby być poparciem dla Rankina, który nie zasługiwał na takie wyróżnienie; ponieważ to on wystąpił z tą propozycją, była ona całkowicie nie do przyjęcia.

- Czy mogę zaproponować - odezwał się Tharkay - żebyśmy, kiedy upał zelżeje, podążyli w górę rzeki i sprawdzili, czy ta trasa nadaje się do naszych celów; nie musimy natychmiast rozpoczynać budowy.

To wydawało się zupełnie rozsądne, ale Rankin nie odpowiedział Tharkayowi, a nawet odwrócił się do niego plecami i poszedł usiąść obok Cezara: nawet najłżejszego skinienia głowy na

ale że słyszał, co zostało do niego powiedziane, nic, a przecież Tharkay nie był nawet w najmniejszym stopniu nieuprzejmy.

Nie rozumiem, co Rankin chce zyskać, zachowując się tak niegrzeczne ~ Powieci? :iał Temeraire do Laurence'a, kiedy jakiś czas później znowu zaczęli zbierać bagaże.

Nic, chociaż zapewne pretekstem do tego jest pochodzenie Tharkaya - odrzekł Laurence, patrząc w górę rzeki. - Czy jesteś pewny, że nikogo nie widziałeś na brzegach? - zapytał. - Gdybyś kogoś zobaczył... Chętnie byśmy porozmawiali z krajowcami, jeśli to oni byli tymi śpiewakami z ostatniej nocy; może byliby nam w stanie powiedzieć, czy wybraliśmy dobrą drogę.

- Nie, nikogo tam nie było, ale na pewno znowu się rozejrzę, kiedy będziemy w górze - odpowiedział Temeraire, przypominając sobie z opóźnieniem dziwną muzykę: był tak bardzo zmęczony i senny w nocy, że wydawała mu się niemal snem, a przynajmniej dźwiękiem dobiegającym z bardzo daleka. - To była bardzo interesująca pieśń; jeszcze nigdy nie słyszałem czegoś takiego, ani tego języka. Ale co w pochodzeniu Tharkaya budzi taki sprzeciw Rankina? W końcu to nie jest tak, jakby się jeszcze nie wyklął i nikt nie wiedziałby, kim się może stać.

- Jego matka była Nepalką - wyjaśnił Laurence - i były też jakieś nieprawidłowości w kwestii małżeństwa, o ile mi wiadomo; uważam, że Rankin za dużo myśli o pochodzeniu ludzi, a za mało o ich charakterze.

Nie próbował ściszyć głosu: on i Granby mieli Rankinowi za złe jego obraźliwe zachowanie, a Temeraire chętnie podzielił ich niechęć; tak więc wszyscy byli sztywni i oficjalni podczas zwijania obozu. Cezar ciężko wzdychał i narzekał na myśl o samodzielnym locie, a kiedy w końcu się podniósł, łeb, skrzydła i ogon opadły mu bezwładnie ku ziemi. Dorset podszedł, zbadał go i powiedział:

- On może lecieć, ale nie powinien nieść żadnego ciężaru; Pan nie może na niego wsiąść, kapitanie Rankin.

Cezar przysiadł na zadzie i szybko rzucił z oburzeniem:

- Mogę go nieść! On jest moim kapitanem.

Wszelkie oznaki jego niemrawości znikły w mgnieniu oka, ale Dorset był nieustępliwy, i tak Temeraire musiał znowu wziąć na grzbiet Rankina, a Laurence wcale nie wyglądał na zadowolonego z takiego obrotu spraw.

Jakby tego było mało, kiedy Laurence zaczął go po cichu wypytywać o szczegóły, Dorset odpowiedział:

- Nie, nie, mógłby go ponieść bez najmniejszych kłopotów, ale jeśli nic się nie zrobi, to całkiem prawdopodobne, że wyrośnie z niego symulant, więc taka nauczka może mieć dobry wpływ.

Temeraire ze swojej strony uważał, że naprawianie złych nawyków Cezara jest sprawą do tego stopnia skazaną z góry na niepowodzenie, że niewartą żadnych wysiłków, zwłaszcza gdy prowadziły one do sytuacji tak nieprzyjemnych dla innych; ale Laurence nie chciał się sprzeciwiać lekarzowi. Tak więc Rankin znowu wspiał się na Temeraire'a i usiadł na samym końcu, z powodu swojej rangi i jako gość, a Tharkay poleciał na Iskierce, co nie odpowiadało nikomu oprócz niej. Chociaż Tharkay nie należał, ściśle rzecz biorąc, do jego załogi, Temeraire na tyle przywykł do jego towarzystwa, że czuł się za niego do pewnego stopnia odpowiedzialny, a Tharkayowi w żadnym razie nie mogła się podobać jazda na Iskierce, która była tak niezmiernie rozgrzana, z natury wilgotna, i zupełnie niegodna zaufania.

Pracowali w pełnym słońcu, kiedy więc w końcu zaszło za ściany wąwozu, byli gotowi skorzystać z okazji i natychmiast ruszyli w drogę. Chociaż przez cały czas pozostawali w cieniu, nie był to przyjemny lot, gdyż musieli się trzymać blisko ścian wąskiego wąwozu, mało interesujących i porośniętych wyschlą trawą oraz krzakami, które zbladły jak pszenica.

Płynąca po skałach rzeka była źródłem dziwnego, stałego szumu. Zbyt cichy, żeby można go było nazwać rykiem, był jak-

częścią tej samej osobliwej ciszy, która zdawała się okrywać wąwozy. Nie był to dźwięk, którego można było słuchać; miało się raczej wrażenie, że wchłania wszystkie inne odgłosy, i tak Temeraire ledwie słyszał uderzenia własnych skrzydeł.

Cezar uparcie podlatywał zbyt blisko, by mieć oko na Rankina, chociaż to była jego własna wina, że nie pozwolono mu nieść swojego kapitana, jakby kto inny w ogóle go chciał, myślał Temeraire. Młody smok przeszkadzał mu, zbliżając się za bardzo do skrzydeł, a raz nawet zahaczył pazurem o jedno z nich.

Temeraire dał się unosić prądom powietrznym, prawie przysypiając w locie; to drapnięcie przestraszyło go nieprzyjemnie i rozbudziło.

- Au! - krzyknął. - Dostyc tego! Masz się trzymać z dala ode mnie, skoro się zapominasz i pchasz pazury, gdzie nie trzeba - dodał ostrym tonem i ostrzegawczo kłapnął zębami, mierząc w ogon małego smoka; Cezar zatrzepotał skrzydłami i pospiesznie się uchylił, ale wziął sobie tę nauczkę do serca i odsunął się na bezpieczną odległość.

Temeraire ponownie przygotował się na nudę długiego lotu, ale kiedy to robił, dostrzegł coś kolorowego i błyszczącego pod nimi. Zawisł w powietrzu i patrząc w dół przez bark, powiedział:

- Laurence, myślę, że tam jest kawałek rozbitego talerza, jeśli się nie mylę.

- Co może być interesującego w jakichś szczątkach? - zapytał Rankin, ale Laurence poprosił Temeraire'a, żeby wylądował, a kiedy obok usiadła także Iskierka, on i Tharkay zaczęli badać fragmenty. To z pewnością był bardzo piękny przykład porcelany Qingbai, niestety roztrzaskanej; duża strata, pomyślał Temeraire, a przemytnicy powinni zachowywać większą ostrożność.

Po dokładnym obejrzeniu kawałków rozbitego talerza ruszyli w dalszą drogę, lecąc dość nisko, by kryć się przed słońcem. Rzeka wiła się, płynąc przez mniej lub bardziej szerokie wąwozy, i Temeraire przygotował się w duchu na to, że będą lecieć aż do zmierzchu, kiedy po kolejnym zakręcie zatrzymał się tak nagle w powietrzu, iż mało brakowało, a Iskierka i Cezar wpadliby na niego; nie potrafili zawisnąć w miejscu tak jak on.

- Co ty wyrabiasz? - krzyknęła na niego Iskierka, po czym bijąc gwałtownie skrzydłami, wzniosła się nad niego i dodała: - Och, tam.

Powiedziała to z tak ogromną satysfakcją, jakby to wyłączył nie jej zasługą było, że dotarli do tego miejsca. Pod nimi rzeka spadała gwałtownie między drzewami, ale powyżej las zanikał, ustępując soczystej zielonej trawie i bardzo niskim krzewom porastającym dno szerokiej doliny, obramowanej, ale nie przytłoczonej przez otaczające ją góry.

Ze strony skazańców dobiegł szmer zadowolonych i radosnych głosów.

- Rzadko zdarzało mi się widzieć ziemię, która tak wspaniale nadaje się dla rolnictwa - powiedział Laurence do Temeraire'a - a przynajmniej tak to wygląda.

Temeraire był o wiele bardziej przejęty zaskakującym dowodem wskazującym na to, że jednak nie oni pierwsi przeprawili się przez te góry; prosto przed nim, na rozległej łące, stało małe i spokojne stado kudłatych krów, które leniwie skubały trawę.

- Och! Nie ma nic lepszego od duszonej wołowiny - wymruczał zachwycony Temeraire, pochylając się nad gotującym się mięsem, żeby wchłonąć jego zapach - a przynajmniej od tak wyjątkowo dobrze przyrządzonej.

Gong Su z jego pomocą wykopał dół napelniony potem wodą z rzeki, do którego wraz z wieloma rozgrzanymi przez Iskierkę kamieniami trafiła wspaniała, tłusta sztuka bydła ze stada, wybrana na obiad dla smoków; między ludzi rozdzielono miski pełne zupy, którą jedli razem z soloną wieprzowiną i sucharami-

Laurence wziął kubek tego rosółu i kilka sucharów, po czym wvbrał się na krótki spacer po dolinie; ziemia pod jego nogami była miękka i sprężysta, nie szpeciły jej kamienie oraz pniaki drzew, a unoszący się wokół zapach bydła był mu tak znajomy jak wspomnienie z dzieciństwa. Gdyby nie te cudowne, niemal pionowe ściany piaskowca, żółte, szare i czerwone, które obra- mowywały szeroką misę doliny, mógłby pomyśleć, że znowu jest w posiadłości swojego ojca w Nottinghamshire.

Kiedy Temeraire się najadł, polecili razem na wzniesienie, gdzie po oczyszczeniu z roślinności niewielkiej polanki zapoznali się z otoczeniem. Wysokie, gęsto zalesione zbocza opadały ku dolinie niczym szeroko rozłożone, zielone spódnice, przechodząc dalej w trawiastą równinę; było tu zatem drewno, jak również pastwiska, a sama dolina rozciągała się na znaczną odległość i można ją było zagospodarować na różne sposoby. Należało tylko poszerzyć nieco brzegi rzeki i wyrąbać wejście do doliny, żeby doprowadzić do niej wygodną drogę.

- Gdyby ktoś postawił tu pawilon - powiedział nieco tęsknie Temeraire - myślę, że nikt nie mógłby prosić o lepszy widok. Popatrz tam na te wodospady; i bydło też byłoby w zasięgu wzroku.

Realizacja takiego projektu wymagałaby wielkiej pracy, ale pomoc smoków mogłaby ją w znacznym stopniu ułatwić. Temeraire mógł obalać drzewa, dostarczając potrzebnego im drewna, i przenosić kamienie na budowę drogi wiodącej do Sydney, pomyślał Laurence. A po jej ukończeniu można by nią bez większych trudności sprowadzić więcej bydła; dolina z pewnością mogła wyżywić stado przynajmniej trzy razy większe od tego, które było w niej

obecnie - co wystarczyłoby do zapewnienia utrzymania nawet czterem smokom, jeśli uzupełniałyby swoją dietę dziczyzną.

Laurence opuścił rękę z lunetą, na wpeł rozbawiony tym, że odkrył w sobie aż takie zamiłowanie do tego specyficznego rodzaju gospodarowania, zwłaszcza gdy przypominał sobie że jako chłopiec skwapliwie unikał wszelkich tego typu zaj^ i z pogardą odrzucał możliwość zarządzania rodzinną posiadłość^ i wszystko, co się wiązało z czymś tak banalnym, jak spokojne wygodne życie; pomimo niecierpliwości ojca, a także kar, któ. rych mu nie szczędził. Nigdy nie uważał, że taka praca może być tytułem do chwały; jednak teraz to miejsce wydawało mu się najpiękniejsze ze wszystkich, które widział w życiu.

- Szlak prowadzi dalej na zachód - powiedział mu Tharkay, kiedy wrócili do innych - i nie mam pojęcia, gdzie się zaczyna. Musi dochodzić w którymś miejscu do wybrzeża, żeby mogli brać towary ze statków; ale spodziewam się, że zanim tam dotrę, droga wiele razy zakręci lub nawet zawróci.

- Czy teraz, kiedy już jesteś pewny, że towary napływają tą drogą - odparł Laurence - twoje poszukiwania nie byłyby bardziej owocne, gdybyś popłynął wzdłuż wybrzeża i zbadał, które z pobliskich zatoczek są wystarczająco duże dla statku handlowego? Albo - dodał - mógłbyś zostawić wartownika przy szlaku, żeby zobaczyć, kto się pojawi.

- Nikt się nie pojawi - powiedział Tharkay - zwłaszcza teraz, kiedy zajęliśmy tę dolinę z trzema smokami; równie dobrze mogliśmy być błędnymi rycerzami, którzy ogłaszają swoją obecność dźwiękiem rogów. Spodziewam się, że tu zostaniesz - dodał głosem, w którym pobrzmiwało pytanie.

Laurence zawahał się.

- To z pewnością idealne miejsce na kryjówkę - powiedział powoli i spojrzał na Temeraire'a. - Czy byłbyś zadowolony z takiego domu? - zapytał. - Wiem, że nie ma tu żadnych wygod, których mógłbyś oczekiwać w lepiej przygotowanym miejscu.

- Och! Jeśli chodzi o wygody, możemy sami coś zrobić - odrzekł Temeraire - i ośmielę się powiedzieć, że gdy już wyklują się młode, poczynimy duże postępy; zwłaszcza że te drzewa • kamien'e n'e niczYi^ własn°ścią i nie musimy ich kupować, jm je wykorzystamy. Chociaż to dziwne - dodał - że nie ma tU żadnych smoków, dobrze jest nie musieć się przez cały czas zastanawiać, czy coś, na co przypadkiem spojrzysz, nie jest na terytorium należącym do kogoś innego, kto może być zły, że zabrałeś jego krowę.

Wydawał się tak zachwycony, jak wtedy, gdy rozmawiali o możliwości uprawiania korsarstwa; a później, kiedy słońce skryło się za grzbietami gór i ułożyli się już do snu, objaśnił sennie swoje myśli, dodając:

- Z pewnością zbudujemy wspaniałą pawilon z tego pachnącego drewna i tych złotych kamieni; i Laurence, kiedy już to zrobimy i powiększymy stado, to miejsce nie będzie miało sobie równych na całym świecie. I być może odwiedzą nas tu Maksimus i Liły albo ściągniemy tu jakiegoś malarza, żeby namalował obraz, który im pošlemy; i jeszcze jeden, który wyślemy mojej matce. Jestem pewny, że ją to zaciekawi i nie może jej się nie spodobać. Nie wydaje mi się, żebyśmy widzieli taką dolinę w Chinach; oczywiście jest tam wiele interesujących miejsc, a miasta nie mają sobie równych nigdzie na świecie, ale tutaj może nam być bardzo dobrze.

Laurence nie chciał utwierdzać go w nadziei na wizytę smoków, niemniej jednak cieszył go, że Temeraire jest tak zadowolony. Skazańcy rozpalili małe ognisko, głównie żeby mieć światło, a nie z innego powodu; temperatura spadła do znośnego poziomu i ułożony na przedniej łapie swojego smoka Laurence zdał sobie nagle sprawę, że czuje się tak, jakby wielki ciężar spadł z jego barków. Jeśli polityka odebrała im szansę udziału w wojnie, to przynajmniej tutaj była do wykonania praca, której me musiał się wstydzić, i nadzieja, że coś uda im się zbudować, zamiast bez sensu niszczyć.

Jednostajny, miarowy rytm oddechu Temeraire'a był stałym elementem, niczym odgłos fal oceanu rozbijających się o burtę okrętu; wiatr szumiał wśród gałęzi drzew. Laurence zasnął tak głęboko, jak mu się to już od dawna nie udawało, i obudziło go dopiero prychnięcie niezadowolonego Temeraire'a, który uniósł gwałtownie głowę. Okazało się, że Iskierka uszczypnęła go w kark.

- O co chodzi? - zapytał zirytowany Temeraire. - Miałem bardzo przyjemny sen; nie musiałaś mi przerywać.

- Nie ma czasu na spanie! - rzuciła Iskierka - Jajo znikło.

Rozdział 7

ój drogi - powiedział Laurence, kładąc rękę na przedniej łapie Temeraire'a, żeby go zarówno pocieszyć, jak i nakłonić do powściągliwości - nie możemy

popędzić na oślep przed siebie, nie mając jakichkolwiek wskazówek: z góry nie zobaczysz żadnych śladów, a przy tej liczbie drzew w tym kraju nawet najbardziej niezręczny złodziej może ci umknąć, ukrywając się gdzieś za dnia i podróżując nocą.

- Nie możemy tu siedzieć, kiedy oni porwali jajo w nie wiadomo jakim celu - odpowiedział Temeraire, wymachując tak gwałtownie ogonem, że Laurence zaczął się bać, czy nie robi komuś krzywdy; niewątpliwie dokonywał prawdziwych spustoszeń wśród roślinności na swojej drodze.

Małe, skarłowaciałe jajo leżało samotnie w swoim gnieździe z liści i gałęzi, a puste miejsce obok niego było niemym wyrzutem: najwyraźniej zmuszeni do wybrania zdobyczy złodzieje zabrali większe jajo Yellow Reapera, a mniejsze zostawili.

Laurence rzadko widywał tak wzburzonego Temeraire'a albo Iskierkę: najbliższym porównaniem były ich reakcje na bezpośrednie zagrożenie dla niego lub Granby'ego, chociaż gniew, który ogarnął teraz oba smoki, mógł być nawet większy. Dla każdego było widoczne, że powstrzymanie ich od natychmiastowej i oczywiście bezcelowej akcji będzie wymagało najwyższego wysiłku; a Iskierka już spaliła trzy drzewa, dając upust swojej frustracji.

- Pamiętajcie, proszę - wtrącił z naciskiem Granby - ?e złodzieje będą się obchodzili z jajem z największą ostrożnością; nie ukradli go po to, by je zniszczyć. Najwyraźniej chcą mieć swojego smoka; chociaż - doda! ciszej do Laurence'a, kiedy poszli naradzić się z Tharkayem, który już zaczął badać ślady - nie mam pojęcia po co: nigdy nie słyszałem o ludziach, zwykłych ludziach, którzy chcieliby mieć cokolwiek wspólnego ze smokami.

- Jeśli Tharkay nie myli się w swoich przypuszczeniach - odpowiedział Laurence - ci ludzie nie są zwykłymi przemytnikami. Jeśli Napoleon zadał sobie tyle trudu, żeby podkopać nasz handel, oni równie dobrze mogą być francuskimi żołnierzami, a nie tylko drobnymi spekulantami.

- Nawet gdyby to była prawda, to po co im tutaj jajo? - zapytał Granby. - Przecież nie mogą myśleć o założeniu własnej kryjówki; zważywszy na siłę ich floty i naszej, nie mają najmniejszej szansy utrzymać tu kolonii.

- A dlaczego piraci kradną statki? - odpowiedział pytaniem Tharkay, nie odrywając wzroku od ziemi. - Wcale nie potrzebują kryjówki, żeby móc wykorzystać takie stworzenie; muszą tylko was unikać i polować, by je wyżywić. Wyobrażam sobie, że dobry, godny zaufania smok średniej wagi może być im niezwykle przydatny jako na przykład środek transportu dla

ich towarów, o wiele lepszy od mułów, zostawiających na ziemi ślady, po których można je wysledzić.

Te nieliczne ślady przemytników, które udało im się znaleźć, wiodły na północny zachód; było tego za mało, żeby dać im nadzieję, ale zupełnie wystarczyło Temeraire'owi.

- Ruszajmy natychmiast - rzucił, zapominając o powściągliwości, do której namawiał go Laurence. - Co będzie, jeśli oni niosą jajo z powrotem na wybrzeże, żeby załadować je na statek? Albo mogą je upuścić i uszkodzić; z pewnością nie są wyszkolonymi awiatorami i nie mają ze sobą smoka. Co się stanie, jeśli nie będą odpowiednio karmić młodego po wykluciu i tylko je skują łańcuchami? Och! Są tysiące strasznych rzeczy, które mogą mu się przydarzyć nawet w tej chwili.

- A na pewno nie znajdziemy ich, siedząc tutaj - wtrąciła Iskierka.

Chociaż to była prawda, logika jej słów wykluczała możliwość stworzenia jakiegokolwiek racjonalnego planu pościgu: mieli wyruszyć natychmiast, a kiedy Cezar, który najwyraźniej nie rozbudził jeszcze w sobie uczuć tak opiekuńczych wobec swojego przyszłego towarzysza lub towarzyski, zaczął narzekać, Iskierka chwyciła go za kark, potrząsnęła nim i niezbyt delikatnie wciągnęła, wrzeszczącego i protestującego, na grzbiet Temeraire'a.

Laurence spodziewał się jakiegoś sprzeciwu ze strony Rankina, ale ten milczał, a Granby tylko pokręcił głową i rozkazał garstce swoich ludzi wejść na Iskierkę.

- Panie Laurence - powiedział Forthing nieco oficjalnie, kiedy Laurence odwrócił się w jego stronę - przygotowaliśmy jajo i możemy je załadować, kiedy tylko Temeraire uzna to za stosowne; pozwoliłem sobie owinąć je większą liczbą koców, a pan Fellowes uważa, że moglibyśmy je zawiesić niczym hamak, żeby nie ucierpiało na skutek wstrząsów, których podczas pościgu nie da się uniknąć.

- To bardzo dobrze - odezwał się Temeraire, co było pierwszą oznaką jego aprobaty dla Forthinga, i wygiąwszy szyję. Przyjrzał się siatce z rzemieni, którą ten przygotował razem z Fellowesem. Następnie dotknął lekko nosem dobrze opatulonego jaja, upewniając się, że jest bezpieczne, po czym przysiadł nieszczęśliwie, aby ułatwić im przyczepienie siatki do tych pasów uprzęży, które opinały mu klatkę piersiową, i do szerszego pasa biegnącego za skrzydłami. I tak oto łagodnie się kołyszące jajo zawisło na jego piersi.

Gała ta operacja ściągnęła na Forthinga ukradkowe i nieprzyjemne spojrzenia części oficerów, którzy towarzyszyli Granby'emu. Jeśli już przedtem nosili w sobie lekką urazę o to, że Forthing zdołał się ulokować tak blisko jaja i zapewnić sobie największe szanse pozyskania dla siebie jednego z młodych, najpewniej Yellow Reapera, to Laurence mógł sobie dobrze wyobrazić, co czuli teraz. Wszyscy z trudem przełknęli przydział na daleką i mało atrakcyjną placówkę, gdzie nie mogli się spodziewać wielu okazji do awansu, czy to przez wykazanie się w jakimś ważnym boju, czy też w inny sposób, i ich jedyną pociechą była nadzieja promocji poprzez nakłonienie któregoś ze smoków do przyjęcia uprzęży z ich rąk.

Laurence nie sądził, że odzyskają skradzione jajo. Mina wpatrującego się w ślady Tharkaya nie wyrażała optymizmu, nawet jeśli rozsądek nie pozwalał mu podzielić się z innymi tą zniechęcającą opinią w zasięgu słuchu niezwykle zainteresowanych smoków. Przemytnicy znali teren i musieli przewidywać pościg: już odkryli przynajmniej jedną drogę wiodącą przez pustkowia i było całkiem prawdopodobne, że wiedzieli o istnieniu jeszcze innych przejść przez góry.

Została im zatem tylko jedna szansa, skarłowaciele jajo: najmniej pożądane w porównaniu z innymi, ale teraz bezcenne, a na domiar złego musiało to znacznie pogorszyć perspektywy hodowlane nowej kolonii. Laurence wiedział, że Jane zamierzała przysłać im więcej jaj, ale te trzy miały być podstawą hodowli, a pochodzące od pary Yellow Reaperów mogło się okazać najważniejszym z nich. Gdyby z jaja wykluł się samiec, którego można by krzyżować z wieloma liniami, Jane przysyłałaby jaja wielu pożądanych gatunków, o które ludzie już

pełniący służbę na miejscu mogliby się ubiegać z dużymi nadziejami na powodzenie. Gdyby natomiast z jaja wykluła się samica, awiatorzy zapewne spodziewali się, że z braku innych możliwości zainteresuje się nią Temeraire.

Cokolwiek sądzili o skłonności Temeraire'a do samodzielnego myślenia, którą, jak Laurence wiedział, generalnie przypisywali właśnie jemu, podczas gdy, o czym często myślał z rozbawieniem, sytuacja była wręcz odwrotna, z pewnością żaden z nich nie miał najmniejszych wątpliwości co do ogromnej wartości smoka, ocenianej z militarnego punktu widzenia.

- Krzyżówka z Reaperem to by było właśnie to - podsłuchał Laurence więcej niż raz, gdyż byłoby to połączenie zalet Temeraire'a z posłuszeństwem i ogólnie pogodnym charakterem Reaperów, które to cechy czyniły je tak pożądanymi kandydatami do służby.

Nie było jednak żadnej nadziei na skrzyżowanie Temeraire'a z małym stworzeniem, które wylęgłoby się z ostatniego jaja: i co za tym idzie, najprawdopodobniej żadnej nadziei na jakiegokolwiek smocze gody do czasu, gdy przybędą nowe jaja, chyba że karłowate młode okaże się samiczką i to skłoną zainteresować się Cezarem - który nie zyskał w oczach awiatorów od dnia, kiedy się wyklął; nie było to zatem coś, czego wyczekiwano z przesadną niecierpliwością.

Ale nic nie można było zrobić. Jajo Reapera znikło i najpewniej nie uda się go odzyskać, chociaż powinni ruszyć na poszukiwanie: Temeraire i Iskierka byli w takich nastrojach, że nie zaakceptowałyby innego rozwiązania. Tylko powolne działanie czasu złagodzi ich żal i rozczarowanie do znośnego poziomu.

- Możemy mieć nadzieję, jak sądzę - powiedział Laurence ściszym głosem do Tharkaya, gdy rozstawali się przed wejściem na smoki - że te poszukiwania okażą się przynajmniej pomocne w twoich: jeśli przemytnicy nam umkną, możemy podążyć tym szlakiem aż do jego początku i źródła ich towarów, którego, jeśli jest to zatoczka choć trochę dogodna do ich celów, nie uda im się łatwo zastąpić, kiedy odetniemy im do niej dostęp /a Pomocą regularnych patroli.

- Z mojego punktu widzenia sytuacja nie mogłaby być, sza - odparł Tharkay. - Zapłacono mi za odnalezienie szlaków wykorzystywanych przez przemytników; moje zadanie nieołówkowało wynajęcia smoków i ludzi, którzy mieliby ich wytężyć a już z pewnością wykończyć. Myślę, że jeśli nasi wielcy przwajaciele nie ochłoną trochu to najtrudniej będzie ochronić kilku z tych szmuglerów, żeby można ich było przesłuchać.

Tharkay poszedł dołączyć do Granby'ego, a Laurence wdrapał się bez ceregieli na grzbiet Temeraire'a i przypiął się do uprzęży; Rankin już był przypięty i rozmawiał po cichu z naburmuszonym Cezarem-

- Jeśli sobie tego życzysz, mój drogi kapitanie, oczywiście będę posłuszny, chociaż zupełnie nie rozumiem, po co to całe zamieszanie - mówił właśnie Cezar - albo dlaczego taszczą nas ze sobą jak jakiś bagaż, kiedy moglibyśmy zostać tutaj i popilnować krów.

Powiedział to jednak bardzo cichym głosem i Temeraire całkowicie go zignorował, odwrócił tylko na chwilę głowę, żeby zapytać: - Laurence, jesteś dobrze przypięty? - po czym obrzucił gniewnym spojrzeniem resztę swoich pasażerów; pionowe źrenice jego oczu były nienaturalnie rozszerzone, a odbijające się w nich promienie zachodzącego słońca sprawiały, że zdawały się jarzyć czerwienią-

- Jestem - odparł Laurence i chwilę później byli w powietrzu: dolina, jej zielone zbocza i urwiska z piaskowca, szybko oddalała się od nich; panująca w niej atmosfera spokoju była już dalekim wspomnieniem, a uderzenia skrzydeł brzmiały jak rytm bębna przy wciąganiu kabestanem kotwicy.

Największym niebezpieczeństwem było to, co mimo targającej nim furii szybko uświadomił sobie Temeraire, że przeleca nad złodziejami i zupełnie ich zgubią: ci ludzie nieśli jajo, które

J

o być dla nich kłopotliwym ciężarem, jeśli nie mieli wo- P° fharkay uważał, że nie mają - i oczywiście posuwali się Z° udem gdyż musieli przedzierać się przez zarośla. I Nie możemy lecieć wzdłuż szlaku - powiedział do Iskier- j gdyż szybko znajdziemy się o wiele dalej, niż oni mogliby dotrzeć, a poza tym jestem pewny, że się ukryli gdzieś na boku, i będą czekać, aż ich miniemy. Zanim wylecimy z jakiejś okolicy, musimy się upewnić, że ich tam nie ma.

Mvśłę, że musimy zataczać łuki - poradził Laurence i naszkicował im schemat poszukiwań: powinni utrzymać szlak w środku ich trasy i polecieć najpierw na zachód, a potem na północ, zakreślając łuki jak zamiatająca miotła.

Iskierka wypuściła niecierpliwie kłęby pary ze swoich wyrostków.

- Jak daleko twoim zdaniem mogli odejść od szlaku? - zapytała. -Jeśli będziemy latać w kółko, oni w końcu nas wyprzedzą; i nawet jeśli nie mają wozów, mogą mieć konie.

Po krótkiej dyskusji zdecydowali się na łuki o rozpiętości pięciu mil w każdym kierunku i zaczęli przeczesywać teren. To było trudne i przygnębiające poszukiwanie - każdy kawałek jasnego kamienia, który przyciągał wzrok Temeraire'a, sprawiał, że serce skakało mu nieprzyjemnie w piersi, gdyż mogło się okazać, iż jest to gładka, bladokremowa i nakrapiana czarnymi plamami skorupa. I tak przy każdym nawrocie przypominał sobie, jak strasznie muszą się spieszyć, a poza tym od nieustannego wpatrywania się w ziemię rozboleła go także głowa.

Iskierka, która nie musiała nieść tylu ludzi, nurkowała raz za razem, gdy tylko zobaczyła jakieś poruszenie - i raz za razem wracała tylko z jakimś niewiele wartym zwierzęciem w pysku, nędznym kangurem lub jednym z tych kazuarów o grubych, żyłastych nogach. Dzielili się nimi z Temeraire'em, mogli więc Posilać się w trakcie lotu i dzięki temu nie tracili więcej czasu;

Mojego punktu widzenia sytuacja nie mogłaby być lep- odParł Tharkay. - Zapłacono mi za odnalezienie szlaków wykorzystywanych przez przemytników; moje zadanie nie obejmowało wynajęcia smoków i ludzi, którzy mieliby ich wytropić, a już z pewnością wykończyć. Myślę, że jeśli nasi wielcy przyjaciele nie ochłoną trochę, to najtrudniej będzie ochronić kilku z tych szmuglerów, żeby można ich było przesłuchać.

Tharkay poszedł dotączyć do Granby'ego, a Laurence wdrapał się bez ceregieli na grzbiet Temeraire'a i przypiął się do uprzęży; Rankin już był przypięty i rozmawiał po cichu z naburmuszonym Cezarem.

" Jeśli sobie tego życzysz, mój drogi kapitanie, oczywiście będę posłuszny, chociaż zupełnie nie rozumiem, po co to całe zamieszanie _ mówił właśnie Cezar - albo dlaczego taszcza nas ze sobą jak jakiś bagaż, kiedy moglibyśmy zostać tutaj i popilnować krów. V

FowiedZiał t0 jednak bardzo cichym głosem i Temeraire całkowicie go zignorował, odwrócił tylko na chwilę głowę, żeby zapytać: - Laurence, jesteś dobrze przypięty? - po czym obrzucił gniewnym spojrzeniem resztę swoich pasażerów; pionowe źrenice jego Oczu były nienaturalnie rozszerzone, a odbijające się w nich promienie zachodzącego słońca sprawiały, że zdawały się jarzyć czerwienią. .1

- Jestem -odparł Laurence i chwilę później byli w powietrzu: dolina, jej z?elone zb0cza i urwiska z piaskowca, szybko oddalała się od nich; panująca w niej atmosfera spokoju była już dalekim wspomnieniami a uderzenia skrzydeł brzmiały jak rytm bębna przy wciąganiu kabestanem kotwicy. W

- z

sza -

Największym niebezpieczeństwem było to, co mimo targającej nim furii szybko uświadomił sobie Temeraire, że przeleca nad złodziejami i zupełnie ich zgubią: ci ludzie nieśli jajo, które

powinno być dla nich kłopotliwym ciężarem, jeśli nie mieli wo- zU - a Tharkay uważał, że nie mają - i oczywiście posuwali się z trudem, gdyż musieli przedzierać się przez zarośla.

Nie możemy lecieć wzdłuż szlaku - powiedział do Iskierki - gdyż szybko znajdziemy się o wiele dalej, niż oni mogliby dotrzeć, a poza tym jestem pewny, że się ukryli gdzieś na boku, i będą czekać, aż ich minimy. Zanim wylecimy z jakiejś okolicy, musimy się upewnić, że ich tam nie ma.

- Mvśłę, że musimy zataczać łuki - poradził Laurence i naszkicował im schemat poszukiwań: powinni utrzymać szlak w środku ich trasy i polecieć najpierw na zachód, a potem na północ, zakreślając łuki jak zamiatająca miotła.

Iskierka wypuściła niecierpliwie kłęby pary ze swoich wyrostków.

- Jak daleko twoim zdaniem mogli odejść od szlaku? - zapytała. - Jeśli będziemy latać w kółko, oni w końcu nas wyprzedzą; i nawet jeśli nie mają wozów, mogą mieć konie.

Po krótkiej dyskusji zdecydowali się na tuki o rozpiętości pięciu mil w każdym kierunku i zaczęli przeczesywać teren. To było trudne i przygnębiające poszukiwanie - każdy kawałek jasnego kamienia, który przyciągał wzrok Temeraire'a, sprawiał, że serce skakało mu nieprzyjemnie w piersi, gdyż mogło się okazać, iż jest to gładka, bladokremowa i nakrapiana czarnymi plamami skorupa. I tak przy każdym nawrocie przypominał sobie, jak strasznie muszą się spieszyć, a poza tym od nieustannego wpatrywania się w ziemię rozboleła go także głowa.

Iskierka, która nie musiała nieść tylu ludzi, nurkowała raz za razem, gdy tylko zobaczyła jakieś poruszenie - i raz za razem wracała tylko z jakimś niewiele wartym zwierzęciem w pysku, nędznym kangurem lub jednym z tych kazuarów o grubych, żylastych nogach. Dzielili się nimi z Temerairem, mogli więc Posilać się w trakcie lotu i dzięki temu nie tracili więcej czasu;

i potrafiła, co musiał przyznać, dojrzeć nawet najdrobniejSę poruszenie w dole.

To, że nie jest zupełnie osamotniony w tych poszukiwaniach podnosiło go trochę na duchu; Iskierka była uparta i nieodpo\Vje działna pod niemal każdym względem, i nikomu jej towarzyst\Vo nie mogło sprawić przyjemności, ale w tym jednym wypadku, kiedy byli tej samej myśli i dzielili ten sam cel, musiał uznać, że jest wartościowym partnerem. Czasem - bardzo rzadko, oczy. wiście - dostrzegała nawet to, czego on nie zauważył.

- Czy to... - zaczął w pewnej chwili i Iskierka natychmiast zanurkowała: pod nimi była kępa drzew i niskie, ostre zarośla, w których, jak mu się wydało, zobaczył lekkie poruszenie. Puściła na zagajnik strumień ognia, zbyt krótki, żeby podpalić zieloną roślinność, ale wystarczający, by oszołomić kryjącego się w niej wroga, po czym wdarła się między drzewa. Wsunąwszy głowę tak daleko, jak to tylko było możliwe, szukała, szarpiąc pazurami ziemię i wrywając z korzeniami krzaki oraz młode drzewka, które odrzucane przez nią na bok, utworzyły wielką, osmaloną ogniem stertę.

A potem się wycofała: w jednej łapie trzymała kilka gryzoni, które zgarnęła razem z ziemią, uduszonych dymem i tak małych, że każdy ledwie nadawał się na jeden kęs. Mimo to zjedli je na surowo i bez oczyszczenia. Przystawało to do uczucia, które Te- meraire rozpoznał, uczucia, że opuściła go zdolność racjonalnego myślenia; ale z drugiej strony w obecnej sytuacji nie była ona ani konieczna, ani pożądana; podobnie jak nadmierna wrażliwość. Chciał tylko lecieć, szukać i polować, kiedy to było konieczne dla podtrzymania sił: wcale nie żałował, że cofnął się do stanu zwierzęcego, gdyż inaczej musiałyby znowu zмагаć się z poczuciem winy i towarzyszącymi mu samooskarżeniami.

Iskierka, musiał to przyznać, o nic go nie oskarżała. Mogła powiedzieć: Co sobie myślałeś, zostawiając jajo bez opieki? Al-

juogła robić mu wyrzuty, że spał, i to mocno, kiedy ktoś je k adl ^go. Oczywiście Temeraire mógł odpowie

dzień tym samym oskarżeniem, ale to on sprawował opiekę nad ? • mi przez całą drogę od samej Wielkiej Brytanii: Iskierka nie dzieliła z nim tej odpowiedzialności w takim samym stopniu. >jie pozwolił jej na to; a gdyby ją do tego dopuścił, to może, co musiał z przygnębieniem wziąć pod uwagę, byłaby bardziej czujna, miała się bardziej na baczności; może właśnie ona nie dopuściłaby do kradzieży jaja.

Wolałyby już wcale nie myśleć niż rozważać takie kwestie. Rozgryzał kolejne wombaty, ciesząc się, że w ogóle je ma; były chude, niemal zupełnie bez tłuszczu, ale mimo to soczyste, ożywiające.

- Jesteś głodny, Laurence? - zapytał, wrywając się tylko na tyle ze swojej głębokiej zadumy.

- Nie; mamy suchary i to nam wystarcza - odpowiedział Laurence - ale nie możemy już dziś zbyt długo szukać, mój drogi. Robi się zupełnie ciemno.

- Możemy zrobić pochodnię - rzuciła Iskierka i chwyciwszy jeden z większych eukaliptusów, szarpała nim tak długo, aż w końcu jego korzenie puściły; podpalona strumieniem ognia korona drzewa buchnęła oleistym płomieniem, wydzielając drażniący i dziwnie kojarzący się z lekarstwami zapach.

Jednak oświetlanie ziemi nie było takie łatwe, jak mogłoby się zdawać, i kiedy Iskierka zrobiła pochodnię dla Temeraire'a, smok przekonał się, iż trzymanie jej jest bardzo kłopotliwe, zwłaszcza że za każdym razem, gdy wiatr kierował płomień ku niemu, musiał uważać na ostatnie małe jajo wiszące na jego piersi i skazańców w sieci ładunkowej pod jego brzuchem.

W pewnej chwili zobaczył migoczące odbicie światła pochodni w czymś na ziemi i całkowicie instynktownie zawrócił w tamtym kierunku; rozpaczliwe krzyki skazańców ostrzegły go, odsunął więc gwałtownie pochodnię na bok, ale poparzył przy tym boleśnie pazury, i upuścił ją. Prawie udało mu się zapać spadającą pochodnię, ale rozmyślił się i pomknął zamiast tego w stronę małego odbicia, chcąc do niego dotrzeć, dopóki jeszcze je w idział.

Ale wylądował na zwykłym kamieniu i macając na oślep dookoła łapami, znalazł ich tylko więcej. Chwilę później pojawiła się Iskierka ze swoją pochodnią i wtedy wąska żyła, którą drapiąc, odsłonił w skale, zapłonęła czerwonymi, zielonymi i perłowymi ogniami.

- Opal - odezwał się Tharkay.

Kamień był piękny i w innych okolicznościach Temeraire powitałby to odkrycie z największą radością: teraz jednak nie czuł nic, zupełnie nic, oprócz gorzkiego rozczarowania kolejnym niepowodzeniem i głębokiego żalu.

- Jest mi strasznie przykro, ale błagam cię, żebyś dziś już na tym poprzestał - powiedział cicho Laurence. - Nic nie możesz na to poradzić, ale tą metodą więcej przeoczysz niż znajdziesz. W tej części świata noce są coraz krótsze; już wkrótce nadejdzie świt, a ty i tak musisz trochę odpocząć. Lepiej prześpij się teraz i wstań z pierwszymi promieniami słońca.

Upuszczona przez Temeraire'a pochodnia, która dogasała w pewnej odległości od nich, była jedynym źródłem światła w całej okolicy. Noc była bardzo ciemna i tylko mgielka gwiazd na niebie oraz ten pomarańczowy blask trochę rozpraszały jej czerń. Sfrustrowana Iskierka z gniewnym sykiem cisnęła na bok swoją pochodnię, po czym zwinęła się w kłębek do snu.

Temeraire poczekał jeszcze, aż ludzie zdejmą z niego ładunki, ale kiedy chcieli także odczepić siatkę z małym jajem, powiedział:

- Nie, możecie je zostawić, i uprząż także; przekonałem się, że zupełnie dobrze mi się w niej śpi.

jsjagle poczuł się bardzo zmęczony, chociaż nie zatrzymałby się, za nic, gdyby tylko był jakiś sposób kontynuowania poszukiwań, [łżył się ostrożnie na ziemi, umieściwszy ostatnie jajo między łapami, skąd nikt nie mógłby go zabrać, nie budząc go jednocześnie.

Jednak nie była to odpowiedź na wszystkie zagrożenia. Uświadomił sobie z niepokojem, że przywykł do tego, iż ludzie po nim chodzą; są tak mali i tak mało ważą, że mógłby tego nawet nie zauważyć. Po krótkim namyśle zdecydował, że nie będzie spał, tylko poleży i odpocznie. Ale sen podkładał się do niego zdradziecko: głowa mu opadała, powieki się kleiły, po czym wiatr zmieniał kierunek lub jakaś gałązka ocierała się o jego skrzydło, budząc go gwałtownie; obwąchiwał wtedy z niepokojem jajo, upewniając się, że jest bezpieczne, a potem ten podstępny sen znowu do niego podpełzał.

Był tak zmęczony; i wtedy Laurence, kochany Laurence, położył rękę na jego przedniej łapie, wspiął się na nią i usiadł obok jaja.

- Proszę, śpij bez obaw - powiedział. - Ja mogę spać jutro, kiedy ty będziesz musiał lecieć.

- Dziękuję, Laurence; to dla mnie wielka ulga - odparł z wdzięcznością Temeraire. Zamknął oczy, uspokojony widokiem nagiej szpady, którą Laurence położył na kolanach, i natychmiast zasnął.

Jednak rano gniew, który w sobie podtrzymywał, ostygł. Pozostało tylko skrajne przygnębienie, poczucie klęski zmieszane z postanowieniem, że niezależnie od tego, jak daremne będą poszukiwania, muszą być kontynuowane do czasu, aż dowiedzą się, co się stało z jajem - choć prawda najpewniej będzie straszna. Obwąchał ostatnie, najmniejsze jajo, szukając w tym pociechy. Pomyślał, że zaczęło twardnieć, i już wkrótce zagrażające mu niebezpieczeństwo minie; nie mógł się doczekać tej chwili.

- Mógłbyś się pośpieszyć - powiedział cicho do jaja - choć ciąż nie aż tak, żebyś zrobił sobie jakąś krzywdę; tylko wtedy gdybyś był głodny lub gotowy trochę polatać. Dobrze by było gdybyś to zrobił raczej wcześniej niż później.

Iskierka tymczasem krążyła niecierpliwie po obozie, zawracając tak gwałtownie, że jej długi ogon pozostawał w tyle, i dopóki nim nie machnęła, przerzucając go za siebie, sunął jeszcze po ziemi w kierunku, w którym przed chwilą szła.

- No i jak? - zapytała w pewnej chwili. - Ruszamy? Już jest widno.

Nie było jeszcze zupełnie widno; niebo pojaśniało na tyle, że na tle ciemnego horyzontu widać było jej sylwetkę i niewyraźne kłęby białej pary wypływającej z jej kolczastych wyrostków. Musiało jednak upłynąć jeszcze trochę czasu, zanim załadowali bagaże i wszyscy ludzie zajęli swoje miejsca: słońce było już blisko horyzontu, kiedy w końcu wzbili się w powietrze i wznosząc się wyżej, znaleźli się w jego świetle szybciej, niż padło ono na ziemię.

Trochę to trwało, zanim znaleźli szlak, zwłaszcza że musieli kilka razy lądować, by Tharkay mógł poszukać śladów. Te powtarzające się przerwy były niezwykle męczące dla ducha, ale Temeraire powstrzymywał się od narzekania; rozumiał teraz, że ich naleganie, by ruszyć natychmiast w pościg, nocą, uniemożliwiło Tharkayowi obserwację szlaku. Nie mógł być nierozsądny, powiedział sobie, i oznajmił Iskierce podczas czwartego z tych postojów:

- Szanse odnalezienia jaja będą o wiele mniejsze, jeśli zupełnie zgubimy ten szlak; to, co robimy, jest sensowne i wcale nie tracimy czasu, tylko go zyskujemy.

- Dobrze, dobrze - odparła niecierpliwie Iskierka. - Czy on już skończył? Dlaczego to patrzeć na ziemię musi tak długo trwać i dlaczego tu musi być tak dużo drzew?

- Dopóki tu jesteśmy, moglibyście mi pozwolić zejść i odpocząć P0^ znowu Jest mi gorąco - wtrącił Cezar z grzbietu femeraire'a, skąd stanowczo zabroniono mu się ruszać. Naturalnie tylko po to, żeby być większym utrapieniem, przybrał w ciągu nocy na wadze sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt funtów, pomyślał Temeraire.

Bardzo trudno polowało się w tak gęsto zalesionym terenie. Przelecieli już nad górami i wszędzie rosły drzewa. Niezależnie, jak daleko sięgało się wzrokiem, nie było widać wśród nich żadnej przerwy, z wyjątkiem rzeki w dole, która płynęła na południowy zachód, w kierunku przeciwnym do oceanu.

- Pewnie ma ujście na południowym wybrzeżu lub wpływa do jakiegoś jeziora czy śródlądowego morza - powiedział Lau-rence, patrząc najpierw na nich, a potem na swoje mapy linii brzegowej kontynentu, żałośnie niekompletne.

- To by mnie ucieszyło - odparł Granby, ocierając rękawem pot z czoła. - Nie miałbym nic przeciwko temu, żebyśmy trafili na jezioro. Ci przemytnicy muszą mieć gdzieś wodę przy drodze, którą idą, prawda? - dodał.

Ciężko było znieść to powolne tempo, te niekończące się lasy, które przesuwaly w dole, i meandrującą to w lewo, to w prawo rzekę. Iskierka doszła do wniosku, że ma dosyć i lepiej zrobić, jeśli polecą dalej prosto; przekonanie jej, by zmieniła zdanie, przyszło Temeraire?owi z najwyższym trudem; musiał przekonywać sam siebie, nie tylko ją, chociaż Laurence i Granby byli tak bardzo pewni, że wybrali właściwą metodę poszukiwań.

Temeraire leciał tak ostrożnie i powoli, jak tylko mógł, ale kiedy przez kilka dni nie udało im się trafić na żaden ślad, Tharkay doszedł do wniosku, że mimo wszystkich wysiłków minęli porywaczy i muszą zawrócić. Początkowo Temeraire nie mógł w to uwierzyć - lecieli przecież tak wolno - ale Laurence w końcu przekonał go, by kolejnego ranka przed odlotem dał mu trochę czasu na narysowanie szkicu pokazującego odległość, jaką złodzieje mogli pokonać, poruszając się z największą osiągalną dla pieszych szybkością: i Temeraire nie był w stanie temu zj przeczyć; zapędzili się za daleko.

Przez następne trzy dni wracali nad tym samym terenem odtwarzając drogę, którą przybyli, i powtarzając poszukiwanie ale nie znaleźli niczego nowego i w końcu Tharkay pozwolił im lecieć dalej. Tego popołudnia pełen rozpaczny Temeraire wylał. dawał ciężko przy rzece; nie mógł się oprzeć pragnieniu i pi) łączywie, ale nie czuł, żeby na to zasługiwał.

- Laurence - odezwał się w pewnej chwili Tharkay, wyprostowując się - pozwól na słówko, proszę.

Temeraire postawił krezę i dzielnie oparł się pokusie podsłuchiwanie; co też Tharkay mógł mówić i dlaczego nie chciał, żeby reszta to słyszała? A Laurence wyglądał tak poważnie, słuchając jego słów; oczywiście nie należy wścibiać nosa do prywatnych rozmów innych, ale...

- Zupełnie ich nie słyszę - odezwała się Iskierka. - Granby, idź i powiedz nam, o czym rozmawiają.

- Cóż, nie zrobię tego - odparł zdecydowanie Granby - a ty też nie przysuniesz się bliżej; masz wystarczająco dużo grzechów na sumieniu, żeby dodawać do nich jeszcze podsłuchiwanie.

Ale wtedy wrócił Laurence i powiedział, bardzo łagodnie:

- Mój drogi, muszę cię poprosić, żebyś postarał się zachować spokój i przekonał Iskierkę, by też panowała nad sobą, kiedy ja...

- Och!... - przerwał mu ogarnięty przerażeniem Temeraire- on znalazł... znalazł kawałek jaja...

- Nie - odparł Laurence - nie, mój drogi; wręcz przeciwnie, ale nie wolno ci niszczyć śladów ani zgubić tropu. Tharkay myśli, że oni tu byli, wczoraj w nocy, i że trzymali jajo na tym piaszczystym pagórku, ale nie ma pewności...

- A więc są blisko! - wykrzyknęła Iskierka, stając na tylnych łapach.

nim, ho pozacierasz ślady i wszystko stracimy; musimy czekać. Tharkay, czy możesz w ogóle coś powiedzieć o kierunku, w którym poszli?

Jego skrzydła drżały z podniecenia; uczucie desperacji, które ostatnio go nie opuszczało, zupełnie znikło. Nie zawiedli: złodziejom nie udało się umknąć ze swoją zdobyczą.

- Dziś rano lecieliśmy tylko przez kilka godzin - powiedział w radosnym uniesieniu - i często się zatrzymywaliśmy; z pewnością znajdziemy ich, zanim zapadnie zmierzch. I jesteś

zupełnie pewny, że jajo było w dobrym stanie, kiedy tu byli? - zapytał. - Czy leżało blisko ogniska, jak sądzisz?

- Już samo to, że powiedziałem, że obozowali tu z jajem, było z mojej strony spekulacją - odparł Tharkay, ale Temeraire zrzucił to na karb jego oschłego, powściągliwego sposobu wyrażania się.

Iskierka była gotowa lecieć od razu, z całą szybkością i prostym kursem, ale Granby i Laurence upierali się, że powinni nadal zakreślać łuki, gdyż złodzieje najpewniej wiedzieli już, iż pościg jest blisko.

- To bardzo kłopotliwe, że my jesteśmy tak duzi, a oni tak mali - powiedział Temeraire ze smutkiem do Laurence'a - gdyż jestem pewny, że ukryli się właśnie gdzieś pod drzewami i obserwują nas, myśląc tryumfalnie, w wielce nieprzyjemny sposób: „Oni tam są i wcale nie mogą nas zobaczyć!”

- Zapewniam cię - odparł Laurence - że jeśli złodzieje ukrywają się gdzieś w pobliżu, w jakimś miejscu, skąd mogą zobaczyć, co wyczyniacie z tą całą roślinnością wokół nas, to wcale nie są skłonni ani tryumfować, ani się śmiać. Myślę, że raczej modlą się bez przerwy.

„Stój, stój!” - krzyknął Temeraire i przyskoczywszy do niej, do ziemi kilka zwojów jej ogona.

- Nie wymachuj

Temeraire nie mógł już dłużej narzekać, kiedy Tharkay nakazywał postój, i podobnie nie mogła Iskierka; za to oboje zerkali przez jego ramię na każdą drobinę ziemi, którą badał, i próbowali rozgryźć znaczenie śladów, które znalazł. Téméraire w ogóle niczego nie dostrzegał, chociaż kiwał głową i próbował wyglądać mądrze, kiedy Tharkay wskazywał palcem na jakieś całkowicie nieodróżnialne od innych wgłębienie w ziemi i nazywał to śladem stopy lub pokazywał jakąś gałązkę na jednym z wielu takich samych krzaków i mówił, że to jest ślad przejścia.

Kilka dni później, wciąż poruszając się w tym boleśnie powolnym tempie, wylecieli nad otwartą przestrzeń. Byli teraz daleko od rzeki i jako źródła wody pozostały im tylko jej mniejsze dopływy oraz strumienie, wszystkie płynące na północny zachód. Las ustąpił porośniętemu krzakami stepowi, więc Temeraire musiał bez narzekania znosić obecność kurzu, bez względu na to, jak dużo go było; a było go bardzo dużo. Kaszlał i kichał, kiedy lecieli i kiedy zatrzymywali się na noc.

Laurence'a niepokoił problem wody. Temeraire nie mógł pozwolić, żeby takie drobne sprawy go rozpraszały i chociaż pozostawienie za sobą rzeki nie było z pewnością czymś dogodnym, skoro zrobili to przemytnicy, to woda gdzieś musiała być.

- To nie znaczy, że znajdziemy ją tak łatwo, jak to robiliśmy do tej pory, mój drogi - powiedział Laurence, kiedy ostatni mały strumień został za nimi - i musisz wziąć pod uwagę również taką sprawę, że mała grupa ludzi może nieść zapas wody przez kilka dni, podczas gdy my nie możemy sobie pozwolić na taki luksus.

- Ale tutaj prawie nic nie zasłania ziemi - odparł Temeraire - a więc łatwiej jest zobaczyć wodę nawet z bardzo daleka, i złodziei też; jeśli tylko ich znajdziemy, nie będziemy musieli się martwić o nic innego.

- Lepiej, żebyśmy się o to martwili - powiedział głośno Jack Telly do innych mężczyzn z sieci ładunkowej. - Jeśli znajdziemy wodę, to do pewnych gardeł poleje się ona w pierwszej kolejności i może się zdarzyć, że dla reszty nic już nie zostanie.

Téméraire usłyszał to, prychnął wzgardliwie i dodał:

- Tam jest całkiem ładna wodna dziura, więc nie musicie narzekać.

Łatwo ją było dostrzec: lekko srebrnawy poblask pośród zakurzonej krainy, otoczony zapraszająco przez wiele krzewów i kilka małych drzew. Kiedy już zaspokoili pragnienie,

Tharkay zwrócił ich uwagę na małe wzgórze wznoszące się w niewielkiej odległości od nich. Na jego szczycie odkrył ślady postoju złodziei, którzy zatrzymali się za dnia, żeby się posilić.

- Myślę, że tutaj rozpalili ognisko - powiedział, wskazując nagi skrawek ziemi. Temeraire powąchał go dyskretnie, kiedy Tharkay wyprostował się, by przejść do innej części obozu, ale nie mógł wyczuć zapachu dymu, dopóki nie wyciągnął języka, i dopiero wtedy wydało mu się, że wykrywa ledwie wyczuwalny swąd palonego drewna.

Ale wtedy, właśnie wtedy Tharkay powiedział: -... a jajo było tutaj - i Temeraire, odwróciwszy się gwałtownie, zobaczył to zupełnie wyraźnie: było tam gniazdo z liści i trawy, obramowane cienkimi gałęziami, i to gniazdo miało gładkie zagłębienie w środku, o dokładnie takim rozmiarze i kształcie, by utrzymało się w nim jajo: Temeraire sam skleciłby to podobnie, gdyby miał zbudować coś o tym samym przeznaczeniu.

- Wokół mamy dziesiątki tysięcy akrów pustkowi, a ty doprowadziłeś nas tak blisko do tych ludzi, że depczemy im po piętach - odezwał się Laurence. - Nigdy bym nie uwierzył.

Tharkay pokręcił głową.

- Możesz mnie chwalić, kiedy będziemy mieć ich w garści, a'e na razie ich nie widzę, a ty?

Temeraire wzbił się w powietrze, żeby za nich wszystkich rozejrzeć się po okolicy, i rzeczywiście nigdzie nie dostrzegł żadnego śladu ludzi - za kilkoma wzgórzami kłębiło się wprawdzie trochę kurzu, ale okazało się, że wzniosło go kilka biegnących kazuarów, i trochę dalej było małe stado dzikich psów.

- Ale musimy być blisko, skoro oni jedli tu tak niedawno - powiedział po wylądowaniu, próbując podnieść się na duchu.

- Nie chcę wyjść na pesymistę - powiedział Tharkay do Laurence'a - ale wydaje się, że oni znają te krainę nadzwyczaj dobrze. Podążają swoją drogą bez wahania, nie dostrzegłem żadnych śladów, które świadczyłyby, że w którymś miejscu zabłądzili i musieli się cofnąć. Zjedli tutaj szybko; jedzenie musieli mieć ze sobą lub wiedzieć, gdzie w pobliżu można je zdobyć. Przyszli prosto do tego obozu, wiedząc, że jest tu woda; a nie mieli przewagi, jaką daje widok z powietrza.

- Mam nadzieję, że nie zostanę uznany za zbytniego optymistę - odrzekł Laurence - ale mimo to pozwolę sobie na odrobinę wiary w powodzenie naszych poszukiwań: może oni i znają drogę, ale nie mogą znać tych okolic aż tak dobrze, by z niej zbaczać, a my mamy tę przewagę, jaką daje możliwość obserwowania terenu z góry.

- No to lepiej ją wykorzystajmy - wtrącił Temeraire. - Proszę, niech wszyscy zajmują miejsca - dodał rozkazującym tonem.

Skazańcy zaczęli niechętnie wychodzić z cienia i kolejno wdrapywać się do sieci ładunkowej, przywłókł się nawet poganiany i narzekający Cezar, i wtedy porucznik Forthing zapytał:

- Gdzie się podział ten przeklęty Telly?

Jack Telly zniknął.

- Ale gdzie on mógł pójść? - zapytał Temeraire: w promieniu kilku mil nie było w zasadzie niczego i nawet jeśli Telly chciałby od nich uciec, nie było żadnego miejsca, dokąd mógłby uciekać. Od rana pokonali przynajmniej dziesięć mil, nawet jeśli lecieli tymi nużącymi zakosami, i nie zauważyli niczego specjalnego.

Okazało się jednak, że kiedy go widziano po raz ostatni, szedł właśnie w kierunku dziury wodnej, żeby się napić, i zabrał ze sobą manierkę: jeden ze skazańców zapamiętał, że miał ją w ręce.

- No więc uciekł na to pustkowie - powiedział niecierpliwie Rankin - wierząc niewątpliwie w tę idiotyczną koncepcję, że do Chin można dotrzeć łądem; a my powinniśmy się cieszyć, że nie ukradł nam niczego, co jest nam bardziej potrzebne od jednej manierki. Czy chcecie poświęcić godziny na odszukanie go i wygrzebanie spod jakiegoś krzaka, pod którym się

ukrył, czy też może powinniśmy troszkę wyżej cenić cel, który nam przyświecał, od ratowania tego głupca przed konsekwencjami jego głupoty?

- Nie możemy tracić na to czasu, prawda? - odparł Teme-raire, patrząc z niepokojem na Laurencea.

- Możemy i poświęcimy - rzekł z naciskiem Laurence - przynajmniej na to, żeby zrobić kilka przelotów nad najbliższą okolicą i spróbować go znaleźć. Jesteśmy odpowiedzialni za tego człowieka, był jednym z nas. Jeśli uciekł, to jedna sprawa, ale ucieczka byłaby czymś bardzo dziwnym teraz, kiedy jesteśmy tak daleko od wszelkich śladów cywilizacji. Znacznie bardziej prawdopodobne jest to, że na skutek przegrzania lub choroby powietrznej stracił orientację, wszedł gdzieś w zarośla i się zgubił.

- Nie rozumiem, dlaczego miałoby nas to obchodzić, jeśli był na tyle głupi, że włóczył się po tym pustkowiu - rzuciła zirytowana Iskierka. - On nie jest jajem, które nie może o siebie zadbać i które ci, co je porwali, wloką ze sobą, dokąd im się żywnie podoba.

Temeraire oczywiście nie chciał się kłócić z Laurence'em, ale skłaniał się do przedstawionej przez Iskierkę oceny sytuacji, zwłaszcza kiedy usłyszał, jak jeden ze skazańców zamiast wołać z innymi „Jack, Jack”, podczas gdy on zataczał kręgi, powiedział do drugiego:

- Jeśli chcesz wiedzieć, on już jest kawał drogi stąd, bez dwóch zdań; w połowie drogi do Chin, gwarantuję, a my tu siedzimy, huśtając się jak cycki sześciopensowej dziwki p[^] brzuchem tego potwora.

Jack chyba zgadzał się z nimi; w każdym razie nie odpowie, dział ani nie wyszedł z krzaka i nie pomachał ręką.

- Musiał postanowić, że zostanie tutaj - odezwał się w końcu Temeraire - na pewno, Laurence; narobiliśmy tu takiego hałasu, że każdy, kto był w pobliżu, nie mógł tego nie usłyszeć. Mam nadzieję - dodał z lekkim wyrzutem - że nie usłyszeli tego złodzieje, bo byliby ostrzeżeni.

Nie dodał, chociaż mógł, że z Tellym było stałe utrapienie od samego początku, jeszcze zanim opuścili Sydney: ciągle tylko narzekał i narzekał. Temeraire nie uważał, żeby to była bardzo wielka strata, gdyby on nie chciał lecieć z nimi dalej.

- Nie mogę tego zrozumieć - odparł Laurence. - Demane, zejdź, proszę, na dół i zapytaj tych ludzi, jaki miał wyrok i kim był z zawodu.

Demane zszedł zrzęcznie po boku Temeraire'a, żeby porozmawiać ze skazańcami w sieci ładunkowej; po czym wspiął się na górę i zdał raport: Telly uczył się kiedyś na stolarza, ale skazany w wieku szesnastu lat za dług w wysokości dwóch funtów, pięciu szylingów i siedmiu pensów, włamał się przez okno jakiegoś domu w Londynie i ukradł kilka wartościowych rzeczy, żeby go spłacić; stwierdziwszy, że jest to o wiele bardziej lukratywna profesja, dał sobie spokój z uczciwym życiem. Ujmując to w skrócie, był złodziejem, włamywaczem skazanym na dwadzieścia lat zesłania i ciężkich robót.

- Co taki człowiek robiłby w dziczy, po co miałby uciekać? - zapytał Laurence.

- Nie pojmuję, dlaczego przypisujesz mu więcej rozumu, niż mógł mieć - powiedział Rankin. - Wyobrażał sobie, jestem pewny, że wszystko będzie uroczo łatwe: człowiek z widokami na zdobycie cenionego zawodu, który wpada w jakieś nedorzeczne w stosunku do jego pozycji społecznej długi, zmienia się potem w złodzieja i szaleje po Londynie do czasu, aż go łapią i skazują na zesłanie, z pewnością nie może być posądzony o posiadanie choćby odrobiny zdrowego rozsądku. - Ani o to, że Ala jakkolwiek wartość dla społeczeństwa; a tymczasem grupa francuskich szpiegów, jak, zdaje się, podejrzewa pana chiński przyjaciel, umyka z jajem stworzenia w naszej sytuacji wręcz bezcennego. Jeśli będzie pan obstawał przy szukaniu tego człowieka, na pewno zgubimy ich trop; i może być pan pewny, że w raporcie do ich lordowskich mości nie omieszkałem przedstawić mojej opinii o tej sprawie, jak również o braku rozsądku kapitana Granby'ego, ulegającego pańskim życzeniom.

Podzielanie choć po części poglądów Rankina było czymś bardzo nieprzyjemnym, zwłaszcza gdy wyrażał je w tak obraźliwy sposób, i Temeraire pomyślał, że on także nie ma zbyt wielkiej wartości dla społeczeństwa. Jednak nie ulegało wątpliwości, że los jaja musi mieć znaczenie nadrzędne; ale właśnie gdy smok przygotowywał się w duchu, by powiedzieć to Laurence'owi, nadleciała Iskierka i Granby krzyknął z jej grzbietu:

- Laurence, jest mi cholernie przykro, ale jeśli ten facet nie złamał gdzieś tam karku, to najwyraźniej nie chce być znaleziony, a Iskierka nie zamierza dłużej go szukać.

- No dobrze, niech tak będzie - odparł po chwili namysłu Laurence. - Ruszajmy w drogę.

- Mam nadzieję, że nie jesteś bardzo zmartwiony, Laurence - odezwał się do niego Temeraire, gdy razem z Iskierką zaczęli znowu lecieć zakosami, według schematu, który opracował dla nich tego ranka; ona nieco wyżej i oboje kursami przeplatającymi się tak, że przez cały czas patrzyli w przeciwnych kierunkach, ale każde musiało przy tym rzucić okiem na ten sam skrawek terenu, by mieli pewność, że nic nie zostało przeoczone.

- Nie - odparł Laurence - tylko że bardzo mnie to dziwi - wiem, że ludzie uciekają, nawet dosyć często, ale tylko wtedy, gdy mają szansę coś zyskać i jakiś port w pobliżu, generalnie z kobietami, i o wiele łatwiej byłoby mi uwierzyć w jego umyślną ucieczkę, gdyby zabrał ze sobą butelkę rumu, a nie manierkę. Przypuszczam, że Granby ma rację i ten biedak po prostu się zagapił i wpadł do jakiejś rozpadliny; gdzie najpewniej umrze z pragnienia, jeśli te dzikie psy, które słyszeliśmy w nocy, nie dostaną go prędzej. To surowy kraj i niechętnie myślę o pozostawieniu w nim człowieka.

Nie znaleźli przemytników tego popołudnia ani nawet wieczorem. Lecieli mimo gęstniejącego zmroku, który odebrał okolicy wszystkie kolory, a zakreślane przez nich łuki były coraz węższe, kiedy wypatrywali we wszystkich kierunkach najmniejszego nawet blasku ogniska; niczego jednak nie dostrzegli.

W miarę upływu czasu roślinność na ziemi gwałtownie rzędła, i nawet krzewy skarłały i wyglądały z góry jak małe, ciemne plamy. Sylwetki nielicznych rosnących tam drzew, które rysowały się na tle ciemniejszego nieba, przypominały kształtem długie szczotki używane przez pana Fellowesa do czyszczenia metalowych sprzączek uprząży lub karabinów: długie, cienkie pnie jak u młodych drzewek i małe, gęste korony na górze. Gwiazdy na niebie były już bardzo jasne i wyraźne: zimne i lśniące plamki światła, a wśród nich szeroka, mglista wstęga Drogi Mlecznej.

W końcu musieli się znowu poddać i rozłożyć na nocleg. Robili to w nastrojach dość minorowych.

- I jestem głodna - poskarżyła się z irytacją w głosie Iskierka: polowanie także niezbyt się udało tego dnia.

Ale Temeraire nie był tak przygnębiony jak poprzedniego dnia.

- W końcu dwa razy niemal ich złapaliśmy - powiedział. -

Widzieliśmy przynajmniej, gdzie byli, i jest oczywiste, że jutro jeszcze bardziej się do nich zbliżymy, i wiemy - dodał - że jaju nic się nie stało; już samo to jest warte wszystkich naszych trudów.

- Tylko wtedy, jeśli przez to, że nic mu się nie stało, rozumiesz, że nie zostało jeszcze rozbite na kawałki - ostudziła jego zapał Iskierka i zwinęła się w kłębek do snu.

Nie było tu także wody; ostatni raz widzieli ją, kiedy od miejsca, które wybrali na nocleg, dzieliło ich jakieś osiem mil, a i to zbiornik znajdował ze trzy mile w bok od linii ich lotu. Awiatorzy wydzielili po kubku wody dla siebie i skazańców; i po mniejszym rumu dla każdego, przy czym rum został wypity najpierw, zanim rozdano suchary.

Kiedy jedli, O'Dea, ku wielkiej konsternacji Temeraire'a, powiedział zupełnie głośno:

- Spodziewam się, że wcale ich nie znajdziemy, teraz, kiedy zostawiliśmy Jacka Telly'ego w tym obcym kraju na śmierć z głodu lub na pożarcie przez dzikie psy. To nie jest w porządku i

myśle, że jego duch podąża za nami, podczas gdy ciało gdzieś tam gnije. Nie wypatrzymy ich śladów, kiedy ciąży nad nami klątwa; Jack pragnie towarzystwa, ludzie, w swoim samotnym grobie. Będziemy szukać i szukać, i nigdy nikogo nie znajdziemy, choćbyśmy krążyli tu tak długo, aż posiwiejemy i wszystkie członki nam się powykręcą ze starości.

- Laurence - odezwał się Temeraire, bardzo zaniepokojony tym, co podслуchał - Laurence, czy sądzisz, że on może mieć rację? Nie pomyślałem o tym, kiedy opuściliśmy tamto miejsce. Gdybym pomyślał, że on rzuci na nas klątwę, która uniemożliwi nam odnalezienie jaja, nigdy bym nie sugerował tak szybkiego odlotu.

- Nie wydaje mi się - odpowiedział Laurence - i jestem zdumiony, mój drogi, bardzo zdumiony, że stałeś się tak zabobonny - ale było to pocieszające tylko do pewnego stopnia. Wgłębi serca Temeraire uważał, że Laurence podchodził do kwestii przesądów, które rzeczywiście nie mają żadnego sensu, z nadmierną i dość nierozsądną powagą, zwłaszcza że równie niewzruszony był w kwestii Ducha Świętego; smok nie rozumiał, jak można przeczyć istnieniu innych duchów, jeśli wierzy się w istnienie jednego.

- Ja też nie wierzę, żeby coś w tym było - odparła Emily, kiedy Temeraire zapytał ją cicho o to samo, gdy Laurence odszedł, żeby omówić z Tharkayem i Granbym ich plany na następny dzień.

- A ja wierzę - powiedział Demane, badając stan swoich noży. - Ja też bym was prześladował, gdybyście mnie zostawili.

- Może on by i chciał to zrobić - sprzeciwiła się Emily - ale jeśli ten człowiek byłby w stanie nas prześladować, to Przede wszystkim mógłby nam trochę pomóc siebie odnaleźć.

- To nic nie znaczy; duchy nie są takie same jak ciała - odparował z pogardliwym lekceważeniem Demane i na to Emily już nie znalazła odpowiedzi.

- Ale przecież nie było tak, że odlecieliśmy od razu albo że zostawiliśmy go tam celowo - powiedziała Emily, ale skazańcy wciąż jeszcze nie zgadzali się w tej kwestii.

- Jack robił zamieszanie, mam rację? - wymamrotał Bob Maynard, dość niewyraźnie z powodu rumu, który wypił, ale wystarczająco głośno, żeby go usłyszano, i rzucił wymowne spojrzenie w stronę miejsca, gdzie stał Rankin, rozmawiający z Cezarem. - Niektórym nie podobało się, jak mówił, co jest co, kiedy wleczono nas, gdzie diabeł mówi dobranoc; niektórym tu bardzo zależało, żebyśmy odlecieli jak najszybciej, i nie mieli czasu uronić nawet jednej łzy za starego Jacka.

Maynard miał skłonność do wyłudzenia od innych ich porcji rumu, i chociaż był niemal dwa razy większy od większości z biednych, wychudzonych skazańców, z trudem wykonywał połowę pracy każdego z nich, ale zawsze był gotów zabawić ich piosenką, którą śpiewał ładnym, głębokim barytonem, lub ciekawą opowieścią; na ogół wcale nie miał zwyczaju narzekać, tak więc to oskarżenie uderzyło z większą niż normalna siłą właśnie dlatego, że padło z jego strony. Temeraire z trudem zdusił w sobie narastające poczucie winy; sam przecież myślał - ale tylko przez chwilę i nie powiedział tego na głos, usprawiedliwiał się w duchu - że to nie będzie tak straszne, nie musieć znosić dłużej obecności wiecznie narzekającego Jacka Telly'ego.

- Mimo to nie zrobiliśmy tego umyślnie; nikt go nie prosił, żeby sobie poszedł i wskoczył do jakiejś dziury - odezwał się smok - i przecież szukaliśmy go, wcale nie tak krótko - ale nie potrafił przekonać sam siebie, że Jack Telly uznałby trafność tych argumentów, a ponieważ decyzja, czy będzie ich prześladować, czy też nie, miała należeć do niego, Temeraire nie mógł znaleźć żadnej pociechy w swym rozumowaniu; mógł tylko zwinąć się w kłębek wokół ostatniego jaja i osłonić je tak, żeby żaden zły duch nie był w stanie się do niego podkraść.

Rozdział 8

J

ednak z czasem Temeraire był coraz bardziej przekonany, że Jack Telly rzeczywiście ich przeklął, gdyż szczęście przestało im zupełnie sprzyjać. Szukali i szukali, ale zawsze byli

trochę za późno lub lądowali trochę za daleko; a tymczasem trop pod nimi pełził wciąż naprzód ze ślimaczą prędkością pieszego, oferując im od czasu do czasu złudne zachęty - jednego dnia jakiś kawałek porcelany, innego gniazdo dla jaja.

Kolejny las, nad którym lecieli, zaczął rzednąć, aż w końcu o zmierzchu minęli jego skraj i trochę dalej rozbili obóz. Temeraire spał tej nocy niespokojnie i obudził się zaniepokojony: uniósł głowę tuż przed świtem, kiedy wszyscy byli jeszcze pogrążeni we śnie, i skierował wzrok na coraz wyraźniej widoczną linię horyzontu. Wydawała się tak daleka. Oprócz garści drzew, które wyglądały jak wbite w ziemię do góry nogami szczotki, i niskich pagórków, nie było niczego, co mogłoby zasłonić kraniec świata.

W szarym świetle zwlekającego z nadejściem świtu widać było całą okolicę, blade kępy traw i ciemne krzewy odcinające się na tle jeszcze ciemniejszej ziemi. Potem stopniowo na wielką misę nieba spłynął błękit, wyprzedzając słońce, i do świata zaczęły wracać kolory - ale kolory straszne i obce. Piaszczysta ziemia pod ich stopami była czerwona jak odsłonięta strona świeżo pękniętej cegły, jakby ktoś ją właśnie pomalował. Trawa była jasnożółta, jakby zupełnie wyschnięta, i to cała; nigdzie nie było nawet jednego zielonego źdźbła.

Kępa krzaków po jednej stronie ich obozowiska wyglądała nieco mniej nienaturalnie, gdyż porastały je błyszczące, ciemnozielone liście, ale drzewa, na które patrzył Temeraire, rosnące między nimi a horyzontem, były poczerniałe, wyraźnie opalone przez ogień. Ciemne plamy pozostawione przez dym pokrywały korę ich pni, ale co było równie dziwne, ich gałęzie wypuściły już świeże, zielone liście, widoczne obok zwęglonych resztek starych.

Nie było ani jednej chmury na niebie, na ziemi wody, i w całej okolicy nawet śladu żywych istot. To było najdziwniejsze, najbardziej niesamowite miejsce, jakie Temeraire kiedykolwiek widział: nawet na pustyni Takla Makan, która była pusta, jałowa i zimna, nie czuł się tak bardzo obco - w oazach rosły tam topole i trawa, w miejscach, gdzie nie było wody, nie było też żadnych roślin, a i ziemia nie wyglądała tak osobliwie.

- Laurence - odezwał się smok, trącając go lekko nosem; Laurence drzemał oparty o jego przednią łapę, siedząc blisko jaja. - Laurence, obudź się.

- Tak? - mruknął Laurence, wciąż nie w pełni rozbudzony, i przesunął dłonią po twarzy.

- Oczywiście ja sam się nie boję i nie chciałbym straszyć ludzi - dodał Temeraire - ale obawiam się, że może w jakiś sposób trafiliśmy w zaświaty; nie potrafię tego inaczej wyjaśnić.

- Co takiego? - zapytał Laurence, otwierając oczy i wstając; potem umilkł.

- Przepraszam, że upieraliśmy się, by lecieć dalej, chociaż było już ciemno - ciągnął Temeraire - ale może to duch Jacka Telly'ego...

- Nie jesteśmy w zaświatach! - przerwał mu Laurence, ale ludzie, kiedy się już pobudzili, byli raczej skłonni zgodzić się z Temeraire'em; do czasu, gdy po zjedzeniu skromnego śniadania, na które złożyły się niewielkie porcje sucharów, ktoś bardzo głupi powiedział:

- Tak sobie myślę, że w piekle nie byłoby sucharów; jesteśmy w Chinach i naprawdę nie wiem, kto chciałby się tu znaleźć

Wszyscy skazańcy natychmiast się zgodzili, że na pewno dotarli do Chin. Trwali w tym absurdalnym przekonaniu mimo wszelkich argumentów, nawet wtedy, gdy rozdrażniony Teme- raire rzucił:

- Ale to wcale nie są Chiny; Chiny leżą po drugiej stronie oceanu i są wspaniałym krajem, całkowicie różnym od tego miejsca; żyje tam wiele tysięcy smoków.

- No i macie - powiedział O'Dea do innych z upiornym zadowoleniem - miejsce zapomniane przez Boga: lada dzień zobaczymy całe ich hordy, lecące z zachodu, żeby nas pożreć; i wtedy rzeczywiście trafimy w końcu do czarnej krainy.

Zirytowany Temeraire położył krezę i zamilkł.

- Myślę, że to jakiś minerał w glebie nadaje jej ten kolor - powiedział Dorset, zdrapując kijem powierzchnię ziemi i wpatrując się badawczo w jeszcze bardziej jaskrawy grunt, który odsłonił.

- Tak czy owak musimy wrócić - odezwał się Tharkay, przysłaniając oczy ręką. - Musieliśmy przeoczyć miejsce, w którym zmienili kierunek.

- Nie widzę powodu, dla którego mieliby iść przez takie okolice - zgodził się z nim Granby, który masując z roztargnieniem ramię, po raz kolejny rozglądał się dookoła, jakby nie mógł się temu oprzeć; Temeraire wiedział, że wielu innych ludzi robi to samo, co sprawiło, że sam także uniósł głowę i znowu się rozejrzał; to było zaiste bardzo osobliwe, znaleźć się w samym środku tego dziwacznie czerwonego krajobrazu.

- To jest kraina zapomniana przez Boga; nie wydaje mi się, żeby ktoś mógł tu wygodnie żyć - powiedział. - Może wróci- niV ?0 tej dziury wodnej, którą widzieliśmy wczoraj wieczorem? I lepiej dopilnujmy, żeby ludzie dostali porcję rumu, zanim staną się naprawdę nieprzyjemni.

Ale kiedy przelecieli trzy mile - wpatrując się tak intensywnie w ziemię, że pokonanie tak krótkiej odległości zajęło im niemal dwie godziny - Tharkay nagle pochylił się do przodu na grzbiecie Iskierki, która natychmiast zanurkowała, a Temeraire podążył za nią na dół: Tharkay w trzech susach zeskoczył na ziemię, po czym pochylił się nad małym pagórkiem usypanym z czerwonego piasku, z zagłębieniem w środku pasującym do krzywizny jaja, obok którego, na wystającym z ziemi monolicie ciemnoczerwonego kamienia, lśnił w świetle słońca świeży, odcisnięty białą gliną ślad dłoni.

Godzinę później Iskierka wyruszyła w drogę powrotną do Sydney, chociaż nie obyło się bez kłótni i sprzeciwów: nie chciała lecieć, tak jak i Granby, ale nie było na to rady. Trop przemytników, który z konieczności powinien prowadzić do jakiejś zatoki, to było jedno; ale tubylcy mogli iść we własnym kraju dokądkolwiek, i to zataczając koła, jeśli tylko mieli na to ochotę.

- No dobrze, może to nie są przemytnicy; ale po co tubylcom smok? - zapytał Granby. - Nie twierdzą, że mają jakikolwiek powód, by nas kochać, ale zanim wylądowaliśmy w tym kraju, nie mogli nawet widzieć smoka, i jeśli mi powiesz, iż ktoś, kto po raz pierwszy ujrzy Temeraire'a, Iskierkę czy też nawet Cezara, natychmiast ma ochotę wyhodować sobie takie stworzenie, nazwę to szaleństwem.

To nowe odkrycie sprawiło, że nie bardzo wiedzieli, co począć. Oprócz odcisku dłoni w miękkim czerwonym piasku znaleźli więcej śladów bosych stóp, a Tharkay odkrył nawet trochę resztek ich posiłku: puste łupiny, upieczone w ogniu, i łodygi jagód zerwane z rosnących w pobliżu krzaków; tylko tubylcy, z pewnością nie przemytnicy, przyrzadziliby sobie takie jedzenie, nie ryzykując, że się otrują.

Tharkay wzruszył lekko ramionami.

- Nie będę udawał, że rozumiem ich motywy - odparł - ale ich ślady są wyraźne i dają odpowiedź na wiele pytań: już przedtem wydawało mi się dziwne, że przemytnicy zapędzili się aż tak daleko, nie skręciwszy przedtem w kierunku wybrzeża, no i jest zupełnie nieprawdopodobne, co teraz wydaje mi się oczywiste, żeby Francuzi, nawet gdyby kolonizowali ten kontynent od stu lat, znali drogę aż tak dobrze i poruszali się z taką swobodą.

- Ukradli nam jajo, ponieważ było dla nas cenne - wtrącił niecierpliwie Rankin. - Obchodziliśmy się z nim jak z wielkim skarbem: czego więcej chcecie? Najpewniej nie zdają sobie nawet sprawy z tego, że wykluje się z niego smok, i myślą, że to jakiś klejnot.

Laurence nie potrafił tak łatwo tego zlekceważyć. Kiedyś także nie dałby wiary w istnienie tubylczych potęg zdolnych rywalizować z europejskimi lub równie wyrafinowanymi tak pod względem organizacyjnym, jak i wojskowym. Chociaż na pierwszy rzut oka nie był to kraj, myślał, patrząc na rozciągający się wokół jałowy krajobraz, w którym mogłoby powstać

imperium tak wielkie, jak królestwo Tswana kryjące się w przebogatym sercu Afryki, nie był skłonny przyjąć raz jeszcze tak potencjalnie niebezpiecznego założenia.

- Tak czy inaczej udawało im się nas unikać przez wiele dni, mimo że nie szczydziłymi sił ani czasu w naszych poszukiwaniach - dodał - co powinno wzbudzić w nas szacunek i ostrożność. Tylko człowiek zupełnie pozbawiony wyobraźni, ujrawszy jajo smoka, wzięłby je za coś innego: mają tu przecież ptaki i węże. Znacznie bardziej prawdopodobne jest to, że zobaczyli nas w towarzystwie Temeraire'a, Iskierki i Cezara i uświadomili sobie, jaką ceną zdobycz mają przed sobą. Nie mogą być zadowoleni z zagarniania ich ziem przez farmerów i kolonii i wszystko, co daje im szansę wzmocnienia siły oporu, musi być budzić ich zainteresowanie.

Rankin wzruszył ramionami.

- No dobrze; w takim razie powinniśmy się bez przerwy bać, że nocą może na nas naskoczyć kilka tysięcy pełnych nienawiści dzikusów: po prostu świetnie.

Jednak większym i o wiele bliższym niebezpieczeństwem było oczywiście to, że poszukiwanie może potrwać jeszcze bardzo długo, i to właśnie wymusiło decyzję o odlocie Iskierki.

- Musimy się pogodzić z tym, że oni potrafią znakomicie ukrywać się przed nami i świetnie znają teren - przekonywał Laurence Granby'ego - a Riley nie może czekać w nieskończoność. Minęło wiele tygodni, a on nie dostał od nas żadnej wiadomości. Już samo poszukiwanie przejścia przez góry trwało zbyt długo. Teraz on pewnie każdego dnia spodziewa się naszego powrotu do Sydney.

- Nie zwieję stąd i nie zostawię was na środku pustyni, jeśli do tego zmierzasz - odparł Granby.

- Uczciwiej byłoby powiedzieć, że to my właśnie zwiewamy, oddalając się od jakiegokolwiek rozsądnego kursu - rzekł na to Laurence. - Tubylcy może i nie darzą nas przyjaźnią, ale przynajmniej nie są Francuzami; a jeden smok średniej wagi to za mało, żeby mogli zrobić nam większą krzywdę - nawet gdyby bardzo chcieli - kiedy Temeraire jest w kolonii.

Uczciwiej czy też nie, Granby nie chciał się z tym pogodzić, a Iskierce cały ten pomysł jeszcze mniej przypadł do gustu.

- Cóż, nigdzie się nie wybieram, dopóki nie znajdziemy jaja - powiedziała lekceważąco - nie ma więc sensu, żeby o tym dyskutować; Riley musi poczekać, i to wszystko.

Ale Riley oczywiście nie będzie czekać; spędzili już niemal trzy tygodnie na wyprawie, która powinna trwać jeden tydzień, i nie wysłali mu żadnej wiadomości. Jakiegokolwiek nieszczęście spadło na grupę składającą się z dwóch ciężkich smoków i trzy dziesięciu mężczyzn, nie można go było zlekceważyć, a w samej kolonii brakowało ludzi, których można by posłać na poszukiwanie. Zostaną uznani za zagubionych, za ofiary nieznanego kraju; Riley może nawet wyruszyć w drogę powrotną wcześniej, żeby jak najszybciej zawieźć tragiczną wieść do Anglii.

Nawet Temeraire był przeciwny temu pomysłowi, choć raz niechętnie myśląc o tym, że Iskierka może go opuścić.

- To nie dlatego, że odpowiada mi jej towarzystwo - wyjaśniał Laurence'owi - albo że nie potrafię sam uratować jaja, oczywiście; tylko że odesłanie jej byłoby grubiaństwem, jakby nie opłacało się mieć jej ze sobą. I była bardzo przydatna podczas polowań; temu nie można zaprzeczyć.

- Z tego, co widzieliśmy podczas dzisiejszego lotu, wynika, że w tej krainie jest bardzo mało dzikiej zwierzyny - powiedział Laurence - i jeśli podążając tropem porywaczy, będziemy musieli jeszcze bardziej się w nią zagłębić, to jest to raczej argument za tym, by Iskierka odleciała, niż pozostała z nami: na tym samym obszarze łatwiej będzie wykarmić jedno z was. Ale, mój drogi, bardziej powinniśmy się niepokoić tym, że oni mogą zostać

uwięzieni na tym kontynencie: jeśli Riley odpłynie, utkną w tej pułapce razem z nami na wiele lat, i to niezaskuszenie.

- Cóż, jeśli o to chodzi - odparł Temeraire - muszę powiedzieć, że nie pojmuję, dlaczego właśnie ja mam tu zostać, a nie Iskierka, bo nie przekonasz mnie, że ona była bardziej posłuszna rządowi niż ja. Ale widzę w tym pewien sens: kradzieże jaj nie będą się zdarzały często, a jestem pewny, że ona znowu stanie się nieznośna, gdy tylko wrócimy; i zapewne będzie chciała zjeść wszystkie krowy. Ale jeśli już o tym mówimy, to powinniśmy chyba odesłać też Cezara, mam rację?

Ostatnie zdanie powiedział z wyraźną nadzieją, ale to oczywiście nie było w żadnej mierze wskazanym posunięciem: powstrzymywanie Rankina i Cezara od mieszania się w sprawy kolonii nie było już ich najbardziej pilną troską, nie znaczyło to jednak wcale, że chcieliby im to ułatwiać; a poza tym Cezar nie wracał na Allegiance do Anglii.

_ Moglibyśmy polecieć - powiedział z ociąganiem Granby - i potem wrócić, jeśli usypalibyście kopce, które wskazałyby nam drogę do was. Przecież nie będziecie się poruszać bardzo szybko, ścigając grupę ludzi, którzy idą pieszo; największa odległość, jaką mogą dziennie przebyć, to jakieś trzydzieści mil. Moglibyśmy was dogonić, jeśli Riley uzna, że ma jeszcze czas: przypuszczam, że nie miałby nic przeciwko postawieniu nowego masztu lub choćby wykorzystaniu tego jako pretekstu do przedłużenia pobytu w porcie. Poza tym jest niewykluczone, że będziemy ścigać tych ludzi przez cały kontynent, i w takim razie moglibyśmy się z nim spotkać po tamtej stronie, jeśli popłynie dookoła.

Nie podjęli decyzji natychmiast: Iskierka nadal się opierała, a poza tym była jeszcze kwestia skazańców i tego, co z nimi zrobić. Oni sami byli za tym, żeby ich zabrać do Sydney, a przynajmniej do doliny, w której czuli się tak dobrze; Granby nie chciał zostawić Laurence'a tak zupełnie opuszczonego.

- Wiem, że nie można ich nazwać godnymi zaufania - powiedział - ale mają ręce i jeśli dopadniesz tych ludzi, którzy ukradli jajo, i będziesz musiał jakoś je im odebrać, możesz potrzebować czegoś więcej niż tylko własnych rąk i łap Temeraire'a. Bardzo łatwo można przyprzeć do muru smoka, jeśli ma się jajo, którym on się opiekuje; małe dziecko z kamieniem w ręce może sprawić, że Temeraire będzie mu posłuszny jak dobrze wytresowany pies. A poza tym - dodał półgłosem - Rankin może i nie jest dobrym towarzyszem, ale też nikt nie mógłby go nazwać tchórzem.

Rankin nie wyraził od razu swojej opinii. Laurence był mocno zdziwiony, kiedy zobaczył go naradzającego się po cichu z Cezarem - trudno mu było wyobrazić sobie awiatora mniej skłonnego do pytania smoka o zdanie. Ale tylko interesy Cezara pokrywały się z interesami Rankina, przez co zapewne poczuł się do tego zmuszony, a nikt nie mógł odmówić Cezarowi bystrości, nawet jeśli był zbyt niemiły, by uznać to za mądrość.

- Na pewno nie wracam - odrzekł Rankin, kiedy w końcu odszedł od smoka i Granby zażądał od niego odpowiedzi. - Jeśli pan odlatuje, kapitanie Granby, siłą rzeczy muszę objąć dowództwo nad grupą poszukiwawczą. Odzyskanie jaja jest naszym najważniejszym obowiązkiem i w ogóle nie wchodzi w rachubę, żebyśmy teraz wrócili do Sydney - przez co zapewne rozumiał, że nie chce znowu zaciągać jakiegoś tchórzliwego zobowiązania wobec Bligha. - Jeśli zaś chodzi o ludzi, to moim zdaniem najlepiej pan robi, zabierając ich wszystkich i odstawiając na teren kolonii, żeby tam nadużywali cierpliwości innych; nam się raczej do niczego nie przydadzą.

- Przepraszam, sir - powiedział O'Dea do Laurence'a - nie chcę się kłócić, ale obiecano nam wolność za zbudowanie drogi, i nie wydaje mi się, żebyśmy dostali jedno bez drugiego.

- Ci, którzy chcą z nami zostać i nadal wykonywać swoje obowiązki, mogą to zrobić - odparł Laurence. - Każdy, kto woli wrócić bezpiecznie do kolonii, też może to zrobić; nie chcę tu nikogo trzymać na siłę.

Temeraire westchnął lekko, widząc, jak Iskierka odlatuje, po wielu usilnych perswazjach Granby'ego i złożeniu przez niego obietnicy, że wrócą tak szybko, jak to tylko będzie możliwe.

- Leci z największą szybkością - powiedział - i prostym kursem; żadnych nużących zakosów. Może teraz, kiedy już wie, że to są tubylcy, a nie przemytnicy, Tharkay łatwiej zdoła znaleźć ich ślady; żebyśmy nie musieli szukać na tak szerokim obszarze.

- Najpierw - odparł Laurence - musimy znaleźć wodę.

Okazało się jednak, że znalezienie wody nie jest wcale łatwym zadaniem. Drzewa wcale nie wskazywały do niej drogi, a plamy zieleni nie oznaczały bliskości oazy, jak można się było spodziewać.

Te rośliny to pewnie rodzaj sukulentów - zastanawiał się irlošno Laurence - i muszą mieć jakiś rezerwuar wody, która pozwala im przetrwać letnie susze.

Ale kiedy Temeraire wyrwał jedną - co nie przyszło mu łatwo, gdyż wszystkie były bardzo cienkie i miały ogromnie rozrośnięte korzenie - okazało się, że jest zupełnie sucha, i w żadnej jej części nie było ani odrobiny zapasu wody, której można by się napić.

Musieli zatem nadal zataczać łuki, wypatrując jakiegoś najlżejszego migotania mogącego świadczyć o obecności wody, oraz, co było teraz nawet ważniejsze, kolejnego śladu złodziei: którzy łatwo mogli udać się w dowolnym kierunku. Widok map ogromnego kontynentu, rozkładanych przez Laurence'a i zupełnie nieoznakowanych, był bardzo przygnębiający; już znajdowali się na pustym i tajemniczym obszarze jego wnętrza, i daleko od zbadanych wybrzeży. Teraz, kiedy Iskierka odleciała, Temeraire starał się tym bardziej nie przeoczyć żadnego ruchu na ziemi, żadnego najmniejszego śladu, którego Tharkay mógł z góry nie dostrzec.

Cezar leciał obok niego, co ograniczało ich szybkość do tej, którą on mógł osiągnąć. Jak zauważył Laurence, było to i tak dużo szybciej od tempa marszu człowieka, więc Temeraire próbował ukryć dręczący go niepokój, ale już wkrótce ogarnęła go złość, gdyż Cezar, chociaż to właśnie przez niego poruszali się tak wolno, pozwalał sobie na wiele niepotrzebnych uwag na temat zaabsorbowania Temeraire'a i jego prób obserwowania terenu.

- Nie rozumiem, dlaczego za każdym razem, gdy wiatr poruszy coś na ziemi, rzucasz się w dół jak jakiś diabeł wyskakujący z pudełka - mówił mały smok. - Tracisz niepotrzebnie siły, a potem będziesz chciał więcej jedzenia i wody, a brakuje nam i tego, i tego.

- Cokolwiek tam jest - rzucił Temeraire - jeśli to złapię wezmę sobie tyle, ile mi się spodoba; mógłbyś pomóc mi obserwować ziemię, zamiast narzekać.

- Jeśli zobaczę przypadkiem jajo - odparł uszczypliwym tonem Cezar - dam ci o tym znać, lub jak zobaczę cokolwiek wartego oglądania, ale nie sądzę, żeby bardzo ci się podobało, gdybym zbyt często mówił: „O, tam coś jest”, a potem, kiedy już rzuciłbyś się na to, krzychał: „Przepraszam, stary, pomyliłem się, to tylko krzak”.

Temeraire'owi coraz bardziej chciało się jeść i nie bardzo mógł zaspokoić głód, gdyż lecąc tak powoli, pokonywali niewielkie odległości. Wprawdzie żyjące tu kangury z rudawą sierścią były większe niż gdzie indziej, ale potrafiły uciekać zaskakująco szybko, a przez to ich skakanie dosyć trudno się je łapało, zwłaszcza że musiał unikać gwałtownych ruchów ze względu na jajo; przez całe popołudnie udało mu się schwytać tylko dwa.

- Jeśli chciałbyś więcej, Temeraire, to tam jest ich całe stado i właśnie uciekają - powiedziała Emily, kiedy zbliżał się już wieczór, i chociaż to było niezupełnie we właściwym kierunku, Temeraire dał się skusić, ale gdy już ruszył w pościg, stało się jasne, że kangury uciekały od wąskiego strumienia, przy którym zaspokajały pragnienie, a wszystkim bardzo się już chciało pić.

- Jeśli nie jesteś nadzwyczaj głodny - zaproponował Laurence - to najlepiej będzie zatrzymać się tutaj: zapada zmrok i możemy potem mieć kłopot z odnalezieniem drogi powrotnej.

- Może - powiedział Temeraire, łądując bardzo ostrożnie, żeby nie zatrzeć ewentualnych śladów - może Aborygeni też tu byli? Jak sądzisz, Tharkay? To pierwsza woda, jaką widzimy od rana.

- Mogę cię tylko poinformować, że ostatnio było tu mnóstwo kangurów - odparł oschle Tharkay, ale to akurat nie było nowiną. Temeraire próbował nie tracić ducha, ale kiedy wykopali dół, w którym miała się zbierać woda, i kiedy się już napił, uniósł dowę i popatrzył z konsternacją na rozciągającą się wokół nich otwartą krainę: na niskie czerwone wydmy, wznoszące się i opadające we wszystkich kierunkach, kilka skalnych wypiętrzeń i kępy krzaków oraz drzew rosnących wzdłuż małego strumienia, który płynął gdzieś w dal i którego koryto miejscami było zupełnie wyschnięte. Nie było niczego, co odróżniałoby jeden kierunek od drugiego.

Westchnął i zamknął oczy, żeby trochę odpocząć, natomiast ludzie, rozpaliwszy małe, dymiące ogniska, ugotowali soloną wieprzowinę, po czym zjedli ją wraz z sucharami i ułożyli się do snu. Noc robiła się coraz przyjemniej chłodna i Temeraire zapadł w półdrzemkę, nasłuchując jednym uchem na wypadek, gdyby kangury wróciły; uważał, że skacząc, powinny narobić hałasu. Nawet nie wiedział, że zasnął, ale w pewnej chwili obudził go krótki, piskliwy wrzask. Wystraszony uniósł głowę i zaczął się rozglądać.

Jeszcze nie zaczęło świtać, ale niebo już trochę zbladło; ludzie siedzieli wokół niego, niewyraźne, szare cienie na tle ciemnej ziemi, i nie ruszali się.

Wrzask ucichł tak nagle, jak się rozległ. Laurence wstał i idąc między ludźmi, liczył głowy; szybko znalazł puste wgłębienie w ziemi, przy którym stała para butów, gdzie najwyraźniej jeszcze niedawno ktoś spał.

- To oni - zaczął O'Dea - kryją się w ciemności i załatwiają nas w nocy jednego po drugim. Jajo jest tylko przynętą, która ma nas zwabić w głąb ich terytorium, żeby mogli nas wszystkich pozabijać. Gdyby tego nie chcieli, nigdy nie udałoby nam się znaleźć ich śladów...

- W tym są czary, mówię wam - wymamrotał inny skaza. niec, wcale nie cicho.

Wszyscy byli za tym, żeby natychmiast ruszać w drogę; nikt tym razem nie zaproponował, by zostać trochę dłużej i poszukać nieszczęsnego Jonasa Greena.

- Ziemia przy strumyku jest lekko poruszona - powiedział Tharkay do Laurence'a, kiedy rozpoczęło się pospieszne pakowanie, a ludzie ostrożnie napełniali manierki świeżą wodą - ale nie dostrzegłem niczego, co świadczyłoby o tym, że wleczono tam dorosłego mężczyznę, żywego czy umarłego; oni nie mogli tak dobrze pozacierać śladów.

- To dziwny kraj - cicho odparł zamyślony Laurence, po czym szybko wspiął się na Temeraire'a.

Smok także był zadowolony, że tak szybko wyruszają w drogę, i nie tylko dlatego, iż mogli od razu podjąć poszukiwanie jaja: zaniepokoiło go, że tym tajemniczym porywaczom tak łatwo udało się schwytać jednego z członków jego załogi. Wydawało mu się, że nie zawadzi, jeśli zabierze Laurence'a i całą resztę gdzieś indziej, gdzie jest bezpiecznie. Ale gdy już był w powietrzu, zawisł nagle w miejscu, zanim jeszcze nabrał właściwej wysokości, po czym zniżył się szybko i wylądował na osłoniętej od wiatru stronie skalnego wypiętrzenia.

- O nie, nie znowu - jęknął Cezar - jeszcze nawet nie zjedliśmy śniadania - ale Temeraire nie zwrócił na to najmniejszej uwagi, gdyż właśnie wepchnął nos w płytkie, na wpół ukryte zgłębienie w kamieniu, po czym wyrwał zasłaniające je krzewy. I wtedy wszyscy to zobaczyli: mały stos fragmentów błyszczącej porcelany, pokrytej czerwoną glazurą i zdobionej cytrynowożółtym wzorem przedstawiającym ptaki.

Rozdział 9

C

chciałbym, żebyście się w końcu zdecydowali - powiedział Cezar - czy szukamy przemytników, tubylców czy też jaja; i czy nie moglibyśmy najpierw znaleźć czegoś do jedzenia?

- Proszę, nie bądź taki tępy - odparł Temeraire. - Obojętnie, czy szukamy przemytników, tubylców czy jaja, sprowadza się to do tego samego; i zdobędziemy coś do jedzenia, gdy tylko Tharkay znajdzie ich ślady i ustali, w jakim kierunku powinniśmy lecieć.

Ten wniosek wydawał mu się całkiem oczywisty, był więc bardzo zdziwiony, kiedy Rankin z miejsca go odrzucił i nawet Laurence zapytał Tharkaya:

- Czy tubylcy mogą być odpowiedzialni za szmuglowanie towarów? Chociaż gdyby Francuzi przekazywali im je w jakiejś odległej zatoczce...

- Z pewnością zaoszczędziliby sobie wiele pracy - dokończył Tharkay. - Z drugiej strony, nie bardzo widzę, jaką korzyść przynosiłoby krajowcom przenoszenie dużej ilości towarów przez cały kontynent, tylko na rynek w Sydney.

- Dlaczego nie mieliby zatrzymać części dla siebie? - zapytał Temeraire. - Porcelana jest bardzo ładna; chociaż znowu byli nieostrożni. - Każdy chciałby mieć coś takiego, pomyślał, gdyby było całe. - Chociaż naprawdę nie chcę, żeby tłuczono coś tak ładnego, jeśli już trzeba to robić, to byłoby bardzo do- brze, gdyby po drodze upuszczali kolejne naczynia; i być może tak będzie. W którą stronę poszli? - zapytał, gdyż to w końcu było najważniejsze.

Ogarnęło go lekkie zniechęcenie, kiedy Tharkay ustalił, że te kawałki porcelany były starsze - leżały tu od ostatnich opadów deszczu, czyli z pewnością nie od ostatniego tygodnia, a to oczywiście było o wiele za długo. Temeraire westchnął lekko, ale pocieszył się w duchu, że to mimo wszystko był jakiś ślad: jeśli złodzieje szli tą drogą przedtem, to prawdopodobnie pójda nią znowu, a jeśli nie, to przynajmniej powinna ona prowadzić do jakiegoś miejsca.

- Teraz, kiedy już wiemy, że nie załadują jaja na jakiś statek i nie wywiozą za morze, gdzie nigdy byśmy go nie odnaleźli, najbardziej by mi odpowiadało - powiedział do Laurence'a, rozszarpując łapczywie swoją porcję mięsa; po krótkim locie schwytali kilka kangurów na śniadanie - gdybyśmy mogli wyprzedzić ich, lecąc do przodu, a potem poczekać, aż sami do nas przyjdą.

Lecąc dalej, wypatrywał na ziemi kolejnych porcelanowych czerepów. Dość szybko się przekonał, że gdyby grunt pod nimi nie miał tak dziwnego koloru, byłoby mu łatwiej, a poza tym sprawdzanie z powietrza pewnych obszarów było dużo bardziej kłopotliwe od sprawdzania innych. Temeraire wołał te, na których było niewiele drzew i krzaków, najlepiej osmalonych przez ogień, a trawa rosła tuż przy ziemi, ale około południa, kiedy przelecieli nad korytem wyschniętego strumienia, obrośniętym po obu stronach ciemnozielonymi krzewami, znowu znaleźli się nad ziemią pokrytą wszelaką roślinnością: wszędzie wokół widać było wysokie, słomkowe trawy, jasnozielone krzewy oraz strzeliste drzewa.

Cezar także nie był zbyt pomocny; powtarzał, że jest to teren niesprzyjający polowaniom, że najpewniej zgubili trop i borygeni poszli zupełnie inną drogą, i tak dalej. I przez ten cały czas gorący, pylisty wiatr wiał prosto w nozdrza i oczy Temeraire'a, a czerwony piasek zbierał się w małych zagłębieniach na jego ciele, przez co swędziało go skóra. Na dodatek ludzie w sieci ładunkowej, których ogarnął posepny nastrój, szemrali, wspominając dom, i pokrzykiwali od czasu do czasu, próbując nakłonić Laurence'a do zrobienia postoju, by mogli wypić „odrobień grogu, sir, bo tu na dole jest nieludzko gorąco”.

Cezar także coś mamrotał i narzekał głosem przytłumionym przez gorąco i wiatr, aż w końcu po godzinie zawołał nagle: - Hej, a co tam jest? - i Temeraire zawisł w powietrzu, rozglądając się dookoła.

- Wydawało mi się, że coś tam zobaczyłem - powiedział Cezar, ale Temeraire, który przeleciał kilka razy tam i z powrotem, nie dostrzegł pośród krzewów i drzew nawet najmniejszego błysku koloru nie pasującego do tła, jak również żadnego śladu czy nawet

czegoś na kształt polanki, która mogłaby być miejscem na obóz. Tharkay, kiedy popatrzył na niego pytająco, pokręcił przecząco głową.

- Cóż, to nie było coś kolorowego, w każdym razie niezbyt - odrzekł w zamyśleniu Cezar, kiedy zaczęli go wypytywać; przez cały czas, gdy Temeraire prowadził poszukiwania, on zataczał leniwie koła. - Po prostu wydało mi się, że zobaczyłem, jak coś się porusza, ale kiedy krzyknąłem, zatrzymało się. Nie, nie potrafię wam powiedzieć, gdzie to dokładnie było; wszystko w tym kraju wydaje mi się takie samo. Moim zdaniem to cud, że w ogóle coś zauważyłem.

- Ładny mi cud - burknął niezadowolony Temeraire - kiedy nie potrafisz nawet powiedzieć, co zauważyłeś, i nikt inny tego nie widział.

- Pewne jest, że następnym razem nie będę sobie zadawać trudu - odpowiedział Cezar, jeżąc się cały i wypinając swoją czerwoną klatkę piersiową - jeśli moje wysiłki są tak niedoceniane; tego się zresztą spodziewałem, i to oczywiście moja wina, że ty nie możesz tego odnaleźć. Jeśli chcesz znać moje zdanie, nawet gdyby w tych trawach kryła się setka tubylców, nic byś o tym nie wiedział. Powinniśmy polecieć zupełnie gdzie indziej. Przynajmniej moglibyśmy wylądować i trochę odpocząć.

- Nie jestem na tyle leniwy, żebym musiał wypoczywać przed południem - odparował zirytowany Temeraire. - Straciliśmy wystarczając dużo czasu na to, co jakoby zobaczyłeś.

Rankin, który stał w swojej uprzęży na grzbiecie Cezara i od pewnego czasu patrzył do tyłu, rzekł:

- Najpóźniej za godzinę i tak będziemy musieli wylądować: zbliża się burza.

- Skąd mu to przyszło do głowy? - zapytał Temeraire Laurence'a, kiedy wrócił na pierwotny kurs; niebo było czyste, jeśli nie liczyć małej ławicy błękitnych chmur, które można było zobaczyć z tyłu, ale te się wcale szybko nie zbliżały.

- Od dwunastego roku życia pełniłem służbę kurierską; potrafię wyczuć każdą cholerną burzę - odpowiedział beznamiętnie Rankin, kiedy Cezar podleciał do nich, i dwadzieścia minut później Temeraire zmuszony był przyznać mu rację, gdy wiatr wiejący dotąd w ich stronę zaczął słabnąć, powietrze stało się wyraźnie cięższe, a ławica chmur za nimi powiększyła się, zasnuwając niebo, i pociemniała, tak że stała się w zasadzie granatowa, jeśli nie liczyć przecinających ją gdzieniegdzie jasnoszarych i zielonkawych pasów. Drzewa pod nią, oświetlone przez słońce, przybrały blade odcień, a ich konary zdawały się wręcz białe.

- I na pewno zniszczy wszelkie ślady, jakie mogli zostawić - powiedział ze smutkiem Temeraire do Laurence'a. - Co można zrobić? Może powinniśmy mimo wszystko lecieć dalej i próbować trzymać się przed nią.

- Ja przez to nie polecę - odparł Cezar, patrząc z lękiem za siebie, i w tej chwili, jakby dla podkreślenia jego słów, chmury przecięła linia błyskawicy, pajęcza i wielokrotnie rozwidlona, która sięgając ziemi, płonęła przez moment w półmroku. Grzmot pioruna dotarł do nich po dłuższej, ciągnącej się w nieskończoność chwili; a z jednego końca chmury spłynęła w dół strzępiasta, szara kurtyna deszczu.

- Lepiej, żebyśmy tego nie próbowali - powiedział ponuro Laurence- i nie powinniśmy też lądować na jakimś wywyższeniu terenu; jesteś za duży.

Znaleźli małą otwartą przestrzeń, nagą czerwoną ziemię i żółte trawy, pomiędzy kilkoma większymi wydmami, które chroniły ich przed coraz silniejszymi porywami wiatru; chmury były już niemal nad nimi, dosięgły ich też pierwsze krople deszczu, które padały tak rzadko, że nie wypełniały skwapliwie wystawionych kubków i manierek, ale tylko robiły dołeczki w miękkim, luźnym piasku i pozostawiały plamki na nich ubraniach. Nadal było gorąco i duszno. Ciemna chmura przemknęła po niebie, nagle szybka po długim okresie powolnego zbliżania się, i słońce znikło.

Wszędzie dookoła kolejne długie wstęgi rozwidlających się błyskawic sięgały ziemi, świetnie widoczne na tle niczym nie przesłoniętego widnokręgu, a pomruki i ryki piorunów

dochodziły to z jednej, to znów z drugiej strony chmur, tak że niemal można się było doszukać w tym jakiegoś znaczenia. Temeraire nie potrafił się powstrzymać i próbował to zrozumieć - raz za razem czuł, że jest już bliski, i tak jak to się działo, kiedy zaczynał się uczyć jakiegoś nowego języka, wydawało mu się, iż spośród morza nowych dźwięków właśnie wyłowił jedno lub dwa znajome słowa.

Wiatr zmienił kierunek i wiał mu teraz prosto w pysk, siekąc kroplami tego rzadkiego, wcale nieodświeżającego deszczu jego oczy oraz nozdrza i roznosząc na wszystkie strony cały pył, który się na nim zebrał, tak że musiał mrugać oczami, potrząsać głową i prychnąć. W pewnej chwili, kiedy to robił, wyczuł wyraźnie na języku dochodzący gdzieś z daleka swąd dymu. Zobaczył, że na niebie pojawiła się fioletowo-pomarańczowa mgła, i wysunął skrzydła odrobinę dalej do przodu, by lepiej chronić jajo przed wiatrem.

- Osobliwy kolor ma to niebo - powiedział niespokojnie Cezar, po czym podniósł się i usiadł: dużo urósł ostatnio i gdy teraz wyciągnął głowę, sięgała prawie do barku Temeraire'a.

To był rzeczywiście dziwny kolor: horyzont jarzył się żywą czerwienią, jakby ktoś namalował tam linię, a że to światło padało także na chmury, były one zarazem granatowe i miejscami pomarańczowoczerwone, i nadal przecinane błyskawicami, choć te trudniej teraz było dostrzec.

- Mogę cię prosić, żebyś mnie podniósł - powiedział Laurence, a kiedy Temeraire postawił go na swoim barku, wyciągnął lunetę i przez chwilę wpatrywał się w horyzont. Następnie powiedział: - Dziękuję ci; kapitanie Rankin, panie Forthing, sądzę, że najlepiej zrobimy, jeśli znowu wszyscy znajdziemy się w powietrzu.

Ogień zbliżał się do nich z szokującą szybkością, sycząc cicho w tle ciągłego grzmotu piorunów i szumu suchego wiatru, a jego zły, głodny szept był coraz lepiej słyszalny.

- Zostaw to, do jasnej cholery, i pospiesz się - krzyknął Laurence, kiedy jeden ze skazańców wyłonił się niechętnie zza krzaków, taszcząc baryłkę rumu, którąjakoś udało mu się ukraść po wylądowaniu i którą najwyraźniej zamierzał sam opróżnić.

Inni mężczyźni zaczęli gwizdać i wołać do niego:

- Przynieś ją szybko, Bob, choć raz będziemy weseli jak krasnale przez ten cały pieprzony lot; nie wyłopiesz wszystkiego sam, ty zapity skurczybyku, o nie.

Maynard pochylił się, żeby zarzucić sobie baryłkę na ramię. Ośwień był jeszcze w pewnej odległości, szeroka, spowita dymem ściana jarzącej się czerwieni, widocznej jakby przez welon, ale żółte koniuszki traw na szczycie wydmy za nimi już zapalały się niczym czerwone węgielki, a Temeraire'a owionęła niemal namacalna fala gorąca i zaparła mu dech w piersiach.

Maynard szedł w ich stronę, zataczając się, a z baryłki kapał rum: małe iskiereki błękitnego ognia błyskały, gdy krople uderzały w ziemię, na której już paliła się sucha trawa, chwilę potem zajęły się zarośla przed nim, a dym unoszący się ku niebu wąską kolumną kolejny podmuch wiatru rozwiął w szeroką zasłonę. Temeraire nie postrzegał już ognia jako czegoś oddzielnego: cały świat za wydmami był płomieniem i wszędzie wokół niego wznosiły się potężne słupy duszącego dymu.

Mężczyzna upuścił w końcu baryłkę i kaszląc oraz powłócząc nogami, zaczął do nich biec. Temeraire czuł się bardzo dziwnie; w głowie, która mu opadała, miał mętlik, a skrzydła wydawały mu się tak ciężkie, jakby były z ołowiu. Wziął głęboki wdech i rozkaszał się; jego gardło i piersi ścisnęły się, jakby ktoś opasał je łańcuchami i napiął je do granic wytrzymałości.

- W górę! - ryczał Laurence. - Temeraire, w górę!

Temeraire pomyślał, że przecież musi poczekać, i poczuł, że ogarnia go ogromne zmęczenie; potem ostry ból przeszył jego zad i wystraszony otworzył oczy; kiedy je zamknął?

- Zabieraj to jajo z ognia, ty cholerna bestio! - krzyknął z tyłu Rankin.

Jajo, ach, jajo. Temeraire z ogromnym wysiłkiem wzbił się w powietrze; kiedy rozłożył skrzydła, silny podmuch gorącego, ach, jak bardzo gorącego wiatru, uderzył w niego z dołu, całkowicie go zaskakując; Maynard zwiślał z sieci, wciągany do niej Przez innych, a baryłka rumu w dole zmieniła się w jasnobłękitną pochodnię, której płomień na chwilę przebił się przez kłęby dymu. Bolał go zad; z miejsca, gdzie Cezar uszczypnął go pazurami, wypływało trochę krwi, która ściekała dalej po tylnej łapie. Wznosił się powoli, bijąc z całych sił skrzydła, które jednak nadal nie funkcjonowały najlepiej.

Cezar był przed nim i wyciągnięty jak strzała leciał pro. stej linii, machając wściekle skrzydłami: Temeraire skupił wzrok na jego szarym ciele i starał się za nim nadążyć. Dym wciąż unosił się za nimi, pnącymi się w górę smugami, które łączyły się w słupy, zlewające się z kolei w ściany, gęstniejące przy ziemi w miarę, jak pożar pochłaniał całą porastającą ją roślinność. Każdy wdech parzył boleśnie jego gardło i za każdym razem wymagało to szczególnego wysiłku. W pewnej chwili bardzo blisko, we wnętrzu wciąż rozbudowujących się nad nimi chmur, zagrział piorun; Temeraire skręcił instynktownie, i zupełnie niepotrzebnie: błyskawica już uderzyła w ziemię, mniej więcej ćwierć mili od nich, i kolejne drzewo zapłonęło jak pochodnia na swoim czerwonym wzgórzu.

Chłodne powietrze przyniosło w końcu ulgę jego skórze i gardłu; ale po chwili silny wiatr uderzył go najpierw z jednej, a potem z drugiej strony. Jeden gwałtowny podmuch spadł na nich z góry, wilgotny i szokująco zimny w porównaniu z tym, przez co właśnie przeszli, i porwał Cezara, który nie potrafiąc wyrównać lotu, przekoziółkował w powietrzu, po czym runął w dół. Temeraire, dobywając resztek sił, przyspieszył i znalazł się pod nim w ostatniej chwili; w nagrodę poczuł bolesne pieczenie w miejscach, gdzie pazury Cezara podrapały mu skórę.

Cezar odzyskał równowagę, a potem znowu zostali rozdzieleni przez wiatr, przez kolejny podmuch, który wyniósł Temeraire'a pięćdziesiąt stóp w górę, i to tak gwałtownie, że niewiele brakowało, a wyłamałby mu skrzydła.

- Laurence, Laurence - zawołał Temeraire, chcąc się upewnić, czy Cezar nie poranił pazurami Laurence'a ani nikogo

zaj0gi; właściwie próbował zawołać, ale z jego gardła nie z^o był się żaden głos, niczego w każdym razie nie usłyszał.

kół znowu huczały pioruny, jak armaty, a nawet głośniej, bok niego, PTzed n'm' wszystkie jednocześnie; niebo nad nimi eto ogniem błyskawic, ukazującym chmury wznoszące się coraz wyżej i wyżej niczym góry pełne ogromnych wgłębień, stwarzających złudne nadzieje bezpieczeństwa, i kłębiące się na obrzeżach, kotłujące, jakby wylegały się tam jakieś żywe istoty.

Temeraire próbował to obserwować, ale osiągnął tylko tyle, że niemal nadwerzęzył sobie kark. Jediną pociechą dla niego było to, że kiedy popatrzył w dół, widział jajo przy swojej piersi, szczelnie opatulone nieprzemakalnym materiałem, który lśnił od wilgoci. Jednak uprząż nie wyglądała na mocno napiętą, pomyślał w pewnej chwili z niepokojem, i właśnie wtedy wiatr znowu uderzył z ogromną siłą, tak ogromną, że obrócił go w powietrzu. Jego głowa znalazła się między przednimi łapami, buchające pomarańczowymi płomieniami piekło stało się nagle niebem, a ziemią przepaściste kaniony granatowych chmur; potem obrócił się jeszcze raz i jeszcze raz, i wszystko stało się niewyraźne, rozmazane. Nie mógł rozłożyć skrzydeł.

Wiatr nieco zelżał, kiedy, spadając, zbliżył się do ziemi, i ponownie zrobiło się gorąco. Otworzywszy szeroko pysk, zaczerpnął tyle powietrza, ile tylko mógł, i poczuł się lżejszy, kiedy jego płuca się wypełniły. Chwilę później zdołał się przekręcić w bok i rozłożyć skrzydła w dół i górę, w linii spadku, po czym przechyliwszy się lekko pod wiatr, znalazł prąd wstępujący, który poniósł go z powrotem ku czarno-granatowym chmurom burzy. Jeszcze

gdy wyrównywał lot, sięgnął z niepokojem łapą do jaja; musnąwszy je delikatnie, upewnił się, że jest na miejscu, bezpieczne.

- Niech pani z łaski swojej poprawi ten pas, pani Roland - usłyszał krzyk porucznika Forthinga, i wydało mu się, że przez ryk ścigającego ich pożaru usłyszał także głos Laurence'a, ale nie był całkiem pewny. Jednak nie mógł spojrzeć za siebie, nie mógł obrócić głowy; ogień był w dole, burza nad nimi, ogarnięte ślepą furią żywioły atakowały z każdego kierunku i nie można było nawet dostrzec granic tego piekła. Nie widział już nigdzie Cezara. Niebo było tak ciemne, tak czarne, dym i chmury burzowe przesłoniły cały świat, i chociaż może gdzieś tam słońce jeszcze świeciło, dla Temeraire'a przestało istnieć, podobnie jak nie istniały już żadne kierunki.

Spuścił głowę i leciał dalej, wciąż przed siebie.

Laurence podziękował skinieniem głowy, kiedy Emily podała mu mały kubek wody, i wypił ją jednym haustem, pomimo jej gorzkiego, ostrego smaku. Woda płynęła burzliwie korytem jeszcze niedawno wyschniętego strumienia i zbierała się w głębokich kałużach na płaskiej, spieczonej ziemi, ale ponieważ niosła popiół oraz piasek, nie nadawała się do picia, dopóki nie została przesączona przez chusteczkę i tak, w miarę dostępnych im możliwości, oczyszczona.

Krajobraz zmienił się całkowicie: drzewa wyglądały jak czarne szkielety, a gęste trawy zniknęły całkowicie, jakby wyparowały, pozostawiając tylko osmalone, czarne wzory na ziemi, z których miejscami wciąż unosiły się smugi dymu.

Temeraire spał, a jego oddech brzmiał niepokojąco chrapliwie. Po wylądowaniu wsadził od razu pysk w rwący strumień i pił długo, dużymi łykami, nie zważając na niesione przez wodę nieczystości; a potem, wciąż odurzony ze zmęczenia, zasnął. Dorset osłuchiwał jego klatkę piersiową oraz gardło i pokręcił głową.

Cezar przyleciał chwiejnie do ich obozowiska może pół godziny później, cały przemoczony i wyczerpany po walce z wiatrem, który miotał nim na wszystkie strony, ale w nieco lepszym stanie i nastroju: Rankin skierował go w sam środek ulewy, gdzie pożar nie zdołał się w pełni rozwinąć.

_ A tak w ogóle to chętnie bym coś przekąsił - powiedział sennie mały smok, położywszy głowę na przednich łapach: jego szara skóra była pokryta smugami i plamami sadzy.

Gdyby nie ich zmęczenie, zdobycie mięsa nie byłoby wcale trudne. Mnóstwo żyjących na pustyni zwierząt, poprzednio kryjących się w trawie i krzakach, straciło schronienie, a w wielu wypadkach i życie. W pobliżu, na tyle blisko, że można je było przenieść do strumienia, leżało dwanaście kangurów o opalonych sierści, częściowo już upieczonych. Znużeni awiatorzy zaczęli je znosić i ćwiartować pod nadzorem Gong Su. O skazańcach Laurence mógł powiedzieć tylko tyle dobrego, że po wydzieleniu im zmniejszonych porcji grogu zachowywali się spokojnie i schodzili im z drogi. Maynard nie dostał ani kropli i odprawiony przez kolegów odszedł ze wstydem na drugi koniec obozu, gdzie siedział zupełnie sam.

- Wolałbym nie znaleźć się znowu w powietrzu z tą uprzężą, sir, jeśli nie przeprowadzimy napraw - powiedział Fellowes, który zszedł z Temeraire'a z fragmentem rzemienia, żeby pokazać mu sprzączkę tak rozciągniętą i wygiętą, jakby była wykonana z miękkiej gliny. - Ta wcale nie wygląda najgorzej - dodał. - Prawie wszystkie są do niczego. Najpierw zmiękły od gorąca, jak sądzę, a potem powyginały się, kiedy nami tak miotano.

- Niech pan robi, co w pańskiej mocy, wykorzystując części zapasowe, panie Fellowes; tak czy owak nie możemy myśleć o wyruszeniu jutro w dalszą drogę - odpowiedział zmęczonym głosem Laurence i otarł rękawem czoło. Temeraire potrzebował długiego odpoczynku i będą musieli poczekać z podjęciem pościgu, który zresztą w tej sytuacji może być zupełnie beznadziejny. - Panie Forthing, panie Loring, mam nadzieję, że będziemy mieli trochę Porządku w tym obozie; dobrze by było rozpaść kilka ognisk i usunąć te śmieci. I może jeśli

ci dzentelmeni wykopią łaskawie dół przy strumieniu, będziemy mieli nieco czystsza wodę do picia.

- Tak jest, sir-odpowiedział Forthingi odszedł pokierować pracą skazańców; tych, którzy byli mniej pozieleniali od innych posłał po łopaty. Laurence uświadomił sobie poniewczasie, że wydał ten rozkaz całkowicie bez zastanowienia, i także najwyraźniej bez zastanowienia oficerowie go wykonali; w obliczu kryzysu obie strony uległy sile nawyku.

Słońce, przesłonięte częściowo przez resztki chmur burzowych i opary dymu, zniżało się nad horyzontem: całe niebo płonęło wspaniałym przepychem barw, purpury, szkarłatu i jaskrawego różu, a pomiędzy obrysowanymi złotem chmurami na ziemię padały snopy światła, rozszerzające się niczym promienie latarni morskiej. Nie mieli sił na ciężką pracę. Za pomocą łopat zdołali usunąć najgorszą część dymiących i śmierdzących pozostałości pożaru, a wykopany na zakręcie strumienia dół stopniowo zaczął się wypełniać wodą, filtrowaną przez piasek.

Mieli suchary i mięso, niesmaczne i bezwonne, a na dodatek tak twarde, że trudno się je gryzło.

- Czy mógłbyś je tak udusić, żeby było bardziej miękkie? - zapytał Laurence Gong Su, kiedy stali nad trzema kangurami odłożonymi dla Temeraire'a.

Gong Su skinął głową, po czym dodał: - Rano będą lepsze- i Laurence nie obudził smoka na posiłek.

Spali niespokojnie, pilnowani przez całą noc przez warty składające się z czterech ludzi. Na równinie wokół nich wciąż żarzyły się gasnące węgielki, przez co wyglądała jak pole, na które spadło mrowie płonących złościście gwiazd, a na zachodnim niebie nadal widać było pomarańczową lunę, jakby słońce tym razem nie zaszło całkowicie, tylko skryło się tuż pod horyzontem- Szum wody w strumieniu, początkowo bardzo głośny, stopniowo cichł. Laurence ocknął się dwa razy, kiedy Temeraire miał ataki kaszlu, ale sam smok w pełni się nie obudził, a jego oczy pozostały zamknięte nawet wtedy, gdy cały się trząsał i pluł szarą flegmą-

_ Nie, czuję się dobrze, bardzo dobrze - wychrypiał następnego ranka Temeraire, jedząc, bardzo wolno, z wyraźnym wysiłkiem i niezbyt chętnie, kangura uduszonego w małych, niemal rozpadających się kawałkach. - Musimy ruszać w drogę; musimy znowu znaleźć ślad.

- Mój drogi - odparł uspokajającym tonem Laurence, czując się jak szuja - rozumiem, co czujesz, ale musimy być rozsądni; musimy pamiętać o jajach, które jeszcze mamy, i przede wszystkim zadbać o jego bezpieczeństwo. Każde nieznanne terytorium obfituje w zagrożenia, zwłaszcza w naszej sytuacji, kiedy nie mamy przewodnika i nie wiemy, gdzie jesteśmy. Kontynuując poszukiwania, w każdej chwili narażamy jajo na niebezpieczeństwo. Tylko dzięki temu, że zdobyłeś się na najwyższy wysiłek, wyszliśmy cało z tej ostatniej katastrofy. Czy możesz szczerze powiedzieć, że w twoim obecnym stanie byłbyś w stanie zrobić to ponownie, gdybyśmy jeszcze raz natrafili na coś takiego?

Temeraire milczał, pochyliwszy nisko głowę nad ostatnim, malutkim jajem. Laurence nie potrafił stłumić dojmującego poczucia winy. Wykorzystanie uczuć smoka przeciwko niemu było nie w porządku i być może trąciło nawet nieuczciwością, ale Laurence ani na moment nie mógł myśleć o wycofaniu się, jeśli tym niezbyt prawym sposobem zdołałby przekonać Teme- raire'a, by zdecydował się na odpoczynek, niezbędny dla jego zdrowia. Nie można było od tego odstąpić, nawet gdyby w tym czasie rozbito gdzieś na tych piaskach tysiąc jaj.

- Kiedy już dojdiesz trochę do siebie - mówił dalej Laurence - i pożar wygaśnie, będziemy mieli większe szanse odnalezienia śladów. No i jest coś, co teraz będzie działało na naszą korzyść: ogień całkowicie oczyścił całą okolicę z roślin, dzięki czemu łatwiej będzie nam prowadzić poszukiwania.

~ Ale zniszczył także ślady - odparł ze smutkiem Temeraire. - Boję się, że wcale ich nie znajdziemy, jeśli tu poczekamy;

ale pewnie jestem głupi. Trop już zaginął i nic na to nie można poradzić. Och! - krzyknął. - Cieszę się, że nigdy nie wrócimy do Anglii, Laurence: nie sędzę, żebym mógł kiedykolwiek spojrzeć w oczy Cantarelli.

Temeraire wsunął głowę pod skrzydła i nic już więcej nie mówił; Laurence położył rękę na jego nozdrzach, aby go choć trochę pocieszyć tym gestem współczucia, a potem przyniósł swoją skrzynkę z przyborami do pisania i usiadł obok smoka w błękitnoszarym półcieniu utworzonym przez przepuszczające część światła membrany jego skrzydła. Laurence prowadził dziennik podróży, z przyzwyczajenia, jakiego nabył jeszcze za czasów służby w marynarce, i teraz dodał kolejną notatkę:

Nasze aktualne Położenie pozostaje nieznanne: wielokrotnie zbaczaliśmy z obranego kursu i zwykle nie jesteśmy pewni nawet godziny, dopóki nie nastanie Południe, i Słońce jest wtedy widoczne. Obecnie pozostaje ono ukryte przez Dym, który zasnuł całe niebo. Rozbiliśmy obóz przy Strumieniu, ale łatwo może się okazać, że jest to to samo suche koryto, na które natknęliśmy się dwa dni temu, albo zupełnie nowe, nie zaznaczyłem więc go na Mapie. Mam nadzieję, że wkrótce, gdy tylko Dorset uzna, iż Temeraire podoła takiemu Wysiłkowi, ruszymy w drogę powrotną do Sydney.

Potem napisał do Jane, na osobnej kartce, którą zamierzał dołączyć do układanego już od pewnego czasu listu do niej: uznał, że nie może zrzucić na barki Granby'ego nieprzyjemnego zadania powiadomienia jej o utracie jaja. W Anglii nie uważano go za bardzo wartościowe, ale w tym kraju, do którego dowiezienie dodatkowych jaj wymagało długiej i trudnej podróży morskiej, było wręcz bezcenne; jeśli Jane musiała stawiać czoło nowym działaniom przeciwnika w Hiszpanii, mogła się z tym większą niechęcią odnosić do pomysłu wysłania kolejnych jaj na wielce hipotetyczne tereny rozplodowe tego nowego kontynentu.

W obozie panowała cisza, jeśli nie liczyć pokasływania ludzi Laurence co jakiś czas wypijał z kubka trochę grogu, który uśmierzał nieco ból jego zdartego od krzyku gardła; czuł się ociężały i pomimo obfitości łatwo dostępnej dziczyzny nie miał ochoty jej jeść, zadowolając się moczonym w wodzie sucharem, który łatwo mu się połykało.

Nikt nie miał zbyt wielkiego apetytu. Awiatorzy rzadko ustalali regularne godziny posiłku, a ostatnio z powodu niedostatku wody robili to jeszcze bardziej nieregularnie, zwykle wtedy, gdy odpowiednio duża część ludzi zaczynała protestować; dziś nikt nic na ten temat nie mówił, mimo że mijały kolejne godziny dnia i musiało być już po dwunastej, chociaż trudno to było stwierdzić, gdyż słońce jeszcze się nie pokazało. Tylko najmłodszy z awiatorów, najbardziej odporni, wykazywali jakiegokolwiek zainteresowanie otoczeniem: Demane znosił martwe zwierzęta, a Emily zaprzęgała Sipho i Paula Widenera - sygnalistę Ranki- na, niespokojnego i marudnego chłopca - do ćwiartowania jego znalezisk i rozkładania mięsa, suto najpierw posypanego solą, do suszenia. Aby zaspokoić głód, a także zrobić sobie przyjemność, upiekli na patykach dwie duże jaszczurki: Demane znalazł je żywe, ale tak oszołomione dymem i piorunami, że można je było złapać rękami.

- To jest zupełnie dobre, sir - powiedziała Emily, częstując Laurence'a, ale ta odrobina zapachu, którą wyczuł swoim otepiałym węchem, nie była wystarczająco nęcąca, by odzyskał apetyt.

Mieli już więcej mięsa, niż go potrzebowali na drogę powrotną, ale Demane i tak znowu wyszedł na poszukiwanie, gdyż ta obfitość łatwo dostępnego pożywienia była dla niego najwyraźniej pokusą, której nie potrafił się oprzeć. Wrócił po mniej niż godzinie i złożywszy na ziemi swoje ostatnie trofeum, kangura pokaźnej wielkości i tylko trochę opalonego przez ogień, wśliznął się pod skrzydło Temeraire'a.

Laurence uniósł głowę i spojrzał na niego pytająco.

- Tam są ludzie, po drugiej stronie wydmy - powiedział Demane.

Wszyscy skazańcy byli za natychmiastowym atakiem.

- ...zanim znowu się wymkną, a potem zakradną do nas nocą, żeby ukraść drugie jajo - mówił O'Dea, przedstawiając ich stanowisko Laurence'owi i Rankinowi. - Nawet ten mały powinien być w stanie ich załatwić - dodał, dosyć krwiożerczo, mając na myśli Cezara, na co Rankin odparł lodowatym tonem:

- To zupełnie wystarczy, panie O'Dea; kiedy znowu będziemy chcieli wysłuchać pańskiej opinii, poprosimy o nią.

Jego słowa spotkały się z pomrukami niechęci i urazy, przy czym skazańcy nawet nie starali się ściszać głosów. Rankin to zupełnie zignorował, ale Laurence pokręcił lekko głową; widział już kiedyś bunt, który wybuchł z bardziej błahych powodów niż przekonanie o tym, że powstało bezpośrednie zagrożenie życia. Teraz, gdy oba smoki były osłabione i otumanione, skazańcy mogliby wyrządzić prawdziwą szkodę, jeśliby postanowili obezwładnić jego, Rankina albo nawet członka załogi, którego Temeraire cenil.

- To nie oni - rzekł Demane, głośno i niecierpliwie. - Ci nie mają jaja.

Temeraire poruszył się, wyrwany z niespokojnego snu, i uniósł głowę; kiedy zrozumiał, co się stało, ożywił się i p0' wiedział:

- Ale może oni wiedzą, dokąd poszli ci inni... - i zwróciwszy głowę w stronę skazańców, dodał: - Czy nie ma wśród vvaS kogoś, kto mógłby z nimi porozmawiać?

Nie ma sensu z nimi rozmawiać - odparł O'Dea. - My chcemy szybkiego działania. Jeśli oni się dowiedzą, że tu jesteśmy, na pewno znowu uciekną, a potem wrócą ukradkiem...

_ Oni wiedzą, że tu jesteśmy - przerwał mu Demane. - Widzieli mnie, kiedy zabierałem kangura.

_ Ale on jest czarny, no nie; jest jednym z nich - odezwał się ktoś ze skazańców.

Demane był rzeczywiście człowiekiem o bardzo ciemnej karnacji, ale pochodził z Afryki Południowej i nie miał nic wspólnego z rdzennymi mieszkańcami tej ziemi oprócz tej przypadkowej zbieżności koloru skóry; chociaż Laurence żywił nieśmiałą nadzieję, że może to zrodzić w nich jakieś poczucie wspólnoty, a przynajmniej zmniejszyć nieufność, jaką zapewne wzbudzi wygląd Europejczyków.

- Czy któryś z panów zna ich język? - zapytał Laurence i po chwili zastanawiania się O'Dea przyznał, że ma pewne doświadczenie; podobnie jak Richard Shipley, jeden z młodszych skazańców, niespełna dwudziestoletni, który dodał:

- Chociaż tylko w takim stopniu, by móc wymienić trochę rumu i guzików na... Cóż, sir, na odrobinę towarzystwa - zakończył, zarumieniwszy się z zażenowania.

- Nie rozumiem, do czego mogłoby nam się to tutaj przydać - rzucił niecierpliwie Temeraire. - Może ja zdołałbym coś pojąć albo może oni znają jakieś inne języki. Czy nie byłoby dobrze, gdybym się też wybrał na to spotkanie?

- To by w znacznym stopniu zmniejszyło wszelkie nadzieje na to, że powitają nas przyjaźnie - odparł Laurence i sprawdził pistolety, które choć nie tak duże, były nie mniej śmiertelne.

On, Tharkay i Forthing zabrali dwóch potencjalnych tłumaczy, nieważne, jak marnych, po czym prowadzeni przez Demane przeszli po osmalonych wydmach mniej więcej milę obozu i dotarli do skraju wypalonego pasa, gdzie ślady ognia się skończyły, a roślinność ocalała. Aborygeni zebrali już swoje zapasy dziczyzny, wiele martwych zwierząt, i stali właśnie blisko granicy terenu niedotkniętego pożarem, prowadząc ożywioną dyskusję. Było tam czterech dorosłych mężczyzn i młodzieniec, może o kilka lat starszy od Demane. Laurence ze zdziwieniem zauważył, kiedy się do nich zbliżyli, że ziemia przed krajowcami paliła się, i to najwyraźniej na skutek ich poczynań. Obserwowali ją uważnie, przydeптując te płomienie, które zbyt szybko strzelały w górę.

Aborygeni powitali ich dość nieufnie, ale też bez otwartej wrogości, a kiedy Shipley i O'Dea zaczęli coś niepewnie mówić, wysłuchali ich, a potem udzielili odpowiedzi. Od razu okazało się, że zadanie przełożenia tego wykracza poza zakres wiedzy i możliwości tłumaczy; Shipley powiedział:

- To wcale nie brzmi jak coś, co słyszałem; może jedno słowo lub dwa.

W tej sytuacji Laurence postanowił wspomóc się pantomimą i rysunkami na dogodnie pustym płótnie spalonej ziemi, na której kreślone przez niego koślawe postaci były czerwone na tle czarnego popiołu. Najpierw spróbował narysować jajo, wielkie, niesione przez małych ludzi - co wywołało tylko puste spojrzenia krajowców - a potem pokazał im fragment porcelany.

To dało początek pewnego rodzaju wymianie informacji: Aborygeni pokiwali głowami, a potem jeden z nich wyciągnął rękę z miotaczem oszczepów, który, jak to ze zdumieniem stwierdził Laurence, na jednym końcu ozdobił sznur czerwonych i niebieskich paciorków z porcelany oraz drugi sznur koralików z jadeitu oraz pereł. Wskazał na pistolet za pasem Laurence'a, który pokręcił głową i dosyć zaskoczony tym, że na środku pustyni otrzymał taką ofertę wymiany, powiedział:

- Nie, dziękuję.

Myśliwy wzruszył ramionami i ze spokojem przyjął odmowę - kiedy Laurence wyjął mapę i rozłożył ją na ziemi, zarówno on, jak i jego towarzysze dosyć chętnie zgodzili się na nią popatrzeć.

Jednak to, co na niej zobaczyli, najwyraźniej nie było dla nich zrozumiałe; dotykali z zachwytem papieru, wodzili palcami po kolorowych liniach, ale obracali mapę na wszystkie strony, nie rozpoznając na niej niczego, nawet terytorium, przez które ostatnio przeszli, mimo że Laurence pokazywał im niedawno przez siebie naniesione koryta strumieni, solniska i wzgórza, które powinny być dla nich znajomymi punktami orientacyjnymi; ale być może Aborygeni nie mieli zwyczaju sporządzania map.

Widząc, że to do niczego nie prowadzi, Shipley dotknął naszyjnika, który jeden z krajowców miał na szyi, i w swojej wersji ich języka zapytał: - Gdzie? - po czym pokazał wszystkie strony świata.

Aborygeni odpowiedzieli słowami „Pitjantjatjara” i „Larra- kia”, po czym wskazali na północ oraz zachód w taki sposób, jakby coś rzucali, a potem dodali jeszcze jedno słowo.

- Daleko, daleko - przetłumaczył Shipley. - Chyba to chcieli powiedzieć, w każdym razie tak mi się wydaje.

- A co z ludźmi, których porywają? - zapytał O'Dea i naszkicował na piasku kilka figurek, a obok nich dziurę wodną i skalne wypiętrzenie, przy którym zniknął Jonas Green. Następnie przekreślił jedną z postaci.

Aborygeni pokiwali głowami bez zdziwienia i odpowiedzieli - Bunyip - po czym pokiwali energicznie głowami.

- Bunyip - powtórzył jeden z nich i przekreślił narysowaną przez O'Deę postać bardziej zdecydowanie, a następnie Powiedział dużo więcej, co pewnie i byłoby doskonałą radą, gdyby mogli zrozumieć z tego choć jedno słowo. Ale wtedy, Zauważywszy, że nic nie pojęli, najmłodszy z tubylców uniósł ręce, zagiął dłonie przy ustach na kształt pazurów i wykonał nimi gest pokazujący chwytność, sycząc przy tym i warcząc. Wyglądał jak straszdyło z bajek dla dzieci, ale Laurence przyjął to wyjaśnienie z powątpiewaniem; wokół obozu z pewnością nie włóczyły się żadne potwory.

Jednak O'Dea był wyraźnie bardziej skłonny zaakceptować to wytłumaczenie, które go nieco uspokoiło, i próbując kolejne słowa ze swojego raczej ograniczonego słownika, znalazł w końcu kilka zrozumiałych dla jego rozmówców: narysował jeszcze raz jajo, większe w stosunku do figurek ludzi, i wychodzącego z niego smoka z rozłożonymi skrzydłami. Aborygeni powtórzyli swoje gesty, wskazując północny zachód, a potem najstarszy z nich klepnął najmłodszego w ramię, domagając się jego uwagi, i otworzywszy usta, zaśpiewał niskim, nieco chropawym, ale donośnym głosem; pozostali zaczęli klaskać, dodając rytm do pieśni.

- Nie ma sensu nawet próbować to zrozumieć - powiedział O'Dea, rozglądając się dookoła. - Oni tak czasem robią, kiedy się ich pyta o drogę i kierunki, ale to tylko te ich opowieści: o potworach i bogach, o stworzeniu świata. To nic nie znaczy.

Pieśń dobiegła końca, zgasła też trawa podpalona przez Aborygenów, którzy zaczęli zbierać zdobycz, wyraźnie gotując się do drogi; młodzieniec wszedł na świeżo wypalony fragment ziemi i podniósł gałązkę, która wciąż się paliła z jednej strony. Laurence chciałby wyciągnąć z nich więcej informacji, być może zaprzęgając do tego Dorseta, który miał talent do rysunku, i za pomocą lepszych ilustracji przekazać im bardziej precyzyjne pytania; ale myśliwi byli ewidentnie znudzeni rozmową, tak mało dla nich korzystną, i zatrzymywanie ich mogło jedynie sprowokować kłótnię, której jego ludzie wcześniej się spodziewali-

- Bunyipy - powiedział O'Dea z upiorną satysfakcją do Shipleya, kiedy ruszyli w drogę powrotną do obozu. - A więc to bunyipy, i muszą być ludojadami, widziałeś, jak ci czarni się trzęśli, kiedy wypowiadali to słowo? Świeć Panie nad ich duszami, Jacka Telly'ego i biednego Jonasa; w brzuchach bunyipów to straszny koniec. Muszą być jak tygrysy.

Ta historia rozejdzie się z pewnością po całym obozie w chwilę p° ty01' gdy wrócą, a ludzie z pewnością przeniosą swoje lęki na ludożercze potwory tak samo chętnie, jak robili to krajowcy; albo nawet chętniej, gdyż zagrożenie stawało się w ten sposób jeszcze bardziej okropne. Laurence westchnął i wspiał się ze znużeniem na wydmę, żeby pomachać uspokajająco do Temeraire'a, który zapewne się martwił o niego; ale kiedy go zobaczył, smok patrzył właśnie w dół, na jajo, z którego Fellowes pospiesznie zdejmował koce.

Rozdział 10

B

ędę panu wdzięczny za zakończenie tej całkowicie niestosownej ingerencji, panie Laurence - powiedział lodowatym tonem Rankin. - Nie ma pan ani stopnia wojskowego, ani pozycji, ani nawet odpowiedniego doświadczenia, które dawałyby panu prawo do przedstawienia własnej opinii w tej sprawie. Panie Drewmore, ufam, że jest pan gotowy przyjąć na siebie ten obowiązek? Panie Blincoln, o ile mi wiadomo, jest pan drugi według starszeństwa. Niech się pan także przygotuje na wypadek, gdyby panu Drewmore'owi nie udało się przekonać do siebie młodego.

- Tak jest, sir - odpowiedział porucznik Drewmore po chwili, nie dlatego, że był niezadowolony, ale musiał trochę pomyśleć, by dotarło do niego, jaką otrzymał szansę. Był mężczyzną około czterdziestki, powolnym zarówno ciałem, jak i umysłem, który ani razu nie wykazał się nawet na jotę inicjatywą, a przynajmniej Laurence tego nie widział, i wyróżniał się jedynie przyjemnym obejściem, dobrymi chęciami i podstawowymi umiejętnościami. Uzyskał stopień porucznika na smoku średniej wagi, nie mając większych osiągnięć ponad to, że był synem wybitnego i lubianego kapitana; ale na skutek śmierci swojego smoka, który padł ofiarą zarazy, wylądował na ziemi i nie otrzymał już żadnej propozycji objęcia równoważnego stanowiska.

\ Blincoln, tylko trochę ustępujący mu zarówno wiekiem, jak • starszeństwem, był podobną miernotą; żaden z nich w niczym nie zasłużył sobie na jedyne, ostatnie jajo. Tymczasem Forthing, który wprawdzie nie miał żadnych znaczących koneksji, ale jako jedyny pośród awiatorów wykazał się w służbie, miał być odsunięty na bok.

Laurence dorastał w marynarce, w której właściwe wpływy decydowały niemal o wszystkim, kiedy rozstrzygały się sprawy związane z awansami, ale przywykł już do całkowicie innych zwyczajów panujących w Korpusie; posiadanie wpływów z zasady nie decydowało o pozycji człowieka w świecie awiatorów. Rankin był tu wyjątkiem od reguły, podobnie jak porucznik Ferris, dawny członek załogi Laurence'a; to były dwa jedyne takie wypadki, z którymi Laurence zetknął się podczas służby w Korpusie. Zasługi i szczęście, które sprzyjało pokazaniu własnej wartości, miały w praktyce o wiele większe znaczenie.

Wprawdzie osobiste związki mogły mieć wpływ na proces podejmowania określonych decyzji, ale Rankin nie znał przedtem tych ludzi; nie byli mu bliscy. Spotkał ich wszystkich zaledwie miesiąc wcześniej.

Laurence wiedział, że jego próba będzie daremna, ale mimo to postanowił ją podjąć.

- Może nie jest pan świadom tego, że kapitan Granby miał inne zamiary - powiedział spokojnie.

Rankin odrzucił jego sugestię w możliwie najbardziej obraźliwy sposób, nie próbując nawet zniżyć głosu, i dodał:

- Nie zamierzam dopuścić do tego, żeby w tej kryjówce panowały te same niestosowne i wątpliwe zasady, którymi kieruje się pan w życiu.

- Przez co rozumie pan zapewne to, że pan Forthing nie pochodzi z rodziny awiatorów - odgryzł się Laurence.

- Pański przykład to wszystko, czego każdy człowiek potrzebuje, żeby docenić wartość właściwego rodowodu, na który składają się pokolenia ludzi rozumiejących, czym są smoki i jest ich obowiązek - odparł Rankin.

Temeraire, który do tej pory obserwował z niepokojem jajo uniósł głowę i rzekł:

- Cóż, jeśli młode wybierze pana Forthinga, może go mieć - i powiem mu to, nieważne czy mnie pan lubi czy nie. Nie obchodzi mnie, czy jego rodowód jest właściwy.

Rankin obrócił się gwałtownie, żeby mu stawić czoło, ale tymczasem jajo zaczęło się kołysać. Po chwili pojawiło się w nim pęknięcie, wzdłuż linii otaczającej je w połowie, co przykuło natychmiast uwagę wszystkich obecnych. Przewróciwszy się na bok, skorupa nie rozdzieliła się zupełnie; potem jej górna połowa, wypchnięta z wyraźnym trudem, powoli przesunęła się po piasku, zostawiając bruzdę w popiele, i młodziutkie stworzenie z mozołem wydostało się na zewnątrz.

Kiedy uniosło głowę, zapadło krótkie milczenie, które wyrażało głęboką konsternację. Było to dziwne, zniekształcone stworzenie, pozbawione sprężystej, śmiertcionośnej gracji, z jaką zaraz po wykluciu się z jaja poruszał się każdy młody smok, którego widział Laurence. Miało wydłużone, prawie szkieletowe ciało, jednolicie pokryte brązowo-szarymi cętkami, a wzdłuż jego barków i częściowo grzbietu ciągnęły się kolce bardzo podobne do tych na końcach ogonów smoków rasy Chequered Nettle, z których jeden, a właściwie jedna, złożyła to jajo. Młode odziedziczyło także pazury po swoim ojcu z rasy Parnassian, tak długie, że zaczepiały o jego własne ciało.

Jego skrzydła były krótkie i jakby przykurczone. Zakrywały początkowo ciało smoczątka, ale kiedy spróbowało je rozłożyć, odsłoniły jego boki - tonące w wielkich fałdach, które wybrzuszały się na jego barkach i stawach biodrowych, jakby jego klatka piersiowa wcale się nie rozwinęła i skóra była dla niej o wiele za duża.

Poza tym było tak chude, że aż żal było na nie patrzeć. Kości barków i bioder wystawały wyraźnie przez skórę, długie i wąskie. Młode wyraźnie ucierpiało z powodu ciasnoty małej skorupy i teraz rozprostowywało się tak powoli, jakby było dotknięte porażeniem, robiąc co chwilę przerwę, żeby z trudem złapać oddech. Patrząc na to, Laurence mógł się tylko boleśnie krzywić. Smoczątko było niewiele większe od niedożywnego psa.

- Och, jestem głodny - odezwało się cichym, piskliwym głosem, który brzmiał mniej więcej tak, jakby ktoś świstał przez trzcinę; ale żaden z awiatorów nie podszedł do niego. Drewmore i Blincoln poruszyli się niespokojnie i popatrzyli na Forthinga, który już zdążył się wycofać. Oni także zrobili po kilka kroków do tyłu i zapadło kłopotliwe milczenie.

- Cóż - przerwał je w końcu Rankin - szkoda. Panowie, zakładam, że wszyscy się ze mną zgodzicie. Nie ma oficera, który zechciałby spróbować założyć mu uprząż, prawda? Panie Dorset?

Dorset już od pewnego czasu krążył wokół smoczątka i starał się je zbadać; pokręcił teraz głową z roztargnieniem i odpowiedział:

- Nie mogę nic powiedzieć ani o przyczynie, ani o skutkach deformacji, dopóki go nie otworzę, oczywiście; sądząc po trudnościach z oddychaniem, przypuszczam, że ma niedorozwinięte płuca. Całkiem interesujący przypadek.

Nikt inny się nie odezwał. Laurence nie rozumiał początkowo, do czego to wszystko zmierza, dopóki Rankin nie odwrócił się i nie powiedział:

- Panie Fellowes, o ile mi wiadomo, jest pan naszym jedynym dowódcą załogi naziemnej. Muszę pana prosić o wypełnienie swojego obowiązku... Obawiam się, że nie mamy karabinów. Woli pan młot czy też pistolet?

Temeraire, pomyślał Laurence, także jeszcze nie zrozumiał; aby zatem zdążyć, zanim smok sobie to uświadomi, powiedział ostrym tonem:

- Dosyć tego; zastanawiam się, czy pan śmie nazywać siebie chrześcijaninem. Panie Fellowes, nie robi pan tego.

Rankin odwrócił się ku niemu i warknął:

- To, że nie ma pan pojęcia o prawach Korpusu i lekceważy te nieliczne, które zna, nie jest niespodzianką; również to, że ma pan czelność uważać siebie za autorytet w dziedzinie, na której się zupełnie nie zna... Co pan, który dostąpił zaszczytu wcale go nie szukając i wcale nań nie zasługując, może wiedzieć o uczuciach każdego awiatora w takich sytuacjach? Uczuciach ludzi, którzy przez całe życie czekają na swoją szansę i których spotyka coś takiego, kiedy w końcu ich marzenie ma się spełnić? To nasz obowiązek... tak jak naszym obowiązkiem byłoby zaprzęgnięcie smoka, gdyby okazał się zdolny do służby. Ten nie jest i nie można dla niego zrobić.

- Niemniej jest jednym z Bożych stworzeń, mimo swej nieprzydatności do służby - odparł Laurence - i nie pozwolę go zamordować.

- Wolałby pan widzieć je opuszczone i skazane na powolną śmierć? - zapytał Rankin. - Smok wykluwa się z jaja, w pełni gotowy radzić sobie w życiu: czy wyobraża pan sobie, że to młode przetrwa, jeśli pozostawimy je tutaj, niezaprężone i samotne?

Smoczątko, do tej pory zajęte przede wszystkim wydostawaniem się z pozostałości jaja i rozprostowywaniem wszystkich członków, popatrzyło na nich nieufnie i niepewnie. Przydeptując sobie łapy o nadmiernie długich pazurach oraz ogon, spróbowało rozłożyć skrzydła i udało mu się nimi kilka razy machnąć, wznosząc trochę kurzu; ale zaraz tego zaprzestało i ciężko dysząc, z trudem chwyciło powietrze.

- Och - powiedział do niego ze smutkiem Temeraire - nie możesz latać?

- Jestem pewny, że już wkrótce będę mógł - odparł mały

Ok słabym głosem - tylko że jestem cały zesztywniały, i głodny.

Rankin machnął zdecydowanie ręką.

_ Tak czy owak długo nie pożyje - powiedział.

_ W takim razie - odezwał się Laurence - damy biednemu stworzeniu trochę jedzenia i zapewnimy mu spokój aż do jego naturalnego końca; niezależnie od tego, jak długo to potrwa, nie możemy się zaprzecić swego człowieczeństwa.

- A kto pańskim zdaniem powinien je żywić? - zapytał Rankin. - Żaden awiator nie robi tego, gdyż wiążąc się w ten sposób, poświęci swoją jedyną szansę; a niech mnie diabli wezmą, jeżeli pozwolę panu narzucić nam jakiegoś cholernego skazańca, który będzie sobie rościł prawo do nazywania się kapitanem...

- Sam je będę żywić - przerwał mu Laurence.

- Co? - huknął Temeraire, zwracając gwałtownie głowę w jego stronę. Laurence zawahał się zaskoczony, a Temeraire dodał: - Zrobiłbyś to...? - a w jego drżącym głosie pobrzmiwał ból i gniew, a także echo boskiego wiatru.

- To wykluczone - rzucił niecierpliwie Rankin. - Nie może pan go żywić; jeśli ma choć odrobinę rozumu, samo nie weźmie jedzenia z pańskich rąk: ono widzi, że należy pan do Temeraire'a, i wie, że on je natychmiast zabije. Co pewnie - dodał - oszczędziłoby nam kłopotu.

Laurence spojrział na niego z odrazą. Temeraire'owi jego gest mógł się nie podobać, ale absolutnie nie wierzył, żeby smok posunął się do zamordowania tak małego i nieszczęsnego stworzenia.

- Temeraire, mój drogi - zaczął - co za absurd; chyba nie wierzysz, że kiedykolwiek zgodziłbym się zamienić ciebie na innego smoka. - Widząc, że Temeraire jest jednak mocno przygnębiony, dodał: - Uważałem, że z praktycznego punktu widzenia tak byłoby najlepiej; i proszę, żebyś sam karmił to młode, jeśli masz jakiegokolwiek zastrzeżenia co do tego, bym ja to robił.

- Och - odparł Temeraire, opuszczając nieco nastroszo krezę. - No cóż; nie mam nic przeciwko temu, ale, Lauren ce... - Pochylił głowę i cichym, konfidencyjnym tonem dodał z wahaniem: - Ono nie może latać.

Laurence był tak bardzo wstrząśnięty... wstrząśnięty i zbulwersowany, że nie wiedział, co powiedzieć. Rankin nie miał takich oporów.

- No i proszę — odezwał się. — Czy to pana przekona, panie Laurence, że z igły robi pan widły?

Temeraire parsknął ze złości i rzucił mu gniewne spojrzenie.

- Nie rozumiem, dlaczego zawsze musisz być taki niemły - powiedział - a co do ciebie, Laurence, jeśli tak bardzo ci na tym zależy, to oczywiście dam młodemu trochę jedzenia. Tylko że to wydaje się trochę dziwne.

- Więcej niż trochę - wtrącił Cezar. - Co ono ma robić, kiedy ty gdzieś polecisz, a jemu zechce się jeść? W każdym razie wciąż jesteśmy na pustyni i przez cały tydzień jedliśmy jakieś ochłapy; teraz może mamy trochę więcej jedzenia, ale od krów dzieli nas długa droga. Może byś się tak trochę zastanowił i nie marnował naszych zapasów bez sensu.

- Może ono będzie jednak w stanie latać - zaczął Temeraire - jeśli trochę odpocznie. Te wszystkie wstrząsy i szarpanie musiały je zmęczyć... chociaż... w takim razie mogło pozostać jeszcze w skorupie i tam odpocząć...

Umilkł, wyraźnie niezbyt przekonany, a Laurence'a nagle ogarnęły wątpliwości. Czuł się tak, jakby znosiła go woda, a to, co uważał za pewną beczkę cumowniczą, przesuwało się razem z nim, unoszone przez nieznaną prąd. Jeśli młode przeżyje... zdeformowane, bezbronne i niezdolne samo się żywić... odrzucone przez Korpus i inne smoki...

- Temeraire, będę ci bardzo wdzięczny, jeśli dasz mu coś do jedzenia - powiedział mimo tych wątpliwości; nie widział •Onego wyjścia, które nie byłoby naznaczone barbarzyństwem • okrucieństwem i którego nie należałoby z miejsca odrzucić.

Odwrócił się i zamarł: smoczątko zajadało się powoli, ale i wielką determinacją, wnętrznościami z rozprutego brzucha kangura. Na szyi miało pętlę zrobioną z paska jako symboliczną uprzęż, a obok niego kłęczał Demane, który w tej chwili uniósł głowę i powiedział:

_ Nadaję mu imię Kulingile.

- To znaczy, że wszystko jest dobrze - powiedział Te- merairedoCezara-i nie rozumiem, dlaczego to ty narzekasz, skoro Demane był członkiem mojej załogi. Nie pojmuję, dlaczego zawsze muszę tracić jednego z moich oficerów lub członków załogi naziemnej, kiedy tylko z jakiegoś jaja wykluwa się młode; to staje się zupełnie bezsensowne.

I niemal wystarcza, by zniechęcić do dalszych poszukiwań drugiego jaja, pomyślał smok: przecucie przyszłej krzywdy sprawiło, że Temeraire nie był tak zachwycony, jak można się było spodziewać, wiadomościami, które Laurence i Tharkay przynieśli po spotkaniu z krajowcami.

Oczywiście nie do końca; to nie jajo było tu winne i w istocie rzeczy odetchnął z głęboką ulgą, kiedy poznał nawet te mizerne strzępy informacji, ale... Musiał w duchu przyznać, że nie jest w pełni sił. Nie miałby nic przeciwko kilku dniom spokojnego odpoczynku i duszonemu mięsu. Nie zamierzał głośno narzekać, ale wciąż bardzo bolało go gardło, a na domiar złego wszystko wskazywało na to, że będzie musiał zadać sobie jeszcze wiele trudu i wycierpieć liczne niedogodności tylko po to, by stracić kolejnego członka załogi. Westchnął ciężko.

- Bardzo przepraszam, on jest oficerem - mówił tymczasem Laurence do Rankina - a nie jedynie osobistym służącym:

Demane służy w Korpusie od blisko dwóch lat i pełnił obowiązek kapitana na Arkadym.

- Czyli dzikiej bestii, której w żadnym razie nie można kontrolować - odparł z lekceważeniem Rankin. - Nie, jeśli wyobraź pan sobie, że zgłoszę to Admiralicji, jest pan w głębokim błędzie Pański służący zrobił sobie z tego stworzenia zwierzątko domowe, ale jeżeli o mnie chodzi, żaden z nich nie ma nic wspólnego z Korpusem; mogą sobie wrócić do Anglii, jeśli pańskim zdaniem łatwiej znajdą tam uznanie. Choć zapewne to stworzenie nie utrzyma się przy życiu tak długo, by było to konieczne.

- Tylko tak długo, by zjeść wszystko, co najlepsze - wtrącił Cezar z dezaprobatą.

Temeraire także pomyślał, że smoczątko rzeczywiście przesadza. Kulingile jadł bardzo powoli, ale nie przestał od chwili, gdy zaczął, i teraz niemal cały był już we wnętrzu martwego kangura.

- Ten kangur jest większy od ciebie - powiedział - a ty sprawiasz takie wrażenie, jakbyś chciał go zjeść całego; mógłbyś zostawić sobie trochę na jutro.

Kulingile, który wyrwał właśnie kolejny kawał mięsa, wystawił głowę z kangura, przechylił się do tyłu i połknął go w całości, co każdy mógł zobaczyć, obserwując zgrubienie wędrujące w dół jego chudej szyi. Odetchnął kilka razy, a jego dziwnie wyglądająca pierś zafalowała, po czym powiedział cieniem, szczebiotliwym głosem:

- Ale ja wciąż jestem głodny, a mój kapitan przyniósł to dla mnie, więc jest moje i to zjem; z j e m i już. - Znowu wepchnął głowę do środka kangura.

Temeraire westchnął, ale po chwili uznał, że nie może mieć smoczątka za złe tego, iż chce zjeść posiłek; to musi być strasznie przygnębiające, kiedy nie jest się w stanie latać, pomyślał. Popatrzył krytycznie na Kulingile: problemem najprawdopodobniej jest jego zapadnięte boki i skóra, która fałdowała się na nich tak dziwnie, uznał.

„Czy nie mógłbyś wyciąć części, a potem zszyć resztę na nowo - zasugerował Dorsetowi, który siedział po turecku obok małego smoka i osłuchiwał jego klatkę piersiową za pomocą swojej trąbki.

„Trochę ciszej, proszę - odparł Dorset z roztargnieniem -

I naprawdę byłoby lepiej, gdyby on na chwilę przestał jeść - zwrócił się do Demane. - Proces trawienia zagłusza działanie systemu oddechowego.

- Położy się spać, kiedy już nie będzie głodny - odparł Demane, głaszcząc zazdrośnie małego smoka po karku. Popatrzył na Emily z wyrazem tryumfu na twarzy, który jednak zgasł, kiedy ona odwróciła się do niego plecami i z zaciętą miną przeszła na drugi koniec obozu, gdzie zajęła się pakowaniem sprzętu i innymi przygotowaniami do odlotu.

Kiedy jakiś czas później Kulingile położył się spać, powiedział do niej:

- Nie myślałem, że będziesz taka zazdrosna.

- Też miałabym powód do zazdrości - odpowiedziała, stojąc do niego plecami. - Ty ośle, za mniej więcej siedem lat dostanę Ekscidiuma, kiedy matka przestanie latać.

Temeraire, który to podsłuchał, zawrzał w duchu z oburzenia.

- W takim razie... - zaczął Demane, ale ona w tej chwili odwróciła się do niego i powiedziała:

- Jakim prawem przedłużasz cierpienia tego biednego stworzenia i wszystkich innych, po to tylko, żeby się popisać? Połowa

2 tych ludzi jest przykuta do ziemi, ponieważ ich smoki zdechły. Może myślisz, że im się podoba, kiedy widzą, jak walczy o każdy oddech? Wyrośnie ze swoich płuc w ciągu tygodnia...

- Tego nie wiesz na pewno! - przerwał jej zirytowany Demane. - Kapitan wcale nie myśli, że on zdechnie.

- Oczywiście, że tak myśli - rzuciła Emily - wszyscy tańc uważamy; posłuchaj! - Mały smok oddychał z takim trudem i tak głośno, że słycać go było w całym obozowisku; były to długie, świszczące oddechy, przy których jego klatka piersiowa wyraźnie się nadymała. - I kapitan wcale nie chciał go ocalić dla siebie, czyż nie? Tylko że on przejdzie i przez ogień, jeśli tylko pomyśli, że powinien; jest przesadnie religijny. O tobie tego nie można powiedzieć, a zatem myślę, że jesteś wstrętnym egoistą - dodała i odeszła wielkimi krokami.

- Wcale nie jestem! - krzyknął za nią Demane i uniósłszy wzrok, spojrział na Temeraire'a. - On wcale nie musi umrzeć, prawda? - powiedział pytająco.

- Cóż, nie widzę żadnego powodu, dla którego miałby umrzeć - odparł Temeraire; wcale nie chciał, żeby mały smok przestał żyć, gdyż to byłoby bardzo przygnębiające - tylko że nie bardzo wiem, jak on będzie zdobywał jedzenie, jeśli kiedykolwiek będzie musiał coś dla siebie upolować.

- Ja mogę polować dla niego - rzekł Demane.

- A on jest taki mały, że być może nie będzie bardzo dużo jeść - zgodził się z nim Temeraire, po czym, w przyływie natchnienia, dodał pokrępijąco: - I być może zostanie uczonym i nie będzie musiał wcale latać... Albo poetą.

Demane ta sugestia niespecjalnie ucieszyła; zawsze trudno było go przekonać do spędzania czasu nad książkami i był już głęboko rozczarowany swoim bratem, którego z kolei trudno było od nich oderwać. Temeraire miał jednak wrażenie, że znalazł idealne rozwiązanie, i powiedział później do Laurence'a:

- Nikt w końcu nie żąda od świeżo wyklutych młodych ludzi, żeby od razu polowali; młode Harcourt tylko leżało, machało rękami i prawie bez przerwy zanosilo się płaczem, a Kulingile przynajmniej potrafi mówić i sam je; nikt nie musi mu wkładać jedzenia do pyska po kawałku.

Kierując się tą filozofią, chciał nauczyć Kulingile pisać własne imię- a'e smo'i tylko wziął głęboki, świszczący wdech i odparł:

_ Ale ja jestem głodny.

_ Minęły zaledwie dwie godziny, odkąd jadłeś - zaprotestował Temeraire - nie możesz być znowu głodny.

_ Jestem głodny - powtórzył ze smutkiem Kulingile.

_ No dobrze, naucz się przynajmniej pierwszych pięciu znaków - powiedział z westchnieniem Temeraire - a potem możesz zjeść kawałek jaszczurki.

Kulingile popatrzył na znaki, które Temeraire napisał na piasku, po czym uniósł głowę i odparł:

- Już się nauczyłem.

- Wcale nie - zaprzeczył Temeraire i zmasał znaki pazurem. - Narysuj je - polecił, ale w końcu musiał ustąpić, gdyż długie pazury uniemożliwiły Kulingile pisanie.

I tak Kulingile dostał zgodę na pożarcie dwóch... trzech wielkich jaszczurek, które przedtem pocięto i zakonserwowano w soli. Cezar patrzył na to z dezaprobatą, a i Temeraire nie był nadzwyczajnie szczęśliwy, widząc, jak znikają. Ich smak mu bardzo odpowiadał, ale chwilowo nie mógł się nimi cieszyć, gdyż gardło wciąż go bolało, kiedy próbował zjeść cokolwiek, co nie było miękkie, a woda, nawet ta przefiltrowana przez piasek i zbierająca się w małym dole, wciąż trąciła popiołem i była gorzka. Wszystko, co Gong Su próbował mu ugotować, miało ten smak. Jadł tyle, ile mógł w siebie wcisnąć, żeby zaspokoić najgorszy

głód, ale niestety zostawało po tym w jego brzuchu jeszcze sporo wolnego miejsca; chętnie wypełniłby je czymś lepszym później, kiedy już znowu będzie mógł jeść, ale bał się, że jeśli Kulingile nie zwolni tempa, to pochłonie cały zapas solonego mięsa, zanim inni zdołają coś przekąsić.

- Jestem całkowicie gotowy do drogi - powiedział jednak

Temeraire, kiedy Laurence go o to zapytał; myślał już tylko o tym, że jeśli nie odnajdą jaja w najbliższym czasie, najpewniej nie odnajdą go wcale, i teraz, kiedy już nie musiał się martwić o to drugie, jego obowiązek był jasno określony; i och, tak bardzo chciał się zrehabilitować - niemal pomyślał, przez chwilę, kiedy Laurence mówił o karmieniu młodego...

No cóż, nie warto o tym myśleć; Laurence powiedział wszystko, co należało, żeby go uspokoić, i w końcu tego nie zrobił - jego wyjaśnienia były całkowicie sensowne, a poza tym Temeraire tak naprawdę nie mógł sobie wyobrazić, żeby ktoś wolał Kulingile od niego, choćby nie wiadomo co się stało; Kulingile był taki mały i nawet gdyby teraz nie umarł, to przecież... Ale Temeraire był także świadomy jednego: Laurence stracił już przez niego fortunę, stopień wojskowy, dom; jeśli ten ciąg miał się teraz zakończyć utratą także jaja...

- Czuję się niemal całkowicie wypoczęty - powiedział zdecydowanie. - Wiem, że mam trochę inny głos niż zwykle, ale to przez ten dym, który dostał mi się do gardła; ruszajmy natychmiast.

Temeraire nie tylko głos miał trochę inny, ale też i szybkość, z jaką leciał, była znacznie mniejsza od skrajnego tempa, które poprzednio próbował narzucać: Laurence musiał go wtedy prosić kilka razy na godzinę, żeby zwolnił do szybkości, którą mógł utrzymać Cezar; teraz nie było to wcale konieczne. Kulingile przywarł do grzbietu Temeraire'a, rozplaszczony i przypięty pasami, a siedzący obok niego, dumnie wyprostowany Demane nie zważał na chłodne, pełne dezaprobaty spojrzenia innych awiatorów. Laurence, chcąc im w ten sposób udzielić nagany, powiedział w pewnej chwili:

- Panie Blincoln, niech pan z łaski swojej przyniesie trochę suszonego mięsa dla młodego.

Kulingile pochłoniął niemal natychmiast wszystko, co mu podsunęto, i westchnął, prosząc o więcej, chociaż byli w powietrzu zaledwie godzinę. Musieli go karmić jeszcze dwa razy podczas lotu, zanim w dole pojawiła się wodna dziura i Téméraire wylądował na odpoczynek - bez długiego namawiania, jak zauważył zaniepokojony Laurence.

Cała okolica była nadal wypalona we wszystkich kierunkach, z wyjątkiem gęstych pasm zielonych krzewów, które w pewnym stopniu posłużyły jako pasy przeciwpożarowe, lub obszarów nagiej ziemi, na których nie rosło nic, co mogło paść ofiarą płomieni. Wodną dziurę, okoloną obu rodzajami tych osłon, przykryła tylko cienka warstwa popiołu, którą łatwo zebrali z powierzchni kubkami i wiadrami; nie była jednak zbyt głęboka i dlatego byli zmuszeni zachować większość zapasu wody, którą zabrali znad strumienia, a tę lepszą i świeżą wykorzystać jedynie do zaspokojenia pragnienia.

Temeraire pił i pił, kiedy ludzie skończyli, aż dziura niemal zmieniła się w wilgotne zagłębienie w ziemi; na szczęście woda zaraz zaczęła się znowu sączyć, kiedy się odsunął, mogli więc liczyć na to, że będzie jej więcej, gdy już przeczekają najgorętszą część dnia.

- Czy możemy sobie pozwolić na tak długą zwłokę? - zapytał smutno Temeraire.

- Musimy oszczędzać twoje siły - odparł Laurence. - Mój drogi, jeszcze nie jesteś sobą; nie próbuj się przymuszać do wysiłku w tym upale, proszę. Mamy tu przynajmniej trochę cienia i myślę, że nie powinniśmy wystawiać Kulingile na słońce, kiedy świeci najostrzej.

Jednak Kulingile w tej chwili zdawał się zupełnie nie dbać

o słońce ani o nic innego z wyjątkiem jedzenia: stał na odsłoniętej przestrzeni na obrzeżu ich prowizorycznego obozowiska

i niemal drżał z niecierpliwości do chwili, gdy Demane, powłóce ze zmęczenia nogami, wrócił ze świeżą dziczyzną, po czym rzucił się na nią bez chwili zwłoki.

Rozprawiał się z tym bardzo szybko i z nadzieją w oczach z[^]. zaczął się rozglądać, szukając jeszcze czegoś, co mógłby zjeść. De mane popatrzył na resztki - zostały tylko strzępy skór czterech małych zwierząt, które przyniósł - po czym wstał mimo gorąca

- Masz jeszcze jedną godzinę - powiedział Laurence, zerkając w górę: słońce minęło najwyższy punkt na niebie i zaczynało się zniżać; miał nadzieję, że już wkrótce będą mogli ruszyć w dalszą drogę.

Demane znalazł pośród popiołów ciała jeszcze dwóch jaszczurek i małego kangura, tylko trochę poszarpane przez ptaki. Zniknęły one we wnętrzościach Kulingile z tą samą szybkością, podczas gdy zdyszany i drżący ze zmęczenia chłopak klęczał przy wodnej dziurze i pił, czerpiąc wodę dłońmi; potem położył się pod jednym z krzaków i natychmiast zasnął. Pochłonawszy wszystko, co było do zjedzenia, Kulingile bardzo starannie oblizał pysk i każdy zakrwawiony pazur, po czym jeszcze raz rozejrzał się dookoła. Następnie dowlóknął się do Demane i zwinąwszy się obok niego w kłębek, zapadł w niespokojny sen.

Sipho patrzył na to wszystko z wyraźną niechęcią. Jako młodszy i łagodniej usposobiony z braci, z dużo mniejszymi oporami dostosował się do gwałtownych zmian, jakie zaszły w ich życiu, a nowa społeczność, w której się znalazł, stała się dla niego domem, podczas gdy Demane, wojownik z natury i doświadczenia, nadal zachowywał dystans. W ostatnim roku Sipho zaczął się trochę dystansować od brata, którego nadopiekuńczość nieco go przytłaczała; ale był daleki od zaaprobowania tego, że nagle przestał być w centrum jego uwagi, i zbyt dumny, by zabiegać o nią jakimiś żadaniami. Zamiast tego schował się głęboko w cieniu ciała Temeraire'a i otworzył swoją książkę, chiński tekst, żeby zademonstrować całkowity brak zainteresowania.

- No i? - zapytał Laurence Dorseta, cichym głosem, kiedy lełczarz podniósł się po przeprowadzeniu badania: raz jeszcze poszedł obejrzeć śpiącego smoka.

, To z pewnością szkoda, z naukowego punktu widzenia - odparł Dorset.

_ Nie ma pan zatem nadziei, że przeżyje - spróbował uściślić Laurence.

_ Wręcz przeciwnie, muszę się teraz tego spodziewać, skoro przeżył tak długo - rzekł Dorset. Kilku leżących w pobliskim cieniu awiatorów uniosło gwałtownie głowy. - A przy obecnym tempie jego wzrostu - mówił dalej lekarz - wkrótce nie będzie żadnych szans na przeprowadzenia dysekcji. Wiele bym się dowiedział, gdybym przeprowadził ją w jego obecnym stanie, ale jeśli pożyje jeszcze miesiąc, ustalenie przyczyn pierwotnej deformacji może być niemożliwe.

Laurence zawahał się i zacisnął usta, a potem powiedział:

- Może, panie Dorset, wzięłby pan pod uwagę uczucia pacjenta, zanim zacznie pan swoje lamente. Czy może pan ustalić, co utrudnia mu latanie?

- Z pewnością pęcherze powietrzne są w jakiś sposób zdeformowane - odparł Dorset. - Myślę, że są zapadnięte i naciskają na płuca. Bardzo prawdopodobne, że ciasnota tego małego jaja także zahamowała jego rozwój. Mam nadzieję, że nie jestem pozbawiony serca - dodał, chociaż nie zabrzmiało to tak, jakby bardzo się tym przejmował - ale bez wspomagającego działania pęcherzy powietrznych i naczyń między nimi jego ciężar zmiażdży pozostałe organy, kiedy urośnie; chyba że pozostanie karłowaty. To, obawiam się, jest mało prawdopodobne. Mogę tylko zgadywać, jaką osiągnie wagę, ale już przybyło mu dziesięć stóp długości.

- Panie Dorset, jak rozumiem, nie ma szans, żeby ten mały smok pożył jeszcze długo i kiedykolwiek wzbił się w powietrze? - wtrącił nagle Rankin, obudziwszy się na wiadomość, że

Kulingile nie zamierza w najbliższym czasie rozstać się z życiem i przestać być - wraz z Demane - problemem.

Dorset wzruszył ramionami.

- Jego naczynia muszą do pewnego stopnia funkcjonować bo inaczej ciężar szkieletu już zmiażdżyłby pozostałe organy To nie jest całkowicie niemożliwe.

Ta opinia wywołał spore poruszenie wśród awiatorów.

- To nie jest niemożliwe - powtórzył z optymizmem i satysfakcją w głosie Temeraire podczas rozmowy z Laurence'em. - Jestem bardzo zadowolony, że Dorset to powiedział: tak będzie

O wiele lepiej. Nie ma powodu, dla którego on nie miałby żyć, chociaż je bardzo dużo; gdyby jeszcze tylko nauczył się latać.

- Mam nadzieję, że nie przywiążesz się za bardzo do myśli, że on na pewno przeżyje - odparł cicho Laurence i spojrzął z troską na Demane, który wciąż spał, obejmując ręką bark małego smoka: determinacja oraz uczucie będą go jeszcze kosztować wiele sił. - Nie możemy na to zbyt liczyć, zwłaszcza że i Dorset nie bardzo się tego spodziewa. Czy zjesz trochę, zanim polecimy?

- Och-odpowiedział Temeraire-nie, chyba nie, ale jeszcze się trochę napiję.

Zaspokoił pragnienie, po czym znowu rozpoczęli męczący proces zwijania obozowiska i załadunku, który przeciągał się w nieskończoność, gdyż skazańcy zjedli dużo solonego mięsa i ociążali od jedzenia oraz z gorąca nie mieli zbyt chęci kontynuować podróży w głąb jałowych pustkowi, bez nadziei powodzenia, a także żadnych wskazówek, oprócz raczej niezrozumiałych wyjaśnień Aborygenów.

- Trzy smoki powinny wystarczyć na jedno miasto - wymamrotał jeden z nich - i nie ma potrzeby starać się o więcej.

Laurence sam nie potrafił wykrzesać z siebie więcej entuzjazmu, zwłaszcza gdy Temeraire był tak wyraźnie niezdrów: miał chrapliwy głos i nie mógł przełknąć nawet małych, podgotowanych w wodzie kawałków mięsa. Ale po wykluciu się Kulingile nie było już ani jednego jaja, którym mógłby się posłużyć jako argument mającym przekonać Temeraire'a do zawrócenia; nie pozostało im teraz nic innego, tylko podążać przed siebie do czasu, aż będą pewni, że z ukradzionego jaja wykluło się młode.

- Mam nadzieję, że się powstrzyma - powiedział Téméraire - i czeka, aż je uratujemy; jestem pewny, że jest bardzo zaniepokojone, i nie winiłbym go oczywiście - dodał ze smutkiem - gdyby nie chciało czekać, aż je znajdziemy. Proszę, Laurence, czy możesz powtórzyć wszystko, co powiedzieli ci myśliwi? Może ja zrozumieć z tego trochę więcej.

- Nie mogę - odparł Laurence - i wątpię, czy O'Dea i Shipley mogliby to także zrobić; i chociaż ogromnie podziwiam twoje talenty w tej dziedzinie, mój drogi, nie wyobrażam sobie, żebyś mógł zrozumieć coś z języka, z którego nie słyszałeś ani sylaby.

- Cóż, słyszałem śpiew - powiedział Temeraire, ale westchnął! i dłużej go nie naciskał.

Wstał z wysiłkiem, kiedy przyszła pora założenia na niego sieci ładunkowej; i wtedy kilku skazańców zaczęło szukać wymówek, żeby do niej nie wchodzić, nagle mieli jakieś osobiste sprawy, które musieli natychmiast załatwić, lub okazywało się, że ich manierki są puste i trzeba je napełnić. Laurence zagonił część z nich do sieci, a potem zszedł do wodnej dziury po resztę maruderów - poruszali się już tylko parami lub większymi grupami - którzy odpowiadali, że zaraz przyjdą, tylko napełnią kolejno swoje manierki: osuszyli je zupełnie, a przecież nie może oczekiwać od nich, że będą siedzieć godzinami w sieci w takim upale, bez choćby kropelki wody.

- Dostyc tego - rzucił z irytacją Laurence - niech pan napełni manierkę z drugiej strony, panie Blackwell; jeśli jutro nie zdoła pan zapewnić sobie zapasu wody podczas trzygodz. przerwy bez opóźniania nas, polecą pan spragniony; a jeśli nie wystarczy, sięgniemy po bat - dodał bardziej zjadliwie miał to w zwyczaju robić; nie mógł się zdobyć na współczucie dla ludzi, przez których Temeraire musiał dłużej znosić niewygo[^]

- Tak jest, sir - odpowiedział Blackwell z ukłonem, a na. stępnie przeszedł na drugą stronę wodnej dziury, i po chwili już go nie było: mignięcie zębów i pazurów, poruszających się z olbrzymią szybkością - i szarpnięty mężczyzna padł na ziemię, po czym znikł w krzakach, które zaszeleściły nad nim raz a potem znieruchomiały.

Laurence osłupiał; Jemson i Carter też osłupiali; to było tak nierzeczywiste, tak nieprawdopodobne...

- Temeraire! - ryknął Laurence, gdy obaj mężczyźni rzucili się do ucieczki, zostawiwszy manierki, które przewróciły się, spryskując ziemię wodą. - Temeraire!

Temeraire skoczył ku niemu przez wydmnę i niemal zwałił jej połowę w dół, do wodnej dziury, a kiedy Laurence wskazał mu krzewy, zaczął je wrywać.

- Co to było? - krzyknął. - Nie rozumiem, skąd to się wzięło?

- Było ukryte pod nimi - odpowiedział Laurence - a przynajmniej tak mi się wydaje; tylko mi mignęło.

Forthing pospiesznie organizował awiatorów; wszyscy mieli już w rękach pistolety i szpady, stali czujnie z tyłu, podczas gdy Temeraire wrywał kolejno krzaki, z których długich, pajęczych korzeni sypała się czerwona ziemia. Kiedy je wszystkie usunął, stwierdzili ze zdumieniem, że niczego tam nie ma: tylko piasek, trawa i kamienie. Laurence byłby przekonany, że oszalał, gdyby nie Jemson oraz Carter, którzy także mogli zaświadczyć, co się stało; tylko że Jemson powiedział:

- Ja tego nie widziałem; tylko że Blackie tam stał, a zaraz potem go nie było.

Carter dodał:

To było wielkie jak dom, tak jest. Zjadło go w całości jed- yrti wielkim chapnięciem, a potem rozpląnęło się w powietrzu.

_ Może tak zrobiło - zasugerował Temeraire, który odpoczywał siedząc; obwąchiwał jeden ze swoich pazurów, lekko obtarty następstwie jego zmagania z twardymi krzewami. - Jak duch? To by tłumaczyło, dlaczego ich do tej pory nie widzieliśmy.

_ Nie - odparł zdecydowanie Laurence - czymkolwiek to było, było całkowicie materialnym stworzeniem, i porwało go: czy mogło skryć się w jakimś podziemnym korytarzu?

Temeraire wbił pazury w ziemię i zaczepił nimi o coś. Szarpnął z całych sił i wyciągnął postrzępioną matę z przykrytych piaskiem gałęzi i trawy, którą odrzucił na bok, odkrywając prowadzącą w głąb ziemi dziurę: wąską, o nierównych krawędziach, wykopaną w piasku.

Po bokach była wzmocniona kamieniami i pokryta także jakąś żółtawo-zieloną masą, w której widać było większe kawałki liści oraz trawy i która także miała nadać jej trwałość, choć okazało się, że niezbyt wielką. Dziura zawałiła się łatwo, gdy Temeraire zaczął ją rozkopywać razem z Cezarem, który teraz także mu pomagał: szybko zagłębili się w ziemi, ale tunel rozpadał się w miarę, jak kopali. Po krótkim czasie dotarli do czegoś na kształt skrzyżowania: Laurence, który przykucnął z boku, dojrzał wiele rozgałęziających się przejść; a potem ściany zapadły się do środka i całość się zawałiła. Mało brakowało, a Cezar ześliznąłby się w powstałe zagłębienie.

- Jest niemal pewne, że to właśnie tu został dowleczony, ale jeśli bunyip się wycofał, to może znajdziemy jakieś inne wejście do jego legowiska - powiedział Laurence, wydobywając się z sypkiego piasku, w którym ugrzązł prawie do kolan.

Zgodzili się z nim i łopatami oraz pazurami zaczęli przeory- wać grunt wokół wodnej dziury.

- Wydaje mi się, że znalazłam jedno - powiedziała Emily wpychając trzonek łopaty w ziemię niedaleko od wodnej dziury, pod jeszcze jednym skupiskiem krzaków. Tych nie trzeba było wrywać, jak się przekonali: kiedy Temeraire wbił pazury w matę, uniósł ją bez trudu, razem z krzewami: najwyraźniej ich korzenie, rosnące, opłotły gałęzie i pęki trawy, z której została wykonana, co było bardzo sprytnym sposobem zamaskowania ukrytej pułapki.

Ale kiedy zaczęli kopać, to przejście także się zapadło. Najwyraźniej przeznaczone było tylko dla swojego budowniczego, a nie ciężkich smoków lub ludzi z łopatami, może nawet od początku miało być tylko tymczasowe. Jeśli gdzieś tam, dużo głębiej, były jakieś bardziej solidne komory, nie można było do nich szybko dotrzeć, kopiąc tak na chybił trafił: bunyip bez wątpienia uciekł tak głęboko, jak mógł, wystraszony tą całą wrzawą i rozgardiaszem, jakie zapanowały na powierzchni.

- No i jak, czy będziemy tak kopać w nieskończoność - zapytał Cezar, strąsając nieco nazbyt starannie piasek z pazurów- czy też polecimy dalej? Żal mi tego człowieka, ale nie sądzę, żebyśmy w tym tempie cokolwiek osiągnęli: to stworzenie też potrafi kopać i podczas gdy my tutaj tracimy czas, ono prawdopodobnie zdążyło wydrążyć korytarz prowadzący gdzieś na środek pustyni i jest już daleko stąd.

Chociaż zabrzmiało to obcesowo, nie sposób było odmówić młodemu smokowi racji; a i Laurence był w głębi ducha przekonany, że Blackwell nie miał najmniejszej szansy przeżycia: nie wydał żadnego głosu, a przecież każdy człowiek wleczoney gdzieś przez takie stworzenie krzyczałby, gdyby jeszcze żył- Sama szybkość ataku i cisza, w jakiej został przeprowadzony, sprawiały, że zdawał się jakby z innego świata. To, że można go było nie zauważyć, nawet gdy stało się obok, przemawiało za tym, iż stworzenie zabijało ofiarę w jednej chwili, nawet jeśli potem odciągało zdobycz w jakieś bezpieczne miejsce, by ją pożreć w spokoju.

Jeszcze przez jakiś czas zastanawiali się, co robić, opóźniając podjęcie decyzji, podczas gdy Temeraire rozkopywał bez większego entuzjazmu odkryte dziury, licząc na to, że jakimś szczęśliwym trafem znajdzie głębiej położoną komorę, ale wszystkie korytarze zapadały się, zanim się do nich dobrał, i jedynym rezultatem jego wysiłków było to, iż cały teren wyglądał jak poryte pociskami pobojuwisko. Wszędzie widać było kopce piasku, powyrywane krzaki i trawy, a i same wydmy przybrały nowe kształty, wznosząc się wokół głębokiej doliny, w której trudził się smok.

- No dobrze - powiedział w końcu Laurence, ocierając rękawem twarz. - Nic więcej nie możemy zrobić.

Sieć ładunkowa Temeraire'a cała się zapiaszczyła podczas tych pierwszych chwil, kiedy rzucił się rozpaczliwie do przodu, próbując uratować porwanego człowieka. Nie czekali, żeby ją oczyścić, ale tylko otrząsnęli z największych grudek. Ludzie wgramolili się do niej szybko i w milczeniu; wszyscy cieszyli się w duchu, że opuszczają to miejsce.

Rozdział 11

S

tracili dużo czasu i dzień szybko chylił się ku końcowi.

- Jeśli mamy znaleźć jakieś ślady, to tylko w pobliżu wody - powiedział Tharkay cicho do Laurence'a, gdy Temeraire leciał w kierunku punktu leżącego mniej więcej pośrodku między purpurowo-złotym przepychem rozpoczynającego się zachodu słońca a chmurami pożaru wciąż wiszącymi nad północnym horyzontem. Już niemal wydostali się znad strawionej przez ogień krainy: wprawdzie wciąż jeszcze natykali się na czarne pasy spalonej ziemi, ale niknęły one w niskich krzewach niczym zbyt długie pociągnięcia pędzla.

- I oczywiście też te bunypy - odparł ponuro Laurence.

Tharkay skinął głową.

- Wszystkie obozowiska krajowców, które widzieliśmy, znajdowały się w pewnej odległości od wody lub na skalach; szkoda, że nie mieliśmy tyle zdrowego rozsądku, żeby iść za ich przykładem - powiedział sucho.

- Teraz, gdy już o nich wiemy, przegonię te bunypy po wylądowaniu - rzucił Temeraire przez bark. - Nie widzę powodu, żeby nadal podkradały się do nas, chowając się pod krzakami, i nie pozwolę im porwać żadnego członka mojej załogi lub kogokolwiek innego. Myślę, że one wszystkie muszą być wielkimi tchórzami.

Kiedy w końcu znaleźli kolejną wodną dziurę, niebo za nimi było już granatowe. W pierwszej kolejności pragnienie zaspokoił Temeraire i Cezar, podczas gdy wszyscy ludzie pozostali na swoich miejscach. Wszyscy oprócz Demane, który odpiął karabińczyki, zsunął się na dół i od razu ruszył na polowanie, tak szybkim krokiem, że zanim Laurence to zauważył i mógł go zganić, był już daleko poza zasięgiem głosu.

— Dobrze - odezwał się Temeraire, unosząc ociekający wodą pysk i potrząsając głową, żeby zrzucić trochę piasku, który zebrał mu się na krecie i czole podczas lotu - to było bardzo odświeżające; a teraz zajmijmy się tymi bunyipami, jeśli tu jakieś są.

Podszedł do krzaków, zaczął je szarpać i niemal natychmiast odkrył następną pułapkę; Cezar też znalazł jedną i zerwał z niej matę.

- Niczego tu nie widzę - powiedział, wsadziwszy głowę do środka, a potem, wyciągnawszy ją, dodał: - więc pewnie już uciekły.

Temeraire odrzucił na bok przykrycie i rzekł:

- Lepiej upewnijmy się jednak, że już ich nie ma, zanim któryś z was zejdzie na ziemię - po czym przeorał pazurami kępy trawy, trafił na kolejną pułapkę.

Ledwie kilka kroków dalej oba smoki znalazły jeszcze jedno ziemne wejście i wtedy, zrzucając roślinność na wielkie sterty, przystąpiły do rozkopywania całego terenu na granicy wodnej dziury: w miarę jak posuwały się naprzód, wszędzie ukazywały się dziury zięjące w ziemi, a kiedy usunęły jej wierzchnią warstwę, odkrywając skomplikowaną sieć tuneli, cała oaza zaczęła przypominać dziwne mrowisko rodem z koszmaru. Bunipy nie Pokazały się, ale ich obecność wyczuwało się wszędzie: jakby wodna dziura była lśniąca przynętą w środku ogromnej, złowrogiej pułapki, której prawdziwą naturę skrywała ziemia i w której spokojnie czekały na nieszczęsne ofiary.

Niektóre z bardziej odległych od wody tuneli były w gorszym stanie, wyraźnie nieużywane i częściowo zawałone; w innych miejscach maskujące maty powysychały i były tak kruche i zrywane przez Temeraire'a lub Cezara od razu pękały. Inne wszelako były świeże i silne, i czasem smoki musiały naprawdę się wysilić, żeby je unieść: to nie był opuszczony kompleks.

- Ile ich tu musiało być, żeby mogły zbudować coś takiego? - zapytał Laurence, zdjęty lekką grozą na myśl o armiach stworzeń podobnych do tego, które widział tak przelotnie; i jeśli mogły przetrwać tutaj, na pustyni, zastanawiał się, to czy można wykluczyć, że żyją też na terenach leżących w pobliżu kolonii...?

Temeraire zatrzymał się i odwróciwszy głowę, ciężko zakaszłał; niszcząc maty, których uparcie trzymały się korzenie krzaków, wzniesli tumany kurzu i piasku.

- Myślę, że możemy już przestać - odezwał się Cezar, który także zrobił sobie przerwę, żeby się trochę napić. - Możemy zasypać to wszystko, co do tej pory odkryliśmy, a potem zrobić sobie odpoczynek. Jeśli tylko będziemy trzymać się blisko wody, nic nam się nie stanie. Robi się ciemno i wkrótce trudno je będzie zauważyć.

Ludzie zeszli ostrożnie na ziemię i zdjęli ze smoków wszystkie ładunki. Następnie Temeraire stanął na tylnych łapach, wbił pazury w zbocze wysokiej wydmy i pociągnął, zasypując kaskadami piasku ciemne, zięjące w ziemi wejścia; tunele znikły pod zwałami ciemnoczerwonej ziemi, którą ludzie ubili jeszcze łopatami oraz nogami, a potem, bez rozkazu, zarzucili jeszcze odłamkami skał wszelkich rozmiarów oraz pniakami cienkich drzew powyrywanych poprzednio przez smoki, tworząc umocnioną granicę wokół wodnej dziury.

Wystawili wartę składającą się z czterech ludzi z pistoletami, niezbyt przydatnymi, zdaniem Laurence'a, przeciwko takiemu stworzeniu, które widział, chyba że oddałoby się niezwykle zczęśliwy strzał; niemniej jednak podnoszącymi na duchu. Sam też wyciągnął swoje, stojąc tuż przy wodzie, kiedy napełniali pojemniki, dwójkami i trójkami, a gdy wrócił Demane, powiedział do niego ostrym tonem:

- Nigdy więcej nie odejdziesz bez pozwolenia, zwłaszcza sam; nie wiemy, jak daleko od wodnej dziury te stworzenia mogą się przemieszczać.

_ Ale ja muszę polować - zaprotestował Demane - bo inaczej on zje wszystko, co mamy: już zjadł połowę solonego mięsa, które znalazłem wczoraj.

Laurence nie zdawał sobie do tej pory sprawy z tego, że Demane dał Kulingile więcej jedzenia podczas lotu, ale szybko ustalił, że tak rzeczywiście było.

- Uważam, że to zwykle łakomstwo - powiedział z dezaprobatą Cezar - i także marnotrawstwo. Co my teraz będziemy jeść i to po tym, jak wykonaliśmy całą robotę?

- To ja znalazłem i zniosłem mięso - odparował Demane - mogę więc je dać, komu zechcę.

- Dostyc tego, Demane - powiedział Laurence. - Nasze zapasy są do wspólnego użytku i musimy lepiej racjonować jedzenie; jeśli pozwolisz mi się dziś nadmiernie obezreć, możliwe, że jutro będzie głodować, kiedy znajdziemy się na nieznanym terytorium z tak uszczuplonymi rezerwami.

Demane ustąpił i jego ostatnie zdobycze zostały rozdzielone między wszystkich. Temeraire choć raz nie narzekał na wielkość swojej porcji, ale ta jego powściągliwość wynikała z braku apetytu, więc Laurence wcale nie był szczęśliwy. Gong Su wykopał w ziemi dół do gotowania, wyłożony ceratą, i zaparzył w nim całą kadź herbaty, którą Temeraire łąpczywie wypił; ale kosztowało ich to niemal połowę zapasu herbaty i nie zastąpiło Prawdziwego pożywienia.

- Nie martw się, proszę - powiedział Temeraire - jestem pewny, że wkrótce poczuję się lepiej, tylko przez cały dzień był tak sucho - dokończył i znowu zakaszłał.

- Przyrządzę zupę - obiecał Gong Su - i będę ją gotować przez całą noc, tak żeby do wody przeszło więcej tego, co najlepsze - i rzeczywiście Laurence'a trzy razy obudził w nocy syk rozgrzanych w ogniu kamieni, które kucharz wrzucał do dołu do gotowania. Spod ceraty wydobywały się kłęby pary, a Kulingile, który także się budził, unosił swoją małą głowę spod ramienia Demane, który obejmował go opiekuńczo, i obserwując to z uwagą, wdychał głęboko zapachy.

Rano, kiedy Gong Su odsłonił dół, mięso było tak rozgotowane, że przybrało niemal szary kolor, wybielałe i popękane kości były zupełnie bez szpiku, a na powierzchni zupy pływała warstwa tłuszczu, który połyskiwał bielą w ukośnych promieniach wstającego słońca. Temeraire zjadł go, a potem wypił zupę niemal do dna i oświadczył, że zaspokoił głód. Mięso zostawił wraz z kilkoma ostatnimi stopami zupy, do której trudno mu było sięgnąć; Kulingile odczekał do chwili, gdy Temeraire odwrócił głowę, po czym natychmiast wskoczył do środka, kryjąc się niemal cały w dole, i w krótkim czasie pożarł wszystko, co zostało.

Z pewnością chcieliby dostać więcej na śniadanie, ale nie było już nic, a Laurence pokręcił odmownie głową, kiedy Demane chciał iść na polowanie.

- Kiedy zatrzymamy się w południe na odpoczynek, będziesz mógł pójść - powiedział. - Musimy wykorzystać te wczesne godziny na podróż - i jak miał nadzieję, ułatwić tym samym zadanie Temeraire'owi.

Dorset przekonał Temeraire'a, żeby odchylił głowę do tyłu i w stronę słońca, po czym niemal wczołgał mu się do gardła i przeprowadził badanie, wspomagając się na koniec światłem świecy-

- Widzę tu ogólne pogorszenie stanu tkanek - doniósł ze środka głosem pobrzmiwającym dziwnym echem. - Hmm.

To mruknięcie przeciągnęło się dość długo, przybierając juchy ton, ' zaniepokojony Temeraire wymamrotał pytająco:

_ Ammnh?

_ Wygląda na to, że cząsteczki popiołu dostały się do gardła; ciało jest upstrzone śladami oparzeń - odparł Dorset, a potem coś zrobił.

- Auu! - zaprotestował Temeraire, a kiedy Dorset wyłonił się z jego gardła, dodał z wyrzutem:
- To nie było wcale przyjemne; nie rozumiem, dlaczego miałbym ci pozwalać sobie oglądać, jeśli tylko sprawiasz mi ból.

- Tak, tak - odparł bezdusznie Dorset, po czym poinformował Laurence'a: - Widziałem też trochę pęcherzy; odradzam ryczenie, i od tej pory tylko zimne pożywienie. Szkoda, że nie mamy lodu. - Słońce wznosiło się coraz wyżej; już wkrótce będzie blisko sto stopni*.

Rzeczywiście szkoda.

Zamocowali płócienne zadaszania na jego grzbiecie z myślą

o ochronie, jaką mogą dać zarówno smokowi, jak i im samym,

1 kiedy Temeraire wzbił się w powietrze, zajęli miejsca w ich sztucznym cieniu, poruszając się tylko wtedy, gdy chcieli spojrzeć w dół w poszukiwaniu jakichś tropów lub napić się wody z manierki. Wokół wodnej dziury i w jej okolicy nie znaleźli nawet śladu Aborygenów, chociaż sprawdzili też pobliskie skały, które powinny dać im schronienie przed bunyipami.

- Jestem nadal głodny - odezwał się z tyłu piskliwym głosem Kulingile.

- Demane, on musi być cierpliwy - powiedział z westchnieniem Laurence.

- Tak jest - odparł Demane, ale kiedy dzwon wybił połowę godziny, Kulingile zapytał niecierpliwie: - Czy teraz mogę

* W skali Fahrenheita - około trzydziestu ośmiu w skali Celsjusza (przyp. tłum.).

coś dostać? - i powtórzył to, kiedy dzwon znowu się odezwał) W końcu Laurence pozwolił Demane zejść na dół i przynieść mu trochę solonego mięsa, ale to nie uciszyło próśb małego smoka na zbyt długo, a najgorsze, że pojawił się w nich ton prawdziwego cierpienia, przez co tym trudniej było je znosić. Kulingile nie jęczał, ale był coraz bardziej zdesperowany, a kiedy w pewnej chwili umilkł, Demane powiedział nagle: - Nie! Tego nie wolno ci żuć... - i Laurence, odwróciwszy się, zobaczył, że mały smok zaczął gryźć uprząż.

- Nie miałem zamiaru, tylko że trudno siedzieć spokojnie, kiedy wszystko mnie tak boli - odparł Kulingile cicho i z rozpaczą w głosie, po czym spróbował zwinąć się w jeszcze ciaśniejszy kłębek.

- Temeraire - rzucił Laurence, równie zdjęty litością, co zirytowany - gdybyś dostrzegł jakąś zwierzynę, to musimy się zatrzymać, jak sądzę.

Na szczęście we względnie chłodzie poranka kangury były jeszcze aktywne, ale Temeraire'owi nie udawało się ich chwycić tak łatwo jak poprzednio: przeprowadził kilka nieudanych prób, a tymczasem Cezar złapał dwa, jeden po drugim, i najwyraźniej nie miał zamiaru podzielić się swoim łupem.

W prowizorycznym obozowisku zapanowało powszechne oburzenie, kiedy Rankin nie rozkazał mu tego zrobić; Cezar nie omieszkał dodać:

- Chętnie podzieliłbym się z każdym, kto potrafi sam złapać zwierzynę, jeśli tylko zechce się postarać; ale jeśli mam wyrzucac dobre jedzenie i nic z tego nie mieć, to nie, bardzo dziękuję-

- Och! - rzucił Temeraire, kaszląc - chciałbym w takim razie wiedzieć, czym on sobie zasłużył na to, że jego samego też kiedyś karmiono; i z pewnością nie chciałbym żadnej z jego zdobyczy- wyglądają mi na bardzo chude i na pewno są niesmaczne. Gdybym miał ochotę na takie kangury, sam bym sobie ze dwa złapał2'-

_ A ja nie miałbym nic przeciwko jednemu z nich - wtrącił nieWyraźnie Kulingile, przełykając coś.

_ Co mu dałeś do jedzenia? - zapytał Laurence, przyglądając się małemu smokowi.

_ Węza - odparł wyraźnie zdesperowany Demane - i dwa szczury, ale niczego więcej nie mogłem znaleźć.

Temeraire zebrał się w sobie i znowu wzbił się w powietrze, ruszając w pościg za małym stadem kangurów, które jeszcze uciekało, i tym razem nie próbował chwycić jednego lub drugiego, ale rzucił się między nie i wrócił z ośmioma. Było to więcej, niż potrzebowali do zaspokojenia głodu, a samo stado zostało nieodwracalnie zniszczone przez tak brutalną masakrę; Temeraire po powrocie był wyraźnie zakłopotany niezdarnością swojego manewru i odwracał głowę, kiedy Cezar prychał z dezaprobatą.

- Proszę, zjedz teraz, ile tylko zdołasz - powiedział Laurence - a kiedy znajdziemy wodę, Gong Su ugotuje resztę na zapas; oszczędzi nam to podobnych kłopotów, jeśli będziemy musieli karmić go w locie także jutro.

Kulingile sam spałaszował całego kangura, i to wcale nie najmniejszego; Temeraire ledwie zdołał wcisnąć w siebie tyle samo, zanim ból gardła jeszcze raz odebrał mu apetyt. Resztę zdobył, trochę ją najpierw oczyściwszy, załadowali do wora, który miał zawisnąć pod siecią transportową.

- Tylko - powiedział Temeraire, dość cichym głosem - nie sposób wytłumaczyć, dlaczego jestem taki zmęczony, kiedy wcale długo nie lecieliśmy; czuję się tak, jakbym nie mógł dobrze oddychać, a kiedy biorę głęboki wdech, boli mnie w piersiach. - Rozłożył szeroko skrzydła i pomachał nimi kilka razy, a potem odrzucił propozycję Laurence'a, żeby jeszcze trochę przedłużyli odpoczynek. - Nie, straciliśmy już wystarczająco dużo czasu - odparł - proszę, niech wszyscy wracają na swoje miejsca.

Temeraire zmierzał teraz w takim kierunku, że słońce wznosiło się nad jego barkiem i karkiem, przez co był nieprzyjemni, rozgrzany z jednej strony, a sam lot, jakoś więcej niż zwykle męczący, coraz bardziej mu się dłużył.

- Pewnie nie ma jeszcze południa? - odezwał się w końcu Wcale nie zadał tego pytania z myślą o sobie, naprawdę; tylko że Laurence nalegał na to, by robili przerwy w czasie największego upału, dla dobra ich wszystkich. Ale była dopiero jedenasta

Spuścił niżej głowę i leciał wytrwale naprzód, nie myśląc o niczym oprócz następnego uderzenia skrzydłami, aż Laurence powiedział:

- Myślę, że zatrzymamy się tutaj na krótko, mój drogi, jeśli się zgodzisz - i Temeraire, uniósłszy głowę, zobaczył lśniący w słońcu, niebiesko-biały przestwór wody, ciągnący się na północ aż po horyzont.

Brzeg jeziora widziany z góry był dziwnie zaskorupiały: błękitna, płytka woda i bardzo biały piasek, który okazał się solą: jej cienka warstwa pokrywała ziemię i jezioro pełne ryb; zbyt małych, żeby opłacało się je łowić smokom, jak z żalem zauważył Temeraire, ale zupełnie dobrych dla ludzi, którzy przyrządzili sobie z nich solidny posiłek, no i przyjemnie było zanurzyć się w wodzie daleko od brzegu, gdzie było głębiej, a potem suszyć się na słońcu.

W okolicy nie było zbyt wiele drzew ani krzewów, nie brakowało za to świeżej trawy. Pomimo braku cienia Temeraire stwierdził, że dobrze mu się odpoczywa, kiedy może siedzieć na tym na wpół zielonym brzegu, nie widząc wszędzie czerwonego piasku

i skał; a poza tym nie było tam zarośli, które mogłyby ukrywać czające się pod ziemią bunyipy. Tym, co dopełniło miary zadowolenia smoka i czyniło tę chwilę wytchnienia niemal doskonałą, był widok kawałka niebieskiego jedwabiu, który Tharkay znalazł w piasku blisko jednej ze skał, dość daleko od brzegu.

Leżał tam już od pewnego czasu - powiedział Tharkay, rozkładając postrzępiony pas materiału, żeby go im pokazać: jeden róg wystawiony na słońce zupełnie zbielał, a ta część, która była zakryta przez piasek, pozostała ciemnoniebieska. - Nie ma powodu, by sądzić, że od ich ostatniej wizyty tutaj minęło niewiele czasu, ale jesteśmy na tym samym szlaku, którym oni wędrowali.

- 1 który powinien doprowadzić nas do ich domu - dorzucił rozradowany Temeraire - gdzie możemy czekać, aż wyjdą z pustyni z jajem. Albo jeśli zastaniemy tam jakichś ludzi, to może powiedzą nam, w którą stronę się udać, żeby ich znaleźć.

Mógł więc odpoczywać z czystym sumieniem. Poleciał jeszcze raz popływać w jeziorze i napić się do syta chłodnej wody, która bardzo przyjemnie spływała w głąb jego gardła; wcale mu nie przeszkadzało, że miała lekko słony smak.

Przykro mu było opuszczać to miejsce; jezioro zdawało się prawdziwą oazą, pierwszą, na jaką się natknęli po tak długim czasie. Kiedy zbudowali kopiec z kamieni, jako drogowskaz dla Iskierki, i Laurence ukrył w nim list dla Granby'ego, Temeraire popatrzył na lśniący przestwór wody z cichym westchnieniem.

Jednak Cezar mruknął pod nosem: - Moglibyśmy tu zostać jeszcze przez jakiś czas - więc Temeraire mógł okazać szlachetne oburzenie, mówiąc stanowczo: - Nie, jajo ciągle jest gdzieś przed nami i musimy lecieć dalej - po czym jednym skokiem wzbił się w powietrze nad srebrzystą wodą.

Po tym odpoczynku lecieli szybciej i Temeraire pomyślał, że jego oddech nie jest aż tak żenująco głośny jak przedtem; a już na pewno oddychanie przychodziło mu łatwiej i jeśli nawet trochę pokasływał, nie było to już tak nieprzyjemne, stwierdził w duchu, starając się jednak nie popadać w nadmierny entuzjazm.

Tharkay odradził im przelot nad jeziorem. Zamiast tego okrążyli je wzdłuż brzegu, postrzępionego i nierównego, z długimi i szerokimi na mile ostrogami łądu wbijającymi się w nie głęboko, na których robili krótkie postoje, żeby uspać jeszcze kilka kopców. Przez wiele godzin lotu nie dostrzegli ani śladu przemytników, ale przynajmniej było tam dużo zwierzyny i Te- meraire złapał dwa kangury, z powietrza, i ku swej satysfakcji, bardzo zręcznie.

Wylądowali na nocleg przy jeszcze jednej kępie drzew oraz krzewów rosnących w pewnej odległości od jeziora i dookoła dziury, w której znaleźli słodką wodę, mimo że sam teren wciąż był jasny od soli. Temeraire złożył na ziemi upolowane przez siebie kangury, żeby zostały właściwie oczyszczone: Gong Su planował zasolić dużo mięsa na zapas, by nie zabrakło im go później, gdy znowu znajdą się nad pustynią. Ludzie zaczęli grabić sól pod jego kierownictwem, a tymczasem Temeraire zabrał się energicznie za roślinność, zamierzając zniszczyć kryjówki bunyipów.

Miał dodatkowy powód do satysfakcji ze swojej pracy, ponieważ wrywając drzewa i krzewy, płoszył także wiele małych gryzoni oraz ptaków, a siedzący obok Kulingile chwycił je, gdy próbowały uciec.

- Widzisz - powiedział do Cezara, bardzo zadowolony - on potrafi polować, nawet jeśli nie może latać, nie ma więc powodu, żebyś ciągle z niego szydził.

- Dla mnie to żadne polowanie - odparował Cezar, wrywając rosnący obok niego krzew - kiedy my naganiamy mu zwierzęta, a on tylko siedzi tam i je chwytą. Równie dobrze mógłbyś nazwać polowaniem picie wody z dziury, która jest tuż przed tobą.

Temeraire prychnął lekceważąco; woda nie próbuje uciekać, a więc to wcale nie jest to samo.

- Może jeszcze raz spróbowałbyś polecieć - zwrócił się do Kulingile, usypując kolejną stertę krzaków.

Mały smok potrząsnął skrzydłami, wziął głęboki wdech i stanął na tylnych łapach; pomachał trochę skrzydłami, jego boki zatrzęsły się jak galareta, po czym opadł na cztery łapy, lekko zdyszany, i powiedział:

_ Może jutro mi się uda.

Temeraire westchnął.

Demane był także wyraźnie zadowolony z tego, że stanęli już na postój. W południe poszedł na polowanie, żeby wykorzystać obfitość zwierzyny nad jeziorem, i po powrocie, gdy wypakowali wszystkie bagaże w pobliżu gwarantujących bezpieczeństwo skał, padł niemal

zupełnie wyczerpany, w ich cieniu. Temeraire pomyślał, że powinien porozmawiać o tym na osobności z Kulingile: nie opiekował się zbyt dobrze Demane, a przecież można być głodnym, a mimo to myśleć o takich sprawach.

Kiedy Temeraire i Cezar oczyścili teren z krzaków, raz jeszcze zasypali wszystkie przekłete tunele, które odsłonili. Było ich bardzo dużo i Temeraire nie rozumiał, do czego były potrzebne. Jeśli bunyipy poruszały się tak szybko, jak mówił Laurence, to nie musiały się przecież kryć pod ziemią i rzucać zniechcąca na jakąś niczego niepodjęwającą ofiarę tylko po to, by zdobyć coś do jedzenia; mogły polować godnie. Czuł, że jest w tym coś nienaturalnego, nieprzyjemnego, i nie był w tym odosobniony. Kiedy już oczyścili i zabezpieczyli obóz, wszyscy ludzie skupili się przy nim; wszyscy z wyjątkiem Demane, który spał tam, gdzie się położył.

- Jeśli nie chce niczego do jedzenia, może sobie tam zostać - powiedział Siphon, dosyć chłodno. - Jestem zdziwiony, że nie poszedł znowu na polowanie. Czy Kulingile nie będzie głodny?

- Źle to wymawiasz - odrzekł Temeraire. - Powinno być Kulingile, i dobrze o tym wiesz, więc nie masz wymówki.

- Nie rozumiem, dlaczego miałyby to być dla kogoś ważne - odpowiedział Siphon, po czym spuścił wzrok z wyrazem uporu na twarzy i zaczął czytać książkę.

Ale Emily wstała, kiedy już się napiła i trochę odpoczęła, i poszła ze swoją manierką do Demane. Usiadł z trudem i łysząc się bezwładnie nad swoimi skrzyżowanymi nogami, pij i pił, jakby nie chciał przestać, po czym pochylony ze zmęczenia powlókł się za nią do obozu, gdzie natychmiast znowu zasnął najdalej jak tylko mógł od małego ogniska, które awiatorzy rozpalili, żeby poprawić sobie samopoczucie i móc coś ugotować. Kulingile podczołgał się do niego i zaczął niespokojnie trącać nosem jego ramię, aż w końcu Demane wyciągnął na oślep rękę i poklepał go; po czym znowu zasnął.

Kulingile westchnął uspokojony, a potem spojrział na Temeraire'a i zapytał tym swoim cienkim głosem:

- Czy mogę zjeść drugiego kangura?

- Po tych wszystkich szurach, które pożałujesz, mogłoby się wydawać, że masz dosyć - rzucił Cezar, ale ponieważ sam zjadł wcześniej dwa kangury, nie dzieląc się z nikim ani kęsem, Temeraire był na niego poważnie rozzłoszczony, i sprawiło mu teraz przyjemność, że mógł powiedzieć szczególnie uprzejmym tonem: - Ależ oczywiście, że możesz; nie pochwalam skąpstwa - i Kulingile rzucił się na posiłek z taką wdzięcznością, że Temeraire poczuł przyływ wielkopańskiego zadowolenia.

- Jeśli on zamierza zadusić się własnym ciężarem - odezwał się Cezar - to nie wydaje mi się, żeby pomoc w szybszym osiągnięciu tego celu można było nazwać przyjacielską - ale zdaniem Temeraire'a była to tylko zwykła złośliwość, chociaż Kulingile rzeczywiście jadł zbyt szybko i zbyt łąpczywie, przerywał i ciężko dyszał, nie mogąc złapać tchu, po czym znowu zaczynał; a kiedy skończył i zapadł w głęboki sen obok Demane, jego oddech brzmiał gorzej niż przedtem.

- Kolejne dziesięć stóp - zauważył Dorset, odsuwając się od Kulingile i zwijając pokrytą węzłami miarkę. - Tempo wzrostu jest wyjątkowe. Będę musiał napisać o tym notkę do czasopisma dla hodowców i może do Towarzystwa Królewskiego.

- Ale kiedy on będzie w stanie latać? - zapytał Temeraire, a Dorset nie miał na to zadowalającej odpowiedzi.

Był to jednak tylko mały i przelotny cień na jego ogólnie dobrym samopoczuciu. Gardło już go tak mocno nie bolało, a Gong Su przyrządzał kolejną zupę, którą Temeraire spodziewał się zjeść rano z dużą przyjemnością - doprawioną tym razem małymi, żółtymi owocami z jednego z wyrwanych przez niego krzewów. Tharkayowi wydawało się, że widział zrywających je Aborygenów, a kiedy je posmakowali na próbę, nie wywołały żadnych złych

skutków; były lekko słodkie, a ich silny zapach przypominał trochę pomidory, chociaż wyglądały bardziej jak rodzyunki.

- Czy spróbujesz coś zjeść, zanim pójdziesz spać? - zapytał Laurence. - Możemy pociąć kangura na małe kawałki, jeśli ułatwi ci to polykanie. Nie wyzdrowiejesz szybko, jeśli będziesz się tak bardzo wysilał i tak mało jadł.

- Myślę, że mogę spróbować - odparł Temeraire, usposobiony bardzo optymistycznie. I rzeczywiście zdołał zjeść jednego kangura, ale bez kości, które w całości trafiły do zupy, żeby się nie zmarnowały, a kiedy skończył i ułożył się na piasku, nie odczuwał już tak boleśnie skurczy głodowych, które dokuczały mu od pewnego czasu.

Dla ukoronowania wieczoru Laurence trochę mu poczytał. Kiedy ich zainteresowanie dobrze już znanym materiałem zmalało, odłożył książkę, a Temeraire zapytał:

- Wiesz, Laurence, rozmyślałem o dolinie. Może w drodze powrotnej moglibyśmy zabrać ze sobą trochę tych czerwonych kamieni z pustyni i użyć ich do budowy pawilonu. Czy nie utworzyłyby interesującego wzoru razem z żółtymi, które są tam na miejscu?

- Nie należy się spierać o upodobania - odparł Laurence, Patrząc na czerwoną ziemię - chociaż przeniesienie takiej liczby kamieni będzie wymagało ciężkiej pracy. Ale będziemy mieli dużo czasu, jak sądzę.

Milczał przez chwilę. Zapadła już noc, pogodna i przyjemnie chłodna po upalnym dniu. Skąpiana w świetle księżyca pustynia ciągnęła się w nieskończoność, poznaczona cieniami kęp trawy i cienkich, skarłowaciałych drzew oraz wydm, które wznosiły się i opadały, niknąc w dali. Temeraire pomyślał, że Laurence być może już zasnął, ale właśnie wtedy usłyszał jego cichy głos:

- Dopóki nie dotarliśmy tak daleko w głąb tego kraju, nie zdawałem sobie sprawy z jego ogromu oraz obcości.

- Laurence - zaryzykował Temeraire, wstrzymując oddech w oczekiwaniu na odpowiedź - czy bardzo ci smutno, że nie wracasz do Anglii?

- Muszę się niepokoić o mój kraj - odparł Laurence - i o naszych przyjaciół, którzy tam zostali. To bardzo ciężkie, wiedzieć, że grozi im niebezpieczeństwo, że gdzie indziej bylibyśmy bardziej przydatni, i nie móc udzielić im pomocy. Jeśli jednak chodzi o sprawy osobiste, to zostawiłem tam bardzo mało, mój drogi. Już dawno temu przywykłem do podtrzymywania przyjaźni za pomocą korespondencji. Gdy jest się marynarzem, to jedyny sposób.

Umilkł na chwilę, a potem dodał cicho:

- To ty musisz się czuć bardziej skępowany ode mnie z tego powodu, że tu zostajemy. Nie zapomniałem o propozycji Thar- kaya, tylko że... - przerwał.

- Cóż, muszę przyznać, że korsarstwo wydaje mi się czymś wspaniałym - odparł Temeraire, nie mogąc ukryć lekkiego żalu - ale widzę, że tobie się to niezbyt podoba, i wcale bym nie chciał robić tego, co nie przynosi ci całkowitego zadowolenia. Pomyślałem sobie tylko, że być może zatęsknisz w końcu za wojną.

- Za wojną? Nie - odpowiedział Laurence. - Za tym, żeby być przydatnym, tak, ale o tym nie ma sensu myśleć. Bardzo mi przykro, mój drogi, ale nie mam już nadziei na ulaskawienie.

- Ale ja jestem pewny, że wcale nie musimy być nieprzydatni tutaj - rzekł stanowczo Temeraire. - W końcu znaleźliśmy naszą dolinę.

- To byłoby rzeczywiście ciekawe - przyznał Laurence - choć raz coś zbudować, zamiast ciągle burzyć. Tak.

Temeraire mógł więc położyć głowę z uczuciem pewnej ulgi i oddać się przed snem przyjemnemu zajęciu, czyli obmyśleniu planów pawilonu o stosownej świetności, budowli w złocisto- czerwone, malowane kamieniami wzory, która miała być dla Laurence'a pocieszeniem w jego wszystkich smutkach.

Obudził się stopniowo, bardzo odprężony i mile ochłodzony. Przeszkadzał mu tylko lekki posmak piasku w kąci szczęki. Uniósł głowę, żeby go wypłuć, i wystraszył się: stracił równowagę, a jego tylne łapy uciekały pod nim, nie znajdując podparcia, jakby był na pokładzie statku, który właśnie niespodziewanie wpadł w dolinę między wielkimi falami.

- Co się stało z ziemią? - zapytał i spróbował wstać, ale okazało się, że nie może; jego łapy nie natrąfiały na nic twardego, na czym mogłyby się oprzeć, a na dodatek strasznie trudno mu się nimi ruszało. - Laurence? - odezwał się.

Księżyc już zaszedł, ale słońce jeszcze nie wstało, i nie widział niemal niczego oprócz słabej poświaty przygasającego ogniska, dalej w obozie, i skalnego wypiętrzenia w pewnej odległości od nich.

- Tak, mój drogi? - odpowiedział sennie z jego grzbietu Laurence, po czym, rozejrzawszy się, zawołał głośno: - Panie Forthing! Światło tutaj, proszę...

Awiatorzy podbiegli z pochodniami, a potem nagle się zatrzymali i zaczęli się wycofywać, wydając przy tym okrzyki Przerżenia: ich nogi tonęły w piasku, a kiedy je wyciągali, rozlegały się dziwne mlaskające odgłosy, przypominające bulgotanie wolno gotującej się kapusty. W świetle pochodni Téméraire zobaczył, że zapadł się w piasku niemal po mostek; krawędzie jego złożonych skrzydeł były głęboko pograżone, ogon na wpół zanurzony, a łapy w całości...

- Ale ja tylko spałem - poskarżył się i spróbował stanąć na tylnych łapach, ale nie udało mu się wyciągnąć przednich, chociaż natężył wszystkie siły; wysuwały się trochę, a wilgotny piasek spływał z jego boków, kiedy ciągnął, ale wysiłek, który musiał w to włożyć, był coraz większy i większy, aż w końcu nie mógł już kontynuować i ponownie się zapadł.

Dyszał ciężko przez chwilę, po czym stwierdził, że uniósł się może o pół stopy, ale nadal był uwięziony; nie mógł się wydostać, nie mógł się poruszyć. Spróbował jeszcze raz, bardziej energicznie bijąc łapami - przekonał się, że chociaż nie jest w stanie ich uwolnić, może nimi trochę poruszać na boki - aż w pewnej chwili Laurence rzucił ostrym głosem:

- Temeraire, przestań! Toniesz jeszcze bardziej...

Piasek podpełzł wyżej jego klatki piersiowej i zachodził na boki jego grzbietu.

- Laurence, może lepiej będzie, jeśli zejdziesz na ziemię - powiedział smok i odwróciwszy głowę, sprawdził z pewnym niepokojem, jaka jest sytuacja jego kapitana. - Jestem pewny, że mogę sięgnąć do innych, jeśli tylko wyciągnę szyję.

- Nie, dziękuję - odparł Laurence.

- Radzę, żebyś nie ruszał za bardzo szyją ani nie opuszczał jej tam, gdzie może ugrzęznąć - odezwał się Tharkay, który przykucnąwszy, badał rozmiar dołu, i wbijał w piasek gałązki, oznaczając jego granice. - Jestem zdumiony, że te ruchome piaski są tak głębokie i że tak bardzo się w nich zapadłeś.

- Nie mogliśmy ich wczoraj przeoczyć - powiedział Laurence. - Siedzieliśmy tu z Temeraire'em przez ponad godzinę, zanim położyliśmy się spać. Grunt był całkowicie twardy.

__ Nie rozumiem tylko, dlaczego to nie chce mnie puścić - jeszcze raz poskarżył się smok i nie mogąc się oprzeć pokusie, ponownie spróbował wyciągnąć przednią łapę. Robił to powoli, ostrożnie, tylko odrobinę za każdym razem, ale coś ją coraz mocniej hamowało, aż w końcu zupełnie zatrzymało. Nie mógł jej pociągnąć dalej i stopniowo zanurzyła się z powrotem, gdy tylko zaprzestał swoich wysiłków.

Właściwie nie było mu niewygodnie. Czuł przyjemny chłód i kiedy Laurence zapytał, odpowiedział mężnie:

- Och, samo w sobie zupełnie mi to nie przeszkadza, tylko że chciałbym się już z tego wydostać - ale to nie odnosiło się do lepkości oklejającej go mazi; właściwie błoto wciskało się we wszystkie zakątki jego ciała i pod fałdy skóry, no i było coś strasznego w tym, że nie

mógł się wydostać. To wcale nie przypominało pływania w wodzie, gdyż ona nie wciągała w dół jak łańcuchy, których nie można było zdjąć.

- Nie rozumiem, dlaczego nie wyszedłeś z tego, kiedy zauważyłeś, że dzieje się coś złego - odezwał się Cezar, który właśnie się obudził i ziewał przeciągle na tlejaśniejącego już na wschodzie nieba. Jak każdy młody smok sypiał długo i przy każdej okazji.

- Spałem - odgryzł się rozzłoszczony Temeraire - i dlatego niczego nie zauważyłem do chwili, gdy się obudziłem. I nie masz się co cieszyć, że tak się stało, bo nikomu nie przyszłoby nawet do głowy, że zwykły piasek może się zmienić w coś takiego. Jak to teraz odwrócimy?

- Może słońce, kiedy już wzejdzie, odparuje wystarczająco dużo wilgoci, żebyś zdołał się z tego wydostać - powiedział po chwili Tharkay. - Być może jakieś podziemne źródło nawadnia to miejsce.

~ Jeśli uda nam się usunąć część tego piasku, to może będziesz w stanie uwolnić się szybciej - dodał Laurence. - Panie Porthing, łopaty, proszę...

- Co to jest, tam? - zapytał nagle jeden ze skazańców, po kazując ręką, i Temeraire spojrzał w tamtą stronę: na krawędzi wydmy wznoszącej się nad miejscem, w którym tak nieoczekiwanie ugrzązł, widać było wąską, kanciastą głowę, a w zasadzie jej czarny zarys na tle jaśniejącego nieba.

Po chwili obok niej wyrosła druga, a potem jeszcze jedna aż w końcu była ich tam cała linia, z długimi, zaokrąglonymi na końcu pyskami i małymi, czarnymi oczami, które błyszczały żółto odbitym światłem pochodni. Wszystkie te głowy zdobiły dziwaczne czuby.

- Tylko spokojnie! - rzucił Forthing.

Wszyscy awiatorzy wyciągnęli pistolety.

Robiło się coraz jaśniej: buniopy miały ziarnistą skórę w odcieniach czerwieni i brązu, kolorów samej ziemi, a ich czuby były żółte jak trawa: gdyby nie wyglądały zza wydmy, byłoby je bardzo trudno dostrzec.

- Och - powiedział z oburzeniem Temeraire - teraz widzę, jak to jest; są nawet bardziej tchórzliwe, niż myślałem. To z pewnością jest ich robota; nie chciały walczyć ze mną otwarcie albo bronić swojego terytorium i zamiast tego przygotowały tę przekłątą, podstępna pułapkę.

Rankin prychnął.

- Chciałbym wiedzieć, jak stado jaszczurek mogłoby zrobić coś takiego - powiedział. - Bardziej prawdopodobne, że zgromadziły się tu jak sępy, żeby poczekać.

Laurence był tak wściekły, że z wielką ochotą wrzuciłby Rankina w ruchome piaski.

- Panie Forthing - powiedział, zaciskając usta - zacznijmy kopać. Wątpię, żeby te bestie podjęły jakąś bezpośrednią próbę ataku, dopóki mamy tu Cezara, albo podeszły tak blisko, by znaleźć się w zasięgu szczęk Temeraire'a.

pomimo to obecność tych widzów była bardzo nieprzyjemna i trudna do zniesienia: te błyszczące, pozbawione źrenic oczy, zjowrogie nawet w swej nieruchomości, zdawały się obserwo- wać każdy ich ruch, kiedy pracowali, wykopując wokół ciała Temeraire'a wilgotny piasek, który usypywali w wielkie, ciemne przyzmy. Przypominały one koślawe, dziecięce zamki, których wieże rozsypywały się, kiedy wyschły w promieniach wznoszącego się coraz wyżej słońca.

- Laurence - odezwał się Temeraire, kiedy słońce było już całkiem wysoko - chętnie bym się napił, jeśli nie sprawiłoby to wam kłopotu - co oczywiście nie mogło nie być kłopotliwe, zważywszy na jego wielkość, ale Forthing mimo to posłał ludzi z zadaniem napełnienia wszystkich największych pojemników wodą, dodając im uzbrojoną w pistolety straż.

Wrócili z pustymi rękami.

- Nie ma wody - wyjaśnił O'Dea - w nocy cała gdzieś wsiąkła.

- Wczoraj wieczorem wypiliśmy prawie wszystko, ale do tego czasu dziura powinna się znowu napęlić - stwierdził zdumiony Forthing.

Usłyszawszy to, Tharkay wyciągnął pistolet i w milczeniu poszedł sprawdzić sytuację. Wrócił po krótkim czasie i powiedział:

- Woda ze źródła nie napływa już do dziury. Kierunek jej biegu został zmieniony pod ziemią, o ile się nie mylę.

Laurence zawahał się, patrząc na rząd czuwających bunyi- pów, i zapytał:

- Tenzing, czy chcesz powiedzieć, że one to zrobiły? Umyślnie?

- Na pewno zrobiły to umyślnie - wtrącił Temeraire. - Chyba nie sądzicie, że zrobiły to, by okazać nam przyjaźń; och! Ale bym im pokazał, gdyby nie były tak tchórzliwe i nie kryły się tam, gdzie nie mogę ich dopaść wskutek tego całego piasku.

- Nie widzę powodu, żeby w to wątpić - odparł Tharkay. -

Mogły się nauczyć, że zamiast wykorzystywać do polowań na turalnie występujące wodne dziury, wygodniej jest robić własne. Jeśli potrafią zmienić kierunek wypływu wody z podziemnego źródła tak, by służyło to jednemu celowi, dlaczego nie miałyby tego zrobić w innym?

- Dlaczego w takim razie nie zrobiły głębszego dołu i nie zatopiły go całkowicie?

Tharkay wzruszył ramionami.

- Nie tak trudno uniknąć utonięcia w ruchomych piaskach - odparł. - On ma dużą zdolność utrzymywania się na powierzchni i pogrąża się powoli. Problemem jest wydostanie go z tego.

I już wkrótce przerażony Laurence uświadomił sobie, że wszelkie trudności, jakie wiązałyby się z wyciągnięciem jednego człowieka z takiego trzęsawiska, były niczym w porównaniu z zadaniem wydobycia Temeraire'a, który na dodatek już był bardzo spragniony.

- To kopanie jest bez sensu - powiedział Rankin. - Nie ma nadziei, że zdołamy wydostać go bez pomocy Granbv'ego, a jest raczej mało prawdopodobne, by wrócił w porę.

- Jeśli może pan zaproponować lepsze rozwiązanie, kapitanie Rankin, natychmiast go wysłuchamy - warknął Laurence.

Patrzył na wschód, choć oczywiście wiedział, że ta nadzieja jest płonna w sytuacji, gdy zwiąło ich daleko z pierwotnego kursu, a burza zniszczyła część pozostawionych przez nich kopców kamieni.

- Moglibyśmy także założyć mu trochę lin - zaproponował Forthing - i zrobić co w naszej mocy, żeby go wyciągnąć...

Rankin prychnął lekceważąco, gdyż rzeczywiście niewiele można się było spodziewać po takim działaniu: trzydziestu ludzi miałoby go wydobyć, kiedy sam Temeraire nie mógł obecnie uwolnić nawet jednej łapy.

- Jeśli udałoby wam się dociągnąć go do krawędzi - odpowiedział Laurence - to być może... Temeraire, może wtedy zdołałby się wydostać.

Ludzie rzucili mu liny i Laurence owinał je dokoła podsta- Vv szyi smoka i przymocował do pierścieni uprzęży, której na szczęście nie zdjęli poprzedniego wieczoru. Było ich jednak trochę mało do przeprowadzenia takiej operacji - ponieważ Temeraire miał zabrać tylko garść ludzi i nie spodziewano się żadnych walk, wyposażono go jedynie w najbardziej niezbędne elementy uprzęży, potrzebne do podczepienia sieci ładunkowej.

Trzydziestu mężczyzn chwyciło liny, kładąc je sobie na barkach i owijając wokół dłoni, po czym zaczęło ciągnąć. Temeraire poruszył się odrobinę, próbując im pomóc w miarę swoich możliwości swoistym wiosłowaniem, ale mimo że wyteżali wszystkie siły, zyskali tylko kilka cali, a potrzebowali mniej więcej pięćdziesięciu stóp.

- Sir, uważam, że musimy zaprząć Cezara - powiedział Forthing do kapitana Rankina, grzecznie, ale stanowczo.

Rankin zawahał się, ale w tych okolicznościach nie mógł odmówić.

- Ja też pomogę - pisnął Kulingile i chwycił zębami linę blisko krawędzi grzędzawiska, żeby ją pociągnąć.

Demane krzyknął:

- Poczekaj... - I odwróciwszy się do Forthinga, zapytał: - Czy może pan założyć mu uprząż?

- Dużo nam to da - rzucił drwiąco Cezar, kiedy przymocowywano liny do jego uprząży, a Kulingile zakładano prowizoryczny układ z kilku rzemieni i sprzączek; urosł już przynajmniej do wielkości porządnego konia pociągowego i chociaż nie można go było porównać z Temeraire'em lub Cezarem, jego pomoc nie była zupełnie bez znaczenia.

- Moglibyśmy poprowadzić liny dookoła drzewa lub niektórych z tych skał, żeby zrobić coś na kształt wielokrażdźki - zaproponował Fellowes.

Wzięli ceraty i poskładali je, żeby utworzyć podkładki na stojących z ziemi skałach, i założyli wokół nich dwie z najlepszych lin. Na ich końcach stanęli Cezar i Kulingile, a ludzie chwycili je na całej długości, gdzie się dało, przy czym buniły, śledząc wszystko swoimi błyszczącymi w słońcu, czarnymi ślepiami, były tu najlepszymi z możliwych nadzorców: gdyby zabrakło Temeraire'a, Cezar nie mógłby zabrać wszystkich ludzi z pustyni, i nikt nie miał najmniejszej wątpliwości, że gdyby część została, w tych czarnych oczach zapisany był dla nich wyrok śmierci.

Napięli mięśnie i stękając z wysiłku, pociągnęli wszyscy razem, a Temeraire odchylił szyję do tyłu, żeby siła działała nie na niego, ale na jego ciało. Ruchome piaski zbulgotały wokół jego mostka i odsunęły się na boki, tworząc powolnie obracające się zawirowania, niczym w ukreślanym cieście, i przesunął się - odrobinę, tylko odrobinę, ale się przesunął.

- Ciągnąć tam! - ryknął Forthing. - Ciągnąć!

I ciągnęli. Jeden ogromny wysiłek za drugim, i za każdym razem posuwali się trochę do przodu.

Temeraire próbował wiosłować łapami, by im pomagać. Jeszcze jedno wspólne pociągnięcie i przesunął się w błocie o kolejne kilka cali. Kilku ludzi padło na kolana, ciężko dysząc, ale wciąż trzymając się liny. Widząc to, Cezar warknął:

- Dostyc tego, wszyscy ciągniemy, czyż nie? Wstawajcie, ale już!

Podnieśli się z trudem. Forthing posłał Siphona wzdłuż liny z łykiem rumu dla każdego ze skazańców - były to ostatnie krople ich zapasów i nie mieli gdzie ich uzupełnić; ale rozcieńczył to wodą i smak mocnego trunku, bardziej wspomnienie przyjemności niż jej rzeczywiste doświadczenie, zwłaszcza w palącym niemilosierdzie słońcu, dodał ludziom otuchy i znowu zaczęli

ciągnąć liny, a Cezar, mimo swego narzekania, wspomógł ich ich siłą swych potężnych barków. * Kulingile także ciągnął. Brał głębokie wdechy, jego klatka piersiowa falowała, a długie pazury orały ziemię, gdy napierała cała siła na uprząż, i nagle jego boki, pokryte luźną, pofalowaną skórą, wydeły się niczym żagle, które chwyciły wiatr. Włóczęga smok krzyknął swoim ciekim, słabym głosem, po czym ponownie wbił pazury w ziemię i wściekle szarpnął linę. Demane, który był przed nim, zachęcając go do wysiłku i także ciągnął - zobaczył jego napęczniałe boki i zapytał wystraszony:

- Co się stało? - a potem krzyknął: - Dorset! Dorset, co mu jest?

- Nie teraz! - warknął Forthing. - Wszyscy razem, już...

Liny znowu przesunęły się trochę po ceratowych podkładkach, kiedy wszyscy pochylili głowy i jeszcze raz pociągnęli, ryjąc w ziemi nogami, które wznosiły ciemne pagórki wilgotnego piasku. Jeden z mężczyzn zaczął śpiewać szantę Dwa strzeliste okręty ze Starej Anglii przybyły, którą szybko podjęli inni. Ich głosy brzmiały słabo, często fałszywie, a także łamały się z powodu upału i braku wody, ale ich stopy parły do przodu, liny powoli pełzły za nimi i Temeraire się przesunął.

Wtedy ktoś nagle wrzasnął: - Chryste, te skurwiele idą na nas! - i liny opadły. Cezar odwrócił się w zaprzęgu i natychmiast się w nich zaplątał, kiedy ludzie rzucili się do ucieczki

na widok dwóch sunących w dół po zboczu wydmy bunyipów, które niespodziewanie ruszyły do ataku. Były smukłe, węzowate, a ich łapy nie grzęzły w piasku dzięki błonie łączącej szeroko rozczapierzone i zakończone pazurami palce.

Emily była zbyt niska, żeby ciągnąć linę, i dlatego stała z boku z wyciągniętym pistoletem; jej pierwsza kula trafiła zbliżającego się bunyipa w udo. Stwór zatrzymał się i otworzył pysk, z którego wydobył się osobliwy głos, niski, gardłowy skowyt bardziej przypominający chichot hieny niż syk gada, a potem znowu ruszył do przodu.

- Roland! - krzyknął Temeraire z wielkim niepokojem a Laurence stwierdził, że bezwiednie i zupełnie bezcelowo za cisnął dłoń na rękojeści szpady. - Gdybym zarzycał... - zaczął Temeraire, ale jednocześnie uświadomił sobie, że nie może tego zrobić, gdyż boski wiatr na pewno zabiłby też Emily, albo co nawet bardziej prawdopodobne, spowodowałby osunięcie się całego stoku wydmy, grzebiąc ludzi, smoki i bunyipy w jednym wspólnym grobie. Zamiast więc ryknąć, smok wyciągnął szyję, ale był zbyt daleko, by dosięgnąć Emily.

Ona tymczasem nie traciła zimnej krwi i przeładowywała pistolet. Rozdarła zębami nabój, wsypała proch do lufy, potem wcisnęła do niej przybitkę i kulę, nasypała proch na panewkę, wycelowała i ponownie strzeliła do bardzo już bliskiego stwora.

Druga kula trafiła go w gardło, przerywając wycie: z rany trysnął strumień ciemnej, niemal czarnej krwi, bardzo podobnej do smoczey, i padając na czerwony piasek, tworzył na nim małe kałuże. Bunyip zwinął się w kłębek, głośno kaszłąc. Młody chorąży Widener, który do tego czasu zdążył wyciągnąć swój mały pistolet, także wystrzelił, chociaż odrzut broni niemal go wyrócił, i drugi bunyip wzdrygnął się, wystraszony hukami; a potem zamiast dalej ścigać uciekających ludzi, rzucił się na liny.

Poruszał się po piasku szybko, ale trochę niezdarne, truchając, gdyż jego tylne łapy były krótkie, a przednie nieproporcjonalnie długie. Widziany z profilu miał ogromny łeb o wystających szczękach, przystosowanych do miażdżenia i chwytania, pazury jego przednich łap były krótkie, ale utworzone z twardego, połyskującego czarno rogu, a między barkami wyrastały mu dwa dziwne, półkoliste grzebienie. Kiedy dopadł do jednej z lin, chwycił ją zębami i zaczął gryźć.

- Niech was wszystkich szlag trafi, wy tchórze! - wrzasnęła ad ramieniem Emily, przeładowując znowu broń - wracajcie tutaj i zatrzymajcie je, bo inaczej pozabijają nas wszystkich po kolei - P° czyM znowu wypaliła.

Forthing i Demane wypłatali się tymczasem z lin, po czym chłopak, który był na samym końcu, rzucił się po pistolety Laurence'a, schowane między jego rzeczami, i także zaczął strzelać do bunyipa.

Dwie kule odłupały odłamki ze skały, ale jedna trafiła w cel; drugi bunyip zawył, puścił linę i zaczął uciekać. Po drodze zatrzymał się przy pierwszym, wciąż krwawiącym, trącił go kilka razy nosem, po czym oba potruchtały, utykając, z powrotem na wydnię, żeby dołączyć do innych, bardziej ciepłych, bardziej przygotowanych na dłuższe czekanie.

Ich próba nie była daremna, nawet jeśli sporo je kosztowała, gdyż liny zwisały luźno i były mocno poplątane, przy czym Cezar, próbując się uwolnić, tylko pogorszył sytuację, a na dodatek bunypowi udało się nadgryźć jedną z nich. Forthing z ponurą miną zbadał uszkodzone miejsce, a potem powiedział: - Wracajcie do pracy, panowie - i rozkazał Emily oraz Demane, żeby z pistoletami w rękach pełnili straż.

Ludzie przywlekli się z powrotem po swojej panicznej ucieczce, ale nie wszyscy: dwóch nie wróciło i Laurence, spojrzawszy na szczyt wydmy, zauważył, że jest tam mniej bunyipów niż przedtem. Najwyraźniej nie omieszkały wykorzystać zamieszania, które wywołały.

- To jest całkowicie niehonorowe - piekł się Temeraire - że one robią takie rzeczy, kiedy ja nie mogę nawet spróbować z nimi walczyć; to podłe, podstępne, i one powinny się wstydzić. Cieszę się, że wypiliśmy ich wodę i zniszczyliśmy ich terytorium; zrobię to jeszcze raz, gdy tylko będę wolny.

Podjęli na nowo wysiłki. Cezar w końcu się wyplątał; uszkodzoną linę naprawili, najlepiej jak potrafili, a Fellowes dodatkowo owinął ją w nadgryzionym miejscu ceratą, którą przyszył nawo. skowaną nicią. Ludzie splunęli w dłonie, wtarli w nie piasek i chwycili liny.

Nikt nie śpiewał. Cał po calu Temeraire zaczął się przesuwać

- Gdybyś wypuścił powietrze w chwili, kiedy oni ciągną - zasugerował Laurence - może miałbyś trochę więcej luzu w piasku - i ten pomysł się sprawdził do pewnego stopnia. Wszyscy razem wzięli głębokie wdechy, napięli liny i wypuszczając powietrze z płuc, pociągnęli; wydech Temeraire'a sprawił, że w ruchomych piaskach utworzył się mały obszar podciśnienia, w którym udało im się go przeciągnąć odrobinę dalej.

- Och - rzucił nagle - ciągnijcie! Ciągnijcie mocniej, wydaje mi się, że poczułem łapą skałę... - i zachęceni jego słowami wszyscy pochylili się, by jeszcze raz rzucić na szalę resztkę sił, po czym niespodziewanie zaczęli padać na kolana, gdyż liny nagle się poluzowały, a Temeraire, wydawszy niski, ochryply z wysiłku syk, zdołał przesunąć się niemal stopę dalej.

Musiał zrobić krótką przerwę, żeby zaczerpnąć tchu, ale już nie zapadł się z powrotem. Znowu napięli poluznione liny i po kolejnym szarpnięciu mostek smoka uniósł się o kolejne kilka cali ponad lepkie błoto.

Laurence zsunął się na bark Temeraire'a i powiedział:

- Panie Forthing, myślę, że gdyby podał mi pan łopatę, to moglibyśmy zacząć to usuwać.

Wyznaczyli pięciu mężczyzn, którzy mieli odgarniać piasek sprzed ciała Temeraire'a, podczas gdy zespoły ciągnące nadal nateżały wszystkie siły, żeby mu pomóc w wydostaniu się z trzęsawiska.

Powoli zbliżało się południe; w miarę jak smok, przedzierając się wolno, ale stale przez błoto, był coraz bliższy uwolnienia, obserwujące to bunyipy znikwały jeden po drugim. Kiedy w końcu wydobył przednią łapę, z głośnym, gulgocącym młasnieniem, które przypominało odgłos wydawany przez przepychaną rurę kanalizacyjną, ulotnił się ostatni z nich. Emily i Demane, zachowując najwyższą czujność, wdrapali się na wydmę, żeby wyjrzeć za jej grzbiet, i wrócili z meldunkiem, że nigdzie na pustyni nie widać nawet śladu bunypów: najpewniej znowu ukryły się pod ziemią, by zastanowić się nad przyczyną niepowodzenia próby wpędzenia obcych w pułapkę, i być może zaplanować kolejną.

Po uwolnieniu przednich łap Temeraire mógł łatwiej wykorzystać swoją siłę, a ludzie zmienili miejsce umocowania lin, przyczepiając je pośrodku jego ciała, co ułatwiło ciągnięcie. Wspomagany przez część z nich smok zaczął się powoli wydobywać z ruchomych piasków, a tymczasem reszta odkopywała końce jego skrzydeł, a potem, gdy stało się to możliwe, także zad. W końcu wypełzł z trzęsawiska i kompletnie wyczerpany, a także pokryty grubą warstwą czerwonego piasku, który słońce na nim wysuszyło, położył się na ziemi, pod którą była warstwa skały.

- Och, jaki jestem zmęczony - wysapał i zamknął oczy.

Wszyscy byli głodni i spragnieni, ale wyczerpanie było od tego silniejsze i ludzie padali tam, gdzie stali.

Laurence usiadł i nie zważając na czerwony piasek, który osypywał mu się na płaszcz, oparł się o bok Temeraire'a i także zamknął oczy. Potem otworzył je znowu i spojrzał w górę dokładnie w chwili, gdy z chmur wychyłała Iskierka i opadłszy spiralą na ziemię, zapytała głośno:

- Co wy tu robiliście? Jesteście cali w piasku. I gdzie jest jajo? Do tej pory powinniście je już znaleźć.

Rozdział 12

I

Iskierka przynajmniej zapolowała dla nich, kiedy już zrozumiała, co się stało, i pomogła wykopać kanał od jamy ruchomych piasków, która wchłaniała wodę, do skalnej niecki, gdzie

mogli się napić. Nie była więc zupełnie niepotrzebna, ale wciąż miała skłonność do krytykowania wszystkiego, a zwłaszcza tego, że zgubili trop złodziei.

Temeraire poinformował ją, dość surowym tonem, że chciałby zobaczyć, jak ona dałaby sobie radę lepiej od niego z pożarem i tajfunem jednocześnie - nawet jeśli to nie był tak naprawdę tajfun, to nazwanie go tylko burzą wydało mu się o wiele za łagodne i w żadnym razie nie oddawało natury tego doświadczenia - po czym dodał:

- No i w tym czasie było jeszcze trzecie jajo, o które trzeba się było troszczyć.

- Jajo, które nawet w przybliżeniu nie było tak dobre jak zaginione - odparła z dezaprobatą Iskierka - co mógł powiedzieć każdy, kto choć raz na nie popatrzył, i sam teraz widzisz, co z niego wyszło. Pospiesz się i skończ wreszcie jeść, jeśli mamy cię ze sobą zabrać - zwróciła się do Kulingile - czego zresztą zupełnie nie rozumiem.

Kulingile naprawdę nie można było oskarżyć o to, że jadł powoli; pochłaniał wszystko, co zostało, napychając się do granic

emności swojego żołądka. Krótco po tym, gdy pierwszy raz

neczniały, jego boki znowu się zapadły, ale w czasie, gdy po- ciągnąć linę, jeszcze dwa razy się nadeły, by zaraz potem sflaczać- Demane był bardzo zmartwiony, ale nic nie wskazywało na to, że małemu smokowi stało się coś złego; w każdym razie Dorset nie powiedział niczego niepokojącego, chociaż zbadał potem Kulingile bardzo uważnie.

- Może się okazać, że on jednak będzie latał, nawet jeśli teraz jeszcze nie potrafi - powiedział Temeraire. - Ja także nie zawsze potrafiłem wywoływać boski wiatr, I ak czy owak, Lau- rence sobie tego życzył. Jak rozumiem, pozostawienie go na tej pustyni byłoby czynem niemoralnym.

- Nie pojmuję, co moralność ma wspólnego z noszeniem smoka, który nie umie latać - odparowała Iskierka.

- Nas też przewożono na Allegiance, kiedy nie mogliśmy lecieć całą drogę - odrzekł Temeraire - a gdybyśmy go zostawili, umarłby z głodu, bo nie może polować. A co by się stało, gdyby te bunyipy spróbowały go złapać? Był tak mały, kiedy się wyklął, że mogłoby się im to udać.

- Nie rozumiem, dlaczego ty ciągle myślisz i myślisz o sprawach, które ciebie wcale nie dotyczą - powiedziała na to lekceważąco Iskierka.

To było bardzo irytujące, a Temeraire był wciąż zmęczony i obolały; czuł piasek wszędzie tam, gdzie piasek mógł się dostać, i nigdzie nie było tyle wody, żeby mógł się dokładnie umyć, a nawet napić do woli. Tak więc w żadnym wypadku nie można było powiedzieć, że miał dobry nastrój, kiedy ludzie zaczęli wchodzić na jego grzbiet i do sieci.

- Chciałbym - odezwał się do Laurence'a - naprawdę chciałbym, by inne smoki nie uważały mnie zawsze za dziwaka. Nie żeby ktokolwiek cenil sobie opinię Iskierki, ale przez tę ich pewność, że coś jest ze mną nie tak, czasem ogarniają mnie wątpliwości.

- Mam nadzieję, że nigdy nie zwątpisz w wartość dobry- uczynków - odpowiedział Laurence - niezależnie od wszelką przeciwnych opinii, które zdarzy ci się usłyszeć. Czy myślisz i Iskierka przejęłaby się szczególnie losem francuskich smoków kiedy wybuchłaby wśród nich zaraza?

- N-nie - odrzekł Temeraire i patrząc z ukosa, zapytał- - Laurence, jesteś zatem pewny, że zrobiliśmy to, co powinniśmy zrobić?

- Całkowicie pewny - potwierdził Laurence. - I weź pod uwagę jeszcze jedno, mój drogi; tydzień temu jego bliska śmierć była dla wszystkich czymś zupełnie pewnym, a on teraz je niemal bez przerwy i stale przybiera na wadze, i bardzo nam pomógł, kiedy wyciągaliśmy ciebie z ruchomych piasków. Moim zdaniem są duże szanse, że będzie z nim jeszcze lepiej.

Wprawdzie Temeraire niezupełnie to miał na myśli, ale ucieszył się, że Laurence uważa, iż obie ich decyzje były powiązane w ten sposób, i tak samo konieczne, gdyż czasem się zastanawiał, czy Laurence nie żałuje tego, co wtedy zrobili, czy nie ogarnia go rozgoryczenie.

Nie miał nic przeciwko zabranii Kulingile, mógł go też nosić na grzbiecie bez końca, jeśli tylko oszczędziłoby to zmartwień Laurence'owi.

Poza tym, co nagle ku swej radości sobie uświadomił, jeśli sytuacja tak właśnie się rozwinie, to Demane w rzeczywistości nie przestanie do niego należeć. Jeśli Kulingile będzie już zawsze na nim latać, to w istocie stanie się członkiem jego załogi.

- A ponadto - powiedział małemu smokowi, który słuchał go z uwagą - gdybyśmy mieli stoczyć jakąś walkę, to myślę, że mógłbyś być bardzo przydatny, jako że nikomu nie udało się przeprowadzić abordażu, dopóki byłbyś na moim grzbiecie. Jeśli tylko zdołasz nie urosnąć już dużo więcej...

- Cóż, spróbuję - odparł Kulingile, ale zaraz potem chwycił zębami leżącą przed nim drugą połówkę jaszczurki, odrzucił

do tyłu, i od razu połknął cały kawał mięsa, który po- ędrował w dół jego gardła niczym przemieszczające się na- brzmienie. Wyglądało to tak, jakby chciał powiedzieć z dumą: popatrz, ile zjadłem.

To ci w tym nie pomoże - rzucił zirytowany Temeraire.

W trakcie dalszego lotu okazało się, że coraz trudniej jest im znaleźć wodę: niemal wszystkie jej zbiorniki, na które się natykali, wysychały w wielce podejrzany sposób.

- Pewnie jedne bunyipy przekazują innym wiadomość, by je osuszyły przed naszym przybyciem - powiedział zde gustowany Temeraire, wypijając trochę wody ze skalnej niecki; nie mógł w pełni zaspokoić pragnienia, gdyż musiało jej wystarczyć dla nich wszystkich.

- Chodźmy pozrywać trochę tych mat przykrywających tunele, po czym ja wpuszczę tam ogień - zaproponowała Iskierka. - To wypędzi je na powierzchnię i szybko się nauczą, że nie powinny sprawiać nam kłopotów.

- Nie rozumiem, dlaczego jesteś taka kłótniwa i skłonna do bójk - odparł Cezar. - Jeśli chcesz wszędzie niszczyć ich domy, to nie możesz się potem złościć, że im się to nie spodobało, a ja nie mam ochoty obudzić się w środku nocy zagrzebany po szyję w piasku. Moglibyśmy zostawić im kangura lub dwa i zobaczyć, czy to je udobrucha i przekona, by dały nam wodę.

- Tego by jeszcze brakowało, żebyśmy dawali im prezenty po tym, jak się zachowały - sprzeciwił się z odrazą Temeraire, a Iskierka zawtórowała mu pogardliwym prychnięciem. Jednak ku ich wspólnej konsternacji Laurence i Granby uznali pomysł Cezara za rozsądny.

- Weź pod uwagę, mój drogi, jak bardzo dla nas trudne będzie nieustanne zwalczanie oporu tak szeroko rozprzestrzenionych i nieprzyjaznych stworzeń - powiedział Laurence - jeśli one rzeczywiście potrafią się ze sobą porozumiewać, jak sam zresztą przypuszczasz.

- A my tu przybyliśmy nie po to, żeby szukać zwady z bunvi- pami, czy też kimkolwiek innym, jeśli już o to chodzi - dodał Granby. - Mamy tylko odzyskać jajo i jak najszybciej zmiatać z tej cholernej pustyni. Jeśli one lubią tu żyć, to moim zdaniem nie ma powodu, żebyśmy im jej nie zostawili.

Na domiar złego jedynym, który się z nimi nie zgodził, był Rankin.

- Starając się je zjednać, tylko ośmielicie te stwory - powiedział - i sprawicie, że zaczną uważać ludzi za bardziej interesującą zdobycz. Uważam, że należy je wszystkie wytepić.

Nawet jeśli Temeraire pogodził się w duchu z tym, że nie podpalą od razu wszystkich legowisk bunyipów - czego bardzo żałował, gdyż wydawało mu się to znakomitą strategią, zwłaszcza że uciekając przed dymem, musiałyby wyjść na powierzchnię i stanąć do otwartej walki, zamiast kryć się pod ziemią - niezupełnie rozumiał, dlaczego mieliby zostawiać im kangury.

- To wcale nie większe marnotrawstwo od pozwalania, żeby ten tam pchał je sobie do gardła - powiedział Cezar, mając na myśli Kulingile, ale Temeraire wolałby raczej nakarmić małego smoka dwudziestoma kangurami, niż dać bunyipom jednego.

- Gdybyśmy rozpoczęli od niszczenia ich domostw - rzekł - może i uznałbym, że jest to do pewnego stopnia sprawiedliwe, ale przecież nie robiliśmy tego. Nawet nie wiedzieliśmy, że

one tam są, dopóki nie porwały kilku naszych ludzi i nie zjadły ich, co jest czystym barbarzyństwem. Jeśli ktoś tu powinien przepraszać i dawać prezenty, to właśnie one, a nie my; a zamiast tego tylko coraz bardziej zaogniają tę waśń z nami, kradnąc nam wodę.

- Jeśli dzięki nim woda występuje w tych miejscach, to raczej my ją kradniemy, a nie one - odparł Cezar, ale to był czysty absurd; przecież bunyipy nie robiły wody. Woda tam była • one tylko ją kierowały tam, gdzie im było najwygodniej, gdzie najłatwiej mogły ściągnąć ofiary w pobliże swoich pułapek. Był to jeszcze jeden element podłej, podstępnej strategii, która nie zasługiwała nawet na najmniejsze uznanie.

_ Tak czy owak, mogły coś powiedzieć, jeśli nie chciały, żebyśmy ją pili- Zostawiają wodę umyślnie i robią wszystko, żeby wyglądała tak, jakby była niczyja, nie mogą się zatem skarżyć, jeśli traktujemy ją jak każdą inną - zakończył tę dyskusję Te- meraire.

Jednakże to, że musieli się stale zatrzymywać, by zaspokoić pragnienie resztką wody z kolejnych wodnych dziur, było bardzo męczące i niewygodne. Nie było to nawet orzeźwiające, kiedy miało się tak mało do wypicia, a gardło bolało coraz bardziej. Co gorsza, Temeraire'a po ciężkiej próbie, jaką przeszedł, bolały także przednie i tylne łapy i każdy skok w górę wymagał od niego o wiele większego wysiłku niż zazwyczaj.

Westchnął lekko. Na dodatek znowu musieli lecieć zakosami, by wypatrywać na ziemi kawałków porcelany, jedwabiu lub czegokolwiek innego, co mogło być sprowadzone z Chin. Oczywiście ucieszyłby się, gdyby odnaleźli trop, ale nie dało się zaprzeczyć, że przyjemniej mu się leciało prosto przed siebie, kiedy mogli tylko odgadywać kierunek, w którym udali się złodzieje.

Obserwując jednak ziemię, kiedy pod koniec dnia zbliżali się do kolejnej na wpół wyschniętej wodnej dziury, dostrzegł wreszcie jakiś nieznaczny ruch: cień, który niezbyt dokładnie pasował do reszty otoczenia. Temeraire uświadomił sobie od razu, że widzi jednego z nich, bunyipów, i zanurkował, wyciągnąwszy się w powietrzu. Bunyip rzucił się gwałtownie do ucieczki, mknąc po piasku w stronę nagiego skrawka gruntu, a kiedy Temeraire już sięgał po niego łapą, zagrzebał się błyskawicznie w ziemi, rzucając za sobą kaskady piasku.

Stało się to zadziwiająco szybko: Temeraire wylądował, wepchnął pazur do świeżo wydrążonego korytarza, a kiedy nie udało mu się dosięgnąć bunyipa, usiadł obok, sycząc z niezadowolona.

- Wylaż, ty cholerny, tchórzliwy stworze - zawołał, znizywszy pysk nad wejściem do tunelu, po czym popatrzył do tyłu. - Laurence, naprawdę nie chcesz, żebyśmy je stąd wykurzyli? Jestem pewny, że łatwo byśmy sobie z nimi poradzili, gdyby nie zakopywały się w ziemi i uciekały nam w ten sposób.

- I zapewnilibyśmy sobie w ten sposób niekończące się pasmo ataków - odparł Laurence - które jeszcze bardziej opóźniłyby nasze poszukiwania. Nie, polecimy dalej, mój drogi.

- Może powinieneś wziąć pod uwagę to - dodał Dorset, zerkając w otwór tunelu - że polowanie z tych jam leży w ich naturze, a także zastanowić się nad konsekwencjami naszego wtargnięcia do krainy, o której nic nie wiemy; w końcu zjadamy tu zwierzynę, od której zależy ich przetrwanie. Jesteśmy tak samo niemądrzy, oburzając się na ich sposób zdobywania pożywienia, jak byłyby krowy, gardząc z tego powodu tobą.

Ten argument przekonał do pewnego stopnia Temeraire'a, a w każdym razie dał się on namówić do wznowienia lotu bez dalszego naprzykrzania się bunyipom. Później, tego samego wieczoru, kontemplując gotowaną przez Gong Su potrawkę, z raczej mizernym wkładem mięsa kangurzego, powiedział w zadumie:

- Nigdy przedtem nie zastanawiałem się nad uczuciami krowy: myślę, że one muszą nas bardzo nie lubić.

- One są tylko głupimi zwierzętami - odparł Laurence - i z pewnością nie są zdolne do takich myśli. Każde zwierzę będzie bronić życia i swoich młodych, ale to wcale nie stawia go na równi ze stworzeniem myślącym, zdolnym do rozumowania.

- Tylko jak można się co do tego upewnić? - chciał wiedzieć Temeraire. - W końcu jeśli ktoś chce być szczególnie tępy, może, ' taki jak ten Salcombe i mówić, że także smoki są głupimi zwierzętami. A ja jestem całkowicie pewny, że bunyipy takie nie są, chociaż zdaje się, że wcale nie mówią: są tylko stworzeniami, których myśli są brzydkie. Nie jest jednak bardzo uczciwe, że przypisuję im rozum, ponieważ zaskakują nas jedną przykrą niespodzianką po drugiej; a co będzie, jeśli kiedyś się okaże, że krowy są bardzo inteligentne, tylko nie lubią robić z tego wielkiej sprawy?

- Jeśli tak bardzo nie lubią robić z tego wielkiej sprawy, że nawet godzą się być zjadane - odparł Laurence z lekkim rozbawieniem - to z pewnością nie musisz zaprzętać sobie tym głowy.

- Może myślą, że i tak zostaną zjedzone, bo są takie pyszne - powiedział Temeraire i westchnął. - Wiele dałbym teraz za krowę, Laurence. Nie żebym chciał narzekać i jestem bardzo wdzięczny, że Gong Su tak bardzo się stara: tylko że one są trochę za chude, to znaczy kangury.

Wystawili warty tej nocy, a Temeraire i Iskierka musieli dwa razy zmienić miejsca, gdyż okazywało się, że grunt pod nimi staje się niepewny. Cezar został niemal pogrzebany, kiedy nagle otworzył się pod nim lej, do którego zsunął się w kaskadach piasku. Obudził cały obóz swoim okrzykiem przerażenia, wywołując panikę, w rezultacie której niepotrzebnie oddano kilka strzałów w ciemność, przez co zmniejszył się ich bezcenny zapas amunicji.

- Trzymaj głowę wysoko - powiedział Rankin, trzymając rękę na szyi Cezara. Odskokzył w porę, kiedy do dołu sypał się piasek, a potem wskoczył do niego, żeby uspokoić młodego smoka. - Zapalcie pochodnie i przynieście łopaty; musimy usunąć to z niego, zanim będzie mógł się stąd wygramolić.

Upłynęły niemal dwie godziny, zanim Cezar zdołał się przenieść na nowe, bezpieczne, choć niezbyt wygodne miejsce na skalnym wypiętrzeniu. Nikt się nie wyspał i nie odpoczął tej nocy, a rano okazało się, że cała potrawka Gong Su wyciekła w następstwie mniejszego, lecz równie złośliwie wykonanego podkopu pod dołem do gotowania. Temeraire musiał się zadowolić lepkiem i niemal całkowicie rozgotowanym mięsem z kangura, albo pozostać głodny, gdyż poprzedniego wieczoru niczego nie zjadł; było miękkie, ale niemal zupełnie bez smaku. Wszyscy zmagali się zarówno z pragnieniem, jak i irytacją.

Iskierka była gorącą zwolenniczką wydania nieprzyjacielowi wojny totalnej. Wszystkie schronienia bunyipów miały być spalone lub wypełnione dymem, pomimo ogromnego ryzyka, jakie wiązało się z używaniem ognia w tej suchej krainie, oraz całkowitej niepraktyczności pomysłu stoczenia walki z nieznaną liczbą stworów siłami czterech smoków, jednego w połowie tylko wyrosniętego, jednego karłowatego, i bez żadnych zapasów. Na szczęście przynajmniej Temeraire był bardziej skłonny słuchać głosu rozsądku, być może pod wpływem głodu, który po części zagłuszył jego dumę.

- Wcale mi się to nie podoba - powiedział - ale nie mamy teraz czasu, żeby się nimi zająć, a poza tym one rzeczywiście mogą nam bardzo uprzykrzać życie. Lepiej poczekajmy, aż odzyskamy jajo, i wtedy się z nimi policzymy; albo - dodał - spróbujmy dać im szansę pokazania, że mogą się zachowywać lepiej - i jeszcze tego samego popołudnia, kiedy po schwytaniu kilku kangurów zatrzymali się przy następnej na wpół wyschniętej wodnej dziurze, położyli jednego przed pierwszą pułapką, którą znaleźli, i nie zerwali żadnej z mat.

Iskierka patrzyła pośpiesznie na martwe zwierzę; Kulingile także je obserwował, ale z zupełnie innym, tęsknym wyrazem pyska, mimo to po chwili zwrócił się ku swojej porcji, a Iskierka mruknęła coś pod nosem z wyraźnym niezadowoleniem i zrobiła to samo. Temeraire był tak głodny, że zignorował ból gardła i pożarł kangura niemal na surowo, tylko trochę

opieczonemu, począł zaczął rozgryzać kości w poszukiwaniu szpiku, chociaż Laurence z przykrością na to patrzył i krzywił się, kiedy zmuszony do takiego zachowania smok z trudem przełykał kolejne porcje.

– Nie ma go, nie ma – krzyknął ktoś nagle i Laurence uświadomił sobie, że podczas gdy oni przyrządzali i spożywali posiłek, ich podarunek w postaci kangura po cichu znikł – co było raczej nieprzyjemnym przypomnieniem o szybkości, z jaką poruszają się bunyipy, ich umiejętności skrytego podejścia oraz wszechobecności. Ale przynajmniej nie byli nękani do końca ich postojem, chociaż starali się nie kusić losu: żaden człowiek nie zbliżał się do krzaków, a pragnienie zaspokajali pod ochroną straży.

Powtórzyli ten eksperyment wieczorem, kiedy zatrzymali się przy źródle słodkiej wody na twardym, skalistym terenie, gdzie zdaniem Laurence'a mogli bezpiecznie rozbić obóz. Czy to z tego powodu, czy też dzięki przyjętemu podarkowi z kangura, nie byli celem żadnych nowych ataków tej nocy, chociaż Temeraire nie chciał ryzykować znowu swojej kolacji i jeszcze raz zjadł dziczyznę tylko upieczoną, a nie ugotowaną w potrawce.

Może też było tak, że poruszali się obecnie szybciej, niż bunyipy przekazywały sobie wiadomości, bez względu na to, jakiej metody do tego używały. Tharkay nie był zbytnim optymistą co do ich szans odnalezienia kolejnych śladów pozostawionych przez przemytników i nie zachęcał do prowadzenia poszukiwań różnych szczątków, czym Temeraire i Iskierka chętnie by się zajęli, gdyby im na to pozwolono.

– Jeśli oni nie idą do jakiegoś miejsca leżącego w kierunku, który znamy dzięki informacjom uzyskanym od krajowców, wielce niepewnym, warto dodać – powiedział Tharkay – to nie ma żadnej nadziei, że ich doścignemy. Te nieliczne porcelanowe czerepy leżące tu od kilku lat i na wół zagrzebane w ziemi kawałki materiału nie tworzą tropu, którym warto podążać. Równie dobrze możemy założyć, że los będzie nam sprzyjał i podjąć jedyną próbę, która ma szansę powodzenia.

Tak więc smoki poświęcały mniej czasu na badanie terenu i dzięki temu leciały szybciej. W rytm miarowych uderzeń skrzy, deł Temeraire'a połykali kolejne czerwone mile, monotennie jednakowe wydmy wznosiły się i opadały pod nimi, oddalając się niczym morskie fale. Pustynia zdawała się ciągnąć w nieskończoność: wszędzie, gdzie się spojrzało, ziemia była płaska, jałowa i obca, aż po zakrzywioną i tonącą w błękitnej mgłę linię horyzontu. Od czasu do czasu spośród niskich wydm wyrastały wyższe wzniesienia; niekiedy ukazywało się lśniące białą sol- nisko, mały strumyczek lub zagłębienie pełne wody. Wszystko to przemykało w dole, wraz z ziemią przesuwało się w stronę horyzontu i po kolei znikało.

Kształty, które pojawiły się nisko na widnokręgu, można było w pierwszej chwili wziąć za chmury, ale one rosły i rosły, aż w końcu ceglasterczerwone skały oświetlone promieniami zachodzącego słońca rozjarzyły się gwałtownie na tle nieba. Wyrastały z płaskiej równiny niczym ogromne, przedziwne kopuły, garnące się do siebie z braku innego towarzystwa. Ich powierzchnie były nierówne, pobrużdżone, pokryte szarymi smugami, a na szczytach niektórych niczym na głowach widać było zielonkawe czupryny mchu. Temeraire mimowolnie zwolnił, kiedy się zbliżyli, a Laurence nie wiedział, co myśleć o tej osobliwej formacji skalnej, tak samotnej na pustyni.

Nawet z powietrza nie można było ogarnąć wzrokiem całości. Oglądane pod różnymi kątami skały miały zupełnie inny wygląd, nawet kiedy ich jaskrawy początkowo kolor zbladł, a zmierzch ukrył ich obecność, rozmazując kształty na tle szybko ciemniejącego nieba. Chociaż kamieniste podłoże chroniłoby ich do pewnego stopnia przez bunyipami, nie wylądowali na skałach – zaczęli się już przyzwyczajać do obcego i rdzawoczerwonego krajobrazu, pomyślał Laurence, ale w swej osobliwości te monolity sprawiły, że wszystko wokół nich ponownie stało się dziwne i niepokojące.

Rozłożyli się obozem na kilku niezbyt odległych wydmach, w pobliżu mizernego strumyczka, z którego trudno się było napić, ale przy którym za to nie było nawet śladu

bunyipów, czego nie mieli najmniejszego powodu żałować. Na zakręcie strumyka wykopali dół, który stopniowo wypełnił się wodą. Czekając na to, Laurence z Temeraire'em patrzyli, jak dziwne, monumentalne skały nikną z wolna w ciemnościach, a gwiazdy południowej hemisfery zaczynają skrzyć się na niebie.

Spali spokojnie tej nocy, w niewidzialnym cieniu skalnych monolitów. Rano Temeraire obudził Laurence'a, mówiąc z podnieceniem:

- Laurence... Laurence, tam jest jeszcze jeden, o tam, popatrz- i Laurence, wstając, zobaczył ostatni monolit, wznoszący się w oddali: samotny, całkowicie samotny, bez nawet jednego pagórka do towarzystwa, jasnopomarańczowy i różowy w świetle wschodzącego słońca.

Wtedy Temeraire zapytał powoli: - Czy to jest smok?

Iskierka zerwała się i spojrzała w tamtą stronę, a Cezar odparł:

- No cóż, a czym innym to może być?

Rzeczywiście, czym innym mogło być stworzenie, ledwie widoczne z tej odległości, stojące obok monolitu i rzucające na Jeg^o gładką, czerwoną ścianę cień rozpostartych skrzydeł. Ogromnych skrzydeł, nawet gdy były jeszcze w połowie złożone. I można też było dostrzec malutkie, ciemne sylwetki ludzi poruszających się wokół smoka; na ziemi leżały jakieś paczki, bele powiązane sznurami i skrzynie, które z niego zdejmowali, ale były też inne, mniejsze pakunki, które ładowali na jego grzbiet.

- Dlaczego tu jeszcze siedzimy? - zapytała Iskierka. - [my tam się rozejrzeć, sprawdzić, czy widzieli...

- Och! - krzyknął Temeraire. - Jajo, mają jajo!

Rzeczywiście ludzie na smoku przejęli właśnie z wielką ostrożnością od tych na ziemi okrągły, owinięty kocami ładunek po czym umieścili go w nosidle na piersi stworzenia.

Laurence miał ledwie chwilę na to, by chwycić łańcuch platynowego wisiora Temeraire'a i przypiąć się do niego, zanim smok potężnym skokiem poderwał się z ziemi, a Iskierka zrobiła to zaraz po nim. Ludzie krzątający się przy skalnym monumencie najwyraźniej ich jeszcze nie zauważyli, gdyż nie widać było wśród nich żadnego pośpiechu ani przygotowań do obrony. Natomiast obca smoczyca - teraz mogli już rozpoznać płęć - podniosła się niespiesznie, rozwinęła do końca skrzydła - jak się okazało ponad dwa razy dłuższe od jej ciała - i wybiwszy się z tylnych łap, wzniosła się w powietrze. Uderzywszy raz, drugi i trzeci tymi ogromnymi skrzydłami, rozłożyła je szeroko i niesiona powietrznymi prądami, poszybowała na północ.

- Wracaj! - zahuczał Temeraire, przyspieszając. - Stój! - krzyknął jeszcze raz, po czym zawisł i wciągnął głęboko powietrze do płuc. W jego napęczniałej do granic możliwości klatce piersiowej zaczął narastać grzmiący odgłos boskiego wiatru, tego straszliwego, druzgocącego ryku, który powinien dosięgnąć nieprzyjaciela nawet z tej odległości.

- Temeraire! - krzyknął zaniepokojony Laurence. - Temeraire! Nie powinieneś, twoje gardło nie jest...

- Pospiesz się, pospiesz - ponaglała towarzysza Iskierka, krążąc niecierpliwie; nie mogła dalej lecieć, żeby nie znaleźć się na drodze boskiego wiatru. - Ona jest coraz dalej i ma jajo!

Temeraire wypiął pierś, wziął jeszcze jeden głęboki wdech, po czym rozwarł paszczę i zaryczał... Następnie przerwał, drżąc łyrn ciele, a grzmot, który właśnie zaczął rodzić się w jego piersiowej, ucichł. Głos smoka załamał się niczym pękają- strUny jakiegoś instrumentu, a on sam skulił się w powietrzu, faszłac* krztusząc się i ciężko dysząc, po czym z nisko pochyloną Iową opadł gwałtownie na piasek.

Rozdział 13

M

imo to ruszyli jednak w pościg, pozostawiwszy Kulingile i Cezara, którzy mieli podążać za nimi. Ludzie pospiesznie załadowali się do sieci, po czym Temeraire i Iskierka wzbili się w powietrze i wyciągnawszy się tak bardzo, że ich ciała przypominały strzały, rzucili się śladem uciekinierki z największą szybkością, jaką mogli osiągnąć. Po jakimś czasie przekonali się, że robią postępy: sylwetka smoczycy rosła stopniowo w obiektywie lunety Laurence'a i już wkrótce jej ogromne skrzydła przestały się w nim mieścić. Mknęli coraz dalej, nie zważając na lejący się z nieba żar, i ani na chwilę nie stracili uciekinierów z pola widzenia. Wraz ze zbliżającym się zmierzchem pojawiła się nadzieja na upragniony odpoczynek, ale okazało się, że nie mogą sobie na to pozwolić: smoczycza nie zatrzymała się, a zatem i oni nie mogli tego zrobić.

Zapadła noc i wzeszedł księżyc, zalewając niebo srebrem. Laurence musiał się bardzo starać, żeby nie spuścić wzroku ze smoczycy, która najwyraźniej nadal nie zamierzała lądować i była widoczna jako cień przesuwający się na tle gwiazd. Jej skrzydła ledwie się poruszały; od czasu do czasu jedno lub dwa uderzenia, żeby wykorzystać jakiś podmuch wiatru, a poza tym nic. Przypominała tym wielkie morskie ptaki, rybołowy lub albatrosy, unoszące się całymi dniami w powietrzu, w który[^] czują się dużo lepiej niż na ziemi.

Stopniowo zyskiwała przewagę. Oddech Temeraire'a był bardziej chrypliwy niż przedtem, a i szybkość Iskierki malała. Oba smoki leciały przez cały dzień właściwie bez odpoczynku jeśli nie liczyć krótkich postojów na zjedzenie złapanej w locie zwierzyny i wypicie kilku łyków wody ze strumienia.

- Tam jest jeszcze jeden - zawołał w pewnej chwili Granby, a jego głos, choć słaby, dotarł w nocnej ciszy także do uszu Laurence'a, i Temeraire oraz Iskierka wylądowali przy lśniącej w świetle księżyca wodzie, żeby się napić. Łapy obu smoków drżały ze zmęczenia, a skrzydła odpadły im niemal do ziemi.

Granby zeskoczył na dół.

- Panie Forthing - powiedział Laurence cicho - zsiadamy i rozbijamy obóz. Przy tych skałach, proszę, z dala od wody.

- Tak jest, sir - odparł równie cicho Forthing; niepowodzenie przygnębiło ich wszystkich.

Temeraire i Iskierka nie wymienili ani słowa. Oba smoki piły długo i łapczywie, po czym, kiedy tylko ludzie zdjęli z nich wszystkie bagaże, ułożyły się na piasku i natychmiast zasnęły. Forthing ustawił awiatorów, którzy utworzyli najeżoną pistoletami i nożami falangę, podczas gdy ochraniani w ten sposób skazańcy napełnili pospiesznie manierki i inne pojemniki, a następnie wszyscy wycofali się w pobliże dających poczucie bezpieczeństwa skał, żeby zjeść suchary i popić je odrobiną gorącej herbaty.

- Wiesz, najgorsze w tym jest to, że oni chyba się nawet nie starali uciec; nie wiem, czy nas w ogóle dostrzegli - powiedział zmęczony Granby, wyciągając nogi, jedną po drugiej, a potem jeszcze raz, żeby rozluźnić zeszywniałe po blisko dwudziestu godzinach lotu mięśnie. Laurence jeszcze nie usiadł, gdyż bał się, że jak już to zrobi, to nie zdoła wstać.

- Masz rację - odparł. - Cała załoga była pod jej brzuchem, osłonięta od słońca, i o ile dobrze widziałem, przez cały czas spali. Smoczycza ani razu nie obejrzała się za siebie. - Pokręcił głową. - Ona też mogła spać. Wiem, że Temeraire to robi podczas długich lotów.

- A przynajmniej drzemać - zgodził się Granby. - Widziałeś te skrzydła? Myślę, że mogłaby na nich dwa razy okrążyć świat, gdyby chciała. Nigdy takich nie widziałem. To nie jest dziki smok; to musi być wynik zabiegów hodowlanych, proszę ciebie, i chciałbym wiedzieć, z jakich smoków ją wyhodowano, zwłaszcza że w tym kraju nie widziałem ani jednego.

- To, że nie podjęli żadnych środków ostrożności, zdaje się przemawiać za tym, że nie można ich tu zobaczyć - włączył się do rozmowy Tharkay. - Nie widzieli nas, ponieważ się nie rozglądali; nie pomyśleli nawet, że ktoś może ich ścigać.

- Myślisz więc, że mają ją skądinąd? - zapytał Granby. - Może podobne do niej żyją na Jawie i tych wszystkich wyspach, między którymi trzeba latać, ale chciałbym wiedzieć, jak to się stało, że nigdy jeszcze nie widzieliśmy jednego z nich. Przypuszczam, że jej jajo mogłoby być warte i pół miliona funtów.

- Dałbym nawet więcej - powiedział Laurence, patrząc na Temeraire'a, tak wycieńczonego, że nie czekał nawet na otarcie mu pyska z czerwonego pyłu, który zebrał się na nim podczas podróży, tylko z miejsca zasnął z głową przekrzywioną w jedną stronę - za coś, co pomogłoby nam ją dogonić.

Ponieważ ścigana smoczyca i tak już im uciekła, poczekali następnego dnia na Cezara, który przyleciał kompletnie wyczerpany i głęboko niezadowolony.

- Cóż - powiedział - widzę, że nie odzyskaliście jaja mimo tej szalonej pogoni, a tymczasem ja przez cały dzień musiałem się mozolić z tym wielkim niezgułą, który na dodatek zjadł prawie wszystko, co mieliśmy.

Kulingile zignorował go i połknął niemal w całości jeszcze albatrosy, unoszące się całymi dniami w powietrzu, w którym czują się dużo lepiej niż na ziemi.

Stopniowo zyskiwała przewagę. Oddech Temeraire'a był bardziej chrypliwy niż przedtem, a i szybkość Iskierki malała. Oba smoki leciały przez cały dzień właściwie bez odpoczynku, jeśli nie liczyć krótkich postojów na zjedzenie złapanej w locie zwierzyny i wypicie kilku łyków wody ze strumienia.

- Tam jest jeszcze jeden - zawołał w pewnej chwili Granby, a jego głos, choć słaby, dotarł w nocnej ciszy także do uszu Laurence'a, i Temeraire oraz Iskierka wylądowali przy lśniącej w świetle księżyca wodzie, żeby się napić. Łapy obu smoków drżały ze zmęczenia, a skrzydła odpadły im niemal do ziemi.

Granby zeskoczył na dół.

- Panie Forthing - powiedział Laurence cicho - zsiadamy i rozbijamy obóz. Przy tych skałach, proszę, z dala od wody.

- Tak jest, sir - odparł równie cicho Forthing; niepowodzenie przygnębiło ich wszystkich.

Temeraire i Iskierka nie wymienili ani słowa. Oba smoki piły długo i łapczywie, po czym, kiedy tylko ludzie zdjęli z nich wszystkie bagaże, ułożyły się na piasku i natychmiast zasnęły. Forthing ustawił awiatorów, którzy utworzyli najeżoną pistoletami i nożami falangę, podczas gdy ochraniający w ten sposób skazańcy napełnili pospiesznie manierki i inne pojemniki, a następnie wszyscy wycofali się w pobliże dających poczucie bezpieczeństwa skał, żeby zjeść suchary i popić je odrobiną gorącej herbaty.

- Wiesz, najgorsze w tym jest to, że oni chyba się nawet nie starali uciec; nie wiem, czy nas w ogóle dostrzegli - powiedział zmęczony Granby, wyciągając nogi, jedną po drugiej, a potem jeszcze raz, żeby rozluźnić zeszywniałe po blisko dwudziestu godzinach lotu mięśnie. Laurence jeszcze nie usiadł, gdyż bał się, że jak już to zrobi, to nie zdoła wstać.

- Masz rację - odparł. - Cała załoga była pod jej brzuchem, osłonięta od słońca, i o ile dobrze widziałem, przez cały czas spali. Smoczyca ani razu nie obejrzała się za siebie. - Pokręcił głową. - Ona też mogła spać. Wiem, że Temeraire to robi podczas długich lotów.

- A przynajmniej drzemać - zgodził się Granby. - Widziałeś te skrzydła? Myślę, że mogłaby na nich dwa razy okrążyć świat, gdyby chciała. Nigdy takich nie widziałem. To nie jest dziki smok; to musi być wynik zabiegów hodowlanych, proszę ciebie, i chciałbym wiedzieć, z jakich smoków ją wyhodowano, zwłaszcza że w tym kraju nie widziałem ani jednego.

- To, że nie podjęli żadnych środków ostrożności, zdaje się przemawiać za tym, że nie można ich tu zobaczyć - włączył się do rozmowy Tharkay. - Nie widzieli nas, ponieważ się nie rozglądali; nie pomyśleli nawet, że ktoś może ich ścigać.

- Myślisz więc, że mają ją skądinąd? - zapytał Granby. - Może podobne do niej żyją na Jawie i tych wszystkich wyspach, między którymi trzeba latać, ale chciałbym wiedzieć, jak to się stało, że nigdy jeszcze nie widzieliśmy jednego z nich. Przypuszczam, że jej jajo mogłoby być warte i pół miliona funtów.

- Dałbym nawet więcej - powiedział Laurence, patrząc na Temeraire'a, tak wycieńczonego, że nie czekał nawet na otarcie mu pyska z czerwonego pyłu, który zebrał się na nim podczas podróży, tylko z miejsca zasnął z głową przekrzywioną w jedną stronę - za coś, co pomogłoby nam ją dogonić.

Ponieważ ścigana smoczyca i tak już im uciekła, poczekali następnego dnia na Cezara, który przyleciał kompletnie wyczerpany i głęboko niezadowolony.

- Cóż - powiedział - widzę, że nie odzyskaliście jaja mimo tej szalonej pogoni, a tymczasem ja przez cały dzień musiałem się mozolić z tym wielkim niezgułą, który na dodatek zjadł prawie wszystko, co mieliśmy.

Kulingile zignorował go i połknął niemal w całości jeszcze jednego kangura. Skargi Cezara nie były tak zupełnie bezzasadne: Kulingile widocznie urósł w tym krótkim czasie ich nieobecności i rzeczywiście był coraz większym brzemieniem Cezar osiągnął już ciężar około ośmiu ton, ale wydawało się prawdopodobne, że pod koniec dnia Kulingile sam zbliży się do tony

- Nie zgadzam się, żeby Cezar znowu go niósł - oświadczył Rankin. - Nie będziemy hamować jego rozwoju po to, żeby nosił to rozpuszczone stworzenie.

- Powiedziałem, że jest mi przykro - odezwał się piskliwym głosem Kulingile - ale nic nie mogę poradzić na to, że ciągle jestem tak bardzo głodny. Myślę jednak, że dziś mógłbym już polecieć i wtedy nie będę nikogo spowalniał.

- Nie rozumiem, dlaczego miałbyś polecieć dziś, kiedy nie byłeś w stanie zrobić tego wczoraj lub przedwczoraj - powiedziała lekceważąco Iskierka - nie ma więc sensu mówić czegoś takiego. Ale ja cię poniosę, ponieważ nie jestem z tych, co ciągle narzekają.

Kulingile popatrzył na najeżone kolcami boki Iskierki z lekkim smutkiem, a potem okazało się, że umieszczenie go na jej grzbiecie jest czymś w rodzaju prawdziwie kłopotliwej łamigłówki, przy czym rola tworzących jego uzbrojenie kolców nie była w żadnym razie nieistotna.

- To musi wystarczyć - powiedziała Iskierka. - Przywiążcie go teraz; a ty lepiej się już nie wierć.

Dorset wygramolił się z gardła Temeraire'a po końcowym badaniu i stwierdził:

- Nie znajduję słów, żeby wyrazić, jak poważne są jego obrażenia. Popękało mu wiele naczyń krwionośnych, a te pęcherze po poparzeniach, które były już prawie wyleczone, zmieniły się teraz w otwarte rany. To było całkowicie niewskazane.

Laurence pokiwał głową, ale krótko; rozpamiętywanie tego, co już się stało, nie miało sensu.

_ Co pan zaleca?

_ Odpoczynek - odparł Dorset - odpoczynek i delikatną dietę opartą na tłustej, solonej wieprzowinie; ale w obecnych okolicznościach muszę się zadowolić absolutnym zakazem nadwężania gardła. Nie odpowiadam za konsekwencje, jeśli on spróbuje znowu zaryczeć, zanim będzie całkowicie wyleczony; i jeśli można by coś na to poradzić, nie powinien także mówić.

Temeraire'owi niezbyt się podobało, że nie wolno mu się odzywać: to było bardzo irytujące, że zawsze, kiedy coś wymyślił, nie mógł nikomu o tym powiedzieć. A gdy odwracał głowę, żeby coś rzec, Dorset spoglądał na niego gniewnie zza swych okrągłych, pokrytych czerwonym kurzem okularów, całkiem jak świder - Temeraire nie wiedział, czym jest świder, ale miał wrażenie, że musi to być niemiłe stworzenie o wąskim pysku i przenikliwym, pełnym dezaprobaty spojrzeniu - i to, co chciał powiedzieć, zaraz zamierało mu w gardle.

Kiedy mówił, nie odczuwał aż tak wielkiego bólu, by uzasadniało to jego zdaniem konieczność takich ograniczeń, chociaż bardzo pragnął poprawy swojego stanu - poza tym, że dostawał teraz do jedzenia tylko zupy i kleik, w głębokie przygnębienie wprawiało go to, iż nie był w stanie ryczeć. Oczywiście, nie było to tak złe jak niezdolność do latania i dlatego nie mógł się na to uskarżać w obecności Kulingile, który nie potrafił i tego, i tego, ale Temeraire czuł instynktownie, że ryczenie ma szczególne znaczenie dla jego istnienia jako smoka, nawet pomijając zdolność wypuszczania boskiego wiatru, co oczywiście wyróżniało go jako Niebiańskiego.

Zastanawiał się nieco posepnie, czy mógł to być jakiś rodzaj kary, chociaż nie miał zbyt dobrego pojęcia, skąd na niego mogła spaść; ludzie dość często mówili o mściwym bóstwie, ale Laurence zdecydowanie odrzucał pogląd, że Bóg rozdziela kary lub nagrody jeszcze za życia ludzi, chociaż Temeraire nie widział sensu w sądzeniu ich po śmierci, kiedy już nie mogają się cieszyć, ani martwić tymi werdyktami.

Jednak coraz częściej niepokoiła go myśl, że gdyby po tym jak doprowadził Laurence'a do utraty tytułu oraz majątku, sam też utracił zdolność wzbudzania boskiego wiatru, byłoby to w jakiś okropny i wielce nieprzyjemny sposób sprawiedliwe. Martwił się tym bardzo i przywykł prosić wieczorami Emily o rozpakowanie jego pochew na pazury, żeby mógł sprawdzić ich stan i przyglądać się, jak ona je poleruje; a za dnia, podczas lotu, często zerkał na swój wisior.

Uciążliwość nałożonych na niego ograniczeń łagodziło tylko jedno: tak naprawdę nie mieli o czym rozmawiać. Smoczyca o wielkich skrzydłach była daleko przed nimi. Nie znajdowali nawet śladów po obozowiskach obcych, chociaż od czasu do czasu udawało im się wypatrzyć na ziemi kilka kości lub zakrwawiony strzęp futra czy też wyżłobione w piasku linie w miejscach, gdzie smoczyca lądowała z rozczapierzonymi pazurami, a raz, obok jednej z wodnych dziur, przy której zatrzymała się, żeby zaspokoić pragnienie, zobaczyli ślady jej łap oraz odciski ludzkich stóp świadczące o tym, iż jej załoga także zesłała na ziemię. Tharkay popatrzył na nie i powiedział: - Cztery, a może i pięć dni - i to było po zaledwie tygodniu lotu: już wtedy tak bardzo ich wyprzedzała.

Leciała po prostej linii niemal dokładnie na północ, z odchyleniem tylko kilku stopni na zachód. Laurence wykreślił jej kurs na swoich mapach i wydawało się - nie byli pewni swojego obecnego położenia na wielkiej białej płamie, jaką było na nich wnętrze kontynentu, co nieco utrudniało obliczenia - że prowadzi on do wygodnej zatoki przy dalekim wybrzeżu, którą dopiero niedawno odkryto i zbadano.

- Wyróżniono ją spośród innych, o ile wiem - powiedział Laurence - i3^0 Przeznaczoną do dalszych badań; z uwagi na bliskość Jawy może mieć dużą wartość dla żeglugi między ar- ^?pelagami i stamtąd do Chin oraz Indii.

Tak więc znali cel jej podróży, z dużym prawdopodobieństwem, i nie pozostało im nic innego, jak lecieć w tamtym kierunku. Laurence zasugerował, z lekkim wahaniem, że ze skradzionego jaja mogło się już wykluć młode lub zrobi to lada dzień i że w takiej sytuacji będzie ono pod opieką smoczycy. Wszystko to było prawdą i w znaczącym stopniu zmniejszyło niecierpliwość Temeraire'a, ale nie zwolniło ich od obowiązku: w końcu ona była obcym smokiem; nie znali jej, nie wiedzieli, czy potrafi poradzić sobie z jajem i młodym, jak próbował wytłumaczyć Laurence'owi za pomocą tylu słów, które pozwolił mu wypowiedzieć Dorset, czyli niewielu.

Poza tym Temeraire nie bardzo rozumiał, dlaczego ona tak rzadko ląduje i wyraźnie woli pozostawać w powietrzu, niemal bez końca. Nie wydawało mu się to bardzo interesujące czy praktyczne, chociaż kiedy patrzył na mapy, myślał - nie wyrażając tego na głos - że jeśli smok jest w stanie tak długo utrzymywać się w górze, to dotarcie do następnego lądu, ostatecznie nie tak bardzo odległego, nie musi być dla niego zbyt trudne. Z północnego wybrzeża kontynentu do Jawy lub Indonezji było jakieś dwieście mil. Nawet bez szczególnie wielkich skrzydeł można było dokonać takiego przelotu, jeśli się tego bardzo pragnęło, a dalej

wszystko wydawało się leżeć jeszcze bliżej siebie. Z Jawy do Syjamu można było przelecieć, nie tracąc ładu z pola widzenia, i wtedy do Chin byłoby już naprawdę blisko, jeśli chcieliby się je odwiedzić.

Przesypiali teraz upalne dni i lecieli tylko wieczorami oraz chłodnymi, ciemnymi nocami, odnajdując drogę głównie według gwiazd; co jakiś czas Laurence dotykał barku Temeraire'a i podawał cichym głosem jakieś małe poprawki, wyznaczone za pomocą kompasu, którego wskazania sprawdzał w świetle latar ni. Pewnego popołudnia, kiedy razem oglądali mapy, Laurence powiedział do niego cicho:

- Przykro mi, proszę zapomnij o takim locie.

- Ale przylądek Jork... - zaprotestował Temeraire, mając na myśli najbardziej wysunięty na północ punkt kontynentu. Na mapie między nim a południowym wybrzeżem wielkiej wyspy oznaczonej jako NOWA GWINEA był tylko malutki odstęp. Odległość nie mogła być większa niż jakieś sto mil.

- Z tych nielicznych raportów, które mamy, wynika, że przylądek Jork jest porośnięty przez niemal nieprzebytą dżunglę - odparł Laurence - a nawet gdybyśmy dotarli do Nowej Gwinei, nasza sytuacja niewiele by się poprawiła. Do najbliższej większej wyspy mielibyśmy niemal dwieście mil otwartego oceanu, i drugie tyle do Jawy. Z taką podróżą wiązałoby się ogromne niebezpieczeństwo. Każdy mały błąd łatwo mógłby prowadzić do katastrofy. Zachmurzone przez cały dzień niebo, zły pomiar czasu, silniejszy wiatr przeciwny - i wszystkie szacunki, wszystkie plany okazują się nic niewarte, a ty wiesz nad wodnym bezkresem i nigdzie nie widzisz ziemi. Wyobraź tylko sobie to straszne uczucie zagubienia, kiedy przez cały czas towarzyszy ci świadomość, że może właśnie w tej chwili oddalasz się od ostatniego skrawka stałego ładu, a jednocześnie nie jesteś w stanie skrócić z wytyczonego kursu.

Temeraire lekko westchnął: nie powiedział ani słowa, ale Laurence i tak wszystkiego się domyślił. Położył teraz rękę na jego pysku i pogłaskał delikatnie. Smok spróbował zapomnieć o swoim pomysle, chociaż wcale nie myślał, że byłoby to aż tak niebezpieczne, jak mówił Laurence, gdyby tylko poczekali na dobrą pogodę. Przeleciał już kiedyś dwieście mil w ciągu jednego dnia, chociaż nad stałym ładem.

Nie pokonywali teraz dużych odległości; było zbyt gorąco,

lecieć daleko, a poza tym każde z nich nosło spory ciężar, pomimo wcześniejszych przechwałek Iskierka narzekała na Ku- lningile, i nie bezpodstawnie. Nadal jadł ogromnie dużo i ciągle rósł, niezależnie od tego, co mu się mówiło lub jak mocno szturchało, żeby odgonić go od posiłków, które się samemu jeszcze spożywało, nawet jeśli z powodu bólu gardła przebiegało to trochę wolno.

Temeraire był obciążony wszystkimi ludźmi oraz ich rzeczami, chociaż w końcu kilku awiatorów przeniosło się na Cezara. Teraz, gdy był on już wystarczająco duży, żeby temu podołać, Rankin wziął ich do swojej załogi, a po pewnym namyśle - i dyskusji z Cezarem - utworzył z kilku bardziej solidnych skazańców załogę naziemną.

Temeraire spodziewał się kolejnego narzekania, a tymczasem stało się coś wręcz przeciwnego. Kiedy pan Fellowes założył mu dodatkowe pasy uprzęży, Cezar zaczął się tym tak pysznić, że było to zupełnie nie do zniesienia. Nauczył się także nazwisk wszystkich członków swojej załogi i za każdym razem po wylądowaniu wygłaszał komentarze w rodzaju: - Pan Derrow, mój chorąży, świetnie się dzisiaj spisał; bardzo dobrze rozłożył ciężary na moim zadzie - albo: - Dobrze jest mieć prawdziwą załogę naziemną, zamiast jednego lub dwojga nieoficjalnych pomocników, zawsze będę to twierdził. Jest to bardzo korzystne, kiedy chce się być dobrze wyszorowanym w jakimś miejscu albo mieć nieco lepiej wyregulowaną sprzączkę uprzęży.

Cezar narzekał natomiast na Kunlingile, ciągle, jakby każdy kęs jedzenia, który przełknął mały smok, został wyrwany z jego pyska. Upierał się również, że go okradają, chociaż dostawał sprawiedliwie wydzielone porcje, a tak naprawdę, zdaniem Temeraire'a, o wiele

większe, niż mu się należało ze względu na jego rozmiary i szanse dalszego rozwoju, wyglądało bowiem na to, że nie przybierał już na wadze tak szybko jak przedtem. Kiedy Dorset to powiedział, dodał, że nie ma się co dziwić gdyż od chwili, kiedy się wyklął z jaja, minęły już trzy miesiące. Zaskoczyło to Temeraire'a; czy rzeczywiście byli w drodze od tak dawna?

- Nawet dłużej - odpowiedział zmęczonym głosem Laurence, ocierając rękawem pot z czoła - i zanim w tym tempie dotrzemy do wybrzeża, upłyną jeszcze ze dwa tygodnie.

- Laurence - odezwał się cicho Granby - pomyślmy lepiej także i o tym, jak zamierzamy wrócić. Nie chcę krakać, ale... Z każdym dniem Kulingile jest coraz większym problemem. Wiem, że jeśli chodzi o smoki, to jest wielkości królika, ale bez funkcjonujących pęcherzy powietrznych staje się tak ciężki, jakby był odlany ze złota. Myślę, że Iskierce łatwiej byłoby nieść na grzbiecie Cezara niż tego małego żarłoka. Jeśli nic się nie zmieni, nie wiem, jak sobie z nim poradzimy w drodze powrotnej.

Demane podслуchał wystarczająco dużo z jego słów, żeby się zaniepokoić, i Temeraire zobaczył, jak z pewną desperacją przekonuje Kulingile:

- Nie możesz tyle jeść, nie możesz. Obiecuj mi, że dziś ograniczysz się do połowy kangura.

Kulingile odpowiedział smutno:

- Postaram się; tylko że bardzo trudno jest zatrzymać się po zjedzeniu połowy czegoś, kiedy druga połowa leży przede mną - z czym Temeraire musiał się zgodzić, gdyż trudno było odeprzeć taki argument.

Kulingile przynajmniej jadł niemal wszystko, nie przerywając. Kiedy schwyтали znowu kilka kazuarów, pożarł dwa razem z piórami, nie musieli zatem trudzić się ich oprawianiem.

Temeraire spróbował małego skrzydła, by poczuć smak czegoś innego niż zupa, i stwierdził, że bardzo trudno się je gryzie. Poza tym pióra wchodziły mu między zęby i dziwnie smakowały, jakby próbował jeść coś w rodzaju sznura lub płótna żaglowego.

Zrezygnował zatem i oddał skrzydło Gong Su, żeby dodał je do zupy P° czym pokręcił głową z rozczarowaniem. Kulingile wzruszył barkami i powiedział: - Ja i tak to tylko połykam - po czym odchylił głowę do tyłu i posłał do żołądka resztę ptaka, wierząc się przy tym trochę, żeby jedzenie szybciej dotarło do jego brzucha.

__ Pewnie tak jest łatwiej wszystko zjeść - odezwał się Cezar - zanim inni zdążą spróbować, ale chciałbym wiedzieć, jaką z tego można mieć przyjemność.

Temeraire prychnął z milczącą dezaprobatą, gdyż Cezar sam pożarł dwa ptaki i nie potrzebował więcej, ale prawdą było i to, że sam również nie rozumiał, jak Kulingile może smakować jedzenie, skoro pochłania je tak szybko.

Temeraire stwierdził, że jego myśli płyną swobodniej, kiedy leci, pod gwiazdami niezmiennie wolno obracającymi się nad ich głowami, a popołudniami, kiedy nie mógł mówić, nikt nie prowadził z nim rozmów, które przerywałyby ciszę. Dni mijały jeden po drugim, tak podobne do siebie, że trudno je było odróżnić i zapamiętać. Ziemia w dole przesuwała się pod nimi, a pył szeptał na jego skrzydłach, kiedy chował pod nimi głowę, żeby odpocząć w gorącym wietrze.

Wolał lecieć w nocy, a potem leżeć przez całe dni w promieniach słońca, które przyjemnie grzały jego ciało. Każdego ranka po znalezieniu wody lądowali i rozbijali obozowisko.

Temeraire upewniał się, że Laurence oraz reszta członków jego załogi urządzili się bezpiecznie na skałach i że ktoś patroluje piaski, na wypadek gdyby zdradzieckie buniipy chciały znowu zaatakować, po czym wyciągał się wygodnie na ziemi i przesypiał kilka godzin w miłym skwarze.

Tego dnia obudził się po jakimś czasie, ziewnął i uniósłszy głowę, popatrzył na cienie. Było trochę po dwunastej i nadal bardzo gorąco; cieszyło go, że nie musi lecieć. Podniósł się z ziemi podszedł do wodnej dziury, żeby się napić, i wracając, popatrzył ze zdumieniem na Kulingile, który wyglądał bardzo dziwnie- jego boki znowu napęczniały, ale dużo bardziej niż

poprzednio i spał w nieprawdopodobnej pozycji, ze zwisającym łbem i przednimi łapami, które nie sięgały ziemi. Temeraire pochylał głowę i trącił go nosem, a Kulingile nie przewrócił się na bok ani nie położył się wygodnie, tylko wznosił się nieco w powietrze, jak korek na fali, i opadł obok na ziemię.

Uniósł głowę i zamrugał oczami.

- Spałem - powiedział z wyrzutem.

- Co ty robisz? - zapytał Temeraire, nie mogąc poskromić ciekawości. - Próbujesz latać?

Wyrwany ze snu Dorset, zirytowany i zaspany, rzekł:

- Można się było tego spodziewać, zważywszy na tempo jego wzrostu - i chciał się znowu położyć spać bez dalszych wyjaśnień.

- Co pan miał na myśli, mówiąc, że można się było tego spodziewać? - zapytał Rankin. - Mamy już dosyć tych wymijających odpowiedzi, panie Dorset: co z nim będzie? Nie przypominam sobie, żebym słyszał o smoku, który by się bezwiednie unosił w powietrzu. Chcę się natychmiast dowiedzieć, czy on będzie dla nas jeszcze większym ciężarem.

- Od czasu do czasu widuję coś takiego wśród młodych Regal Copperów - odparł Dorset swoim najbardziej uszczypliwym tonem; nie lubił upałów i jeśli nie spędził dnia w cieniu, wieczorami na twarzy miał czerwone wypieki - to wskazówka, że osiągnie wagę przynajmniej dwudziestu czterech ton, kiedy już dorośnie.

Jego odpowiedź całkowicie uciszyła Rankina. Temeraire nie miał nic przeciwko temu, ale że wszyscy inni też umilkli - nie mógł się powstrzymać, by nie popatrzeć z powątpiewaniem a Kulingile. Mały smok rzeczywiście rósł bardzo szybko, ale to jeszcze niewiele mówiło, zwłaszcza że kiedy zaczął, był wielkości pazura Temeraire'a, a teraz osiągnął długość może jednej czwartej jego ogona.

- Dorset - odezwał się po chwili Granby z takim samym powątpiewaniem - chyba nie chcesz powiedzieć, że jesteś tego całkowicie pewny?

- Że on będzie smokiem wagi ciężkiej, tak, jestem tego pewny, zwłaszcza teraz, gdy jego pęcherze w końcu się napełniły - odparł Dorset. - Musicie pamiętać, że chociaż nazywamy je powietrznymi, wypełniają je gazy lżejsze od powietrza. Nie mogę jeszcze powiedzieć, ile konkretnie będzie ważył Kulingile, ale dysproporcja rozmiarów jego pęcherzy w stosunku do reszty ciała jest tak ogromna, że przewyższa wszystkie znane mi z zapisów przykłady, a każde młode, które na jakimś etapie rozwoju potrafiło całkowicie skompensować ciężar siłą wyporu, osiągało ostatecznie naprawdę wielkie rozmiary.

Nikt już potem nie miał zbyt wiele do powiedzenia, tylko Emily pisała radośnie i walnęła Demane w ramię, który wyglądał tak, jakby nie do końca wierzył w to, co usłyszał, i zarazem był oszołomiony ze szczęścia.

- A więc on nie umrze? - zapytał.

Temeraire był trochę wewnętrznie rozdarty z powodu tej całej sprawy: wprawdzie musiał się pogodzić z utratą Demane, ale z drugiej strony ogromną satysfakcją sprawiało mu to, iż okazało się, że miał rację, a raczej, że rację miał Laurence. Temeraire mógł sobie jednak przypisać tę zasługę, że zaufał Laurence'owi, jak powinien czynić każdy, oraz że spełnił dobry uczynek, co przynajmniej tym razem przyniosło tak dobry rezultat. Nastrój dodatkowo poprawiało mu wyraźne niezadowolenie Rankina, a także to, że Cezar nie będzie mógł się dłużej awanturować i tyle narzekać na Kulingile, bo ten go w końcu przerośnie.

- Uwierzę, jak to zobaczę - powiedział wyniośle Cezar a potem spróbował wykraść kolejnego z kazuarów, które Gong Su gotował dla Temeraire'a, i udałoby my się, gdyby Téméraire go nie odstraszył, kłapiąc zębami tuż przy jego zadzie.

Kulingile przyjął wieści bardziej spokojnie.

- I tak nie zamierzałem umierać - pisał, gdyż napełnienie pęcherzy najwyraźniej nie zmieniło jego głosu - ale się cieszę, jeśli to oznacza, że będę mógł więcej jeść i nikt nie będzie mnie z tego powodu poszturchiwać. - Rozłożył skrzydła i trochę nimi pomachał, co sprawiło,

że z alarmującą szybkością zaczął się unosić w górę; Temeraire musiał wyciągnąć łapę i chwycić go za ogon, ale nawet wtedy mały smok pozostał w powietrzu. - Popatrz, Demane, popatrz na mnie-zawołał i machając jednym tylko skrzydłem, obrócił się dookoła.

- To z pewnością lepsze od bycia ciężkim kłosem na ziemi - odezwała się Iskierka - i cieszę się, że nie będę cię musiała dłużej nosić, ale smok, który robi coś takiego, wygląda śmiesznie. Powinieneś albo wylądować, albo nauczyć się prawidłowo latać.

Ale nawet ta krytyka nie popsuała nastroju Kulingile i Demane musiał go uwiązać linia, którą Temeraire pozwolił przymocować do swojej uprzęży, jako że wszystkie kamienie wokół były płaskie i nie bardzo nadawały się do tego celu.

Kolejną osobą niezadowoloną z rozwoju sytuacji był Sipho, ale kiedy odszedł na bok, żeby szukać pociechy w nauce, Temeraire samolubnie nie miał nic przeciwko temu. Był bardzo zadowolony z tego, że w końcu znalazł kogoś, kto mógł mu czytać Dialogi konfucjańskie na głos, i to poprawnie, a kiedy Sipho trafiał na znak, którego jeszcze nie znał, rysował go w powiększeniu na ziemi i Temeraire tłumaczył mu jego znaczenie, co bardzo dobrze służyło ich celom, a ponadto Temeraire nie czuł się tak winny, jak wtedy, gdy zmuszał Emily lub Laurence'a do pisania dla niego tak dużych znaków, żeby mógł je zobaczyć.

_ Ucz się tak dalej, a garb ci sam wyrośnie - powiedział Demane z dezaprobatą i szturchnął brata między łopatkami; Sipho machnął na niego ręką i odparował z urazą w głosie:

_ Przynajmniej nie spędzam całego czasu na napychaniu brzucha tłustego smoka, któremu nie chce się polować dla siebie, nawet teraz, gdy już może latać.

Nazywanie lataniem tego, co Kulingile obecnie robił, było grubą przesadą. Tak bardzo przywykł do snucia się po ziemi, że zdaniem Dorseta nie zdołał rozwinąć w sobie prawidłowych instynktów i musiał się teraz uczyć wszystkiego od początku. Wbrew pozorom wyglądało na to, że bycie tak lekkim wcale mu w tym nie pomagało. Chociaż bardzo łatwo wzbijał się w powietrze, to często leciał potem w zupełnie innym kierunku, niż tego chciał, a jeśli machał skrzydłami zbyt energicznie, wpadał na wszystko, co znajdowało się w okolicy. Z pewnością nie był jeszcze gotowy polować, chociaż nikt nie wątpił w jego entuzjazm i wiarę, że ten dzień w końcu nadejdzie; przede wszystkim nie wychodziło mu nurkowanie.

Demane trzepnął brata w ucho.

- Powinieneś mi pomagać, zamiast siedzieć tu i psuć sobie wzrok - powiedział surowym tonem. - Jesteś bardzo głupi: mamy własnego smoka, nie rozumiesz tego? Kiedy jeszcze trochę urośnie, będzie mógł polować i walczyć, a wtedy oni nie będą mogli nam niczego zrobić.

- Kto? - zapytał Sipho; Temeraire zastanawiał się, czy Demane ma może na myśli bunyipy.

- Ktokolwiek! - odparł niecierpliwie Demane.

- Dlaczego inni mieliby nam coś zrobić, jeżeli nie będziemy im zagrażać? - zapytał Sipho. - A jeśli właśnie to masz na myśli, wówczas posiadanie ogromnego smoka oznacza tylko, że będziesz musiał walczyć więcej, a wróg i tak będzie próbował cię unieszkodliwić, więc wcale nie wydaje mi się, by to było bardzo bezpieczne.

- Nie mam na myśli wroga - odpowiedział Demane. - pra wo zrobiło z naszego kapitana więźnia i zabrało mu wszystko co posiadał; a co będzie, jeśli zechcą zrobić nam to samo? O to mi chodziło.

- Wtedy uciekniemy - odparł Sipho - tylko że teraz mamy wlokącego się za nami smoka, więc nie będzie trudno nas znaleźć. A poza tym - dodał złośliwie, przecząc poprzednim słowom - spodziewam się, że nie pozwolą ci go zatrzymać, teraz, gdy już wiadomo, że będzie żył i wyrośnie na ogromną bestię; będą chcieli dać go komuś innemu. I wcale mnie to nie zmartwi.

Demane trzepnął go jeszcze raz w głowę i odszedł sztywnym krokiem, ale później tego samego popołudnia zapytał cicho Emily:

- Nie sądzisz chyba, że by to zrobili; że by mi go zabrali?

- W jednej chwili-odrzekła z roztargnieniem, nie odrywając wzroku od pistoletu, który rozebrała na części, żeby go wyczyścić - gdyby mieli szansę. Wydaje mi się, że słyszałam, jak ten wyskrobek Widdlow namawiał Flowersa, by spróbowali zrobić coś takiego. - Kiedy Demane nic nie odpowiedział, uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. - Nie bądź osłem - dorzuciła - to tak nie działa. Zapytaj Temeraire'a, czy sam zamieniłby Laurence'a na kogoś innego.

- Z całą pewnością nie - odpowiedział Temeraire - chociaż - nie mógł się oprzeć pokusie dodania po cichu, tak by Dorset go nie usłyszał - nie wykluczam, że Kulingile może być bardziej zmienny w uczuciach, ale gdyby taki się okazał, możesz jeszcze dojść do przekonania, że wołałbyś zostać w mojej załodze; a jeśli tak się stanie, będziesz w niej mile widziany.

- Dosyć tego mamrotania, na dodatek wielce niestosownego - odezwał się Dorset, nie unosząc głowy, chociaż gardło wcale już t3^ Temeraire'a nie bolało, z wyjątkiem chwil, kiedy było szczególnie suche lub kiedy okazywało się, że przez cały dzień n;e znaleźli wody. - Wydawałoby się, że dorosły smok powinien lepiej nad sobą panować i nie żywić aż takiej urazy do małego. Uważam, że twoje zachowanie jest nadzwyczaj niegodne.

- Co ty powiedziałaś mojemu kapitanowi? - zapytał podejrzliwie Kulingile, obudziwszy się z drzemki. Poruszył się przy tym dość gwałtownie, przez co znowu wzniósł się w powietrze, i próbując zbliżyć się do Demane, zdołał jedynie przewrócić niechcący zarówno jego, jak i Emily.

- Nic takiego - odparł Temeraire, ponieważ nie mógł więcej mówić: Dorset mu zakazał. Poza tym on przecież tylko próbował pocieszyć Demane na wypadek, gdyby Kulingile okazał się fałszywcem. Jeśli Kulingile dochowa mu wierności, na pewno nikt nie będzie się wtrącać w ich sprawy, a ponadto Temeraire uważał, że nie postąpił wcale tak niegodnie, jak powiedział Dorset, bo Demane należał przecież najpierw do niego.

Laurence zauważył, że niechęć do Demane, którą dało się już dostrzec wcześniej, przybrała teraz inną postać. O ile poprzednio awiatorzy krytykowali wysiłki, jakie podejmował, żeby zachować przy życiu bezużyteczne smoczątko, spowalniając tym samym poszukiwania ostatniego jaja i zmniejszając szanse jego odzyskania, teraz bez żadnych wahań sprzeciwiali się przejęciu przez niego tego samego stworzenia, jako czemuś niezasłużonemu i niestosownemu. W ich środowisku przestrzegano zwykle zasady, zgodnie z którą wszelkie ingerencje w stosunki między smokiem a jego kapitanem są niedopuszczalne, ale jak sam Laurence dobrze wiedział, zasadę tę można było nagiąć, kiedy ten kapitan nie był uważany za prawdziwego awiatora.

Wspominał z niesmakiem szyte grubymi nićmi próby oddzielenia go od Temeraire'a w początkowym okresie ich związku i zastąpienia sprawdzonym porucznikiem, które ci ludzie podejm0 wali z całkowitym lekceważeniem uczuć smoka, posuwając się nawet do kłamstw. Laurence był wtedy zbyt niedoświadczony i niedoinformowany, żeby zorientować się w sytuacji. Teraz było już inaczej, ale miał zbyt słabą pozycję, by się odzywać, nawet wtedy, gdy słyszał zazdrosne szeptki tych ludzi, przekonujących siebie nawzajem, że tym razem ich ingerencja jest nie tylko dopuszczalna, ale i konieczna, że jest ich obowiązkiem.

Znając temperament Demane, można też było łatwo przewidzieć, że nie puści płazem takiej obrazy, a miał środki, by ją pomścić. Chociaż zdaniem Laurence'a nie skończył jeszcze piętnastu lat i był trochę niski, być może z powodu zbyt ubogiej diety w dzieciństwie, szybko się ostatnio rozwijał, a do ćwiczeń z pistoletami oraz szpadą podchodził z istic krwiożerczym zapalem.

- Nie powiem ci, żebyś to przeżył bez protestu - tłumaczył mu Laurence - ale pamiętaj, że wszystkie twoje gesty i zachowania dowodzące braku panowania nad sobą lub lekceważenia praw Korpusu mogą tylko zaostriżyć ich uprzedzenia do ciebie i zmniejszyć

prawdopodobieństwo tego, że otrzymasz oficjalne uznanie swojego stanowiska; co zresztą nie nastąpi szybko, tego możesz być pewny.

- Żaden z nich nie chciał go przedtem - odparł Demane z roziskrzonymi z gniewu oczami. - Zamierzali rozbić mu głowę i zostawić, żeby tam zgnił, a potem nie chcieli mu dawać jedzenia...

- Dostyc tego, Demane; spełniali tylko swój obowiązek, tak jak go rozumieli - rzucił Laurence; choć oburzenie Demane było całkowicie uzasadnione, nie chciał go jeszcze podsycać, przyznając mu rację. - Pomylili się w ocenie sytuacji, a ty nie popełniłeś tego błędu. Ta satysfakcja powinna dać ci siłę do znoszenia głosów żalu, zupełnie naturalnych wśród ludzi widzących chłopca, który tak wcześnie objął wysokie stanowisko, podczas ^y im zostało tak niewiele możliwości awansu.

_ Nie byliby tak przeciwni, gdyby to był Widener - mruknął Demane, ale zaraz umilkł, gdy Laurence zmierzył go surowym spojrzeniem.

_ Widener jest tępakiem, więc oczywiście byliby przeciwni - powiedziała Emily karcącym tonem do Demane, kiedy usiadł obok niej w cieniu. - Przestań być tak piekielnie drażliwy. Oczywiście, że oni wszyscy są o ciebie zazdrośni. Przejdzie im, kiedy wykazesz się w jakiejś prawdziwej akcji.

- Łatwo ci mówić - wybuchnął. - O tobie nikt nie powie, że nie jesteś awiatorem i że powinno się ciebie odesłać do Afryki.

- A ty za to nie musisz walić porucznika po łbie za wsuwanie ci ręki pod koszulę - palnęła Emily, na Co wzburzony Laurence uniósł gwałtownie głowę. - Nie, nie zamierzam mówić, który to zrobił - dodała w odpowiedzi na natychmiastowe pytanie Demane, zanim Laurence zdążył je zadać. - Był pijany, a potem bardzo tego żałował i mnie przeprosił; szczerze przeprosił, a nie dlatego, że był cwany. Myślę, że cwaniak bałby się spróbować, zwłaszcza teraz, gdy mama jest lordem admirałem. Poza tym - ciągnęła, nieco zbyt szczerze - nie wiem, czy miałabym coś przeciwko temu, gdyby on nie był tak pijany.

Ku wielkiej konsternacji Laurence'a Demane i w tej sprawie wykazał zatrwającą małą skłonność do wybaczenia, a jego oburzenie było aż nadto widoczne; co dało Laurence'owi nowy powód do niepokoju. Uświadomił sobie, że zanadto zaniedbał swoje obowiązki względem Emily. Może i nie była oficjalnie pod jego dowództwem, ale z pewnością nadal był za nią odpowiedzialny, a on pozostawił ją samą, nie otaczając jej w żaden widomy sposób swoją ochroną. Pozwolił jej zadawać się z innymi kadetami i gońcami, chociaż wszyscy osiągnęli ten wiek, kiedy było to już wyraźnie niewskazane; sugerowało to brak troski i mogło zachęcać innych mężczyzn do niestosownych zachowań

Jako że w ich grupie nie było ani jednej kobiety, znalezienie jakiejś przyzwoitki dla dziewczyny było obecnie niemożliwe a poza tym nie miał wątpliwości, że Emily i tak z dużą niechęcią zareagowałyby na jakąkolwiek próbę poddania jej nadzorowi.

- Po co? - zapytał Granby z tym całkowitym lekceważeniem kwestii reputacji, któremu Laurence przestał się już dziwić, ale wciąż jeszcze reagował na jego przejawy westchnieniem. - Jeśli spodoba się jej Demane lub ktokolwiek inny, nie stanie się nic złego, po prostu urodzi wcześniej dziecko. Bóg jeden wie, jak bardzo chcielibyśmy utrzymać Ekscidiuma w uprząży przez jeszcze przynajmniej dwa pokolenia, jeśli byłoby to możliwe. Już obecnie zna nasze wszystkie szyki lepiej niż dziesięciu oficerów razem wziętych. A jak świadczy o tym przykład Harcourt, nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć. Czasem potrzeba kilku prób, zanim dostanie się dziewczynkę. Ale powiem ci - mówił dalej Granby - trochę się martwię o tę sprawę z Demane. Wstawię się za nim tam, gdzie będę mógł, kiedy już wrócę do Anglii, i nie spodziewam się, by admirał Roland chciała mieć cokolwiek wspólnego z tą gadaniną, że on nie należy do Korpusu. Ale to wciąż oznacza, że przez półtora roku będziesz tu musiał z tym walczyć i użerać się z Rankinem, który moim zdaniem będzie stale podburzać ludzi, szuja.

- Jeśli o to chodzi - odparł Laurence - w razie potrzeby przeniesiemy się do doliny lub znajdziemy inną, i to zakończy sprawę.

Czy to zachęcony przez Rankina, czy też na własną rękę, Blincoln - najwyraźniej uważając, że jako człowiek, któremu początkowo oferowano jajo, ma pewne prawo do drugiej szansy - podjął próbę odzyskania Kulingile. Podczas jednego z postojów wziął strzelbę, którą jako były strzelec pokładowy świetnie władał, i wyruszył ukradkiem na polowanie. Wrócił, kiedy niemal wszyscy w obozie już spali, ze świeżo zabitym kazuarem, którego dał małemu smokowi. Laurence obudził się akurat na czas, żeby zobaczyć, jak Kulingile rzuca się z wyraźnym zadowoleniem na zabitego ptaka, a Demane zrywa się na równe nogi i zacisnąwszy pięści, patrzy na to z wściekłością.

Blincoln nie spojrzął w jego stronę, tylko pogłaskał Kulingile po boku i cichym głosem zasugerował mu, że być może wolałby mieć innego kapitana, z odpowiednią rangą i pozycją w Korpusie, który mógłby zapewnić mu nie tylko świeże mięso, ale i okazję do prawdziwej służby.

- Nie - odrzekł obojętnie Kulingile, koncentrując uwagę na jedzeniu. - Mam Demane.

Blincoln zawahał się, po czym zmieniawszy taktykę, powiedział: - To chyba bardzo dorodny kazuar; cieszę się, że ci smakuje - ale Kulingile odparł na to: - Tak, chociaż ten, którego wczoraj dał mi Temeraire, był trochę tłustszy; a ten, którego przedwczoraj zastrzelił porucznik Drewmore, miał nieco lepszy smak. - Tak już przywykł do bycia karmionym przez innych, że nie było czymś zaskakującym, iż nie cenił zbyt wysoko umiejętności polowania.

Po niepowodzeniu pierwszej próby Blincoln chciał się wycofać, ale Demane go zatrzymał. O głowę niższy od porucznika i o przynajmniej pięćdziesiąt funtów lżejszy, spojrzął mu w oczy i drżąc z gniewu, powiedział:

- Jest pan tchórzem i jeśli jeszcze raz spróbuje pan ukraść Kulingile...

Zająknął się i umilkł, nie tyle z niechęci do wygłaszania gróźb, ile raczej z braku pewności, jak daleko może się w nich posunąć, i Blincoln to wykorzystał, wchodząc mu w słowo:

- Mam nadzieję, panie Demane - zaczął z wyniosłą miną - że jest pan wystarczająco rozsądny, by nie żyć złudnymi nadziejami. Żaden chłopiec nie poradzi sobie z zadaniem opieki nad ciężkim smokiem. Jednak pańskie uczucia są całkowicie zrozumiałe i jestem pewny, że gdyby pan okazał może trochę więcej rozsądku, chęci współpracy, moglibyśmy to uznać za dobrą podstawę do pańskiej dalszej, bardziej zrównoważonej i racjonalnie rozwijającej się kariery w Korpusie...

Demane splunął mu pod nogi.

- To za tę zrównoważoną karierę, jakbym miał uwierzyć w któreś z waszych oszustw - powiedział - a jeśli pan myśli, że kiedykolwiek pomogę panu odebrać mi Kulingile, jest pan wielkim głupcem. Jakby on w ogóle chciał mieć takiego kłamliwego tchórza, który chciał mu roztrzaskać młotem głowę. Co do tego „chłopca”, to przynajmniej nie jestem starym, nikomu nieprzydatnym dziadem, którego wysłano na drugi koniec świata, bo nie zasługiwał na swoje dawne stanowisko...

Blincoln spoliczkował go, czego Laurence, gotowy już do interwencji, nie mógł nazwać czymś całkowicie niezasłużonym, nawet jeśli to on ponosił dużą część winy za taki właśnie rozwój sytuacji. Odgłos uderzenia poniósł się daleko w suchym, pustynnym powietrzu i Kulingile, poderwawszy łeb znad posiłku, zobaczył, że Demane, odrzucony siłą ciosu, zatacza się do tyłu.

Kulingile właściwie nie skoczył: ten ruch był bardziej osobliwy, jako że wybił się z ziemi i wylądował na Blincolnie, wciąż unosząc się w powietrzu, ale potem, zrobił wydech, wydając przy tym ostry, syczący odgłos, i napęczniałe pęcherze sflaczały. Natychmiast odzyskał część prawdziwej wagi, co wystarczyło, żeby Blincoln zatoczył się i upadł, przygnieciony do ziemi tym ciężarem.

- Zraniłeś go! - rzucił z wściekłością piskliwym głosem Kulingile. - Zraniłeś go! Demane! - Otworzywszy pysk, wypchnął z pęcherzy jeszcze więcej gazu, a stopniowo miazdżony Blincoln zakaszłał, rozpaczliwie próbując się spod niego wydostać.

- Demane! - krzyknął ostro Laurence, zwracając się w stronę Temeraire'a, który właśnie otworzył zaspane oko; ale Demane był już przy głowie Kulingile i chwyciwszy za linę, którą mały siriok miał uwiązaną na szyi, ciągnął z całych sił.

_ Nie, zejź z niego - mówił gorączkowo - nie wolno ci go zabić, bo będą kłopoty. Popatrz, nic mi się nie stało, nie widać nawet śladu na mojej twarzy.

_ To dlatego, że jesteś czarny, a nie taki miękki i czerwony jak on - odparł Kulingile, ale napełnił znowu pęcherze, z pewną niechęcią, i dał się odciągnąć na bok, zostawiając na ziemi nieszczęsnego Blincolna, który ciężko sapał, z trudem łapiąc powietrze, i zwinął się w kłębek z bólu, którego źródłem było, co się okazało po zbadaniu, kilka złamanych żeber. Dorset owiązał je potem, nie wykazując przy tym nadmiernej delikatności. Nie było już dalszych prób nakłonienia Kulingile do zmiany kapitana, żadnych, które Demane mógłby zobaczyć i którym mógłby się przeciwstawić, a że z determinacją trzymał wartę przy swoim smoku, wykluczyło to możliwość, że takie skryte zabiegi zakończą się powodzeniem.

Koniec ich długiej podróży nastąpił nagle i całkowicie niespodziewanie, chociaż Laurence każdego dnia zaznaczał na mapie postępy wyprawy oraz zapisywał w dzienniku przybliżone dane na temat pokonywanych przez nich odległości oraz miejsc postoju. Przez jakiś czas była to jedyna relacja z ich podróży, jako że ani Granby, ani Rankin, czy też którykolwiek z pozostałych awiatorów, nie mieli pojęcia o prowadzeniu zapisków, które Laurence mógłby uznać za właściwe uzupełnienie jego własnych, a Dorset sporządzał obszernie i całkowicie nieprzydatne notatki na temat poszczególnych liści, jagód czy też zwierzęcych łap • nie potrafił powiedzieć, gdzie jest zachód, nawet wtedy gdy słońce właśnie chyliło ku niemu.

Laurence na próbę wyznaczył O'Deę do tej pracy, ponieważ potrafił on przynajmniej pisać w miarę czytelnie, zwłaszcza teraz, gdy wypocił już z siebie resztki rumu. W rezultacie powstała dość udana relacja, chociaż Laurence wolałby, żeby nie było w niej opisów w rodzaju „Przeklęty Szkarłat tej ziemi, która z pewnością piła Krew Pogan i nieświadomych niczego Podróżników, i wciąż pragnie wypić jej więcej” oraz całkowicie niepotrzebnie udramatyzowanych obrazów jak ten, przedstawiający bunyipy:

...obmierza Bestia wpatrywała się w nas długo i w zamyśleniu, jakby zastanawiała się, kogo wybrać jako należną sobie Zdobycz, chociaż nasz Dar leżał przed nią, bezwładny i zakrwawiony, nim postanowiła obrać łatwiejszą Drogę i wycofała się pod Piaski, by pożreć tam Ciało Kangura, marząc tylko o Przyjemności, jaką dałby jej posiłek, któremu towarzyszyłyby żalodne Krzyki bardziej świadomej swego losu Ofiary.

Przelecieli już ponad pięćset mil od dziwnego monolitu, cały czas ponad bezkresnym pustkowiem, które jeśli się nieco zmieniało, to tylko na gorsze, na bardziej spalone słońcem. Zbliżali się do równika i skwar był niemal niewiarygodny: nad ich głowami przemykały dziwne chmury, a zachody słońca były niezmiernie widowiskowe. Raz widzieli w dali dwie kolejne smugi dymu i przetrwali pół tuzina burz, które zalewały spieczoną ziemię kaskadami wody, tak gwałtownymi, że smoki, chcąc uniknąć tych lejących się z nieba potoków, musiały wznosić się bardzo wysoko.

Nie potrafili ustalić dokładnie swojego położenia; na pojedynczych pomiarach nie mogli polegać, a na pustyni nie było żadnych znanych im punktów orientacyjnych ani niczego, co mogłoby im powiedzieć, gdzie się znajdują. Jednak ich trasa na mapie wskazywała jedynie, że stale zbliżają się do wybrzeża, i pewnego poranka znaleźli się nad szerokim pasem bujnej zieleni, ciągnącej się w obu kierunkach wzdłuż brzegów wartko płynącej rzeki.

Przecieli jej bieg ponownie jakieś dwa dni później, a potem z każdym dniem teren stawał się coraz mniej suchy. Czerwona ziemia wolno zniknęła z pola widzenia, w miarę jak drzewa zbliżały się do siebie i przybyszało źródło wody.

Lecieli nocą, chłodny wiatr w znajomy sposób owiewał im twarze i przyjemnie muskał półprzymknięte oczy Laurence'a, kiedy Temeraire nagle zanurkował, żeby wylądować na szczycie niskiego wzgórza. Laurence obudził się: w powietrzu czuło się sól, a pod nimi światło księżycy srebrzyło wodę, połyskującą powierzchnię, która ciągnęła się w dal, znikając za ciemnym horyzontem. Wyraźnie słyszalny szum oceanu docierał aż do nich. W dole widać było światła - być może obozowiska - ale było ich bardzo dużo i Laurence'owi wydało się, że jedno lub nawet dwa z nich są na wodzie, gdyż zdawały się poruszać na falach. Najpewniej łodzie rybaków, którzy nocą wypłynęli na połów, pomyślał.

- Lepiej rozbijmy obóz tutaj i przyjrzyjmy się im z rana, zanim do nich wpadniemy - zaproponował Granby cichym głosem, żeby się nie poniósł zbyt daleko, i Laurence skinął głową. Nie było wielkich szans ukrycia Temeraire'a lub Iskierki, ale znaleźli stertę skał, wokół której smoki mogły się owinąć i choć trochę się w ten sposób zamaskować, na wypadek gdyby ktoś rzucił pobieżne spojrzenie w ich stronę. Sami rozbili namioty dookoła nich.

- Pomyśleć tylko, że przebyliśmy cały kontynent - odezwał się w zadumie Granby, kiedy pili herbatę. - Ale na Boga, co to będzie za strata czasu, jeśli się okaże, że młode już się wyklulo z jaja.

- Jeśli się jeszcze nie wyklulo - odparł Rankin - to chciałbym wiedzieć, jak zamierzacie odnaleźć to jajo i je odzyskać. Samo to, że udało nam się znaleźć jakąś wioskę krajowców, nie musi wcale oznaczać końca naszych poszukiwań. - Powiedziawszy to odszedł od nich dumnym krokiem i usiadł obok Cezara.

- Niezależnie od tego, czy odnajdziemy jajo, czy też nie - rzekł Laurence - myślę, że to koniec naszej drogi. Młode musi się wykluć już lada dzień, a ponieważ dotarliśmy do tak wyraźnej granicy, mam nadzieję, że oni oboje nie będą już nalegać na dalszy pościg, tak wyraźnie daremny. - Popatrzył na Temeraire'a, który spał cicho, jeśli pominać lekkie chrypienie słyszalne przy każdym jego oddechu.

Położył się spać u boku smoka, a rano obudził się zmęczony i zapytał: - Tak? - zanim jeszcze uświadomił sobie, że przygląda mu się krajowiec: wysoki, z kędzierzawą, zupełnie posiwiąłą brodą. Poza tym był zbudowany jak znacznie młodszy mężczyzna, niż zdawała się na to wskazywać jego twarz. Był żyłasty, dobrze umięśniony, w jednej ręce trzymał dzidę, swobodnie, jakby od niechcienia, a na sobie miał tylko przepaskę na biodra i nic więcej. Dwóch młodszych mężczyzn, nieco bardziej ostrożnych, stało trochę dalej za nim.

- Laurence, może on widział jajo albo tę smoczycę - odezwał się Temeraire, patrząc z zainteresowaniem w dół, co, pomimo bliskości jego zębów, jakoś zdawało się wcale nie niepokoić przybysza. - Czy widziałeś? - zapytał, po czym zaczął powtarzać to pytanie po francusku i chińsku.

- Będziemy musieli spróbować porozumieć się z nimi za pomocą pantomimy i tego, co O'Dea oraz Shipley przypomniał sobie z ich języka - odparł Laurence, wdrapując się na grzbiet Temeraire'a, żeby sprawdzić, dokąd poszli obaj mężczyźni. - Panie O'Dea - zawołał i wezwany przez niego dżentelmen odwrócił się, po czym zszedł z wzniesienia, na którym stał z kilkoma innymi skazańcami, patrząc w dół na morze.

- Sir - odezwał się O'Dea, kiedy już zbliżył się do nich - chcielibyśmy wiedzieć, czy w końcu dotarliśmy do Chin.

Z pewnością nie; dotarliśmy tylko do wybrzeża - odrzekł Laurence. - Nie myślałem, że okaże się pan taki łatwowierny, panie O'Dea. Przecież potrafi pan czytać mapy.

_ Cóż, kapitanie - powiedział O'Dea - potrafisz; ale widziałem już w życiu Chińczyków i mogę powiedzieć, że tam na dole jest ich czterech.

_ Co? - zapytał Laurence, kiedy w tej samej chwili krajowiec odpowiedział Temeraire'owi w łamanej, ale rozpoznawalnej chińszczyźnie.

- Galandoo mówi, że tam są dwa smoki - odparł Temeraire, odwracając głowę.

Laurence chwycił się upręży, szybko zsunął się z jego grzbietu i wspinał na szczyt wzgórza. W rozciągającej się poniżej zatoce kołysała się na kotwicy mała dżonka o wąskim kadłubie i z wiszącymi na jej dziobie oraz rufie latarniami, wciąż zapalonymi, mimo że był już ranek. W pewnej odległości od brzegu stał mały, otwarty pawilon z kamienia i drewna, z dachem, którego cztery ozdobione rzeźbami małych smoków naroża były wygięte ku niebu.

Rozdział 14

L

Laurence nawet nie wyobrażał sobie bardziej krępującego i nieprzyjemnego momentu w ich podróży od tego, kiedy kilkunastu ludzi w eleganckich szatach, tak kontrastujących z jego zwyczajnym i pobrudzonym po długiej drodze ubraniem, padło przed nim na twarz, usłyszawszy wypowiedziane przez Temeraire'a po chińsku słowa:

- Jestem Lung Tien Xiang, a to jest przybrany syn cesarza, William Laurence.

Ta adopcja była użyteczną fikcją, która w swoim czasie pozwoliła zachować twarz zarówno chińskiej, jak i angielskiej stronie. Jednak wykorzystywanie jej w obecnych okolicznościach dla uzyskania osobistej korzyści było zdaniem Laurence'a zarazem nieuczciwe, jak i okropnie żenujące. Od tej chwili ci ludzie nie mogli nie złożyć mu żadnego z formalnych hołdów, których wymagała etykieta dworu ich władcy - choćby dla każdego było jasne, że są one w najwyższym stopniu niestosowne w jego wypadku - gdyż okazałoby w ten sposób brak szacunku dla cesarza, co było zbrodnią karaną śmiercią.

Cała uroczystość powitania odbyła się na oczach Galandoo i kilku innych krajowców, którzy przyglądali się temu z dużym zainteresowaniem. Wszystkie stałe budowle na brzegu wyglądały na chińskie, ale koczowniczy tubylcy najwyraźniej czuli • wśród nich zupełnie dobrze: grupa młodszych mężczyzn, się t ł
oiYŚliwych, niosła właśnie upolowaną zdobycz w stronę dołów
j0 g0t0wania, widać też było kobiety pracujące na ogromnym dziedzińcu pawilonu, które również z zainteresowaniem obserwowały ceremonię.

Nawet jeśli ten akt wzbudził wewnętrzny sprzeciw chińskich dżentelmenów, dobrze ukryli swoje uczucia i powstawszy z piasku, zaprosili ich do pawilonu, gdzie zaraz na progu Laurence zatrzymał się skonsternowany: na kamiennej płycie obok niewielkiej fontanny spała wygodnie mała smoczyca rasy Yellow Reaper, mająca może tydzień, przy której siedziało kilka tubylczych kobiet zajętych pracą z jakimiś kamieniami.

- O, nareszcie jesteście - odezwała się mała smoczyca, uniósłszy głowę, po czym zwróciła się do jednej z kobiet i powiedziała do niej coś w języku, który brzmiał jak miejscowy. - Jestem Tharunka - przedstawiła się, po czym dodała nieco krytycznie: - Sporo czasu upłynęło, zanim mnie odnaleźliście.

- Tyle, że zdażyłaś się wykluć, i nie widzę, byś miała jakikolwiek powód do narzekania - wtrącił Temeraire, wsunąwszy głowę do wnętrza pawilonu. - Chciałbym wiedzieć, kim są ci ludzie i dlaczego cię zabrali?

- Ci tutaj to Larrakia - odpowiedziała Tharunka - i dostali mnie od Pitjantjatjara, którzy z kolei dostali mnie od Wiradjuri; i proszę, nie gniewajcie się na nich, bo rzeczywiście bardzo mnie potrzebowali. Widzicie, wysyłamy towary tak daleko, nawet do was w Sydney, że wszędzie natykamy się na plemiona posługujące się różnymi językami i do tej pory nie było nikogo, kto mówiłby nimi wszystkimi, ale teraz ja mogę, jako że poznałam je wszystkie, kiedy jeszcze byłam w jaju - dokończyła z tonem pewnego samozadowolenia w głosie - i teraz ucę się jeszcze chińskiego; no i dali mi dużo szlachetnych kamieni.

- Gdzie je masz? - zapytała natychmiast Iskierka i Tharunka podsunęła jej nosem duży kosz wypełniony niemal p0 brzegi błyszczącymi opalami, a pracujące wokół niej kobiety polerowały kolejne.

- Nie wiem, jaki może być pożytek z samego tylko kosza klejnotów - powiedział Temeraire później, pijąc lekko parzoną, pachnącą herbatę, zalecaną dla jej chłodzących właściwości. -

Gdyby były oprawione na przykład w złoto, byłyby czymś godnym podziwu, ale przecież nie można nosić kosza. Przynajmniej jeśli się nie chce wyglądać głupio.

- No cóż, a ja chciałabym dostać ich trochę - odparła Iskierka. - Podobają mi się, jak lśnią, te ciemne. Granby, żałuję, że nie zabraliśmy ze sobą więcej złota. Jak sądzisz, czy są tu gdzieś w okolicy jakieś przyzy, które moglibyśmy zdobyć?

Granby bardzo stanowczo tak nie sądził.

Na czele tej placówki stał Jia Zhen, dżentelmen w wieku mniej więcej trzydziestu lat, młody jak na tak odpowiedzialne stanowisko i pełen energii. Z ogromną satysfakcją oprowadził ich po całym pawilonie, wybudowanym dla wygody odwiedzających to miejsce smoków, oraz pokazał stojący pod drugiej stronie dziedzińca dom w chińskim stylu, z którego roztaczał się wspaniały widok na zatokę.

Laurence ogromnie nie lubił mieć wrażenia, że jakaś sytuacja go przerasta, a teraz było nawet gorzej, gdyż Chińczycy mogli oczekiwać, iż z uwagi na swoją rangę będzie bardziej zorientowany w tajnikach etykiety, niż w rzeczywistości był; jednak już podczas tego krótkiego czasu, który spędził na cesarskim dworze, wszelkie uprzejmości i ukłony z reguły wprawiały go w zakłopotanie, i w następnych latach niewiele się zmienił. Nie wiedział, jak taktownie zapytać o cel ich pobytu na tym wybrzeżu ani jak szeroko zakrojone są ich plany: czy zamierzają założyć tu własną kolonię? Nie wydawało się to bardzo prawdopodobne - Chińczycy nie posiadali nawet zaczątków prawdziwej 00ty handlowej. Ta mata dżonka w zatoce wydawała mu się raczej kołyszącą się na falach śmiertelną pułapką, a nie statkiem pełnomorskim, i był naprawdę zdumiony, że jego gospodarze przeżyli tę podróż: szczęście musiało im naprawdę sprzyjać.

_ Przypuszczam, że nie było wam zbyt wygodnie: to musi być ponad dwa tysiące mil oceanu - powiedział niepewnie do Jia.

_ Podróż była męcząca, to prawda - zgodził się Jia. - Blisko dwa tygodnie z dala od lądu! Ale trzeba to było jakoś znieść.

Jego ostatnie słowa stały się dla nich bardziej zrozumiałe tego popołudnia, kiedy przed pawilonem wylądowała smoczyca o ogromnych skrzydłach i ziewnąwszy potężnie, zanurzyła pysk w stojącej na dziedzińcu fontannie, żeby zaspokoić pragnienie.

- W każdym razie nie uda im się dobrze skolonizować tych ziem, jeśli będą wykorzystywać tylko smoki - odezwał się Lau - rence po chwili milczenia, kiedy już ochłonął ze zdumienia: w dwa tygodnie do Chin! Nie sądził, żeby ktokolwiek mógł dotrzeć tam morzem w czasie krótszym niż dwa miesiące, nawet przy sprzyjających monsunach.

- Racja - zgodził się Granby, przyglądając się uważnie smoczycy - ona jest ogromna, ale teraz, gdy widzę ją z bliska, jest dla mnie jasne, że niemal wszystko poszło w skrzydła. Nie wydaje mi się, żeby mogła przenosić ciężary dużo większe od tony.

- Co, niestety, pozostawia bez odpowiedzi pytanie - wtrącił Tharkay - skąd się bierze kilka ton towarów, które co tydzień przemycane są do Sydney, chyba że mają całą armię tych stworzeń - ale tę teorię pomógł im odrzucić Temeraire, chociaż wieści, które przyniósł, były tylko trochę mniej niepokojące: smoczyca, Lung Shen Li, była jedną z tylko czworga żyjących przedstawicieli całkowicie nowej rasy.

- Następca tronu rozkazał wyhodować smoki zdolne do dalekich podróży - wyjaśnił Temeraire. - Ona mówi, że zajęło im to prawie trzy lata i wciąż jest jedyną, która może swobodnie latać tak daleko: pozostałe nie potrafią utrzymać się w powietrzu dłużej niż przez dwa, trzy dni.

- W ciągu trzech lat? - odezwał się Granby, przyglądając się jej pożądliwie; smoczyca wyciągnęła się na słońcu, którego światło przeświecało bursztynowo przez jej masywne skrzydła ukazując sieć ciemniejszych żył i ścięgien. - Tego się nie da zrobić. Potrzeba ich przynajmniej dwudziestu, by uzyskać coś na kształt nowej rasy, a i to tylko wtedy, gdy nie przeszkadza ci możliwość, że te osobniki będą na wpół ślepe lub głuche.

- Och, ale oni wiedzieli, jak to zrobić - odparł Temeraire. - Ona mówi, że jej rasę wyhodowano już za czasów dynastii Ming i że pewne zapisy mówią, jak należy krzyżować osobniki innych ras, by to uzyskać.

- No to dlaczego, do diabła, nie zrobili tego wcześniej? - zapytał Granby.

- Ponieważ - zaczął Laurence, powoli to sobie uświadamiając - nie chcieli tego robić albo, ujmując precyzyjniej, frakcja konserwatywna nie chciała na to pozwolić... To jest skutek śmierci księcia Yongxinga.

Milczeli przez chwilę, zastanawiając się nad konsekwencjami, jakie wyhodowanie tej rasy smoków może mieć dla imperium brytyjskiego... Chiny sięgające daleko poza granice cesarstwa i posiadające środki do realizacji takiego programu.

- Czy myślicie, że będziemy musieli się z nimi spierać o te ziemie? - zapytał niepewnie Granby. - Nie wiem, do jakiej części tego kraju zgłosiliśmy roszczenia; ani gdzie jesteśmy, jeśli już o to chodzi.

Laurence rozłożył mapy na podłodze ich pokoju, ale byli zbyt niepewni co do położenia geograficznego miejsca, w którym się znaleźli, by móc cokolwiek ostatecznie ustalić.

- Myślę, że jesteśmy blisko sto trzydziestego stopnia długo-

schodniej - powiedział w końcu - co umieszcza nas poza sCI. Roszczenie zgłoszone przez Cooka rozpoczyna się od " trZydziesiątego piątego stopnia długości wschodniej. Oczywiście Holendrzy mogą też coś mieć, chociaż niczego sobie na ten temat nie przypominam.

Cóż, ta cała polityka mnie nie obchodzi - oświadczył Granby - ale ktoś w Whitehall będzie chciał o tym wiedzieć, i to zapewne raczej szybciej niż za jedenaście miesięcy od teraz.

Zdawali sobie także sprawę z tego, że władze będą chciały poznać więcej szczegółów.

Dlatego Tharkay wysłiznął się wieczorem na zewnątrz, a po powrocie mógł powiedzieć, że port nie jest wcale taki prymitywny, jak to wygląda z daleka: na mołu były kabestany i dźwigi z wielokrążkami, a wzdłuż nabrzeża zbudowano brukowaną drogę, bardzo szeroką, w stylu chińskim, by mogły się po niej poruszać smoki.

- Przy niej są fundamenty dwóch budynków - dodał - myślę, że magazynów, lub koszar, jeśli wolicie wersję pesymistyczną.

Niezależnie od szerszych politycznych pytań Laurence był wdzięczny losowi za obecność Chińczyków w tym miejscu, gdyż mieli ze sobą dobrego lekarza, którego zabrali na wypadek różnych komplikacji mogących zagrozić zdrowiu przedstawicielki nowej rasy i który z ogromną kurtuazją omówił z Dorsetem stan Temeraire'a oraz zasugerował rodzaj kuracji opartej na lekarstwach z ich własnych zapasów. Ponadto Jia wspaniałomyślnie otworzył szeroko drzwi ich magazynów żywności i Gong Su z wielką energią zabrał się do pracy: Temeraire przez ten tydzień jadł lepiej niż w ciągu ostatnich dwóch miesięcy i już po tak krótkim czasie jego stan, zdaniem Laurence'a, znacznie się poprawił.

Jedzenia było tak dużo, że wystarczało go nawet na zaspokojenie apetytu Kulingile, którego wreszcie zobaczyli po raz pierwszy całkowicie nasyconego, kiedy pochłonął stos świeżo złapanych ryb niemal dorównujący mu wielkością; a poza tym było coś niemal cudownego w tym, że po tak długiej i wyczerpującej podróży spotkali się z tak cywilizowanym i ciepłym przyjęciem znajomym, choć zgotowanym im przez obcokrajowców.

Ale ta wdzięczność wcale nie odwracała uwagi Laurence'a od innej sprawy, od świadomości bardzo realnego niebezpieczeństwa wybuchu konfliktu, jakie reprezentowała ta placówka. Nie chodziło tu tylko o samą obecność Chińczyków lub ich współpracę z tubylcami: dwa dni po ich przybyciu w zatoce pojawiło się kilka prau3 Makassarczyków, którzy przybyli na połów tre- pangów, ogórków morskich. Już wkrótce mała flotylla ich łodzi kursowała wzdłuż brzegu, malajscy nurkowie bez końca skakali z ich burt do wody, a wieczorem wyciągnęli zdobycz na ląd, żeby ją policzyć i odpowiednio przygotować: nad ogniskami zawisły

ogromne kadzie z morską wodą, a trepangi po ugotowaniu były wyjmowane i rozkładane do suszenia na ramach, które leżały w długich, ciemnych szeregach.

Poza tym świeżo zebrany połowem, nurkowie wydobywali także od czasu do czasu perły, tubylcy mieli także zapasy opali i stopy suszonych przypraw korzennych, na wymianę za chińskie towary. Rynek, który powstawał, był wprawdzie jeszcze mały, gdyż tworzył się od niedawna, a poza tym opierał się na ograniczonych zasobach zatoki, ale nabierał kształtu z niezwykłą szybkością.

Jia przekazał im do użytku południowe skrzydło domu, lekkiej konstrukcji w nieznanym im stylu, dobrze dostosowaną do wilgotnego, tropikalnego klimatu dzięki cienkim ścianom, przepuszczającym wiatry, które przynosiły ochłodę. Ponieważ

skazańcy rozbili namioty za budynkiem.

Ludziom wcale się nie spieszyło do powrotu: czterech się rozchorowało, a i Laurence czuł się dziwnie osłabiony. Zmęczenie oraz dziwne okoliczności ich pobytu w tym izolowanym ośrodku cywilizacji na skraju dziewiczego kontynentu wpływały na niego demobilizująco, osłabiając naturalną chęć natychmiastowego doniesienia o tak niezwykłym odkryciu: zwłaszcza że wiedział, iż podróż powrotna niemal na pewno pochłonie kolejne dwa miesiące, a potem upłynie jeszcze przynajmniej sześć, zanim ich wiadomość dotrze do przedstawiciela władz zdolnego podjąć jakieś działania. W tej sytuacji jeszcze jeden dzień bezczynności wydawał się bez znaczenia, kiedy się go porównało z tak długimi okresami, a pokusę spędzenia go w ten sposób powiększało jeszcze uczucie ulgi, jakie ich ogarnęło, gdy tak nagle zostali uwolnieni od konieczności radzenia sobie własnymi siłami. I tak dni mijały jeden po drugim, a kiedy po tygodniu zaczęli ustalać, że wkrótce trzeba wyruszyć w drogę, Jia zakłócił ich plany, zapraszając ich oficjalnie na bankiet, który miał się odbyć w noc nowiu księżyca, za kolejny tydzień.

Nie mogli odmówić przyjęcia tego zaproszenia po tym, jak ich gospodarze okazali im tyle życzliwości i tak szczerze dzielili się z nimi swoimi zasobami, a oni przez cały czas oddawali się tylko lenistwu. Gdyby teraz nagle oświadczyli, że muszą natychmiast odlecieć, byłby to zdaniem Laurence'a szczyt grubiaństwa.

- Nie bardzo rozumiem, dlaczego bardziej stosowne miałyby być wzięcie udziału w jakiejś barbarzyńskiej uczcie - rzekł na to Rankin - wydanej przez agentów obcej potęgi, która najpewniej w niedługim czasie znajdzie się w konflikcie z naszym rządem, a już obecnie osłabia nasz handel; ale poczekamy, jeśli pan na to nalega - dokończył z chłodnym sarkazmem - i ucieszymy

299

oczy tym, jak wspaniale, czego jestem pewny, będzie się prezentował przy tej okazji.

- Wszyscy jesteśmy obdarci-odpad Granby-ale myślę •
lepiej wystąpić w nawet niezbyt odpowiednim stroju niż wyjść na ludzi niewychowanych. Nie rozumiem, dlaczego chce pa() odmówić, kiedy zapraszają pana na kolację i przynoszą tuńczyka dla pańskiego smoka.

- Liczę także na to - powiedział później Laurence do Te-meraire'a, kiedy rozmawiali na osobności - że ciepła atmosfera takiego towarzyskiego pozwoli mi poruszyć temat ich obecności tutaj - ewentualnych napięć, które ta sytuacja może wywołać między naszymi krajami.

- Zupełnie nie rozumiem dlaczego - odrzekł Temeraire. - Przebyliśmy tak strasznie długą drogę, Laurence. Jakie znaczenie dla kogokolwiek w Sydney może mieć to, że Chińczycy są tutaj? A poza tym przyjemnie będzie znowu złożyć im wizytę - dodał - kiedy zdecydujemy się

jeszcze raz odbyć tę podróż. No i pan Jia już poinformował mnie bardzo uprzejmie, że gdybym chciał wysłać listy, chętnie odda mi tę przysługę i bezzwłocznie dostarczy je do Chin. Nie widzi też powodu, żeby Lung Shen Li nie mogła odwiedzić nas nawet w Sydney z odpowiedziami, kiedy nie będzie to kolidowało z jej innymi zadaniami. Pokazałem jej naszą dolinę na mapie i powiedziała, że nie sądzi, by przedłużyło to jej lot z Uluru o więcej niż tydzień, będzie więc mogła to robić od czasu do czasu.

- Uluru? - zapytał Laurence.

- Wielka skała - odpowiedział Temeraire - przy której ją po raz pierwszy zobaczyliśmy. To tam dostarczają towary dla Pitjantjatjara, którzy wysyłają je dalej, do innych plemion; łatwo ją dostrzec z góry. Przypuszczam, że mogłaby też przynieść część tych towarów do Sydney - dodał, zupełnie nie rozumiejąc, że ta jego zachęta stała w całkowitej sprzeczności z intencjami rządu brytyjskiego.

Laurence był jednak zdecydowany podjąć próbę wyjaśnienia uacji Ta placówka była stosunkowo nowa, a skała prowadziła w niej wymiany handlowej tak mała, że jakieś porozumienie jnożna jeszcze było zawrzeć, jakiś rozsądny kompromis, jeśli udało by się mu się dowiedzieć więcej o celach przyświecających jej założycielom. Poza tym przyszła mu nagle do głowy myśl, że jeśli Jia podjął się wysłać listy Temeraire'a, może uda się dołączyć do nich jeszcze jeden, do Charlesa Hammonda, brytyjskiego posła w Pekinie, który wynegocjował układ pozostawiający Temeraire'a w rękach Brytyjczyków i zapewniający im pewne przywileje w Kantonie, jedynym otwartym dla obcokrajowców chińskim porcie.

- Nawet jeśli nie możemy mieć pewności, że list będzie bezpieczny i nikt go nie otworzy - powiedział do Granby'ego - to przynajmniej dotrze na miejsce szybciej niż po ponad pół roku; a poza tym sądzę, że Hammond lepiej od nas orientuje się w sytuacji.

- Lepiej także niż Whitehall - dorzucił Granby i popatrzył na Tharkaya - chyba że wiesz więcej od nas?

Tharkay wzruszył niezobowiązująco ramionami. Laurence usiłował ułożyć jakiś plan działania, jakiś sposób nawiązania rozmowy, który w wykonaniu nie byłby koszmarne niezręczny. Na domiar złego był uzależniony od Temeraire'a jako tłumacza, gdyż jego znajomość chińskiego, dawniej też, delikatnie mówiąc, niezbyt biegła, teraz ograniczała się do kilku słów, których i tak nie był pewny. Wiedział, że rozmowa, którą planował przeprowadzić, nie mogła się skończyć inaczej, jak tylko nieprzyjemnie, i że Chińczycy zinterpretują ją jako rodzaj groźby, a co najmniej ingerencję w ich sprawy. Laurence był niemal pewny, iż obrazi ich swoimi słowami, a że nie będą mogli odpowiednio zareagować, popełni tym samym niemal najgorszą z gaf. Miał jednak w pewnym sensie zobowiązanie wobec obu

"a i,

stanowisk, i bez względu na to, że mógł być nieodpowiedzialnym człowiekiem do tego zadania, on i Temeraire znajdowali przynajmniej na miejscu i nie było nikogo lepszego, kto mógł ich zastąpić.

Rząd z pewnością chciałby wyrazić sprzeciw wobec działań zagrażających brytyjskiemu handlowi, jeśli nie samego istnienia czegoś, co można by nazwać kolonią, chociaż Chińczycy zdawali się być mniej zainteresowani zaludnianiem tego terytorium niż nawiązywaniem stosunków z tubylcami i ciągnięciem zysków z rozwoju swojego handlu. Mocną stroną Chin były ich siły powietrzne, ale jeden lekki smok, a nawet cztery, gdyby ściągnięto tu wszystkie pozostałe z rasy Lung Shen Li, nie zdołałby się przeciwstawić całej potęgze brytyjskiej ekspedycji morskiej ani nowoczesnej broni, gdyby ją przeciw nim użyto.

Jednak wszystkie obawy, które mógł żywić Laurence, i wszystkie jego plany stały się nieaktualne już następnego ranka, kiedy wraz z przyływem do zatoki zaczęła wchodzić mała flotylla statków: kolejne makassarskie prau, wiozące całe stosy dojrzałych, tropikalnych

owoców oraz ozdobionych rzeźbami drewnianych naczyń, które zaraz ostrożnie wyładowano na brzeg i umieszczono wraz z resztą zapasów, już tam zmagazynowanych. Kilku mężczyzn, najwyraźniej oficerów, którzy przybyli z tą flotyllą, zostało powitanych z pewną ceremonią na brzegu i odprowadzonych do kwater w drugim skrzydle domu, a kiedy Gong Su przyszedł do niego, żeby zapytać, czy mógłby zaoferować gospodarzom swoją pomoc w przygotowaniach, Laurence uświadomił sobie poniewczasie, że uczta wcale nie będzie prywatnym wydarzeniem.

stron, które wymagało od niego podjęcia próby pogodze •

Jia, zajęty gwałtownie rosnącą liczbą gości, był tego dnia nieuchwytny. Następnego ranka Laurence tuż po obudzeniu zobaczył zbliżającą się do mola szalupę ze zgrabnego, sześćcio-

. wego słupa, który, jeśli wierzyć fladze, był amerykański, • czorem, z następnym przyplywem, do zatoki wszedł jesz- i g statek holenderski.

^ Napływ gwarów do Sydney zaczyna wyglądać na problem arcyrjalny - zauważył Tharkay, kiedy podczas kolacji do rosna- ? flotylli jednostek dołączyła portugalska barkentyna i Laurence, nawet nie chcąc grać szpiega, zobaczył, że wyładowano z niej kilkadziesiąt małych i ciężkich kufrów, które następnie umieszczono pod strażą w smoczym pawilonie. Niemal na pewno były to pieniądze, i to w ilości wystarczającej, sądząc po liczbie kufrów, do zapłacenia za całe ładownie jedwabiu i porcelany; tylko że Laurence nie wiedział, skąd miały się wziąć te towary.

- Nie rozumiem, dlaczego nie mieliby ich dostarczać drogą powietrzną - zasugerował Temeraire, lekko nieobecny duchem; uważał, że każdy byłby roztargniony, wiedząc, że w rogu budynku leżą kufry pełne złota i srebra, i czując te wspaniałe zapachy, które dochodziły z rozstawionych na brzegu kadzi do gotowania. Och! ten zapach pieczonego sezamu; a w samym pawilonie kobiety obierały cudownie dojrzałe owoce longana i wkładały je do ogromnych mis. Trzeba się było zdobyć na najwyższą powściągliwość i Temeraire nie był pewny, czy zdołałby to zrobić, gdyby nie perspektywa zbliżającej się uczty.

- Ale zapytam Shen Li - dodał - kiedy ona znowu wróci, chociaż powiem ci w zaufaniu, że co do jednego miałem całkowitą rację: jest w niej coś bardzo dziwnego i jestem pewny, iż wiąże się to z tymi jej długimi lotami. Jest bardzo miła, nikt nie mógłby powiedzieć o niej złego słowa, ale o ile ktoś się do niej nie odezwie, ona tylko siedzi nieruchomo, nic nie mówiąc całymi godzinami, a jeśli się ją zapyta, o czym myśli, odpowiada, że próbuje przestać myśleć.

Przepych zbliżającej się uczty sprawił, że Temeraire był nieco zakłopotany i zaniepokojony. Wgłębi ducha wiedział • nie wygląda najlepiej, jako że trochę wychudł podczas podró' i chociaż nie żałował czasu na morskie kąpiele, wciąż nie ZrnyJ z siebie całego piasku. Jego łuski nie błyszczały tak, jak po winny, i ze smutkiem musiał się pogodzić z tym, że krawędź jego skrzydeł nie są zupełnie gładkie. Na dodatek na wisiorze którym chciał zabłysnąć, pojawiło się kilka zadrapań i wgnieceń których pan Fellowes, mimo wielkich starań, nie był w stanie całkowicie usunąć - w takich chwilach Temeraireowi bardzo brakowało kowala z prawdziwego zdarzenia.

Ale przynajmniej miał pochwy na pazury, a Tharunka podarowała mu trochę oleju, którym nacierano jej skórę dla ochrom przed suchym, gorącym klimatem; dzięki niemu, myślał Teme- raire, jego czarne łuski będą błyszczeć szczególnie elegancko.

- Chętnie się nim z tobą podzielę i przykro mi, że musieliście przebyć tę całą drogę - powiedziała nieco przepraszającym, jak mu się wydało, tonem - zwłaszcza że nie sądzę, bym miała wrócić. Nie mam nic do zarzucenia Korpusowi, gdyż twój kapitan wydaje się miłym człowiekiem, ale nie podoba mi się żaden z tych oficerów, którzy przybyli z tobą. Wszyscy są zbyt arogancy i nie wyczuwa się wśród nich solidarności, jaką chciałoby się mieć wokół siebie. Może i nie mam swojego kapitana, ale jestem pewna, że o każdej porze dnia i nocy,

jeśli tylko tego zechcę, będę miała dobre towarzystwo, tutaj wśród Larrakia lub gdziekolwiek w całym kraju, i nie muszę spać w kryjówece lub na statku, albo w jakiejś samotnej dolinie.

Temeraire widział sens w jej decyzji, która odzwierciedlała jej pragnienie posiadania szerokiego kręgu znajomych i przyjaciół, tak typowe dla większości Reaperów. Chociaż sam nie potrzebował żadnego towarzystwa i był całkowicie zadowolony, byle tylko miał przy sobie Laurence'a, z pewnością żaden z pozostałych awiatorów nie dorastał mu do pięt, jak to rozsądnie

ważyla Tharunka, a oni mogli w końcu przestać szemrać biadolić z powodu utraty ostatniego smoka, jeśli nie chcieli być lepszymi ludźmi.

Jednakże jedna sprawa nie dawała Temeraireowi spokoju: że wyobrażał sobie po prostu swojego wstydu z powodu stroju, jakim Laurence będzie zmuszony wystąpić na zbliżającej się uczcie, najbardziej szczególnym i godnym uwagi wydarzeniu w tym kraju od czasu, gdy do niego przybyli. Smok długo walczył z dumą, a potem się poddał. Kiedy następnego dnia Jia Zhen przechodził obok pawilonu, Temeraire pochylił głowę i głęboko zakłopotany zaczął tłumaczyć: Długość podróży... niepewna sytuacja w Anglii po inwazji... drobne techniczne problemy wynikające z ich sytuacji...

Jednak zanim zabrnął dalej, Jia Zhen uprzedził go i powiedział w najbardziej delikatny sposób, jaki można sobie wyobrazić:

- Miałem właśnie zamiar zapytać ciebie, czy nie byłoby to nadmiernie śmiało, gdybym przekazał ci szatę dla twojego kapitana w darze od naszej małej i niegodnej placówki, zwłaszcza że umiejętności, którymi dysponujemy, są wielce ograniczone, a materiały ledwie odpowiednie.

- Och, jaki byłbym szczęśliwy - krzyknął głęboko wdzięczny Temeraire - i jestem pewny, że Laurence byłby bardzo zaszczycony tym gestem... - który okazał się jeszcze bardziej wspaniały, niż Temeraire wyobrażał sobie w nawet najśmielszych marzeniach: w magazynach było jeszcze trochę ciemnoniebieskiego jedwabiu, i zielonego, i żółtej nici do szycia, która wyglądała prawie jak złota; okazało się również, że pan Shipley poprzednio był krawcem. Otrzymawszy na wzór oficjalny strój Jia Zhena oraz kilka złotych monet, Shipley zabrał się do pracy pospiesznie i z wielką energią i posunął się nawet tak daleko, że za namową Temeraire'a wyhaftował eksperymentalnie kilka wzorów.

Na domiar wszystkiego, jakby miał mało powodów do zadowolenia, to kiedy strój był już niemal gotowy, Tharu powiedziała mu:

- Temeraire, Larrakia zastanowili się nad całą sytuacją i ^ szli do wniosku, że według prawa Waradjuri postąpili niezbyt właściwie, kiedy odebrali wam moje jajo, nawet jeśli byliście na ich terytorium, gdyż nie należę do stworzeń, na które się p0 luje. Jako że oczywiście nie mogą wam mnie oddać, chcieliby wiedzieć, czy w zamian nie przyjęlibyście trochę tych opali? Ta propozycja - dodała od siebie - była moim pomysłem: przyszło mi do głowy, że mogłyby bardzo ładnie wyglądać na tej szacie. Popatrz, jakie są piękne!

- To jest coś - odparł Temeraire, czując, że promienieje z radości - co muszę nazwać cywilizowanym rozwiązaniem problemu; i jestem bardzo zadowolony, Tharunka, że wyklułaś się wśród tak rozważnych ludzi. Jeśli nie mają żadnych innych smoków, to w końcu nie jest ich wina. Nikt z pewnością nie może powiedzieć, że nie zasługują na to, by je mieć.

I tak opale zostały naszyte na rękawy oraz brzegi szaty i okazało się, że Tharunka miała rację, błyszcząły bardzo pięknie na tle ciemnego jedwabiu. A kiedy uniesiono ją do sprawdzenia, nikt nie mógł w niej znaleźć żadnej wady, nawet Cezar.

- Muszę powiedzieć, że to mi się podoba - przyznał niechętnie, kiedy przyjrzał się jej z bliska, a Iskierka wypuściła zazdrośnie trochę pary i rzuciła:

- To bardzo nierozsądne, że Granby nie pozwala mi przejąć któregoś z tych statków. Gdybym tylko miała tu choć część mojego skarbu!

Laurence zaniemówił na widok przepychu stroju, kiedy Jia mu go zaprezentował - na prośbę Temeraire'a w pawilonie, żeby mógł to zobaczyć.

- Proszę, Laurence, włóż to natychmiast - rzucił rozgorączkowany smok, nie mogąc się pohamować, gdy Laurence wziął

ręką wspinał szatę i zaczął ją oglądać - bo może nie jest ,o[jrze dopasowana, a mamy jeszcze czas, żeby coś poprawić przed wieczorem.

Téméraire martwił się niepotrzebnie: strój pasował doskonale i nie wymagał żadnych poprawek.

_ Mój drogi, doskonale zdaję sobie sprawę - zaczął Laurence _ ?le włożyłeś w to starań... jak długo musiałeś nad tym myśleć... - i zamilkł.

_ To doprawdy nic, Laurence - odparł zachwycony Temeraire - nic w porównaniu z tym, co powinienes zawsze mieć. Ależ jestem szczęśliwy! Nie było mi łatwo od czasu, gdy się dowiedziałem, że straciłeś majątek, ale teraz myślę, że każdy wolałby mieć taką szatę niż tylko jakieś pieniądze w banku. Jestem pewny, że nigdzie nie można kupić czegoś ładniejszego.

- I - odezwał się z wahaniem Laurence - jesteś pewny, że to będzie stosowne na tę okazję... nie nazbyt, być może, bogate...

- Ależ skąd; jak mogłoby być? - przerwał mu Temeraire. - W końcu to dar od samego Jia Zhena, a poza tym, Laurence, ty jesteś synem cesarza. To całkowicie naturalne i stosowne, że powinienes wystąpić w najświetniejszym stroju.

- O Boże! - wyrwało się Granby'emu. - No cóż, Laurence, możesz mnie nazwać ofiarą losu, ale przynajmniej będę uczciwą ofiarą losu: przełknę moje złote guziki i jedwabne surduty i będę wdzięczny za to, co mam. Ale przynajmniej nie wyglądasz głupio - dodał, starając się, żeby zabrzmiało to pocieszająco. - Wyglądasz tak, jakbyś w każdej chwili miał powiedzieć „Ściąć im głowy!", ale w żadnym razie głupio.

- Dziękuję ci - odparł Laurence dość oschle: było mu wystarczająco głupio, a poza tym czuł się jak oszust, który przebrał się za wschodniego monarchę, by wysuwać, jak to musiało się wydawać innym, najbardziej absurdalne pretensje do pozycji społecznej zarazem dużo wyższej od jego własnej, jak i ca}^ wicie mu obcej.

I nie mógł nic powiedzieć. Nawet gdyby ust nie zamknęła mu niekłamana radość Temeraire'a, kazałaby mu to zrobić zwykła uprzejmość wobec jego gospodarzy, którzy nie szczydziłi starań i wydatków, żeby przygotować ten ubiór, i podarowali mu go tak uroczyście. Jednak Laurence był także całkowicie pewny, że nie włożył szaty poprawnie, i nie potrafił przekonać sam siebie, iż nie będzie wyglądać w niej śmiesznie zarówno w oczach swoich brytyjskich towarzyszy, jak i jego gospodarzy, którzy na pewno mieli lepsze pojęcie o tym, jak należało ją nosić. Pozostała mu tylko wąta nadzieja, że nie zsunie się ona z niego, kiedy będzie jadł, które to wydarzenie, gdyby do tego doszło, z pewnością przyciągnęłoby uwagę całego zgromadzenia, jak uświadomił sobie z niepokojem, gdy posadzono go u szczytu stołu, obok Temeraire'a.

Stoły ustawiono na wielkim, przestronnym dziedzińcu domu. Było tam trochę za ciasno, by służba mogła się swobodnie poruszać między pięcioma smokami, które były mile widzianymi gośćmi, ale nawet jeśli kilku obecnych tam holenderskich i portugalskich żeglarzy zerkało na swoich ogromnych i dobrze uzębionych sąsiadów z niepokojem, nikt nie zaprotestował. Rankin ostatecznie raczył wziąć udział w przyjęciu, gorąco namawiany do tego przez Cezara.

- Kiedy tam będzie tak wielu cudzoziemskich gości - nalegał smok - nieobecność najwyższego stopniem, najbardziej oficjalnego przedstawiciela rządu Jego Królewskiej Mości będzie wyglądała dziwnie i może pozostawić mylne wrażenie, że to obecni posiadają jakąś władzę.

Laurence chętnie by zrezygnował ze wszystkich, fałszywych pozorów władzy, której nie miał. Zamiast tego musiał zająć miejsce na wielkiej, wywyższonej ponad inne ławie, która, jak

...Zewał, była chińskim odpowiednikiem tronu, podczas gdy ?dzący obok niego Temeraire lśnił, jakby go polakierowano, ?pysznił się tymi ze swoich klejnotów, którymi nie uznał za stosowne obładować Laurence'a. Przy nich usadowił się jeden z wodzów Larrakia, najstarszy w towarzystwie, który obejrzał strój Laurence'a z taką nieskrywaną radością, jaką mógłby

ffZbudzić świetny żart. Awiatorzy po długiej podróży wyglądali dość niechlujnie, mimo że każdy z nich, chcąc sobie oszczędzić wstydu, włożył to, co miał najlepszego. Wyjątkiem był Rankin, któremu przez cały kontynent udało się jakoś utrzymać w nietkniętym stanie wieczorowy strój i który jako jedyny spośród nich wyglądał naprawdę elegancko, aż po nieskazitelnie czyste pończochy i wypolerowane na wysoki połysk buty. Nie miał też żadnych ozdób z wyjątkiem małego, wpinanego w dziurkę od guzika medalu za odwagę i prostej, dyskretnej szpilki ze złota w swoim krawacie.

- Popatrz tylko, jak zwyczajnie i szaro wygląda Rankin - wyszeptał z satysfakcją Temeraire, a Laurence westchnął.

Jia Zhen rozpoczął ucztę od toastu ogłoszonego po chińsku, z którego Laurence zrozumiał wystarczająco dużo, żeby się jeszcze bardziej zarumienić z powodu swojej beczelności, i który Temeraire niestety zechciał komentować, wygłaszając doskonale słyszalnym szeptem uwagi w rodzaju:

- Niebiosą w swojej łaskawości obdarzyły naszą skromną placówkę zaszczytem goszczenia najszlachetniejszego Niebiańskiego LungTien Xianga oraz cesarskiego syna Lao-ren-tze... to było szczególnie ładnie powiedziane, prawda, Laurence? N i e- biosa w swojej łaskawości obdarzyły...

Na szczęście później Laurence nie miał już takich powodów do wstydu: podano wino, zaczęto roznosić jedzenie i zebrani na dziedzińcu mężczyźni musieliby być naprawdę pedantami, by w obliczu tych wspaniałości zwracać uwagę na konwenanse.

Można było oczekiwać, że w tak mieszanym towarzys^ dojdzie do jakichś nieporozumień i niezręczności. Bvii makkasarscy kapitanowie w prostych szatach z ręcznie tkań8"1 płótna; dowódcy statków kupieckich z trzech krajów oraz^ pierwsi oficerowie w surdutach i spodniach; przedstawiciele miejscowej starszyny, niemal nadzy, jeśli nie liczyć przepasła na biodra; oraz gospodarze w oficjalnych szatach z jedwabiu Ale te duże różnice w wyglądzie gości, a także w ich za. chowaniu, w jakiś sposób sprawiły, że to spotkanie było mniej trudne, niż można się było spodziewać, nawet jeśli większość obecnych mogła się porozumiewać z innymi tylko za pomocą gestów, uśmiechów i kiwania głową, czyli języka powszechnie zrozumiałego, a wznoszenie kieliszków nie wymagało żadnych tłumaczeń. Zapewne naturalną konsekwencją takiego stanu rzeczy było lekkie nadużywanie tego ostatniego sposobu komunikacji i dlatego śmiechy oraz rozmowy były coraz głośniejsze, a kiedy podano drugie danie, nawet ci z uczestników uczyty, którzy chcieli się zachowywać zgodnie z regułami formalnej etykiety, zaczęli stopniowo zapominać o swoich postanowieniach.

Czynnikiem, który zwiększał możliwość katastrofy, było to, że Demane posadzono, dość niefortunnie, obok młodego Larrakia, a Emily Roland po drugiej stronie nieznanego; młodzieniec był bardzo zainteresowany jej paradną szpadą, piękną bronią z misternie wygrawerowaną rękojeścią, którą dostała od matki. Wykorzystując swoją i jej szczątkową znajomość chińskiego, zdołał dać wyraz swojemu podziwowi, a że Emily była nie mniej dumna ze swojej szpady, niż kardynał mógłby być ze swojego urzędu, chętnie mu ją pokazała; i zrobiwszy to, poklepała się po piersi, po czym poinformowała młodego człowieka: - Emily - na co on odpowiedział: - Lamoorar. - Od tego momentu ich znajomość

rozwijała się gładko przez kilka dań do podjętej przez niego ostatecznie próby wręczenia jej prezentu

staci plecionej bransoletki; na co Demane, który obserwował * Czystko z narastającą irytacją, dał upust swoim uczuciom, 1°dając syczącym z gniewu głosem, by Emily odmówiła przyjęcia Z0darunku jako nieestosownego.

___ Gadasz bzdury - odparła - nie rozumiem, dlaczego miałabym być nieuprzejma, a ty także nie musisz być niemiły tylko dlatego, że on chce zachowywać się przyjaźnie - i nie zwracając uwagi na jego dalsze protesty, podarowała Lamoorarowi w zamian własną błyskotkę: kilka szklanych paciorków nawleczonych na sznurek, które kupiła w Stambule. Młody Larrakia chętnie to przyjął, rzuciwszy przy tym Demane spojrzenie, które ktoś zazdrosny mógł niestety zinterpretować jako tryumfalne.

Zaniepokojony Laurence dostrzegł groźny błysk w oczach Demane i próbował gorączkowo wymyślić, jak mógłby interweniować w rodzącej się kłótni, nie zmieniając swojej pozycji, co z uwagi na szatę mogło się okazać kłopotliwe. Jednak sytuacja została uratowana przez kogoś innego: dokładnie w tej chwili Kulingile zdołał jakoś zrzucić na całą trójkę swój wielki półmisek z resztkami ryby. Forthing, siedzący po drugiej stronie Emily, roztropnie ustąpił jej miejsca na czas sprzątnięcia i odsunął Demane, sadzając na jego miejscu Sipho, który z miną wyrażającą zadowolenie z siebie i jakąś ostentacyjną dojrzałość powiedział do Lamoorara kilka słów w języku Larrakia, podczas gdy jego brat próbował piorunować wzrokiem krajowca z drugiej strony Kulingile.

Dla wygody innych gości postanowiono, że Iskierka zajmie drugie miejsce honorowe, po zawiętrznej stronie stołu, żeby wypuszczane przez nią od czasu do czasu kłęby pary nikomu nie przeszkadzały. Granby siedział oczywiście obok niej i kiedy z westchnieniem wielkiego zadowolenia przyglądała się wymyślnej potrawie z misternie ułożonych warstw mięsa kazuarów, krabów i owoców, amerykański kapitan wychylił się ze swego miejsca, trzy krzesła dalej, i powiedział do niego:

- Chyba nigdy nie potrzebuje pan imbryka do herb Ona może go z powodzeniem zastąpić, bez dwóch zdań fv za rasa:

- Kazilik - odparł Granby, zadowolony, że może się trochę pochełpić - rasa wyhodowana przez Turków; oczywiście potrafi zionąć ogniem - dodał z dumą.

Amerykanin powiedział, że nazywa się Jacob Chukwah i p0. chodzi z Nowego Jorku; jego osobliwe nazwisko było ewidentnie indiańskiego pochodzenia.

- Mój brat ma jednego, ale bardziej w rodzaju tamtego - dodał, wskazując kciukiem Kulingile, który wyciągał tęsknie szyję w stronę leżącego przed nim tuńczyka, usmażonego w całości z nadzieniem z jakiegoś miejscowego korzenia.

- Nie słyszałem jeszcze, żebyście mieli własny Korpus Powietrzny - zdziwił się Granby.

- Zaciągnął się do milicji i teraz musi się zgłaszać, kiedy zostanie wezwany - odrzekł Chukwah - ale nie, zajmują się transportem z Nowego Jorku do Odżibwe. Dostarczają tam głównie tkaniny i ubrania, a wracają z futrami.

Nikt nie był tak śmiały, by podjąć podobną próbę rozmowy z Laurence'em. Jego strój oraz miejsce, na którym go posadzono, wykluczały wszelką poufałość, nawet ze strony coraz swobodniej czujących się sąsiadów, i kiedy po kolejnej serii toastów uświadomił sobie, że już wkrótce poziom rozmów spadnie tak nisko, że jakakolwiek wymiana informacji stanie się niemożliwa, po krótkiej wewnętrznej walce zdecydował się zapomnieć na chwilę o własnym poczuciu poprawności i pochyliwszy się, zapytał siedzącego kilka miejsc dalej portugalskiego kapitana:

- Czy mówi pan może po francusku, monsieur?

Po krótkiej wymianie zdań ustalili, że Laurence i senhor Robaldo, pochodzący z Lizbony, bywali w tej samej tawernie, co stało się wystarczającą zachętą do kontynuacji rozmowy, którą

Laurence postara! się tak szybko, jak to tylko było możliwe, prowadzi na temat sytuacji wojennej; pragnął się dowiedzieć zeiżoś więcej o atakach na miasta w Hiszpanii i liczył na to, że Gombaldo będzie miał jakieś wiadomości o tym, czy Brytyjczycy biorą udział w walkach na Półwyspie Pirenejskim.

— Och, co za łajdak, prawdziwy łajdak - jęknął Robaldo, mając na myśli Bonapartego. - Czy wie pan, panie Laurence, co on zrobił? Zawarł z nimi wszystkim sojusze, chociaż w Hiszpanii i we Francji wciąż leży dziesięć tysięcy nieopogrzebanych trupów.

- Nie pojmuję pańskich słów - wybąkał osłupiały Laurence. - Zawarł sojusze z kim?

- Z czarnuchami! - rzucił Robaldo z wściekłością, wcale nie złagodzoną kieliszkiem wina, które właśnie wypił, by zwilżyć gardło. - Łajdacy, wszyscy oni to łajdacy; i przewozi ich do Brazylii.

- Mówi pan o Brazylii? - zapytał przez stół po angielsku młodszy amerykański żeglarz, pierwszy oficer pana Chukwa- ha. - Spalili doszczętnie Rio. Kilka tygodni temu u wybrzeży Chile rozmawialiśmy z wielorybnikami, którzy słyszeli o tym w Santiago.

Robaldo jęknął, kiedy Laurence mu to przetłumaczył, i zakrył twarz: najwyraźniej prowadził poważne interesy w kolonii, co nadało jego gniewowi bardzo osobisty ton.

- Myślałby ktoś, że serce nie pozwoli mu tego zrobić! Namaścił go sam papież, ale on w głębi serca jest poganinem, demonem, prawdziwym demonem - wyrzucił z siebie, po czym przeszedł na swój język.

Liczący niemal sześć stóp wzrostu, potężnie zbudowany amerykański marynarz, David Wright, który był nie tak bezpośrednio zainteresowany i zdecydowanie lepiej znosił alkohol, mógł przekazać Laurence'owi nieco więcej informacji.

- Obawiam się, że nie wiem niczego o tym, co wasze czerwone kurtki mogą robić w Portugalii - powiedział - ale ja i słyszałem, ci ludzie wyruszyli z Afryki z zamiarem spalenia wszystkich portów związanych z handlem niewolnikami i 7 atakowali kilka miast nad Morzem Śródziemnym. Rzucili się też na Gibraltar, ale to się dla nich źle skończyło. To wszystko co mogę panu powiedzieć.

Laurence'a niezbyt pocieszyło to, co usłyszał. O tym, że Tswana zamierzali przeprowadzić bardziej gruntowne poszukiwania swoich porwanych współplemieńców, ofiar handlu niewolnikami, dowiedział się jeszcze podczas swojej krótkotrwałej niewoli u nich. Jednak nawet w najgorszych koszmarach nie wyobrażał sobie, że złączą realizować swoje cele tak szybko i dotrą aż do wybrzeży Europy.

- A zatem to nie Francuzi spłądrowali te miasta? - zapytał.

- Nie - odparł Wright. - Afrykanie uderzyli także na Tulon, kiedy już skończyli z Hiszpanią, i zgaduję, że to pewnie wtedy Bonio jakoś się z nimi dogadał - wziął część z nich do niewoli albo ich przekupił. W każdym razie zawarł z nimi jakąś umowę i od tego czasu przewozi ich przez Atlantyk okrętami transportowymi, wraz z dziesiątkami smoków, jak słyszałem, a oni chętnie się na to godzą.

- Nasyła ich na nasze kolonie - wtrącił z goryczą Robaldo. - To jest tak niehumanitarne, że brakuje słów. Żaden cywilizowany naród nie zrobiłby czegoś takiego.

- Cóż - odparł Wright, kiedy Laurence przetłumaczył mu sens słów Portugalczyka. - Żał mi ich, ale to wyraźnie przeczy temu, co często słyszałem, że czarni nie mają nic przeciwko temu. Ja miałbym; nie siedziałbym spokojnie w domu, gdybym usłyszał, że ktoś porwał moją Jenny, wywiózł ją za ocean i sprzedał na targu niewolników, więc nie sądzę, by ktoś miał prawo się skarżyć, jeśli im się to także nie podoba.

- Ja też tak sądzę - włączył się do rozmowy Temeraire -

jaje mi się, że gdyby ci ludzi w Brazylii chcieli uniknąć 'aków, musieliby tylko oddać niewolników i wtedy nikt nie 'robiłby im krzywdy.

_ Obawiam się - powiedział ponuro Laurence - że większość porwanych jest już poza czyimkolwiek zasięgiem, czyli w grobach. Takie wieści raczej nie uspokoją Tswana, kiedy je usłyszy po przepłynięciu oceanu.

_ Ciekaw jestem, jak mu się spodoba - odezwał się Robaldo, który zrozumiał, że Wright nie współczuje mu tak bardzo, jak jego zdaniem powinien - kiedy te afrykańskie potwory ruszą w górę wybrzeża i zaczną łupić jego miasta; w jego kraju też nie brakuje niewolników.

- Nie zamierzałem lekceważyć kłopotów tego dżentelmena - odparł pojednawczo Wright, kiedy zrozumiał słowa Portugalczyka. - Jednak w moim stanie nie ma niewolników i wcale nam ich nie brakuje, może więc z tego powodu nie rozumiem, dlaczego ludzie nie mogą się bez nich obejść. Ale przypuszczam, że człowiekowi może być ciężko, jeśli przez lata przywykł do nich, a tu nagle ktoś wyważa drzwi i żąda, by ich wypuścić.

Chukwah pochylił się nad stołem i rzekł:

- Davey, jeśli chcesz, możesz mu powiedzieć, że tylko w tym roku Irokezom wykłuły się trzydzieści dwa smoki, więc jeśli ci Afrykanie przybędą do nas szukać guza, to go znajdą; podobnie każdy inny, kto będzie tego chciał. Widzę, że pana zaskoczyłem - dodał z pewnym, dość wybaczalnym samozadowoleniem, patrząc na Granby'ego, który prawie udławił się krewetką. Wszyscy pozostali awiatorzy przy stole unieśli głowy znad talerzy i kieliszków, które do tej pory przykuwały ich całą uwagę. - Tak, wodzowie ostatecznie przekonali się do pomysłu hodowli bydła i wszystko zupełnie dobrze się udaje. Sam myślę o porzuceniu morza dla tego zajęcia: mają teraz więcej smoków niż ludzi, którzy mogliby z nimi pracować. Doświadczony, zrównoważony mężczyzna, który nie dostaje trzęsączki lub nie traci głowy w powietrze może mieć własnego smoka w ciągu trzech lat.

Jakby dla podkreślenia wagi jego słów chorąży Widener upuścił swoje pałeczki do miski z zupą, paskudnie się nią ochlapując

- Mój brat mówi, że to przyszłość - kontynuował Chukwah Jakie to ma znaczenie, że nie możesz przetransportować więcej niż tonę towarów naraz, kiedy jesteś w stanie dostarczyć je z Bostonu do Charlotte w ciągu tygodnia, bez względu na grad, deszcz ze śniegiem czy też burze? Ja zabieram mój ładunek prosto do Kalifornii, żeby sprawdzić, czy jeźdźcy Chumash przewiozą go za udział w zyskach przez Góry Skaliste. Jeśli to zrobią, nie będziemy już musieli sobie zwracać głowy opływaniem przylądka Horn.

Chociaż wiadomość o rozwoju powietrznego transportu w Ameryce naturalnie wzbudziła wielkie zainteresowanie Laurence'a, jak i każdego z pozostałych awiatorów, umysł zaprzętało mu pytanie, skąd Chukwah zamierzał wziąć ładunek na tyle cenny, by uzasadniało to odbycie tak dalekiej podróży, i to nie tylko przez niego, ale i przez każdego z obecnych na uczcie kapitanów.

Był już bliski zadania tego pytania, kiedy Temeraire pochylił się i wyszeptał:

- Laurence, już prawie koniec i byłoby bardzo uprzejme, gdybyś to ty wygłosił teraz toast, a ja wymyśliłem kilka uwag i jeśli chcesz, mogę ci je podsunąć. - Laurence musiał je powtórzyć zupełnie bez zrozumienia, jak papuga, gdyż jego niewielką znajomość chińskiego pochłonęły opary alkoholu. Jego słowa przyjęto z głośnym aplauzem, ale że był całkowicie pewny, iż to samo stałoby się, gdyby nieumyślnie obraził rodziny wszystkich obecnych, było to dla niego niewielka pociechą.

Po wygłoszeniu toastu, kiedy zaczęto już sprzątać ze stołów po posiłku, Jia Zhen wstał - więcej niż tylko odrobinę chwiejnie - i zaproponował wszystkim, by odpoczęli teraz wygodnie po jedzeniu na prowizorycznych leżankach, które rozstawiono pod

m otaczającym dziedzińcem; stoły tymczasem rozdzielono murkami, żeby zrobić więcej miejsca, po czym wygaszono światła. Ponieważ nie było księżycy, noc była bardzo wszy

ciemna> a czerwone latarnie, które oświetlały molo, jarzyły się żywym blaskiem, zarówno same, jak i jako swoje odbicia w wodzie, j wtedy rozległ się osobliwy dźwięk: w dole, na piasku, jeden ludzi z plemienia Larrakia siedział z dziwnym instrumentem, niezwykle długą rurą, z której wydobywało się głębokie, niskie buczenie, rozbrzmiewające na pozór nieprzerwanie; w jakiś sposób udawało mu się nie robić przerw nawet dla zaczerpnięcia tchu. Dwóch młodszych chińskich służących stało na końcu mola, trzymając długie żerdzie z latarniami, które zwisały tuż nad wodą. Wpatrywała się w nią grupa młodych Larrakia, którzy wyraźnie na coś czekali.

Całe towarzystwo stopniowo umilkło, uciszone jednostajnym buczeniem instrumentu oraz nastrojem oczekiwania, który wyczuwało się w powietrzu; nie ograniczani dłużej w swych ruchach do przydzielonych im miejsc, goście ciążyli ku tym ze swojego grona, z którymi mogli rozmawiać, ale ich głosy brzmiały coraz ciszej. Przyptyw szybko narastał, sięgając coraz wyższych partii brzegu, a fale z głośnym pluskiem rozbijały się o molo.

- Przypuszczam, że oni być może pokazują drogę lądowania - powiedział Temeraire, wpatrując się daremnie w niebo, ale właśnie w tej chwili instrument umilkł.

W ciszy, która zapadła, słychać było niski bulgot dobiegający z zatoki, a potem oświetlona woda wokół mola rozbłysła wieloma kolorami, złocistym, szkarłatnym i niebieskim, i nad powierzchnię wynurzyła się wielka głowa morskiego węża

0 oczach jarzących się jak lampy, która wznosiła się coraz wyżej

1 wyżej, podczas gdy woda spływała potokami z jego płetw oraz strumyczkami z brązowych wodorostów oplatających jego szyję niczym sznury pereł.

Goście zareagowali na to oklaskami i szmerem rozrado\yar^ głosów; chociaż jeden z Holendrów powiedział po francusku d siedzącego obok niego makassarskiego kapitana:

- Nie obchodzi mnie, co mówią inni; widok takiego potwoi musi mrozić krew w żyłach każdego prawdziwego żeglarza, alb, jest on kłamcą.

Ludzie na molu wrzucili tuńczyka w otwartą paszczę czeka- jącego węża. Po chwili zamknął ją i przełknął z wyraźną przv. jemnością, a tymczasem oni zaczęli sięgać do jego boków: pod warstwą wodorostów były łańcuchy biegnące przez liczne złote pierścienie, którymi przekłuto płetwy i tułów węża, i tworzące sieć. Końcówki tych łańcuchów wyciągano właśnie na molo i owijano wokół kabestanu, który Laurence widział przedtem.

Dwudziestu ludzi napało na handszpaki i pchając razem, zaczęło wyciągać pojemnik. Był wykonany z rzeźbionego drewna,

0 kształcie wydłużonego jaja, wzmocniony obręczami ze złota,

1 wielkości zbliżonej do rozmiaru dużego zbiornika. Kiedy wynurzył się na powierzchnię, inna grupa ludzi zaczęła o niego haki wielokrążków, po czym z wielkim wysiłkiem wydobyła na brzeg. Wąż morski, który się temu przyglądał, dostał kolejnego tuńczyka; a tymczasem w ten sam sposób wydobyto drugi, a potem trzeci pojemnik.

Sieć rzucono z powrotem do wody. Ciągnąc ją za sobą jak spódnicę z gazy, wąż odwrócił się i zanurzony w wodzie, popłynął na drugą stronę zatoki: na dalekim molu, którego Laurence poprzednio nie dostrzegł, jaśniały dwa żółte światła i dzwonił dzwon. Kiedy wąż oddalił się, a jego wielki łeb zniknął w falach i pianie, czerwone latarnie znowu obniżono, tak że zawisły tuż nad wodą. Wszyscy raz jeszcze umilkli i po chwili z morza wynurzył się kolejny wąż z girlandą lśniących wodorostów, i wolno mrugając oczami, popatrzył na molo.

Rozdział 15

Y ? je było dostrzec nawet z brzegu, gdy ich giętkie ciała wylaniały się na powierzchni, tnąc fale i lśniąc łuskami oraz złocistymi sieciami, po czym znowu zanurzały się w głębinie. Było ich bardzo dużo, może ze trzydzieści, chociaż trudno je było policzyć i nie chciały się zatrzymać nawet na chwilę rozmowy, o czym przekonał się Temeraire, kiedy poleciał tam, by z nimi pomówić.

- Wydaje się, że nie obchodzi ich nic poza rybami i pływaniem - powiedział zniechęcony, gdy wylądował przy pawilonie.

- Nie rozumiem, czego innego się spodziewałeś - odparł Cezar. - Mój kapitan mówi, że są zagrożeniem dla żeglugi i często zrywają sieci rybackie, w które się zaplątały, a przecież łatwo powinny je zauważyć, gdyby nie były takie tępe.

"ęże baraszkowały w promieniach słońca, tuż za granicą zatoki, gdzie woda była ciemna i głębsza; można

Pawilon stał się teraz sceną wielu intensywnych negocjacji między różnymi kapitanami ajia Zhanem, jak również jego podwładnymi, którzy najwyraźniej byli odpowiedzialni za opracowanie szczegółów różnych porozumień i przedstawienie mu ich do ostatecznego zatwierdzenia. Długie rzędy leżących na brzegu pojemników pootwierano, najpewniej dla sprawdzenia ich zawartości, jak myślał smętnie Temeraire, i z prawdziwą rozkoszą patrzył na stosy starannie poukładanych, wspaniałych[^] towarów. Ogarniał go lekki smutek na myśl, że już wkrótce rus[^] w drogę powrotną i nie będzie mógł zatrzymać niczego z tych pięknych rzeczy, chociaż zdawał sobie sprawę z tego, iż pragnienie można było ocenić jako zwykłą chciwość, kiedy ta wizyta przyniosła mu już tyle korzyści. Nikt nie mógł zaprzeć, że poprzedniego wieczoru Laurence zrobił w swoim stroju najbardziej olśniewające wrażenie ze wszystkich obecnych, a jego przepiękna szata została, zgodnie z sugestią Temeraire'a - który zauważył, że Laurence nie obchodzi się ze swoim nowym ubraniem tak ostrożnie, jak można by sobie tego życzyć - zapakowana w ceratę oraz jedwab i umieszczona w skrzyni pośród osobistych rzeczy smoka, gdzie była bezpieczna.

Byłby bardzo zadowolony, gdyby miał jedną z tych skrzyń do transportu morskiego, nawet zupełnie pustą, i kilka razy przyglądał im się z bliska, żeby zapamiętać, jak je wykonano. A zaprojektowano je tak pomysłowo, że podczas długiej podróży z Chin prawie wcale nie przeciekały: zarówno na górze, jak i dole, miały szereg drewnianych, pasujących do siebie zębów i wyżłobień, a całość dodatkowo uszczelniano bladokremowym pszczelim woskiem. Otwarcie ich wymagało prawdziwego wysiłku i Te- meraire z przyjemnością wyświadczył gospodarzom przysługę, pomagając im w kilku wypadkach, ale nawet on miał kłopoty z wsunięciem czubków pazurów w odpowiednie nacięcia i rozdzieleniem obu połówek.

Niektóre z uszczelnień zawiodły, może trzy ze wszystkich, ale w dwóch z tych skrzyń była tylko porcelana, która oczywiście nie uległa zniszczeniu. Chociaż wyjęcie każdego z tych wyrobów, sprawdzenie jego stanu i ponowne wysuszenie było dość nużącą pracą, Temeraire ani przez chwilę nie żałował straconego czasu, gdy wraz z Iskierką, Cezarem, Kulingile oraz Tharunką siedzieli na brzegu pawilonu i patrzyli, jak każde z tych ślicznie błyszczącego trawnika, na słońcu, a naczyn do oglądania było wiele setek.

Było im jednak dość ciasno i początkowo nieco rozpraszały ich sprzeczki między małymi smokami. Cezar był największy z tej trójki, ale chociaż starał się, jak mógł, Kulingile zjadł ostatniej n0Cy blisko cztery razy więcej od niego i niemal dorównywał mU wielkością, a Tharunka, która oczywiście wciąż była bardzo mała, wygłosiła bardzo rozsądne twierdzenie, że z tego powodu, iż znajdują się w jej kraju, pawilon należy do niej w większym stopniu niż do kogokolwiek innego i dlatego powinna mieć najlepsze miejsce.

- Nie rozumiem, dlaczego musicie robić tyle zamieszania - powiedziała w pewnej chwili niecierpliwie Iskierka-popatrzcie, wynoszą nowe półmiski: ten tam jest taki wielki, że mogłby pomieścić całą krowę.

- Och, jaki cudowny - zawołał Temeraire: na półmisku namalowany był wielki feniks, żółtą i zieloną farbą. Oczywiście to byłaby wielka strata dla świata, jeśli w jakikolwiek sposób został uszkodzony, ale smok z nieśmiałą nadzieją zastanawiał się, czy gdyby kolory jednak trochę wyblakły na skutek działania słonej wody, właściciele nie doszliby może do wniosku,

że półmiska nie da się sprzedać, i nie odłożyliby go na bok. - Dostyc tego - rzucił w stronę sprzeczącą się młodzieży, po czym odwrócił głowę i dodał: - Tharunka, ty usiądziesz między mną a Iskierką, na schodach, a ty, Kulingile, możesz usiąść na mnie; nawet jeśli już nie unosisz się w powietrzu...

- ...co bardzo mnie cieszy - wtrąciła Iskierka - albowiem było to całkowicie sprzeczne z rozumem i wyglądało bardzo dziwnie.

h naczyń wyjmowane jest na zewnątrz, wycierane i układane

?P1 i.J. I i • • I

na i

plachtach materiału, które rozłożono na skraju świeżo skoszo-

- ...nawet jeśli już nie unosisz się w powietrzu, wciąż jesteś bardzo lekki i niemal wcale się ciebie nie czuje - dokończył Te-

meraire. - A co do ciebie, Cezar, nie ma żadnego powodu ? I

. , ' zebv e

się nie zmieścił po drugiej stronie Iskierki, jeśli ja odwrór •

lekkie, by Kulingile mógł widzieć, a Iskierka usiądzie prosto- a|

muszę powiedzieć, że nadszedł już czas, byś przestał udawać

iz Kulingile nie będzie od ciebie większy. j^^H

Po przywróceniu w ten sposób harmonii mogli się wszyscy cieszyć kolejnymi scenami rozgrywanego się na ich oczach spektaklu: były tam nawet talerze o złożonych brzegach, które błyskały tak pięknie w świetle słońca, że Temeraire nie miał Iskierce za złe jej tęsknych westchnień; trudno ją było za to winić

- Chciałabym mieć je wszystkie - powiedziała w pewnej chwili. - Jadłabym z nich każdego dnia.

- Nie wydaje mi się, żeby brudzenie takich pięknych rzeczy było właściwe - odezwała się Tharunka i Temeraire był tego samego zdania, ale Iskierka zwróciła im uwagę, że półmisek byłby na początku czysty, a potem, po zjedzeniu z niego posiłku, znowu by go umyło.

Dlatego każdego dnia można by się cieszyć widokiem świeżo umytego talerza, a także znajdować przyjemność w tym, że w miarę jedzenia stopniowo by się go odsłaniało.

Temeraire'owi wydało się to aż za bardzo sybaryckie, ale w końcu naczynia miały takie przeznaczenie i powinno się ich właśnie tak używać, jeśli tylko zachowywało się odpowiednią ostrożność, żeby przy okazji się nie potłukły.

W końcu wszystkie naczynia były suche i ponownie zapakowane, tym razem w zwykłych skrzyniach. Miały popłynąć do Holandii, jak się wydawało, a w każdym razie zabierał je holenderski kapitan po intensywnych rozmowach z jednym z chińskich urzędników, który kilka razy sprawdzał swoje zapisy i kręcił przecząco głową, aż osiągnęli porozumienie.

Otwarto wtedy jeden z kufrów, które trzymano pod kluczem w pawilonie, i, och, okazał się aż po brzegi pełen sztabek złota, z których starannie odliczono dziesięć, a potem każdą z nich jeden

cos

i chińskimi znakami.

duży1"1

Co tam jest napisane? - zapytała Iskierka, wyciągając zyję zupełnie bez sensu, ponieważ nie potrafiła czytać nawet po angielsku.

_ To imię - odparł Temeraire, mrużąc lekko oczy. - Tam jest napisane: Dom Jing Du, który, jak przypuszczam, jest kupcem, a to jest trzecia z dziesięciu sztabek stanowiących zapłatę za pięćset sztuk porcelany - i wszystkie sztabki owinięto starannie ceratą, kilka razy, a potem

włożono do jednego z pozostałych pojemników, w których, jak domyślał się Temeraire, wrócić do Chin.

Większości pozostałej porcelany nie odpakowano, ku wielkiemu rozczarowaniu smoków: kolejne zawinięte w papier sztuki były wyjmowane i kiedy po potrząśnięciu z pakunku nie wypadały żadne kawałki, układano je ostrożnie w nowych skrzyniach. Z kilku pakunków posypały się jednak odłamki i te rozwinięto, po czym naczynia, które potłukły się w podróży, były odkładane na bok i zapisywane w księgach. Jednak oglądanie tylko tych, które uległy zniszczeniu, nie dawało smokom zadowolenia, a raczej nastrojało je melancholijnie.

Niestety, w jednym z tych pojemników, których uszczelnienia zawiodły, znajdowały się wielkie zwoje jedwabiu; woda przeniknęła także przez opakowanie z ceraty i w kilku wypadkach całkowicie zniszczyła materiał. Temeraire pochylił głowę, krzywiąc się z bólu, kiedy te bele rozwijano na słońcu i widział duże białe plamy, które szpeciły szlachetną tkaninę w kolorach wiosennej zieleni i głębokiego szkarłatu. Ale chińscy kupcy wzruszali tylko filozoficznie ramionami, po czym odkładali ten jedwab na stos razem z innymi zniszczonymi towarami. Na koniec sporządzili notatkę, zawinęli ją w ceratę i przygotowali do wysłania razem z resztą zapłaty.

urzędników owinał w papier, a inny pędzelkiem napisał

W miarę jak mijał poranek, szybkość, z jaką zawierano transakcje, wyraźnie rosła. Towary wyjmowane z pojemników

przepakowywano, po czym ładowano na szalupy, które je po drugiej płynęły do czekających statków. Załogi sprawy przenosiły wszystko do ładowni, a kolejne należności w ztocze lądowały w czekającym pojemniku. Zanim słońce sięgnęło ze nitu, mniejsze jednostki podniosły już kotwice i kolejno zaczęły opuszczać zatokę: makassarscy rybacy śpiewali, kiedy wiosłowali i wciągali z powrotem łodzie na swoje prau. Ich małe białe żagle poszły w górę, gdy przepływali obok morskich węży, i szybko znikły w chmurach zbierających się nad oceanem.

Kiedy opróżniono pozostałe pojemniki, ich miejsce zajęło wiele towarów, które zostały zgromadzone w ciągu ostatnich tygodni: stopy wysuszonych i uwędzonych trepangów; słodko pachnące, dojrzałe owoce, każdy osobno zapakowany w papier...

- Czy oni naprawdę zamierzają wysłać owoce? - zapytał z powątpiewaniem Laurence, który właśnie przyszedł popatrzeć.

Temeraire zapytał o to jednego z urzędników, który wpadł pośpiesznie do pawilonu po nowy kałamarz z tuszem.

- Tak - odpowiedział młody człowiek - w głębi woda jest zimna i tylko połowa z nich zgnije. Oczywiście wszystkie są przeznaczone dla dworu cesarskiego. Sześć sztuk srebra - dodał, kiedy Temeraire zapytał o cenę jednego.

- Dobry Boże - mruknął zdumiony Laurence, a Temeraire pomyślał, że jeśli chodzi o niego, wolałby raczej mieć sześć srebrnych monet niż jeden owoc, który łatwo mógł zgnieć, a poza tym nie starczyłby mu nawet na jeden kęs.

- Ale - powiedział ze smutkiem, myśląc o wielkich komorach skarbcza w pałacu cesarskim, które pokazała mu matka podczas ich wizyty w Chinach - może ktoś, kto ma tyle srebrnych monet, że nie jest w stanie wszystkich ogarnąć wzrokiem i cieszyć się ich widokiem, wolałby raczej dostać owoc; a potem mógłby go zjeść i pomyśleć, że tak smakuje sześć sztuk srebra.

Jeden cały pojemnik, należący do najnowszych, jak można

już sędzić po kolorze zewnętrznej warstwy drewna, jeszcze nie poplamionej przez wodę oceanu, wyłożono starannie ceratą, potem wypełniono po brzegi wiązkami skór z amerykańskiego tatku. Nie były złociste ani jaskrawokolorowe, więc Temeraire'owi wydało się dziwne, że Chińczycy obchodzą się z nimi i taką ostrożnością, ale kiedy jedną z wiązek rozłożono, skóry rozbłysły pięknie w słońcu ciepłą, czerwono-brązową barwą, a Laurence

najwyraźniej uznał je za bardzo piękne. To futra bobrów, wyjaśnił, fok i norek, z których można uszyć niezwykle ciepłe płaszcze na zimę.

- Może powinienem kazać zrobić jeden dla Granby'ego - powiedziała Iskierka, popisując się, jak z pewną wyższością pomyślał Temeraire, bo była zazdrosna o szatę Laurence'a; taki płaszcz z pewnością nie dorównałby jej pięknem, ale z praktycznego punktu widzenia może nie był złym pomysłem. Z drugiej jednak strony nie wyglądało na to, żeby w tym kraju kiedykolwiek robiło się zimno. On sam nie miałby nic przeciwko odrobinie śniegu, zwłaszcza w styczniu.

Nie wszystkie futra zapakowano jednak do pojemnika. Pan Chukwah i senhor Robaldo nie pozwolili, by drobne filozoficzne różnice zdań przeszkodziły im w zawarciu odrębnego porozumienia, i ku zadowoleniu obu stron jedna skrzynia futer została wymieniona na szkatułkę złota i srebra.

Na samym końcu otworzono kilka ostatnich pojemników. W środku każdego z nich znajdował się opakowany w ceratę drugi, a w nim pod kolejną warstwą ceraty całe rzędy ustawionych jedna na drugiej beczulek, które na górze były opisane znakami: Srebrna Igła, Biały Smok, Żółty Kwiat. A kiedy jedną z nich otwarto, w powietrzu rozszedł się cudowny zapach herbaty, który dotarł aż do pawilonu.

- Jak myślisz, ile ton było w tej dostawie? - zapytał Laurence Tharkaya, kiedy kapitanowie zaczęli kupować herbatę za naprawdę zdumiewające ilości złota, jak smętnie zauważył Temeraire.

- Przynajmniej dwadzieścia - odpowiedział Tharkay i w^zał ręką mniejszą stertę towarów, odłożonych na bok, tych których najwyraźniej nikt nie chciał; Temeraire już od pewnego czasu zastanawiał się z rosnącym zainteresowaniem, jako los spotka te niedocenione dobra, jako że nie potrafił dostrzec w nich żadnych wad. - Sądzę, że te resztki to wszystko, co wysyłają do Sydney.

- To jest nasze; to część zapłaty za korzystanie z kraju Lar-rakia - wyjaśniła Tharunka, unosząc głowę. - Zatrzymujemy wszystko, czego nie uda im się sprzedać, a to, czego nie chcemy, wymieniamy z Pitjantjatjara oraz z Yolngu, i myślę, że Pitjantjatjara handlują tym z Barkindji i Waradjuri, którzy zabierają to do Sydney i wymieniają z wami. Dzięki temu wszyscy mogą mieć to, co im się podoba, i nikt nie musi podróżować tam, dokąd nie chce, a na samym końcu nikomu nie zostają rzeczy mu niepotrzebne - dokończyła, a Temeraire pomyślał, że jest to nadzwyczaj rozsądny układ, pod każdym względem.

Laurence nie wydawał się podzielać tej opinii.

- Jak często węże tu przyplływają z takim ładunkiem? - zapytał.

Tharunka skonsultowała się z Binmuck, przywódczynią jej towarzyszek, kobietą o miękkim i osobliwie głębokim głosie. Ponieważ jak wszystkie tubylcze kobiety pracowała zwykle w milczeniu, awiatorzy początkowo uważali ją za nieśmiałą i z tego powodu lekceważyli, ale szybko zdobyła sobie ich szacunek tym, jak poradziła sobie z Maynardem, kiedy ten próbował, proponując rum, który znowu jakoś buchnął z magazynu, namówić jedną z młodszych kobiet, żeby poszła z nim za pawilon.

Ta rozmowa, która była kombinacją szeptów oraz ukradkowych gestów - by nie zwrócić uwagi Laurence'a, który dał

•stkim jasno do zrozumienia, co sądzi o takich zachowa-, trwała około dziesięciu minut, przy czym nastawienie (jiety zmieniło się od początkowo na w^pół zalotnego do zde-.dowanego oporu, gdy Maynard spróbował objąć ją ramieniem j wyciągnąć z budynku.

Temeraire właśnie się zastanawiał, czy nie powinien może czegoś powiedzieć Laurence'owi, nawet jeśli ta kobieta należała do Tharunki, a nie do niego, ale zanim coś postanowił, Binmuck wstała w milczeniu, wzięła z ognia jedną z kłód i zbliżywszy się do Maynarda, walnęła go solidnie w plecy, z taką siłą, że padł jak długi na podłogę, rozlewając pod sobą

rum. Zerwał się zaraz czerwony na twarzy i mokry, na co zdaniem Temeraire'a całkowicie sobie zasłużył. Wszystkie kobiety wybuchnęły śmiechem, wskazując palcami rozszerzającą się plamę na jego koszuli - żadna z nich nie miała na sobie niczego, co można by nazwać ubraniem - i Maynard umknął jak niepyszny, ścigany surowym spojrzeniem Binmuck, na której twarzy nie pojawił się nawet cień uśmiechu.

Teraz słuchała w zamyśleniu Tharunki, która przetłumaczyła ich pytanie, i w końcu odpowiedziała.

- Ta dostawa była szczególnie duża - powiedziała Tharunka - ale Binmuck mówi, że sprowadzają coraz więcej towarów, w miarę jak rośnie liczba morskich węży, które udaje im się wytrenować. Widzicie, Chińczycy nie lubią powierzać towarów żadnemu z nich, jeżeli nie przepłynął całej trasy trzy razy bez niczego, ponieważ jest to bardzo długa droga i czasem nowy wąż po prostu zmienia zdanie, płynie zupełnie gdzie indziej i wtedy wszystkie towary przepadają. Przybywają tu raz na miesiąc - dodała - ponieważ obecnie są dwa stada węży nauczonych przypluwać tutaj i wracać do Guangzhou; kiedy jedno stado opuszcza to miejsce, drugie wyrusza stamtąd i płyną w przeciwnych kierunkach.

- Mogą ich mieć więcej, jak sądzę - podsumował ponuro Laurence - i to stosunkowo szybko - co zdaniem Temeraire'a było prawdą. W końcu jeśli te stworzenia chciały tylko i to dlaczego nie miałyby przypluwać tutaj, gdzie mogły ich stać tak wiele: Larrakia karmili je przez cały dzień, gdy tyl[^] podpluwały do brzegu.

- Przypuszczam, że tym z Whitehall wcale się to nie spodoba - odezwał się Granby. - Jak myślisz, kiedy o tym usłyszą? Pewnie niebawem.

- Nie - odrzekł Laurence. - Ci dżentelmeni - mówił dalej wskazując statki, które jeszcze stały na kotwicy - są poszukiwaczami przygód, którzy w nadziei na zyskowny rejs będą się kierować nawet najbardziej fantastycznymi pogłoskami. Jednak każdy z nich zmieni te pogłoski w potwierdzone wieści, gdy tylko wpłynie do portu, i nie potrafię zrozumieć, dlaczego żaden z brytyjskich kapitanów jeszcze o tym nie słyszał: na tych wodach żeglują przecież dużo statków z Indii, a część z nich dociera także do Chin.

Temeraire nadal nie mógł zrozumieć, dlaczego miałyby to mieć jakiegokolwiek znaczenie dla Brytyjczyków, ale dla Laurence[^], Granby'ego i Tharkaya najwyraźniej nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że jest to w najwyższym stopniu prowokacyjne, i nie trzeba będzie długo czekać na gniewną reakcję.

- Brak tych taryf celnych, które podnoszą ceny chińskich towarów, musi zniszczyć nasz handel w Kantonie, kiedy tylko osiągną tu odpowiedni poziom ilościowy wymiany - powiedział Laurence - podobnie jak niższy koszt związany z mniejszym ryzykiem: węża nie można zatopić, a nawet jeśli od czasu do czasu któryś z nich postanowi popłynąć gdzie indziej lub zgubi jakiś pojemnik, to strata nigdy nie będzie porównywalna ze stratą całego statku pełnego towarów. Trudno sobie wyobrazić gorszą sytuację. To nie jest kryjówka przemytników; to jest miasto portowe, i to szybko rosnące, pod patronatem kraju, który nawet jeśli nie jest nam wrogi, nie jest także naszym sojusznikiem.

tu sytuowany w tym miejscu, na samym obrzeżu Oceanu Indyjskiego. musi stanowić realne zagrożenie dla bezpieczeństwa naszych linii żeglugowych i brytyjskiego panowania na morzach.

Temeraire w głębi serca uważał, że to trochę niemądre, gdy kraj tak mały jak Wielka Brytania chce władać oceanem po drugiej stronie świata i czuje się zagrożony, kiedy Chiny, w końcu wielokrotnie większe i leżące dużo bliżej, pragną tylko wysłać trochę morskich węży z pięknymi rzeczami, które ludzie chcą kupować.

- Jestem pewny, że nie mieliby nic przeciwko temu, by przybywali tu także brytyjscy kupcy - zasugerował.

- Zawsze chętnie brali nasze srebro - odparł Laurence - ale to tylko doprowadzi do tych samych komplikacji, które wystąpiły już w przeszłości i którym nasz rząd starł się zaradzić.

Deficyt w handlu między naszymi krajami zostanie jeszcze powiększony przez napływ dodatkowych dóbr, a oni nie chcą brać w zamian gotowych wyrobów lub czegokolwiek, co przynosi zysk naszym kupcom.

- Z wyjątkiem opium - wtrącił Tharkay, nieco sardonicznie - które sprzedaje się samo. Państwowe inspekcje sprowadzanych dóbr mogą być tu pewnym utrudnieniem, ale myślę, że trzeba wierzyć w ludzką pomysłowość.

Laurence milczał. Temeraire wiedział, że nie pochwała on handlu opium, chociaż było one tak bardzo przydatne do otumaniania krów i owiec, kiedy ktoś miał ochotę zabrać je ze sobą i jeść mięso smaczniejsze niż zwierząt, które udało mu się upolować; smok trochę żałował, że nie mieli narkotyku podczas tej podróży, bo mogliby zabrać ze sobą kilka krów z ich doliny.

- Nawet perspektywa tego handlu nie będzie najpewniej wystarczającą pociechą dla Whitehall - podjął w końcu Laurence - gdyż założenie portu, który, według uznania chińskiego cesarza, może dać Francuzom bezpieczne schronienie i punkt oparcia do ataków na nasze linie żeglugowe, lub, gdy on tego zechce, posłużyć do odcięcia brytyjskich kupców, i żadnych innych zysków z handlu, jakiegokolwiek by one były, zdecydowanie • leży w naszym interesie. / . ^ H

Rankin nalegał na to szczególnie mocno, ale Granby i na\yet Laurence także się zgadzali, że muszą natychmiast wracać do Sydney z informacjami, które zebrali; chociaż Temeraire zwrócił im uwagę, że jeśli, jak zakładali, rząd już wkrótce dowie się o istnieniu portu, nawet gdyby nic nie zrobili, to zanim dostarczą te wieści, nie będą one już dla nikogo żadną nowiną. Niemniej jednak najwyraźniej było to ich obowiązkiem; i Temeraire westchnął, po czym przypilnował, żeby Emily i Siphon wraz z jego skarbami dobrze zapakowali też szatę Laurence'a. Myślał przy tym ze smutkiem, ile czasu upłynie, zanim znowu będą mogli się cieszyć taką gością i takimi wygodami.

Oczywiście nie powiedział tego na głos, gdyż byłoby to jego zdaniem bardzo tchórzliwe tłumaczenie niechęci do wyruszenia w drogę, zwłaszcza że chodziło o spełnienie obowiązku. Tylko że robiło mu się trochę ciężko na sercu na myśl o tak długiej, pełnej niewygód podróży przez jałową pustynię, na której będzie stale musiał znosić głód i zbyt wysokie temperatury - przy czym teraz, gdy Kulingile jadł coraz więcej, zaspokajanie głodu stanie się jeszcze trudniejsze, niż było poprzednio - a na koniec znowu znajdą się w tej samej kłopotliwej sytuacji, która przede wszystkim skłoniła ich do opuszczenia Sydney.

- Do tej pory musieli już dostać jakąś odpowiedź od rządu - powiedział Laurence.

- A co będzie, jeśli nakazali przywrócenie Bligha na stanowisko? - zapytał Temeraire. - To by nam zupełnie nie odpowiadało

I jestem pewny, że on byłby dla nas bardzo niemiły.

- Jeśli to zrobili - odparł Laurence - prędzej czy później

• mv musieli nauczyć się jakoś to znosić - co zdaniem Te- ? f \ bvło znakomitym argumentem za „później”. pocieszał się jednak myślą o wizytach gości: może przybę- j e Shen Li, a Tharunka już mu obiecała, że któregoś dnia też przyleci.

I nawet jeśli nie lubimy zbyt często wybierać się w tak dalekie podróże, bardzo miło pomyśleć sobie - powiedziała - że możemy was odwiedzić, jeśli tylko zdołamy zapewnić sobie wodę i jedzenie, co czasem jest trudne. Moi ludzie mówią mi, że mieliście dużo szczęścia i że to był bardzo wilgotny rok. Zwykle nie jest tak zielono, a wodne dziury o tej porze roku są niemal wszystkie wyschnięte.

Temeraire westchnął, kiedy to usłyszał. Chociaż z wielką przyjemnością zobaczy także Shen Li, dla której taka podróż będzie łatwiejsza, niewiele można się po niej spodziewać jako partnerce do rozmowy.

Wróciła do portu z ostatniej podróży na krótko przed dniem, kiedy planowali wyruszyć w drogę, i wywołała spore zamieszanie, gdyż po wylądowaniu przed pawilonem, nie złożony jeszcze nawet skrzydeł, powiedziała głośno:

- Jia Zhen, proszę zwołać tu wszystkich natychmiast; mam list od cesarza do Lao-ren-tze - a więc wszyscy musieli oczywiście odłożyć na później to, czym się właśnie zajmowali, zgromadzić się na dziedzińcu, który po krótkiej dyskusji uznano za najbardziej stosowne miejsce, i pokłonić się listowi.

- Listowi? - zapytał skonsternowany Laurence, kiedy Temeraire mu to wyjaśnił.

- Jest na nim cesarska pieczęć - odparł smok - a więc to jest tak, jakby cesarz był tu po części we własnej osobie, a przynajmniej tak mi się wydaje. Może chciałbyś znowu włożyć swoją szatę na tę okazję?

- Nie, dziękuję - odrzekł Laurence. - Jeśli mam się kłaniać listowi, to przynajmniej mogę to zrobić bez strachu, że przyp3(j) kiem się potknę i przewrócę.

- Mój kapitan mówi, że nie zrobiłby tego za żadne skarby wtrącił Cezar, a Temeraire prychnął pogardliwie.

- Oczywiście, że nie musi tego robić; nie ma żadnego po wodu, by cesarz kiedykolwiek pisał do twojego kapitana - 0(j) parował - który jest człowiekiem bez szczególnego znaczenia

Fo tej znakomitej replice poszedł na uroczystość, a potem list z jego wspianą pieczęcią wręczono Laurence'owi, który ją złamał i popatrzył na kartkę bez zrozumienia. Temeraireowi przykro to było przyznać, ale Laurence nie poznał wystarczającej liczby znaków, by móc przeczytać właściwie cokolwiek, a list był zbyt mały, żeby on mógł sobie z tym poradzić.

- Ale Siphon może go przeczytać - powiedział - a jeśli będzie miał kłopot z jakimś znakiem, może mi go narysować w powiększeniu.

List nie był bardzo długi, ale pełen wyrazów wielkiej życzliwości : cesarz przysłał rodzinie Laurence'a życzenia zdrowia i pytał, czy Laurence już się ożenił - tu Siphon przerwał, po czym dodał: - I pisze, że jeśli to się jeszcze nie stało, na dworze jest pewna młoda dama z czwartej chorągwi4, która właśnie osiągnęła stosowny wiek, jest niezamężna i byłaby bardzo odpowiednia - na co Temeraire opuścił krezę, a zaskoczony Laurence zapytał: - Co?

- Nie mógłbym oczywiście sprzeczać się z cesarzem - powiedział Temeraire - ale nie wydaje mi się, by Laurence musiał żenić się z kimkolwiek, jeśli tego nie chce. Przeczytaj proszę, co tam jest jeszcze napisane.

- Doszło do naszej wiadomości, że byłeś odpowiedzialny
rozpowszechnienie lekarstwa na... na kaszlącą gorączkę, jak
e wydaje - czytał dalej Siphon - kiedy pewne nieoświecone (Jll ?"i * • • »ii •
njezrównoważone osoby z rządu Anglii uznały ją za błogosła-

jeństw0 dla siebie, kosztem życia wielu istot. Twoje zachowanie ?jvlo godne pochwały. Jak powszechnie wiadomo, lojalność wobec państwa oparta jest na wierności synowskiej i na właściwym przestrzeganiu woli Niebios: znalazłszy się w trudnej sytuacji, postąpiłeś słusznie i jesteśmy zadowoleni.

Laurence nie wydawał się tak zadowolony z tej pochwały, jak zdaniem Temeraire'a powinien. Natomiast młody dworzanin, który otrzymał zadanie strzeżenia listu i dostarczenia go na złote] tacy i który czytał go do góry nogami, gdy Siphon przebiegał się przez jego treść, był z pewnością głęboko przejęty tą oznaką cesarskiej przychylności.

- Każda pochwała i nagroda za to, co zrobiliśmy, należy się także tobie - powiedział Laurence do smoka - a poza tym nie mogę mieć żadnej satysfakcji z podziękowań ludzi, których uczuć wcale nie brałem pod uwagę, czy to będzie Bonaparte, czy też cesarz Chin. Czy napisał coś jeszcze?

- Tylko tyle, że ma nadzieję, że zwróci się pan do Jia Zhe- na, jeśli tylko czegoś będzie pan potrzebował - odrzekł Siphon.

Laurence zawahał się, po czym zapytał:

- Czy chcesz mi powiedzieć, że ten list przyszedł bezpośrednio od niego - że on wie o naszym pobycie tutaj, w tej faktorii?

Temeraire popatrzył na Shen Li, która odpowiedziała:

- Po dostarczeniu wiadomości o waszym przybyciu czekałam na odpowiedź, a potem zaraz ruszyłam w drogę, żeby nie było niepotrzebnego opóźnienia; do Guangzhou odpowiedź dotarła po dwóch dniach, dostarczona przez Nefrytowego Smoka, podobnie jak list do ciebie.

Temeraire bowiem także dostał odpowiedź na swój list, napisaną na znacznie większym zwoju pergaminu przez jego matkę,

Tien Qian, która wyraziła nadzieję, że jest zdrowy i Ws2 u niego dobrze.

To dla mnie duża pociecha, że jesteś teraz znacznie bliżej. Chociaż nadal dzieli nas wielka odległość, przynajmniej musimy znieść niedogodności w postaci tak dużych opóźnień w korespondencji. Twój list z sierpnia dotarł do mnie dopiero teraz, czego nie można uznać za zadowalające. Tym bardziej cieszę się na wieść o twoim bezpiecznym przybyciu do tej części świata, zwłaszcza że bardzo się o ciebie niepokoiłam kiedy usłyszałam od twojego przyjaciela, pana Hammonda, o ostatnich wydarzeniach w Anglii.

Jestem oczarowana opisem twojej doliny i z przyjemnością oczekuję na pejzaż, który obiecałeś mi przysłać. Czy osiadasz tu na dłużej? Sprawiłbyś mi wielką radość, gdyby tak było. Dołączam do listu Pieśni z Chu, które mogą ci się spodobać, jeśli nie zaniedbałeś swojej nauki.

- A ty możesz je czytać razem ze mną, Siphon - powiedział Temeraire, bardzo zadowolony. - Jakże to miłe ze strony mojej matki. Może będziemy oszczędzać wiersze i czytać je po jednym każdego dnia, przez co nasza podróż powrotna upłynie nam szybciej.

Laurence milczał, wyraźnie oszołomiony tym, że listy tak szybko do nich dotarły; chociaż Temeraire uważał, że bardziej osobliwe i zawstydzające było to, jak długo trwało przesłanie ich z Anglii.

- Mogliby przynajmniej wysłać je smokami kurierskimi tam, dokąd nie trzeba zbyt długo lecieć nad otwartym oceanem - może do Makassaru, skąd pochodzą ci rybacy - mówił smok - i skąd mogliby przewozić je tutaj, a Shen Li dostarczałaby nam do Sydney. Nie byłoby to bardzo szybko, ale nie trwałoby

'miu miesięcy! Co komu da list spóźniony o osiem miesięcy, o"edy wszystko już musiało się zmienić? Równie dobrze można

myślać najróżniejsze historie - można na przykład napisać: właśnie dostałem woreczek pięknych pereł, a jeśli kiedykolwiek nadejdzie odpowiedź z prośbą o ich pokazanie, można odpisać: Ależ to było rok temu, już dawno ich nie mam.

Laurence zaczął sam pisać list, do Charlesa Hammonda, brytyjskiego posła w Pekinie. Temeraire nie wspominał go zbyt ciepło, gdyż było dla niego zupełnie jasne, że Hammond z największą radością przehandlowałby go za jakikolwiek przywilej dla angielskich kupców w chińskich portach, co zdaniem smoka było nie tylko poważnym błędem w ocenie jego wartości dla Anglii, ale także więcej niż tylko trochę niegrzeczne.

Jednak na koniec Hammond okazał się bardzo przydatny, gdyż znalazł rozwiązanie wielu zagmatwanych problemów związanych z adopcją, dzięki czemu Temeraire nawet go trochę polubił, i dlatego właśnie prosił Laurence'a o dodanie do listu jego najlepszych życzeń dla posła, kiedy do pawilonu wszedł pan Chukwah, który szukał Jia Zhena.

- Przykro mi odpływać przed obiadem, bardziej ze względu na siebie niż pana, prawdę mówiąc - oznajmił - ale lepiej, żebym to zrobił teraz. Na horyzoncie pojawiła się fregata i chociaż nie wywiesiła żadnej flagi, potrafię rozpoznać brytyjski okręt, kiedy go widzę, a nie mam zbytnej ochoty patrzeć, jak wcielają połowę moich najlepszych ludzi. Bez obrazu - dodał, kłaniając się lekko Laurence'owi - ale królewska marynarka stała się w tej kwestii trochę nierozsądna; sprzeciwiliśmy się temu w siedemdziesiątym szóstym i sprzeciwimy się ponownie, jeśli będziemy musieli.

- Cóż - rzekł Temeraire do Laurence'a - to z pewnością znaczy, że nie musimy się już wcale spieszyć; teraz już muszą wiedzieć.

- Tak - odparł ponuro Laurence. - Teraz już wiedzą.

Rozdział 16

Z

anim zapadł zmierzch, fregatę widać już było z brzegu gołym okiem, a krótko po tym dołączyła do niej jeszcze korweta.

- To Nereide, jak myślę - powiedział Laurence, wpatrując się przez lunetę w ledwie widoczny dziób okrętu. - Według mojej ostatniej „Gazette”, brała udział w blokadzie naprzeciw Ile de France, pod dowództwem Corbeta.

Nie powtórzył tego, co słyszał o tym oficerze, surowym kapitanie, który odpowiadał przed sądem wojskowym za brutalność; wszystko mogło się zmienić w ciągu półtora roku, a pogłoski mogły się okazać fałszywe.

- Przypuszczam, że... - mruknął niepewnie Granby.

- Tylko Cezar może tam polecieć - podjął Laurence. - Ani Iskierka, ani Temeraire nie zdołają wylądować na pokładzie, a nie jestem pewny, czy oni wysłuchają Demane... albo, jeśli o to chodzi, mnie. Mało prawdopodobne, żeby kapitan nie słyszał o mojej sprawie.

- Nie wiem, czy nie wolałbym raczej poczekać, aż będą wystarczająco blisko, by popłynąć do nich łodzią - mruknął Granby, ale nie było na to rady; nie mogli z czystym sumieniem pozwolić brytyjskiemu okrętowi podejść do brzegu, nie porozmawiawszy najpierw z kapitanem, a więc Rankin musiał polecieć z nimi.

?resztą nie czekał na ich opinię w tej sprawie i już poszedł - {ożyć mundur, a Cezar tymczasem stanął na brzegu i czekał, pęczniąc z poczucia własnej ważności.

- Cóż, cieszymy się, że was odnaleźliśmy - powitał ich Wil- loughby- Nesbit Willoughby, kapitan Neretde, który zastąpił Cor- beta na tym stanowisku po, jak powiedział, rajdzie na Reunion, jednak wiadomość o tej zamianie nie była dla Laurence'a zbyt wielką pociechą, gdyż Willoughby też stanął przed sądem wojskowym, oskarżony o okrucieństwo, którym się odznaczył, gdy sprawował poprzednie dowództwo, a atmosfera panująca na okręcie nie była zbyt radosna. Wszędzie wyczuwało się groźbę, a lęk, z jakim marynarze zerkali na Cezara, wykraczał poza zwykłą czujność: ci ludzie nieustannie bali się kary i tego, że może być ona gorsza od poprzedniej. - Nie żebym - kontynuował Willoughby- spodziewał się jakichś większych kłopotów. Zadziwiają mnie ci ludzie, naprawdę. Osiedlają się tutaj, jak gdyby nigdy nic, ponad dwa tysiące mil od swoich najbliższych posiadłości, a do obrony mają tylko tę ledwie trzymającą się na wodzie dżonkę. Poza smokami oczywiście, ale odetchnąłem z ulgą, kiedy usłyszałem, że mają tylko tę małą, którą ukradli. Pewnie nie możemy jej odzyskać, co? - zapytał.

- Niestety - odparł Rankin. - Obawiam się, że to stworzenie zostało przez nich zbyt otumanione, byśmy mogli mieć na to nadzieję. Kilku moich oficerów - było to tak bezczelne, że Lau- rence z najwyższym wysiłkiem powstrzymał się od uczynienia jakiejś uwagi na ten temat - próbowało ją skusić do powrotu, ale odrzuciła ich wszystkie namowy: jej jajo było zbyt długo w posiadaniu tych ludzi.

Willoughby pokiwał głową.

- Cóż, szkoda - powiedział - ale przynajmniej nie musimy się jej zbyt obawiać, gdyż jest bardzo młoda i nie przeszła szkolenia. Przypuszczam, że poddadzą się natychmiast, kiedy tylko wyjaśnimy im sytuację.

- A jaka to sytuacja? - zapytał Laurence, nieco zbyt ostro i Willoughby popatrzył na niego z dezaprobatą.

- Nie podoba mi się to, że jest pan obecny na tej naradzie panie Laurence - powiedział - i będę panu wdzięczny, jeśli za chowa pan milczenie. Nie zamierzam odpowiadać na pytania człowieka uznanego przez sąd za zdrajcę.

- Kapitanie Willoughby - rzekł Laurence, zbyt zniecierpliwiony, by to tolerować - proszę sobie wyobrazić, jak bardzo interesują mnie pańskie uczucia lub pańska opinia o mnie, jeśli nie zważałem na ludzi, którzy mają o wiele większe prawo, by oceniać moje postępowanie. A jeśli nie podoba się panu moje towarzystwo, może się pan od niego szybko uwolnić, jeśli tylko nie będzie się pan upierał przy zachowaniu form w sytuacji tak całkowicie odbiegającej od regulaminu i niespodziewanej. Chyba że wyobraża pan sobie, że dwudziestoczworotonowy Niebiański wykaże się tu większą cierpliwością ode mnie.

Rankin odwrócił wzrok, jakby chciał milcząco wyrazić swoje zawstydzenie grubiaństwem Laurence'a, a kapitan Tomkinson z korwety Otter zakrył usta i kaszlnął, cicho i z zażenowaniem. Najwyraźniej tylko Granby nie dostrzegł niczego niewłaściwego w jego słowach, gdyż dorzucił:

- A skoro już o tym mowa, jeśli zamierza pan narobić tu jakiegoś zamieszania, to powinien się pan cieszyć z tego, że pan nas tu odnalazł. Temeraire w żadnym wypadku nie pozwoli wam zaatakować tych ludzi i nie wydaje mi się, żeby któryś z pozostałych smoków zechciał mu się przeciwstawić. Nie wiem, co kapitan Rankin mógł panu powiedzieć o tym, kto dowodzi naszą grupą, gdyż ta sprawa jest obecnie dość zagmatwana, ale on doskonale wie, że dla nich nie ma to najmniejszego znaczenia. Jakie są wasze rozkazy?

Willoughby zmarszczył brwi: miał wąską twarz, daleko już posuniętą łysinę, a jego ubranie pozostawiało wiele do życzenia, zresztą można się było spodziewać po człowieku, który o Siem miesiący pełnił służbę we flocie prowadzącej blo-

nfZCZ u
kadę ' kwaterował przez ten czas w różnych przypadkowych

•oiccach. Ale Granby swoim pytaniem dał mu szansę wyjścia B" J • j • i
kłopotliwej sytuacji i to właśnie Granby'emu odpowiedział:

Dostaliśmy rozkaz - rzekł z naciskiem - wzięcia tego portu i jeśli się nie podda, panowie, zajmę go; zajmę, nawet jeśli będę musiał zrównać go z ziemią.

Pełnomocnictwa Willoughby'ego były całkiem niedwuznaczne: rozkazy, które pozwolił przeczytać Granby'emu, pochodziły od komodora Rowleya i w istocie bardzo były konkretne. Port, jeśli istniał, nie mógł być tolerowany i musiał być zajęty, zanim zostanie ufortyfikowany. Podstawa prawna tego rozkazu była zwykłą formalnością: regent zgłosił roszczenie do reszty kontynentu, powołując się na Flindersa, który opłynął go jako pierwszy, i nie bacząc na to, że Francji takie samo prawo mogłyby dać podróże La Perouse'a.

- Tak czy owak, nie ma sensu się z nim spierać - odezwał się Granby, kiedy przylecieli z powrotem na brzeg. - Jest zdecydowany wykonać rozkazy, które tak naprawdę są wystarczająco jasne.

- Jeśli mamy wybierać między rozpoczęciem wojny z Chinami teraz - powiedział im na pożegnanie Willoughby - i rozpoczęciem jej za rok, kiedy sprowadzą już tutaj działa i wpuszczą Francuzów, żeby radośnie rozprawili się z naszym handlem, lepiej zrobić to od razu. I dodam jeszcze, że moim zdaniem od dawna im się to należy, skoro dają Bonapartemu jednego groźnego smoka po drugim. Despoci lubią się nawzajem, jak sądzę.

Jego słowa świadczyły o całkowitym niezrozumieniu intencji, jakimi kierowali się Chińczycy, wysyłając Napoleonowi jajo z Te- meraire'em - co zostało zrobione z powodów czysto wewnętrznych, głównie dla zapobieżenia kryzysowi związanemu z ^ następstwa tronu - a jeszcze bardziej z powodu obecności w' - Francuzów Lien, która uciekła z kraju na wygnanie, gdv na mą podejrzenie o to, że dopuściła się zdrady wobec następ^ tronu i przeszła na stronę Napoleona, szukając tylko zems

Ale to nie był jedyny z zarzutów Willoughby'ego; dodał jesz cze, bardziej zaciekle:

{jj^^^f

- A kiedy myślę o tym, jak przejęli nasze statki i zmusili nas wszystkich, żebyśmy potem byli w stosunku do nich łagodni jak baranki, to jak każdy mężczyzna godny tego miana, z trudem utrzymuję rękę z dala od pistoletu. Najwyższy czas, żebyśmy im za to podbili oko.

Laurence przypomniał sobie własne uczucia, kiedy dowiedział się, że Chińczycy skonfiskowali cztery brytyjskie statki: skonfiskowali je i zmusili marynarzy, żeby zabrali ich posła do Anglii, bez ładunków i zapłaty, jedynie ze stanowczymi żądaniami. Było to rażące pogwałcenie suwerenności i czuł wtedy, tak jak każdy marynarz, który o tym usłyszał, ogromną wściekłość, której w żadnej mierze nie złagodziło żenująco uniżone zachowanie rządu - usilnie starającego się wówczas zapobiec przystąpieniu Chin do wojny, a przynajmniej bardziej niż obecnie optymistycznie zapatrującego się na to, że można temu zapobiec.

Jia Zhen ogarnęło pewnie podobne oburzenie, kiedy Rankin przedstawił mu żądanie poddania się, w dość problematycznym tłumaczeniu Temeraire'a, do którego smok dodał swój komentarz:

- Nie widzę w tym żadnego sensu: przecież regent nie może utrzymywać, że ten kraj należy do nas, skoro Larrakia żyją tu od wieków. A co by się stało, gdybym wylądował w Londynie i powiedział: „No dobrze, ponieważ jestem pierwszym chińskim smokiem, który wylądował w Londynie, niniejszym ogłaszam, że miasto należy do cesarza”. Byłoby w tym tyle sensu, co w twierdzeniach regenta.

Dosyć tego: takie są nasze rozkazy - warknął Rankin - _ Możesz je kwestionować, jeśli musisz, ale prywatnie, a nie

obecności przedstawiciela obcego kraju. * To bardzo piękne słowa - odpowiedział Temeraire uszczy- liwie - P° tym, jak spałeś w jego domu i brałeś udział w wyda- nej przez niego uczcie; tak właśnie postępuje Requiescat, kiedy zachowuje się jak pęta. A poza tym - dodał - gdyby Jia Zhen mógł zrozumieć to, co mówiłem po angielsku, nie musiałbym dla niego tłumaczyć, nie pojmuję więc, dlaczego miałbym milczeć w jego obecności.

Whitehall twierdził, że doszło do pogwałcenia traktatu pekińskiego, porozumienia wynegocjowanego przez Hammonda, na którego mocy Chiny przyznały Wielkiej Brytanii dostęp do swoich otwartych portów na tych samych zasadach, co każdemu z pozostałych państw Zachodu. Jia Zhen bardzo grzecznie zwrócił uwagę, że to porozumienie nie mówiło nic o tym, że Chiny nie mogą stworzyć własnym kupcom bardziej korzystnych warunków do eksportu, co jest naturalnym prawem każdego kraju, a ponadto że ten port nie jest przecież chińskim portem, lecz własnością Larrakia, którzy byli tak uprzejmi i przyznali Chińczykom prawo do użytkowania części swojej ziemi.

- I brytyjscy kupcy są tu zawsze mile widziani. Wiosną był tu Pomfrey, jeśli się nie mylę - mówił dalej. - Kapitan był bardzo rozsądnym człowiekiem i świetnie się z nim robiło interesy. Mam nadzieję, że kapitan Willoughby przemyśli swoje stanowisko. Każde nieporozumienie lub waśń między naszymi krajami będzie wielce bolesnym wydarzeniem i obawiam się, że bardzo zmartwi cesarza.

Laurence zignorował ponure spojrzenie Rankina i powiedział:

- Panie Jia, mam nadzieję, że zgodzi się pan, że warunki traktatu są do pewnego stopnia niejasne, a posiadanie tego portu sprawą dość dyskusyjną: z pewnością pozostawieni samym sobie

Larrakia

nie rozwinęliby handlu na tak wielką skalę •

go na jakiś czas zawiesić, podczas gdy nasze rządy mogłyby w kwestię wprowadzenia takich poprawek do porożu które zadowolilyby obie strony...

Ale Jia Zhen nie dał się przekonać, i to nie bez powodu ta- odmówił z miejsca, ale spokojnie i w określony sposób op0w dział o tym, jak trudno jest utrzymać w ryzach morskie w^ że nie można przerwać ich wędrówek, by nie załamał się proce^ ich szkolenia, a także o

kosztach zapewnienia im żywności które muszą być pokryte z zysków z handlu. Ku konsternacji Laurence'a wspomniał także o magazynach, które mają być zbudowane, i dodał:

- Na rozkaz cesarza kilku rzemieślników już przygotowuje się wraz z rodzinami do podróży. Lung Shen Li przyniesie ich tutaj, gdy przyleci następnym razem.

To było oczywiście jak dorzucanie węgla do ognia i mogło tylko powiększyć zapał Willoughby'ego do podjęcia natychmiastowych działań.

- Tak naprawdę nie było oczywiście żadnej nadziei - powiedział przygnębiony Laurence, kiedy to bezowocne posłuchanie dobiegło końca.

- Jeśli to może być dla ciebie jakąś pociechą - odrzekł Thar- kay- wątpię, czy jakiegokolwiek ustępstwa, do których zdołałbyś ich skłonić, usatysfakcjonowałyby Willoughby'ego. Przybył tutaj po to, żeby zająć port; nic innego go nie zadowoli, a nie zrobił na mnie wrażenia człowieka mającego jakiegokolwiek pojęcie o polityce, którego mógłbyś przekonać, apelując do jego rozważań.

- Ale on jest całkowicie nierozsądny - zaprotestował Temeraire. - To przecież nie jest tak, że Brytania zbudowała tutaj port i Chińczycy go zabrali; musieliśmy odbyć trzymiesięczną podróż, żeby w ogóle tutaj dotrzeć.

To, że port był tak strategicznie usytuowany, iż łatwo mógł niemal całej brytyjskiej żegludze oraz panowaniu na wjW*. indyjskim, wcale go nie ułagodziło. ^Nie rozumiem, dlaczego jeden mały kraj uskarża się, jeśli ** jaCja wszystkimi oceanami na świecie, nawet tymi, które drugiej stronie globu - powiedział - a poza tym, czy nie * liśmy właśnie, że Jawa jest całkiem niedaleko stąd, i że tam Holendrzy i nasi przyjaciele? Dlaczego Willoughby nie ^płynie tam i nie powie: „Oddajcie nam tę wyspę”?

_ Zrobiłby to - rzekł Tharkay- ale wyspa jest silnie broniona przez nowoczesne działa i nowoczesne okręty, które mogą znacznie podnieść cenę takiego żądania.

Granby zgodził się podjąć ostatnią próbę. Poleciał z Rankin- em na Cezarze jeszcze raz na fregatę i zgłosił protest Willoughby'emu, który nawet jeśli go słuchał, to nie wykazał szczególnego zainteresowania. Kiedy Granby skończył, pokiwał głową, a potem powiedział:

- No cóż, wysłuchałem pana, a teraz, kapitanie Granby i kapitanie Rankin, daję wam cholerny rozkaz: macie zabierać swoje smoki i wszystkie pozostałe z portu. Nie potrzebujemy waszej pomocy, żeby zabezpieczyć to miejsce, więc nie musicie brać w tym udziału, jeśli nie chcecie... Z przyjemnością przedstawię wasze argumenty w moim raporcie dla Whitehall - dodał zimnym tonem. - Od was wymagam tylko tego, żebyście nie przeszkadzali mi w wykonaniu rozkazów, a z resztą sami sobie poradzimy.

- A więc on zamierza zniszczyć cały port - podsumował Temeraire - i być może zabić Jia Zhena, który był dla nas taki dobry, albo wielu Larrakia. Kiedy myślę o serdecznej gościnności, jaką nam tu okazano, i niezwyklej hojności tych ludzi... Och! jakim żalonym nędznikiem musi być ten Willoughby; nic dziwnego, że tak polubił Rankina.

- Obawiam się - odrzekł ponuro Laurence - że to my popełniliśmy błąd, akceptując ich gościnę, kiedy mieliśmy tak informacji na temat stanowiska, jakie nasz kraj przyjął lub - przyjął. Mogliśmy się domyślić, że naszemu rządowi to . spodoba, choć trudno było przewidzieć, że zaryzykują w • z tego powodu. Mogą przypuszczać - dodał - że ostra nauczycielką którą Chiny dostaną tutaj, będzie przestroga przed podejmowa niem podobnych prób w innych miejscach.

Spojrzał w górę na Temeraire'a i dodał:

- Nie mówię, że to mi się podoba, mój drogi; wcale mi się to nie podoba, a Willoughby jest ostatnim człowiekiem, któremu powierzyłbym władzę zapewniającą prawo wyrządzenia tak wielkiej zniewagi obcemu mocarstwu, nie będącemu jeszcze naszym wrogiem. Ale powierzono mu tę władzę i trzeba przyznać, że postępuje otwarcie i uczciwie.

Nieprzyjacielowi przedstawiono warunki poddania się i chociaż nie mam zbyt wysokiego mniemania o Willoughby'm, nie mam też powodu podejrzewać, że nie okaże litości

przeciwnikom, kiedy już złożą broń. Mam nadzieję, że strzał ostrzegawczy wystarczy, by przekonać Jia Zhena do nieprzedłużania tej potyczki. Jeśli to będzie dla ciebie jakąś pociechą, weź proszę pod uwagę, że gdybyśmy już stąd odlecieli, co powinniśmy byli zrobić dawno temu, byłibyśmy właśnie w drodze powrotnej do Sydney, całkowicie nieświadomi wszystkiego, co tu się dzieje.

- Ale nie odlecieliśmy - odparł Temeraire - a więc jesteśmy świadomi, i to wcale nie jest pocieszające.

Kiedy Laurence poszedł pakować rzeczy, smok zamyślił się głęboko. Nie chciał jeszcze bardziej utrudniać sytuacji Lauren- ce'owi albo Granby'emu, ale pozwolenie temu Willoughby'emu na zniszczenie pawilonu tylko dlatego, że rząd szukał zwady, wydawało mu się czymś bardzo niedobrym; w końcu rząd odesłał go na drugi koniec świata i nie chciał go mieć dłużej w swojej służbie, a tymczasem Jia Zhen był absolutnie wspaniałą.

Temeraire nie bardzo wiedział, co mógłby zrobić, ale kie-

po co zajęli się przygotowaniami do odlotu, ukradkiem dy^{sz}* - ., . j

ę ZCzenia boskiego wiatru. Dorset, który szedł gdzieś, niosąc

pllS- I I I • J

oje instrumenty, zatrzymał się i zmarszczył czoło, a kiedy Temeraire zapytał go trochę okrężnie o swój stan, odpowiedział z dezaprobatą:

_ Nie wolno ci jeszcze nadmiernie obciążać gardła. Za bardzo ucierpiało, a ty potem, zamiast siedzieć cicho, za dużo gadałeś.

Temeraire pomyślał, że nie zasłużył na taką reprimendę, bo przecież przez większą część podróży głównie milczał - nie odzywał się częściej niż kilka razy dziennie, z wyjątkiem szczególnych sytuacji, albo wtedy, gdy musiał coś wyjaśnić czy zobaczył coś interesującego, o czym chciał wspomnieć Laurence'owi lub innemu członkowi swojej załogi, lub potrzebował jakichś wskazówek co do kierunku lotu. Co więcej, gardło już go tak nie bolało, ani kiedy mówił, ani gdy zjadł na obiad kilka tuńczyków, smakowicie upieczonych.

A z pewnością musiał odzyskać zdolność wzbudzania boskiego wiatru, jeśli miał zrobić cokolwiek dobrego: gdyby pozostało mu tylko rzucić się z pazurami na okręty, nie mógłby wiele zdziałać przeciwko obu naraz. Oczywiście nie zamierzał zrobić niczego bardzo nieprzyjemnego okrętom, a już na pewno marynarzom, ale pomyślał, że mógłby je odciągnąć od brzegu na taką odległość, by ostrzeliwanie go straciło sens; albo mógłby tak wzburzyć morze pod nimi, żeby byli zmuszeni przerwać ogień.

?\ za pawilon i odchrząknawszy, żeby oczyścić gardło, 'bował wziąć kilka razy głębokie wdechy, niezbędne do wy-

Podczas ich długiej podróży do Nowej Południowej Walii Temeraire próbował zrozumieć, jak Lien udało się wywołać tę ogromną falę, którą wykorzystano do zatopienia brytyjskiej eskadry podczas bitwy pod Shoeburyness, ale trzeba przyznać, że bez większego powodzenia. Miał pewne ogólne pojęcie, jak

to zrobiła - utworzyła wiele małych fal i skierowała je w stro okrętów, a potem wzniosła ostatnią i posłała ją w tym samym kierunku, żeby wchłaniała wszystkie mniejsze. Opanował ten trik do tego stopnia, że udawało mu się utworzyć cztery lub pięć małych fal, które łączyły się w jedną wielką, i ta była w istocie dużo potężniejsza od normalnych, które widział dookoła, ale znaczyło to tylko tyle, iż potrafił zbudować grzywacza wyrastającego na mniej więcej dziesięć stóp ponad powierzchnię oceanu; zbyt mało, by mógł zrobić więcej, niż tylko zakolysać fregatą przez minutę lub dwie.

Pomyślał o swym dawnym triku, zatopieniu Valérie, którą bezpośrednio zaatakował boskim wiatrem, ale oba okręty w zatoce miały zwinięte żagle. Stały na kotwicy i były solidnie zbudowane z drewna dębowego; wytrzymałyby napór boskiego wiatru bez większej szkody. Doszedłszy do wniosku, że nie na wiele by się to zdało, smok tej samej nocy rozłożył zdecydowanie skrzydła i opuścił ich nowy obóz - rozbity na piasku po drugiej stronie zatoki, tak odsłonięty, że słońce oraz gorący wiatr bardzo dawały im się we znaki, podczas gdy pawilon stał pusty, jeśli nie liczyć małej Tharunki - kierując się nad ocean, gdzie raz jeszcze zaczął uparcie ćwiczyć, próbując ustalić, jak szybko każda z fal powinna się poruszać.

- Bo na tym polega cała trudność - powiedział wcześniej do Kulingile, kreśląc obliczenia na piasku - bardzo brakowało mu Perscitii, która wykonałaby je dla niego w głowie - i starając się znaleźć odpowiedź na pytanie, ile oddechów powinien wziąć między chwilami, gdy wznosi kolejne fale. - Nie utrzymują tej samej odległości - mówił dalej - i niektóre są od siebie dalej niż inne. Kiedy potem nadchodzi ta duża, trafia na większy odstęp i zanim dotrze do następnej fali, zaczyna się już załamywać, po czym spada na resztę, nie czyniąc nikomu niczego dobrego.

Kulingile przelknął kolejny kęs kazuara, którego zdołał ra- złapać - znowu musieli sami zaopatrywać się w żywność, pomocy myśliwych Larrakia, którzy jednak nawet jeśli nie wnosili niczego smacznego, to przynajmniej przekazywali im wiarygodne informacje, gdzie szukać zwierzyny - i odpowiedział swoim piskliwym głosem:

_ Ale jeśli zrobienie tej fali zabiera tyle czasu, a ty nie chcesz zatopić okrętów, to czy marynarze nie poczekają, aż ona przejdzie, a potem znowu zaczną strzelać?

- Cóż - odparł Temeraire - przynajmniej przeszkodzę im w przeprowadzeniu natychmiastowego ataku i zapewne popsuję im szyki. A poza tym ustawienie się znowu w pozycji do otwarcia ognia zajmie im trochę czasu, jeśli wiatr nie będzie wiał z odpowiedniego kierunku, a nie widzę powodu, dlaczego tak miałoby być.

- Nad czym pracujesz? - zapytała podejrzliwie Iskierka, kiedy wylądowała z własnym obiadem i popatrzyła na liczby; oczywiście nie miała najmniejszego pojęcia o matematyce, ale Temeraire na wszelki wypadek zamazał wszystko końcem ogona.

- To nie twoja sprawa - odparł wyniośle; nie zamierzał zwierzać się Iskierce, w stosunku do której miał się trochę na baczności. W tych okolicznościach nie można było na niej polegać i zakładać, że będzie takiego samego zdania jak on; oczywiście Granby wciąż był w służbie czynnej, więc ich interesy nie musiały się idealnie pokrywać.

Czuł się trochę nieswojo w związku z tym, że do tej pory unikał tego tematu w rozmowach z Laurence'em, ale myślał, że lepiej będzie przedyskutować z nim tę sprawę trochę później, kiedy sam już nauczy się robić wielkie fale - w końcu dopóki tego nie potrafił, tak naprawdę nie było o czym rozmawiać, a kiedy opanuje tę technikę, będzie mógł ją zademonstrować Laurence'owi, co na pewno sprawi mu wielką radość i przyniesie nie mniejszą ulgę. Laurence nie powiedział wprawdzie niczego bezpośrednio na ten temat, ale kiedyś zachęcał go do eksperymentowania i prosił, by zastanowił się, jak można by zneutralizować taki atak. I gdyby Temeraire przypadkiem zademonstrował umiejętności w pobliżu okrętów, to może ten Willoughbybys- wystraszył i nigdy nie trzeba by wykorzystywać ich przeciwu brytyjskim marynarzom.

Nie przemyślał sobie jeszcze tego, co powinien zrobić w przeciwnym razie, gdyby Willoughby się jednak nie wystraszył) W końcu takie rozmyślanie można by uznać za marnowanie czasu, za próbę uchylecia się od z pewnością bardzo ciężkiego zadania nauczania się, jak zrobić taką falę. A nie było czasu do stracenia: załogi tych okrętów prawie na pewno czekały tylko na nadejście przyływu, żeby wprowadzić je głębiej do zatoki i zrobić to, co chciały zrobić.

- Poszukam teraz czegoś jeszcze do jedzenia - ogłosił Temeraire i poleciał nad ocean, żeby przeprowadzić kolejną próbę. Nie było to tak do końca kłamstwo: jeśli w wodzie były jakieś

ryby, kiedy posyłał nad nią boski wiatr, zawsze wypływały na powierzchnię, martwe lub ogłuszone, tak że można je było łatwo zbierać. Najadł się już ich do syta podczas pierwszego przelotu, a morskie węże chętnie pożywiły się resztkami; widział, jak wysuwały głowy z wody i śledziły go wzrokiem, niecierpliwie czekając na więcej, nawet jeśli przez cały czas utrzymywały prawidłowy i świadczący o szacunku dystans.

Tym razem udało mu się lepiej dobrać odstęp między falami i wysławszy ich serię, rzucił się w pościg za nimi z ostatnim, najgłośniejszym rykiem, który wywołał tępy ból w jego gardle, przez co musiał przerwać i trochę się rozkaszał, ale och! było to zupełnie bez znaczenia, gdyż nagle z wody wyrosło wielkie, szkliste wzgórze. Fala zaczęła się od niego szybko oddalać, połykając po drodze każdą z małych - wznosząc się coraz wyżej i wyżej, aż stała się lśniącą, jasnozieloną ścianą wody o wysokości trzydziestu stóp i zachwycony Temeraire mimowolnie zatoczył kilka kręgów, kiedy uderzyła w ukrytą pod wodą 'l mili dalej rafę i wznosząc tumany wodnego pyłu, rozbiła się "tak ogłuszającym hukiem, jakby to była salwa burtowa wielkiego okrętu.

Nie było czasu do stracenia: zachodzące słońce zabarwiło różem pianę na powierzchni kotłującego się morza i Temeraire popędził tak szybko, jak tylko mógł, w stronę brzegu, a kiedy dotarł na miejsce, wylądował przy namiotach, wołając:

— Laurence... Laurence, chodź proszę i zobacz...

Laurence uniósł wzrok znad listu, który właśnie pisał - miał go zabrać do Anglii jeden z okrętów, a dotyczył Demane, chociaż Temeraire w głębi serca nie widział już żadnego powodu, dla którego ktokolwiek chciałby zostać kapitanem w Korpusie. Jeśli dowództwo Korpusu nie chciało Laurence'a, było oczywiste, że nie można polegać na ich ocenach, kiedy nawet cesarz cenił go tak wysoko, i Qian też. Temeraire nie napomknął o tym Laurence'owi z obawy, że zostanie to uznane za przechwałki, ale Qian wspomniała także o nim w swoim liście, informując syna, że doskonale wybrał towarzysza i że ten wybór był bardzo pomyślną wróżbą na przyszłość.

- Czy będziesz tak dobry, Laurence, i polecisz ze mną? - zapytał niecierpliwie smok. - Chcę ci coś pokazać - dodał.

Laurence popatrzył na fale rozbijające się już wysoko na brzegu, odparł: - Poczekaj chwilę, zaraz przyniosę moją uprząż - i porozmawiał krótko z Granbym, zakładając pasy z karabińczykami.

najmniej

CO nie

- Mój drogi, wiem, że ta sytuacja jest dla ciebie bardzo bolesna - powiedział, kiedy Temeraire wzbił się w powietrze i odleciał, tym razem niezbyt daleko, tak że zatoka wciąż pozostawała w zasięgu wzroku. - Nie podoba mi się, że muszę cię prosić, byś jakoś zniósł tę zniewagę wyrządzoną krajowi... no może nie twojego urodzenia, ale twojego pochodzenia, i z pew

nością bardzo ci bliskiego; uwierz mi jednak proszę, że robię to z najwyższą niechęcią.

- Laurence, przecież tobie też się to wcale nie podoba prawda? - odparł Temeraire. - Nie uważasz, że Willoughb- powinien zachowywać się tak źle wobec naszych gospodarzy nie aprobujesz tego. u^H

- Nie - odrzekł Laurence - ale przekonałem się już, że nie- wiele rzeczy można aprobować podczas wojny lub ogólnie w stosunkach między państwami. Istnienie naszej kolonii w Nowej Południowej Walii nie było sekretem, mój drogi; Chiny z pewnością o tym wiedziały i o naszym zainteresowaniu handlem na Oceanie Indyjskim. Nie mogą udawać, że o niczym nie wiedzą, kiedy wysyłają towary do samego Sydney, a już z pewnością można się dopatrzeć

pewnej prowokacji w tym, że tę placówkę założyli w miejscu o tak strategicznym położeniu i tak bliskim granicy wyznaczonej przez Cooka.

- Ale to nie może być usprawiedliwieniem dla zniszczenia portu - upierał się Temeraire - i być może zabicia naszych przyjaciół. Poza tym nie rozumiem, jakie prawo miał Cook, by zgłaszać roszczenie do czegokolwiek, ale nawet gdyby przyjąć, że je miał, to przecież nie zgłosił go do tych ziem, a więc postępowania Chińczyków nie można uznać za prawdziwe wyzwanie. Ale - dodał, zawisając w powietrzu - nie chcę się teraz kłócić, Laurence; mam ci coś wspaniałego do pokazania.

Laurence zawahał się, po czym powiedział:

- Moglibyśmy odlecieć trochę dalej.

- Cóż - odparł smok - pomyślałem sobie, że może dobrze by było, gdyby Willoughby też to zobaczył, stamtąd, gdzie teraz jest...

Odwrócił się i kiedy popatrzył za siebie, zobaczył, że okręty podnoszą żagle: wielkie płachty bieli wydymały się, łapiąc wiatr,

otworów strzelniczych na burtach, niczym czarne języki, wystawały już działa.

Ale przyływ nie osiągnął jeszcze najwyższego poziomu - krzyknął Temeraire.

Laurence położył rękę na jego boku.

_ Mój drogi, proszę, polećmy trochę dalej. Nie ma powodu, żebyś to oglądał.

_ Ale ty nie rozumiesz - zawołał Temeraire. - Dokonałem tego: wiem już, jak zrobić falę Lien... - Poczuł, że Laurence zamarł w bezruchu na jego grzbiecie. - Nie... nie, Laurence. Nie miałem zamiaru... oczywiście, że nie chciałem tego zrobić - mówił gorączkowo smok, pragnąc przerwać okropną ciszę. - Ale pomyślałem, że gdyby oni tylko to zobaczyli... Pomyślałem, że może nie będą tak uparci.

Laurence milczał, bardzo długo, a potem powiedział:

- Groźba rzadko jest skuteczna, jeśli tak naprawdę nie chce się jej zrealizować. A poza tym - nie. Nie mogę mieć i nie będę miał nic wspólnego z kierowaniem takich gróźb przeciwko flocie. Przeszkodzenie królewskiemu oficerowi w spełnieniu obowiązku i wykonaniu otrzymanych rozkazów byłoby zbrodnią niezależnie od tego, czy dokonano by tego siłą, czy też poprzez zwykłe zastraszenie. Nie. Raz już dopuściłem się zdrady, ale w sprawie wyższej i ważniejszej od interesu narodowego, a nie z niskich, osobistych pobudek; muszę cię prosić, żebyś mnie z tego zwolnił.

Powiedział to twardo i stanowczo, a Temeraire zadrżał z bólu. On tego wcale tak nie postrzegał; nie myślał...

- To nie musi być zdrada - zaczął. - Czy nie możemy im po prostu tego pokazać? - Ale jeszcze kiedy to mówił, słowa zaczęły mu więznąć w gardle.

Zwinął się w powietrzu, ogarnięty nagłym poczuciem winy.

- Och... tak mi przykro; Laurence, wybac mi, proszę. Nie możesz myśleć, że kiedykolwiek poprosiłbym cię znowu o coś takiego, po tym wszystkim, co się wydarzyło... tylko po to, żeby bronić pawilonu. - Odetchnął z ulgą, kiedy poczuł dłoń Lauren. ce'a na swojej szyi, po czym dodał, próbując się wytłumaczyć: - Tylko że nie rozumiem, jak to może być słuszne, tylko patrzeć jak krzywdzi się przyjaciół, którzy byli dla nas tak dobrzy... i to wtedy, gdy rząd zabrał nam tak wiele.

- Posługując się tym argumentem, mógłbyś szybko sprowadzić lojalność do zwykłego poszukiwania tego, kto da więcej - odparł Laurence. - Gdybym choć przez chwilę sądził, że ta szata tak wpłynie na twoje uczucia, że pomyślisz o zdradzie, wrzuciłbym ją do ognia, nie zważając na to, jak wielki ból ci tym sprawię; a poza tym - dodał gorąco - coraz bardziej skłaniam się ku myśli, że Jia Zhen dokładnie wiedział, co robi, kiedy dał ci tak ekstrawagancki dar.

- Wcale nie chodziło mi tylko o szatę - zaprotestował słabo Temeraire, ale był bardzo wstrząśnięty tym, że Laurence w ogóle pomyślał o czymś tak odrażającym - i mam nadzieję, że nigdy nie zrobiłbyś czegoś tak okropnego. Oczywiście lubię ich i nic na to nie poradzę, a rząd zawsze postępował nikczemnie; to nie jest ich wina, w najmniejszym stopniu, a już z pewnością nie jest to wina szaty.

Ze smutkiem obejrzał się za siebie i popatrzył na pawilon: korweta, mała i szybka, zwróciła się już burtą w stronę portu i właśnie kiedy na nią spojrział, nad wodą przetoczył się grzmot jednego z jej dział. Kula poleciała wysokim łukiem - lufa armaty została podniesiona - i spadła na jeden z wdzięcznie wygiętych ku górze narożników dachu pawilonu, roztrzaskując misternie wyrzeźbionego smoka i przebijając się przez dachówki. Stłumiony przez odległość trzask pękającego drewna zabrzmiał tak dziwnie, jakby dochodził gdzieś ze wschodu, a z wnętrza buchnęła chmura drzazg i odłamków. Do tego wszystkiego doszedł jeszcze brzęk kolejnych czerwonych dachówek, które spadały j0 wielkiej czarnej dziury, okropnie szpecącej elegancką linię budynku.

_ Och - krzyknął wstrząśnięty Temeraire - Laurence, tylko popatrz; jeśli ktoś był w środku...

Rzucił się w tamtą stronę, chcąc podlecieć trochę bliżej - oczywiście nie zamierzał niczego zrobić, nie teraz, kiedy już rozumiał, że to byłoby złe; ale nie mógł się powstrzymać...

- Temeraire - zawołał ostrzegawczo Laurence.

- Nie, oczywiście, że tego nie zrobię - odparł zrozpaczony smok. - Pewnie nie wolno mi nawet strącać kul armatnich w locie? - Nie wiedział, czy boski wiatr rzeczywiście by je powstrzymał, ale...

Nie usłyszał odpowiedzi Laurence'a, nawet jeśli padła; zamiast tego cały jego świat zawirował i zahuczał ogłuszająco, a on sam runął bezwładnie w dół i wylądował w falach, oślepiony zielonym, spienionym światłem, dławiąc się wodą, która wypełniła jego nozdrza oraz gardło. Walczył przez chwilę wściekle, żeby się odwrócić głową do góry, po czym wypłynął na powierzchnię, kaszląc i kaszląc.

- Laurence - zdołał wychrypieć przez ściśnięte gardło, wykręcając w panice głowę do tyłu... ale Laurence nie odpadł: był tam, ociekający wodą, bez jednego buta, ale cały. Wisiał bezpiecznie na uprzęży i właśnie podciągał się z powrotem na swoje miejsce.

- Dobrze ci tak - rzuciła Iskierka, bijąc skrzydłami i patrząc na niego z góry - dosyć już tych twoich knowań. Wydawało ci się, że jesteś taki sprytny i nikt się nie domyśli, że chcesz coś zrobić okrętom, co? Zdradziecko, jak nędzny tchórz?

- Wcale nie chciałem! - zaprotestował gniewnie Temeraire, bo przecież to było niecne kłamstwo; nigdy nie chciał wyrządzić żadnej szkody okrętom - i myślę, że ty zachowałeś się o wiele bardziej tchórzliwie, niż ja mógłbym przez całe życie, napadają na mnie tak od tyłu bez ostrzeżenia.

- Możesz się skarżyć, ile chcesz - odparowała Iskierka ale zasłużyłeś sobie na dużo więcej. Nie pozwolę ci zaszkodzić Granby'emu bardziej, niż już to zrobiłeś. On zostanie admirałem i lordem; jak matka Roland.

- Zamilcz, proszę, ty okropna, samolubna istoto - wtrącił się Granby, po czym krzyknął przez tubę: - Laurence, nic ci się nie stało? Powiedziała mi, że on chce coś zrobić...

Laurence'a dręczył bolesny kaszel, ale zdołał wykrztusić uspokajająco:

- Już kiedyś wylądowałem z nim w wodzie... wszystko w porządku.

- Temeraire zamierzał coś zrobić - upierała się Iskierka - chociaż się teraz wypiera; a ja go powstrzymałam, co, mam nadzieję, powiesz temu kapitanowi, zanim ruszy w drogę powrotną do Anglii. Jestem pewna, że miło im to będzie usłyszeć - dodała z zadowoleniem.

- Och! - krzyknął Temeraire - gdybym naprawdę chciał coś zrobić, nigdy byś mnie nie powstrzymała - po czym wziął głęboki wdech, rozpostarł skrzydła i zaczął nimi bić z całej

siły. Tłukąc ogonem i tylnymi łapami, jak to robił, kiedy wspinał się po kąpieli na Allegiance, zdołał się w końcu wzbic w powietrze.

Pomimo protestów Laurence'a chciał dać Iskierce dobrą nauczkę, ale usłyszawszy odgłos palby karabinowej, a nie wielkich dział, znowu zwrócił uwagę na okręty. Od strony pawilonu leciała Tharunka, a w jej sieci bagażowej siedziało dwóch ludzi, którzy trzymali wielkie, ociekające worki. Temeraire poczuł smród nawet z daleka, kiedy opróżnili je kolejno nad Otterem i Nereide: na pokłady okrętów spadła gęsta, na wpół płynna masa zgniłych ryb i wodorostów, czarna jak smoła. Gdy Tharunka wzbijała się wyżej, żeby uniknąć ognia karabinowego, breja obryzgała jesz- ze żagle i biednych marynarzy w bocianich gniazdach, a to, co nje trafiło w okręty, spadło do wody. Napastnicy zasłużyli sobie

zywiście na coś takiego za swój atak, ale Temeraire'owi wydało się to całkowicie bezcelowe; działa pościgowe na dziobach może (,vly trochę spryskane, i karonady na pokładach rufowych, ale pokłady armatnie pozostały oczywiście nietknięte.

Gdy Tharunka leciała pospiesznie do brzegu, w porcie odezwał się dzwon. Niedługo potem woda w zatoce się zakotłowała, kiedy najpierw jeden, a potem inne morskie węże wynurzyły się na pokrytą cuchnącymi odpadkami powierzchnię i zaczęły się wspinać po burtach okrętów na ich pokłady, wyciągając długie szyje ku poplamionym żaglom.

Szybkość, z jaką węże się poruszały, była przerażająca - ogromne bestie walczyły ze sobą, żeby znaleźć jakiś punkt oparcia na burtach. Pchając się i odpychając inne, starały się przedostać tam, gdzie ewidentnie czekała na nie czysta rozkosz, a pokłady obu okrętów tańczyły, przechylając się na wszystkie strony pod ich ciężarem. Nieszczęśnicy na wantach i rejach, oblepieni cuchnącą breją, stali się pierwszymi ofiarami, wyłapywani jak szczególnie smakowite kąski, nawet gdy w desperacji próbowali ześliznąć się na dół po olinowaniu. Szeroko otwarte paszcze rwały wanty, aż w końcu pozbawione wsparcia maszty zaczęły się chwiać i padać, zrzucając jeszcze więcej śmierdzących odpadków na ludzi na pokładzie i przyciągając do nich uwagę węży.

Jeden z mniejszych zdołał wpełznąć niemal cały na pokład Nereide, tak że tylko jego długi ogon zwisał za burtą, i zaczął ścigać marynarzy z takim entuzjazmem, iż wpełznął łeb w dziobowe wejście pod pokład. Teraz jednak sięgnięto już po siekiery i karabiny, do akcji weszły też wielkie działa i gdy Temeraire oraz Iskierka, bijąc gwałtownie skrzydłami, podlecieli do okrętów, Laurence zobaczył wysokiego mężczyznę, który skoczył do przodu i z wielkim rozmachem spuścił topór na szyję małego węża, tuż za łbem, który wpychał w dół.

Dwoma uderzeniami przeciął kręgosłup i cielsko węża wpadło w konwulsyjne drgawki, w wyniku których oderwał się od niego łeb, a strumienie ciemnej, pomarańczowoczerwonej krwi zalały pokład. Spłynęła przez pomalowany na biało reling okrętu i dalej, po jego burcie na dół, a zapach smoczjej krwi zmieszał się ze smrodem zgniłych ryb i wodorostów.

Temeraire zanurkował i złapał jednego węża za barki, odciągając go od okrętu, podczas gdy bestia o wielkiej paszczy wiała się i szarpała, próbując chwycić go, a zwoje jej długiego ciała skręcały się w powietrzu, które darły też jej krótkie, przednie łapy. Laurence spojrział prosto w jej rozwarte szczęki i gardziel i zobaczył! tam bladą rękę rozpaczliwie trzymającą się tkanki przełyku oraz twarz człowieka, zakrwawionego, ale jeszcze przytomnego, który patrzył na niego z bezgranicznym przerażeniem, zanim po kolejnym szarpnięciu się węża zniknął, wciąż żywy, w jego brzuchu.

Wijący się i gwałtownie drapiący wąż, ze swoją ogromną masą, której prawdziwy ciężar Temeraire poczuł po wyciągnięciu go z wody, był nie do opanowania.

- Nie mogę go utrzymać - wysapał smok, wyczerpując wszystkie siły, żeby odciągnąć bestię jeszcze trochę dalej; ale wtedy Iskierka zawołała: - Utrzymaj go jeszcze tylko przez chwilę - po czym zanurkowała. Zalała zwisające, długie cielsko płomieniami, przysmażając skórę oraz łuski. W powietrzu rozszedł się okropny smród, a wąż zaskrzeczał wysokim głosem i zwinął się w kłębek w chwili, gdy Temeraire rzucił go w końcu z powrotem do wody.

- No, z tym mamy już spokój - powiedziała z zadowoleniem Iskierka, ale Tharunka właśnie znowu nadleciała i rzuciła następny worek rybich odpadków na ogarnięty zamieszaniem kład Nereide, tym razem dokładniej, gdyż wśród strzelców Opanował kompletny chaos, a ze spienionej wody wychyneło jeszcze więcej rozgorączkowanych węży.

Były ich dziesiątki, wdzierających się na pokłady, szarpiących poszycie okrętów - w ich zachowaniu nie było żadnej koordynacji, tylko szalona, dzika furia, w której nie rozpoznawały nawet siebie nawzajem: gdy siekiery cięły cielska jednych węży, inne też je gryzły i szarpały pazurami, rwały także olinowanie, a nawet rzucały się na działa, śliskie od rybich resztek. W pewnej chwili jedno działo zerwało się z umocowań, przetoczyło się przez pokład i przebiło przez reling, zabierając ze sobą pół tuzina ludzi i jednego węża. Deski pokładu były śliskie od ich krwi, a ładowane armaty grzmiały co jakiś czas, zmiatając kolejne bestie do wody.

Ale wciąż przybywały nowe, a te ranne, tylko jeszcze bardziej rozwścieczone, też wdrapywały się z powrotem i w ślepej furii rzucały na źródło swego bólu. Jeden z większych potworów, być może uznawszy teraz sam okręt za ofiarę i zarazem zagrożenie, chwycił się wielkimi, przednimi łapami jego burty po drugiej stronie i zsunawszy łeb do wody, zaczął się owijać wokół całej jednostki.

Laurence widział już kiedyś próbę takiego ataku na Allegiance, okręcie o zanurzeniu niemal dwa razy większym od zanurzenia biednej Nereide, i pamiętał, że chociaż mieli wtedy tylko jednego przeciwnika, ledwie udało im się wyjść cało z tej opresji.

- Musimy go powstrzymać - krzyknął do Temeraire'a, który zanurkował i wbił pazury we wciąż sunący po pokładzie tułów, ale nie sięgnął kręgosłupa, chronionego przez kolczaste i twarde płetwy.

Bijąc z całej siły skrzydłami, pociągnął do tyłu; ale w chwili, gdy udało mu się unieść cielsko węża, drzewce jednego z masztów zachwiało się i runęło w ich stronę, na wpół oslepiając Laurence'a breją z żagli, która zbryzgała grzbiet i skrzyp Temeraire'a. Laurence otarł ją z oczu i kiedy odzyskał zdolność widzenia, zobaczył wielką różową paszczę pełną pilokształtnych zębów, sunącą ku niemu, i nieruchome, pomarańczowe oczy wpatrujące się w niego z jakąś skupioną żarłocznością.

Wyrwał szpadę z pochwy - pistolety były bezużyteczne p0 kąpieli w morzu - i zdołał wbić klingę w zbliżającą się do niego dolną szczękę, rozcinając głęboko wargę bestii, co sprawiło, że się odruchowo cofnęła; tylko trochę, ale Temeraire to zauważył i wbił zęby w jej ciało. Ona także spróbowała go chwycić zębami, a potem odwróciła łeb, wbiła je w jego skrzydło i szarpiąc nimi tam i z powrotem, starała się przegryźć twardą błonę. Temeraire ryknął na nią, a ogłuszający grzmot boskiego wiatru boleśnie rozbrzmiał w uszach Laurence'a, podczas gdy odrzucona siłą podmuchu bestia poleciała do morza z wysokim, przenikliwym wrzaskiem.

Ale kolejne rzucały się na nich, a wielki wąż pod nimi cały czas się przesuwiał, zaciskając pętlę, i nagle reling na lewej burcie złamał się jak patyczek pod jego cielskiem, a chwilę potem to samo stało się z jego odpowiednikiem po prawej. Pozbawiony tego wsparcia tułów potwora spadł ciężko na pokład, wyslizgując się z pazurów Temeraire'a; smok rzucił się natychmiast w dół, żeby go na nowo uchwycić, i natknął się na cztery inne węże, które uniosły łby znad pożeranych właśnie ludzkich szczątków, przy czym jeden odchylił się do tyłu, żeby łatwiej połknąć połowę rozszarpanego ciała swojej ofiary.

Temeraire odwrócił głowę, żeby unikać ich szeroko otwartych paszczy, a Laurence, który tymczasem zdołał załadować pistolet, wpakował kulę prosto w oko jednego węża i zobaczył jeszcze, jak twardówka mętnieje od ciemnej krwi, gdy bestia szarpnęła się do tyłu z wrzaskiem. Ale Temeraire musiał się znowu cofnąć: gryzły go ze wszystkich stron, a jemu nie udało

? uchwycić na nowo cielska potwora miażdżącego okręt; zdołał wko uratować jednego marynarza, którego podniósł z pokładu • wykręciwszy się, podał Laurence'owi. Był to midszypmen, (noże czternastoletni, z włosami i twarzą pokrytymi gęstą warstwą brei.

_ Niech Bóg pana chroni, sir, i jego - krzyknął chłopiec

0 szklanym z przerażenia spojrzeniu, odruchowo przestrzegając form grzecznościowych.

Drżącymi dłońmi przewlekł swój pasek przez pierścień upręży, jak mu to pokazał Laurence, i wsunął ręce pod rzemienie, żeby lepiej się trzymać; Temeraire właśnie rzucił się w dół w kolejnej próbie ataku.

Tym razem zaatakował bliżej burty i wcisnąwszy się pomiędzy wijące się ciała węży, zdołał znowu wbić pazury w tułów największego. Ale teraz musiał też walczyć z oceanem; fale uderzały w jego ogon i dolne krawędzie skrzydeł, kiedy próbował wzbić się w powietrze i pociągnąć, a potem potworne cielsko jeszcze raz wysłiznęło mu się z łap. W tej samej chwili z głębin wychynał nagle jeszcze jeden wielki wąż, uchwycił się pokładu

I przechylił na bok cały okręt, który skrzypiał już tak głośno, że brzmiało to jak jęk.

Nereide przewracała się, a wspinające się na jej burtę węże, nadal próbując dostać się na pokład, przechylały ją jeszcze bardziej. Z wnętrza fregaty dochodziły krzyki, huknęła jedna armata, a potem pętla utworzona przez cielsko węża nagle zacisnęła się mocniej, deski poszycia pokładu zaczęły pękać i rozszczepiać się, a woda przedostająca się przez reling wlewała się przez powstałe dziury do środka.

Okręt tonął. Laurence uniósł w desperacji wzrok i zobaczył, że Iskierka, chwyciwszy kotwicę Ottera, celowo wciągnęła korwetę na płyciznę przy brzegu, dokąd węże nie mogły dotrzeć: ludzie zeskakiwali z burt do wody, by uciec przed tymi, które trzymały się jeszcze desek pokładu, podczas gdy Cezar i Kulingile starały się je oderwać. Nawet Tharunka pomagała im teraz? wydobywając ludzi z wody i przenosząc ich jednego po drugim na brzeg. Byli tam także Larrakia, którzy zeszli na dół, by pomóc wyciągać oszołomionych koszmarem rozbitków.

Nic lepszego nie można było zrobić.

- Temeraire - zawołał Laurence - czy zdołasz dociągnąć okręt do brzegu albo dopchać go tam?

Owinięty wokół kadłuba fregaty wąż okazał się niespodziewanie dobrym, choć makabrycznym, uchwytem dla Temeraire'a. Kulingile, który przybył chwilę później, nurkując z góry, wbił długie pazury w cielsko potwora i oba smoki pociągnęły okręt, którego kadłub nadal pękał i rozszczepiał się.

Pokład był teraz niemal oczyszczony z ludzi, a fale bijące w przechyloną fregatę zmyły z niej cuchnącą breję. Z każdą chwilą okręt zanurzał się coraz bardziej, ale zbliżali się już do brzegu i w miarę jak woda stawała się coraz płytsza, mniej oszalałe węże zsuwały się z pokładu i odpływały. Drugi z ogromnych węży popatrzył na nich z - jak przez bardzo nieprzyjemną chwilę wydawało się Laurence'owi - chłodnym rozmysłem, po czym także puścił okręt i zniknął w zmaconej wodzie.

W końcu wciągnęli Nereide na małą rafę w pobliżu Ottera i tam Temeraire zdołał w końcu, pazurami i kawałkami odłamanej koralu, oderwać od kadłuba owiniętego wokół niego węża, już martwego i śliskiego od krwi. Demane tymczasem ratował ludzi wychodzących z luków i stojąc w swoich rzemieniach, pomagał im wdrapać się na Kulingile, który trzymał się resztek relingu i cały napęczniał, żeby ułatwić mu zadanie.

Nie było żadnej nadziei na uratowanie Nereide-. kil pękł, a wzdłuż całego kadłuba otworzyły się wielkie szczeliny. Robiło się już ciemno; Laurence posłał Demane z powrotem na brzeg, a Temeraire unosił się nad okrętem, czekając na tych, których jeszcze można było uratować. Po jakimś czasie wyniesiono na pokład Willoughby'ego, z bandażem zakrywającym jedno oko i nogą odciętą poniżej kolana, a zaraz potem na górę wspiął się lekarz okrętowy. Wypełzające z wnętrza okrętu obsługi działa były czarne od dymu

prochowego. Wszyscy oni chwyтали się tych pasów upręży, do których mogli sięgnąć, ale chociaż Temeraire starał się lecieć do brzegu ostrożnie i powoli, niektórzy z nich nie zdołali się utrzymać i pospadali w fale przyboju, by potem wolno, z najwyższym wysiłkiem wydostać się z wody, przy czym ostatnie kilka stóp czołgali się po piasku.

Polecieli na wraki drugi raz, a potem trzeci, wydobywając po drodze ludzi z morza. Słońce chowało się już za pawilonem i jego światło płonęło czerwienią na lakierowanym dachu. W wodzie ciała morskich węży unosiły się i opadały wraz z falami przyływu. Temeraire położył się na piasku, ciężko dysząc, a jego szyja wygięła się do dołu ze zmęczenia.

Larrakia obserwowali ich; młodzi mężczyźni, którzy pomagali wynosić na brzeg na wpół utopionych rozbitków, wycofali się, znowu chwycili dzidy i utworzyli dość luźny pierścień wokół plaży. Było ich dużo, spokojnych i czujnych, i ciągle dołączali do nich nowi, także niektórzy z młodych Chińczyków, uzbrojeni w miecze, które trzymali jednak dość niezdarnie: żaden z nich nie był żołnierzem.

- Panie Blincoln - krzyknął Rankin z grzbietu Cezara - niech pan z łaski swojej zaprowadzi tu trochę porządku; Cezarze, gdybyś mógł - na co Cezar stanął na tylnych łapach i wypchnął do przodu swoją klatkę piersiową w jaskrawoczerwone pasy, starając się sprawić możliwie groźne wrażenie.

Awiatorzy zaczęli formować linię obronną. Laurence zsunął się z grzbietu Temeraire'a i położywszy dłoń na jego miękkich nozdrzach, wyczuł ciężki, chrapliwy oddech smoka, którego stan niewątpliwie znowu się pogorszył na skutek nadmiernego korzystania z boskiego wiatru. Wszelkie zapasy, jakie jeszcze mieli, pozostały w obozie, w dalszej części zatoki, i obecnie były ^ nich nieosiągalne.

- Roland - powiedział cicho Laurence - idź powiedz Dema ne, że jeśli dojdzie do walki, macie polecieć do obozu i przynieść tu proch, kule i wszystkie karabiny, które mogły tam pozostać

Kiwnęła głową i pobiegła, żeby dołączyć do Demane i Kulingile, który, pomimo zmęczenia, był ze wszystkich smoków najbardziej ożywiony, a jego oczy błyszczały z głodu. Niektórzy z Larrakia wrócili właśnie z polowania: dwa małe kangury piekły się na rożnach za ich linią i na nich skupiała się cała uwaga Kulingile.

Marynarze leżeli nieruchomo na piasku, wyczerpani bardziej niż smoki i kompletnie otepiali po grozie ostatnich wydarzeń, których Laurence nawet nie potrafił nazwać walką. Było to raczej zmaganie się z żywiołową siłą, którą przywołano nazbyt pochopnie i która równie szybko znikła, kiedy zaspokoila swoją żądzę krwi. Na morzu, za granicą zatoki, widać było wiele węży, które znowu baraszkowały, nie bacząc na nic, jak dzieci, które już zapomniały o naganie.

Myśliwi Larrakia rozmawiali ze sobą, trzymając dzidy nisko pochylone i gotowe do walki; starsi wyraźnie się naradzali, a młodszy tylko od czasu do czasu coś wtrącał. Po obu stronach wyczuwało się wahanie: gwałtowność starcia wstrząsnęła wszystkimi.

W końcu Galandoo wyszedł przed swych ludzi, skinieniem ręki poprosił Tharunkę o tłumaczenie, a do Laurence'a powiedział po prostu:

- Czas, żebyście stąd odeszli.

Rozdział 17

A

ni razu nie widzieli już krajowców w czasie ich długiej, monotonnej podróży powrotnej, która nawet odbyta na smoczycy skrzydłach zajęła im połowę jesieni: pustynia w dole przesuwiała się wolno, a oni przez cały czas byli zmuszeni zachowywać czujność. Rankami znajdowali tyle śladów, że nie mieli wątpliwości, iż są obserwowani; przy wodnych dziurach szybko zaspokajali pragnienie i zostawiali drobne ofiary, które mogli wydzielić dla bunyipów ze skromnych zapasów żywności, gdyż wraz ze zbliżaniem się końca roku na pustyni było coraz

mniej zwierzyny, a oni mieli do wykarmienia cztery smoki, w tym jednego z wręcz nienasyconym apetytem.

Ku niezadowoleniu Dorseta wszystkie bardzo wychudły, zanim dotarli do ostatniego punktu orientacyjnego, wielkiego, wystającego nad czerwoną pustynię skalnego monolitu, którego cała roślinność, spalona przez słońce, była już zupełnie żółta; i zaczęły skręcać w stronę wybrzeża.

- Przynajmniej już wkrótce dotrzemy do jeziora - powiedział ze znużeniem Temeraire, chłepnąc wodę z kolejnej wodnej dziury, zbyt płytkiej, by w niej zanurzyć cały pysk i napić się do woli.

To była ich cała nadzieja w ciągu tego długiego, dwutygodniowego lotu: chociaż nie przebyli jeszcze nawet połowy drogi do celu, poruszali się teraz w tempie dużo większym niż podczas pierwszej podróży, lecąc prosto, a nie zygzakami w poszukiwaniu nieznanego wroga, a perspektywa postoju nad jeziorem zachęcała ich do jeszcze większych wysiłków. Kiedy w końcu dostrzegł je w oddali jako nikły poblask, który rozciągał się na krzywiźnie horyzontu i lśnił czerwienią w świetle zachodzącego słońca skrzydła Temeraire'a zaczęły bić szybciej. Wszystkie smoki przy spieszyły i po niecałej godzinie dotarli do jeziora, gdzie powitał ich smród gnijących ryb i widok brzegu pokrytego skorupą soli poznaczoną gdzieś różowymi plamami. Jezioro skurczyło się do długiego, wąskiego pasa wody, która nie nadawała się do picia: była bardziej słona od morskiej, miała różowawy odcień, a na jej powierzchni unosiły się zbite masy martwych, na wpół zjedzonych ryb. Ptaki też już opuściły brzeg.

Udało im się znaleźć mały zbiornik wystarczająco zasobny w wodę, by smoki mogły wypić po kilka łyków, ale konieczny podarunek dla bunyipów poważnie uszczuplił ich zapasy; spodziewając się obfitości zwierzyny nad jeziorem, rzadziej zatrzymywali się, by zapolować. Te resztki, które zostały, ludzie zjedli w milczeniu, skuleni wokół małych ognisk. To nie była zwykła niedogodność; to było rozczarowanie tak wielkie, jakby ta dzika kraina wymierzyła im na pożegnanie policzek, z pogardą i na przypomnienie, że nie są tu mile widziani.

A jednak Laurence poczuł się jeszcze gorzej, kiedy w końcu dotarli do Sydney, obszarpani i wychudzeni, i wylądowali na cyplu, który znowu porósł gęstą roślinnością w czasie ich długiej nieobecności: trawy, chwasty i małe, kolczaste krzewy odzyskały swój teren. Przybyli późnym popołudniem i zobaczyli stojącego na kotwicy Allegiance oraz małą flotyllę statków handlowych, skupioną bliżej brzegu; słońce wisiało nisko na niebie, rzucając pomarańczową lunę na wodę, a u wyjścia z zatoki, gdzie zaczynał się ocean, światło skrzyło się na skórach i łuskach kilkunastu

kich węży, które baraszkowały beztrąsko, to wynurzając się powierzchnię, to znów nurkując w głębinie.

Pozostaje tylko kwestia, jak to zrobić, a nie czy zrobić to w ogóle - oświadczył gubernator Macquarie, następca Bligha, który w końcu przybył do kolonii krótko po drugim odlocie Granby'ego. W czasie ich podróży na wzniesieniu górującym nad zatoką zbudowano dla niego wytworny dom z gabinetem, i którego rozciągał się widok na otwarty ocean. Na podłodze leżał nawet mały dywan, a meble były bardzo eleganckie; Laurence i Granby w swoich zniszczonych ubraniach czuli się tam nieswojo i nawet Rankin, mimo że nie szczędził wysiłków, nie wyglądał od nich dużo lepiej.

Nie mieli okazji kupić sobie nowego odzienia, gdyż wezwanie nadeszło jeszcze poprzedniego wieczoru, zanim nawet zdążyli wysłać posłańca, by oficjalnie powiadomił o ich powrocie. Zgodnie z poleceniem już z samego rana stawili się w rezydencji nowego gubernatora, który czekał na nich niecierpliwie, krążąc po swoim gabinecie.

- Nie widzę powodu, żeby oni tu byli - mruknął pod nosem Bligh, mając na myśli MacArthura i Johnsona, których właśnie wpuszczono do środka.

MacArthur przeszedł szybko przez pokój, żeby uścisnąć rękę Laurence'owi.

mors

na

- Widzę, że odbył pan niezmiernie długą podróż, kapitanie - powiedział, zerkając na zakurzone i wyblakłe mapy, które leżały na szerokim biurku. - Cieszę się, że wrócił pan bezpiecznie - dodał, chociaż w jego słowach brakowało może entuzjazmu: zarówno jemu, jak i Johnsonowi rozkazano powrócić z Blighiem do Anglii, gdzie mieli stanąć przed sądem pod zarzutem buntu, a powrót Granby'ego oznaczał, że Allegiance, będący dla nich naturalnym środkiem transportu, w końcu wyruszy w drogę.

- Najpierw musimy postanowić, co należy zrobić z ^
• ? ^ • ? rt\i
węzami: ich obecność była wystarczająco niepokojąca %
nim jeszcze otrzymaliśmy wasz raport, panowie - powiedz ^
Macquarie, przerywając to prywatne powitanie, i wskazał ręką krzesła przy stole.

Węże nie pojawiły się same: u wschodniego wybrzeża widzia. no ostatnio jeszcze jednego smoka o ogromnych skrzydłach, nie Shen Li, przy czym raz zdarzyło się to w odległości nie większej niż trzydzieści mil. Krótco potem sporadycznie zaczęły się p0. jawiać węże, które najwyraźniej szkolono w jakiejś przystani, na tyle bliskiej, że w swych zabawach mogły od czasu do czasu docierać aż do Sydney. Statki nadal wpływały do portu i opuszczały go bez żadnych incydentów; węże najwyraźniej nie zachęcano do napaści na nie i wydawało się, że są dostatecznie dobrze karmione, by osłabiło to ich naturalną skłonność do takich ataków, ale nie było to zbyt wielką pociechą dla tych, którzy widzieli zniszczenia, jakich łatwo mogły dokonać.

- Muszą być wyplenione, natychmiast - rzucił szorstko kapitan Willoughby, wyciągnawszy niezgrabnie przed sobą drewniany kikut nogi; nalegał, żeby zabrali go ze sobą, chociaż wciąż był szary na twarzy i wymizerowany z bólu, jakiego przysparzały mu rany. - Musimy odnaleźć ich przystań i wszystkie zabić; węże i ich panów.

- Sir - odezwał się Laurence - już raz ucierpieliśmy na skutek nieudanego ataku na tak bronioną przystań, ataku przeprowadzonego bez odpowiednich przygotowań i, tu kapitan Willoughby musi mi wybaczyć, niesprowokowanego, a w każdym razie nie w takim stopniu, by uzasadniało to poniesione przez nas straty. Na pewno nie może być żadnego usprawiedliwienia dla wszczęcia wojny z Chinami, które, jak już teraz wiemy, mogą zagrozić całej naszej żegludze. Nawet bez inteligentnego przywództwa węże były niebezpieczne dla żeglarzy; nie potrzebują

•jy wiatru lub prądu, by manewrować, i mogą uderzać niespo- *zicwanie od dotu.
_ fak - wtrącił wojowniczo Bligh - i w tej właśnie chwili jest •ch co najmniej tuzin w okolicy naszego portu. Jeśli Chińczycy chcieli nas nauczyć szacunku dla ich potęgi, odnieśli sukces; jeśli chcieli wzbudzić w nas lęk, nie udało im się i zawsze tak będzie.

_ Racja! - powiedział Willoughby, patrząc gniewnie na Laurencea, który zacisnął usta, zirytowany tym groteskowym entuzjazmem. Nie mógł zarzucić braku odwagi Willoughby'emu, który w wyniku ataku węży stracił już oko i nogę, ale jego rozsądek można było poddać krytyce.

- Panowie z floty muszą mi wybaczyć - odezwał się Mac- Arthur - ale zastanawiam się, czy nie moglibyśmy wymyślić jakiegoś lepszego sposobu postępowania z ludźmi, którzy mogą, jak rozumiem, sprowadzać każdego miesiąca na nasz brzeg dwadzieścia ton towarów z Chin.

Bligh tak spurpurowiał, że wydawało się, iż jest bliski apopleksji. Zanim jednak zdążył coś odpowiedzieć, Macquarie uniósł rękę.

- Panowie, proszę - powiedział; był człowiekiem spokojnym, o pobrużdżonej zmarszczkami, ale i ciepłej twarzy, oraz głęboko osadzonych, ciemnych oczach. Jednak on też nie dopuszczał możliwości negocjacji. - Nasze ostatnie rozkazy, które otrzymaliśmy za pośrednictwem kapitana Willoughby'ego- tu skinął głową do tego dżentelmena - są zupełnie jasne: nie wolno nam tolerować żadnych obcych sił i placówek na tym kontynencie. Jeśli próba usunięcia ich z tego północnego portu zakończyła się niepowodzeniem, jest to tylko jeszcze jeden powód do odparcia ich, zanim zdołają założyć inny, tym razem bliżej nas.

Był zdecydowany wytepić węże; pozostało jeszcze tylko omówić, jak to zrobić.

- Zrzucając z powietrza bomby mogą być naszą najpewniejszą metodą unieszkodliwienia tych stworzeń - odezwał się Rankin. - Jeśli wyuczono je, żeby ściągały do rybich resztek łatwo możemy je gdzieś zwabić i zgotować im zgubę.

Jego propozycja została przyjęta z entuzjazmem, pomimo oczywistych trudności, jakie wiązały się z cełnym zrzućaniem bomb na stworzenia, które mogły w każdej chwili zanurkować w głąb oceanu i które przez sam swój rozmiar były trudne do zabicia. Willoughby mimo to przyklasnął temu pomysłowi, a Macquarie go zaakceptował. Granby, mający większe doświadczenie w wojnie powietrznej od Rankina, który poprzednio służył w jednostkach kurierskich, popatrzył na nich z wahaniem i powiedział:

- Lepiej spróbujmy tego najpierw na jednym wężu, gdzieś daleko stąd. Jeśli je rozwścieczymy, a ta metoda się nie sprawdzi, mogą zniszczyć wszystkie statki w porcie.

- Może powinniśmy najpierw wyprawić z portu część najbardziej wartościowych okrętów - zasugerował MacArthur. - Jeśli mamy zrzucić na nie bomby z powietrza, to nie widzę powodu, żeby Allegiance tu stał, dając im okazję do przegryzienia lin kotwicznych.

W tej propozycji było coś nieszczerego, gdyż zdążył już zgłosić, że on i Johnson zajmą się przygotowaniem produkcji bomb, co powinno dać im pretekst do opóźnienia powrotu do Anglii. Jednak Riley widział już, jak wąż morski niemal zatopił jego okręt, i nie można było powiedzieć, by ponownie pragnął przeżyć coś podobnego: bardzo chętnie poparł pomysł MacArthura, a gubernator Macquarie nie zgłosił sprzeciwu.

Uzgodniono plan ataku. Zanim narada się zakończyła, Laurence dostał swoją bardzo spóźnioną pocztę: trzy listy od Jane, dwa dla Temeraire'a i jeden, który miał przekazać Tharkayowi. Włożył je do kieszeni i już miał wyjść, kiedy w drzwiach gabinetu gubernatora zatrzymał go MacArthur.

- Przypuszczam, że nie można się z nimi jakoś dogadać - zaczął--To znaczy, z tymi Chińczykami. Czy oni naprawdę chcą wrzucić nas wszystkich do zatoki i nakarmić nami te stwory?

- Błagam pana, żeby przynajmniej pan nie powtarzał tych absurdalnych wymysłów, które zazwyczaj słyszę od zwykłych robotników - odparł Laurence, zbyt rozdrażniony, by dbać o zachowanie form. - To są tacy sami ludzie jak wszyscy inni i nie brakuje wśród nich głupców oraz krętaczy; choć nie sądzę, żeby, proporcjonalnie rzecz ujmując, mieli ich więcej niż my. - No cóż - mruknął MacArthur - w takim razie możemy iść do diabła wszyscy razem.

Dotknął kapelusza i rozstali się, a Laurence poszedł na cypel do Temeraire'a, żeby przekazać mu listy. To, co przeczytał, w najmniejszym stopniu nie pomogło mu się pogodzić z myślą o bliskim ataku, katastrofalnym w skutkach, niezależnie od tego, czy zakończy się sukcesem, czy też niepowodzeniem: według Jane, Bonaparte rzeczywiście zawarł sojusz z Tswana.

Ładuje ich na każdy Transportowiec, który ma w swoich Kieszeniach, i wysyła prosto za morze: do Rio dostarczył dwadzieścia sześć smoków, w tym dziewięć wagi ciężkiej i dwa zionące ogniem; możesz się domyślić, jak to było, i oszczędzę ci Szczegółów: nie czyta się tego przyjemnie, zapewniam cię.

Portugalczyki krzyczą o Pomoc i musimy zrobić, co w naszej Mocy, zanim przełkną dumę i zegną kolano przed Francją, ale nie mam Pojęcia, jak powstrzymamy tych Afrykanów przed

obróceniem Kolonii w Gruzji, jeśli nie możemy przekonać Inków, by się tym zainteresowali. Za Wszelką Cenę musimy mieć z powrotem Iskierkę i oddałabym Ramię za jednego z tych japońskich smoków, które potrafią wywoływać trąby wodne.

Mówią, że jak dotąd straty w Nieruchomościach przekroczyły czterdzieści milionów funtów; niedorzeczne, prawda?

Tswana na razie zdają się interesować tylko Plantacjami i Niewolnikami, ale jeśli zasmakują w Wojnie, a ze Smokami tak już jest, gdy dać im choć pół Minuty, Bonio z pewnością znajdzie im jakieś zajęcie.

Zasepiony Laurence odłożył listy; rozpoczynanie w tych okolicznościach kolejnej wojny, i to z przeciwnikiem o wiele lepiej od Tswana przygotowanym do prowadzenia działań przeciwko brytyjskiej żegludze, wydawało się czymś bliskim szaleństwu. Posłał Sipho po pióro i papier i zaczął uzupełniać swój list informacjami dla Jane o tej nowej sytuacji i swoich związanych z nią obawach, chociaż przypuszczał, że będą one spóźnione i bezużyteczne, kiedy już do niej dotrą.

- Przynajmniej coś się tu zmieniło na lepsze - powiedział Temeraire, mając na myśli ilość bydła oraz to, że gubernator Macquarie wykazał się dużym rozsądkiem, pozwalając im zjadać dwie krowy dziennie po gehennie podróży, mimo iż było to dla kolonii bardzo kosztowne. Przy tych ogólnych brakach ciężko było patrzeć na stada bydła i owiec ładowanych na Allegiance jako zaopatrzenie okrętu na podróż do Anglii. W końcu Iskierka znajdzie się na morzu i będzie mogła jeść ryby, jeśli tylko zechce, w całej ich różnorodności; nie było też żadnego powodu, by nie mogła wziąć trochę kangurów i tych szarych kazuarów, a poza tym przy Nowym Amsterdamie będą przecież foki.

Pozostała głucha na ten argument.

- I nie wydaje mi się, żebym była ci cokolwiek winna - dodała, machnąwszy ogonem - gdy się weźmie pod uwagę to, jak długa będzie ta podróż i ile mnie to wszystko kosztowało. Mogłeś mi przynajmniej dać jajo za te wszystkie kłopoty, których mi przysporzyłeś.

- Sama nam przysparzałaś wielu kłopotów, a przede wszystkim - (?m nikt nie chciał, żebyś z nami popłynęła - odparował Te-meraire, ale kiedy to powiedział, obudziło się w nim bolesne poczucie winy: w głębi serca nie mógł zaprzeczyć, że Iskierka okazała się bardzo pomocna. Skręcał się w duchu z zakłopotania, ale pomyślał, dość rozpaczliwie, że Laurence'owi nigdy by się nie spodobało, gdyby dbałość o własne interesy przeważała nad poczuciem sprawiedliwości, i dlatego, wzięwszy głęboki wdech, powiedział heroicznie: - Przypuszczam, że mogłabyś zostać, gdybyś tego chciała.

Iskierka prychnęła lekceważąco.

- Jakby ktokolwiek chciał zostać w tym paskudnym kraju, w którym nie ma niczego dobrego do jedzenia i żadnej okazji do porządnej walki, a jeśli już się jakaś przydarzy, to nie można się potem oczyścić od śmierdzących ryb. Nie, i według mnie jesteś wielkim głupcem, skoro zostajesz tutaj - dodała. - Granby mówi, że najpewniej popłyniemy z Madrasu do Rio, zamiast do domu, i stoczymy wspaniałe bitwy z tymi afrykańskimi smokami. Jestem pewna, że tam będzie nam lepiej.

Temeraire rozpląszczył krezę na karku, w takim samym stopniu poirytowany, co i ogarnięty zazdrością. Madras - nigdy nie widział Madrasu ani żadnej innej części Indii, chociaż zawsze przywożono stamtąd wiele ładnych rzeczy; a z tego, co opowiadali marynarze, wynikało, że cała Brazylia jest dosłownie zasłana złotem. Nie cieszyła go też perspektywa nadchodzącej bitwy, jako że, o ile dobrze zrozumiał, będą tylko zrzucać bomby z góry; i chociaż chętnie przepędziłby stąd węże, które okazały się takie wstrętne i poza tym głupie, Laurence uważał, że z całą pewnością będzie to oznaczało wojnę z Chinami.

Ale nie było innego wyjścia: kiedy odpłynie Allegiance i ostatnia fregata, a także te z kupieckich statków, które mają zbyt duże zanurzenie, by wyciągnąć je bezpiecznie na płyciznę, rozpoczną atak. Laurence także się żegnał.

- Przekaż, proszę, moje pozdrowienia Harcourt - powie, dział, po czym dodał zbyt późno: - To znaczy, pani Riley, oczywiście. Mam nadzieję, że zastaniesz ją w dużo lepszym zdrowiu i że wasze dziecko także rozwija się dobrze.

- Myślę, że teraz będzie już mówić - odparł Riley-jeśli do tego czasu nie spadł z grzbietu smoka gdzieś w powietrzu; nie zdziwię się, jeśli usłyszę, że tak się stało. - Wziął listy przygotowane przez Laurence'a i te, które Siphon napisał pod dyktando Temeraire'a.

- Kapitanie Riley - powiedział Temeraire - wiem, że nie przepadacie za sobą, ale proszę, by z łaski swojej powiedział pan Lily, że także przesyłam jej najserdeczniejsze pozdrowienia i że będzie tu bardzo mile widziana, ona i Maksimus, jeśli kiedykolwiek postanowią nas odwiedzić.

- Och - mruknął Riley, nieco wystraszony; Temeraire musiał przyznać, że Lily była w stosunku do niego trochę niesprawiedliwa, ale z drugiej strony można było powiedzieć, iż to z jego winy biedna Harcourt tak bardzo cierpiała, rodząc ich młode. - Tak, oczywiście przekażę twoje życzenia.

- Moim zdaniem to cholerna głupota i zwykle marnotrawstwo - mówił tymczasem Granby do Laurence'a, cicho, ale nie bardzo cicho. - Mam na myśli pozostawienie ciebie tutaj z Rankinem jako dowódcą kryjówki; jeśli można to nazwać kryjówką, kiedy są tu tylko trzy smoki, i dwa z nich prędzej wrzucą Rankina do oceanu, niż go posłuchają.

- Życzę mu dużo radości z tego dowództwa - odrzekł sucho Laurence. - Mało prawdopodobne, żeby wymagało od niego wykazywania się dużą inicjatywą, i równie dobrze może być tutaj, jak gdzie indziej; nie powinien wyrządzić wielkiej szkody na tym stanowisku i może sobie do woli politykować. Szczerze mówiąc, znaleźlibyśmy się w większym impasie, gdyby zatwierdzono oficcerski awans Demane. Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, by gubernator Macquarie był choćby w najmniejszym stopniu skłonny słuchać chłopca, który ma piętnaście lat, nie wspominając już nawet o jego pochodzeniu.

- Jeśli o to chodzi, Demane jest w takim samym stopniu oficerem, jak ryba, więc zgadzam się, że Rankin jest mniejszym złem - odrzekł Granby. - Ale nadal uważam, że to zbrodnia, zostawić ciebie tutaj, byś tugnił razem z nim i znosił jego knowania. On chyba po prostu inaczej nie potrafi. No i taki wspaniały smok - dodał z jeszcze większą frustracją - którego w żaden sposób nie będzie można zabrać z tego kontynentu, kiedy Allegiance odpłynie.

Podczas powrotnej podróży Kulingile przerósł Cezara, ku skrywanej satysfakcji Temeraire'a, ale teraz wydawało mu się, że młody smok mógłby już przestać rosnąć dalej w takim tempie, gdyż wyraźnie zjadał zbyt dużo z dostępnych zapasów. Nawet jeśli Iskierka odpłynie, to i tak nie zostanie im za dużo krów, a polowania stały się dość uciążliwe, kiedy każde z nich łapało po kilka kangurów naraz: już wkrótce będą musieli zacząć szukać odpowiednio dużych stad w promieniu kilku godzin lotu od miasta.

- I z pewnością musiałeś słyszeć, jak oficerowie mówią, że w tej kolonii naprawdę wielki smok wagi ciężkiej wcale nie jest potrzebny - powiedział Temeraire do niego, kiedy w końcu wrócili do doliny, i Kulingile upierał się, że należy mu się tyle samo krów, ile zażądali Temeraire i Iskierka.

Ale aluzje Temeraire'a nie robiły żadnego wrażenia na Kulingile, który nadal zarówno jadł, jak i rósł.

- Nie przerośnie oczywiście Maksimusa - mruknął pytająco Temeraire do Dorseta, kiedy zniknęła już druga krowa, i Kulingile mierzył smutnym, zamyślnym spojrzeniem resztę stada. Temeraire tak naprawdę nie widział powodu, by Kulingile mógł przerosnąć także i jego, ale nie chciał, żeby jego słowa zabrzmiały egocentrycznie, albo żeby wydawało się, że przywiązuje do tego nadmierną wagę; nie miało to oczywiście żadnego znaczenia, jeśli się było Niebiańskim. Mj,

- Bardzo prawdopodobne, że jednak przerośnie - odpowiedział Dorset, zapisując coś w swoim dzienniku; notował wszystko, co Kulingile zjadł, i starannie go mierzył swoją miarką

przynajmniej do czasu, gdy młody smok urósł do tego stopnia, że tylko jego pazury dało się zmierzyć w jakimś rozsądnym czasie. Po chwili dodał: - Będziemy wiedzieć, że zbliżył się do swojego prawdziwego rozmiaru, kiedy przestanie być taki zaokrąglony; to znaczy wtedy, gdy jego ciało dorośnie do rozmiarów pęcherzy powietrznych.

Ale to było ponad tydzień wcześniej, a Kulingile wciąż wyglądał jak pulchna kluska i nawet jeśli nie był dłuższy od Teme-raire'a, trudno było powiedzieć, że był od niego zdecydowanie mniejszy, kiedy się porównało ich cienie na ziemi.

Na pewno swoim wyglądem zrobił wrażenie na MacArthurze, który przyszedł na cypel tego popołudnia, prawdopodobnie po to, żeby porozmawiać z Laurence'em; ale Laurence udał się na Allegiance, by zjeść z Rileyem i Granbym ostatnią kolację przed planowanym odpłynięciem okrętu, więc nie było nikogo innego, z kim mógłby się spotkać. MacArthur zatrzymał się na skraju wzgórza i zapytał Temeraire'a:

- A więc to jest ten nowy, jak rozumiem? Ogromny, jak na stworzenie, które zaledwie trzy miesiące temu wykuło się z jaja. Dorówna ci, jeśli nadal będzie rósł tak szybko.

- Pewnie tak, jeśli kogoś interesuje tylko waga- odparł Temeraire, trochę niechętnie.

- Ha, ha - zaśmiał się MacArthur, chociaż Temeraire nie widział w tym nic śmiesznego. - A czy ma już kapitana?

- On jest mój - odezwał się wojowniczym tonem Demane z miejsca, gdzie on i Emily szkicowali na piasku proponowany

plan ataku na węże, spierając się o szczegóły; nie podobał mu się tylko dlatego, że przedstawił go Rankin, i ciągle znajdował w nim błędy, aż w końcu znieczepliwiona Emily powiedziała: - Tak, on jest pętkiem, ale co to ma wspólnego z samą walką? gdyby Laurence kazał ci wskoczyć do wody i walczyć z nimi, chciałbyś to zrobić?

MacArthur przyjrzał się Demane z powątpiewaniem, a potem powiedział do niego coś, co nie miało większego sensu. Brzmiało to jak słowa z różnych języków Aborygenów, których Temeraire się już trochę do tej pory nasłuchał, pomieszane ze specyficznym wymawianą angielszczyzną.

- Co? - zapytał Demane, słusznie zdumiony.

- On myśli, że jesteś jednym z tubylców! - wyjaśnił Sipho, nie unosząc głowy znad książki. - My pochodzimy z Afryki i nie jesteśmy także głupi; nie musisz mówić, jakbyś gaworzył z małym dzieckiem.

- Cóż, to lepiej - odparł MacArthur. - Szkoda, że więcej z was, czarnych, nie umie lepiej mówić po angielsku.

- Szkoda też, że ty nie umiesz lepiej mówić po chińsku - odparował Sipho, niezbyt cicho, na co MacArthur odrzekł:

- Wiesz, nie mogę powiedzieć, że w tych czasach miałbym coś przeciwko temu - i roześmiawszy się znowu, zwrócił się do Demane: - A zatem, jak to się stało? Przecież nie jesteś oficerem.

- Jestem - odrzekł wyzywająco Demane - bez względu na to, co kapitan Rankin o tym mówi. Chciał zabić Kulingile, kied' on się wykluł, a więc - tu splunął na ziemię - to dla niego i każdego, kto zechce mi zaprzeczyć. Chętnie się z nimi spotkał kiedy tylko zechcą.

- Cóż, jeśli o mnie chodzi, możesz trzymać swoją szpacę w pochwie - odpowiedział MacArthur - i chętnie będę ci nazywać kapitanem, jeśli robi to smok, chociaż to może być prawdziwa kwestia sporna. Pewnie inni mają z tym problem

co? - dodał chytrze, a Demane zrobił zaciętą minę. - Będzie% siedział tutaj z tym olbrzymem, jak rozumiem, ale co zamierzasz z nim robić w tej kryjówce? - ciągnął MacArthur. - Może tu być nieco nieprzyjemnie, z tą gderającą gromadą zazdrośników

Lepiej by było, gdybyś ruszył własną drogą... zdobył własny kawałek ziemi i zaczął hodować swoje bydło.

Zaskoczony Demane wziął głęboki wdech. Społeczność w której się wychował, niczego nie cenila wyżej od bydła, które nie dość, że umożliwiało przetrwanie, to jeszcze było środkiem płatniczym. On sam, zubożały sierota, bez wahania zaryzykował kiedyś życie, by stać się posiadaczem krowy, która nadal w jakimś zakamarku jego umysłu była wyznacznikiem zamożności. MacArthur równie dobrze mógłby powiedzieć, że Demane powinien wykopać skrzynkę pełną skarbów i wskazać mu do niej kierunek.

- Może i tak zrobię - powiedział, próbując zachować spokój, przez co jego słowa zabrzmiały tak, jakby był tylko ostrożny i nieufny.

- Cóż, pamiętaj o tym - odparł MacArthur. - Nie ma potrzeby, byś miał podejmować jakieś pochopne decyzje; przemyśl to tylko sobie i zastanów się, czy ci to odpowiada.

Zapytał potem o Laurence'a, a usłyszawszy, że wybrał się na kolację, dotknął kapelusza i odszedł, ale nie bez obietnicy, iż przyśle im jeszcze kolejne dwie krowy.

- Z dużą porcją cielęciny dla tego małego - dodał, mając na myśli Cezara - dzięki czemu nie będziesz się musiał sprzeczać z tym... Kulingheelayem, czy tak? - Jakby Temeraire kiedykolwiek zniżył się do tak niegodnych kłótni. - Przekaż moje pozdrowienia twojemu kapitanowi - powiedział jeszcze na zakończenie, po czym ruszył w drogę powrotną.

Demane śledził go przez chwilę wzrokiem, po czym mruknął półgłosem do Emili:

__ To by mi bardziej odpowiadało od słuchania rozkazów gankina.

__ jakbyś to w ogóle robił - odparła, przewracając oczami. - rslie bądź osłem; on prawdopodobnie chce sprawdzić, czy dasz się namówić, by mu służyć lub coś takiego, po okazyjnej cenie.

_ Czy nie sądzisz, że zgodziłby się i na całkiem nieokazyjną cenę, gdyby nie udało mu się wytargować czegoś lepszego? - zapytał Temeraire.

Chociaż Emili odrzuciła pogardliwe cały pomysł jako coś, czego nawet rozważenie byłoby poniżej godności awiatora, Demane był tego samego zdania co Temeraire, kiedy smok powiedział do niego później na osobności:

- Ale gdyby on lub ktokolwiek inny był gotowy zapłacić w krowach, to sądzę, że nikt nie mógłby się sprzeciwiać wyświadczeniu tej osobie jakiejś przysługi.

Będzie jeszcze czas na zastanowienie się nad tym; chwilowo przestał myśleć zarówno o tej kwestii, jak i wizycie MacArthura, gdyż zmienił się wiatr: wiał teraz wprawdzie niezbyt mocno, ale za to z idealnego kierunku. Na pokładzie okrętu Allegiance naradzano się, co Temeraire widział, mimo że powoli się ściemniało: młodzi oficerowie, którzy pełnili służbę, spoglądali w górę i rzucali głośno pytania w stronę bocianiego gniazda. Trwało to przez jakiś czas, ale wkrótce wszelkie kwestie zostały rozwiązane: drzwi gospody, do której ludzie poszli zjeść, otworzyły się, kiedy z okrętu wystrzelono niebieską racę i wciągnięto na maszt małą niebieską flagę, co było sygnałem wzywającym wszystkich oficerów na pokład.

Laurence powoli wszedł na wzgórze i położył dłoń na boku Temerairea, patrząc na szalupę, którą oficerowie wrócili na okręt i właśnie jeden po drugim wspinali się po jego burtach; marynarze już napierali na dwa masywne kabestany, maszerując dokoła nich, podczas gdy kolejne płachty białych żagli wypełniały się wiatrem.

- Do widzenia! - zawołała Iskierka ze smoczego pokład głosem, który poniósł się nad wodą.
- Do widzenia! Powie Granby'emu, żeby do was napisał, kiedy tylko wydarzy się coś interesującego.

Temeraire westchnął lekko i położył głowę na przednich łapach, kiedy Allegiance powoli i statecznie ruszył w drogę. WU doczne w pomarańczowo-różowym świetle zachodzącego słońca kłęby pary z wyrostków Iskierki spowijały przedni maszt okrętu, wlewały się do wydętych żagli i znikwały za rufą; z dali dobiegały ich okrzyki i głos dzwonu wybijającego szklanki. Okręt płynął prosto w stronę nocy i już wkrótce krzywizna ziemi zaczęła stopniowo

przesłaniać jego kadłub, tak że widać było tylko przesuwające się nad wodą żagle; trochę później w mroku można było dostrzec tylko latarnię zawieszoną na najwyższym maszcie, i to jedynie wtedy, gdy Temeraire usiadł na tylnych łapach i maksymalnie wyciągnął szyję. Potem nawet to przygasło do malutkiej plamki światła, której nie można było odróżnić od światełek pojawiających się na niebie gwiazd, i pomiędzy jednym a drugim mrugnięciem Temeraire stracił ją z oczu. Allegiance odpłynął: pierwszy okręt w jego życiu, który, siedząc na brzegu, odprowadzał wzrokiem w morze.

Port sprawiał wrażenie dziwnie pustego i mniejszego bez tego potężnego żaglowca, jakby do końca nie można było sobie wyobrazić tego, że tak wielki okręt jeszcze niedawno w nim stał, a wszystkie inne normalne statki, które w porównaniu z nim były tak niewielkie, teraz wydawały się normalne, a nawet całkiem okazałe pod względem rozmiarów.

- Nie ma powodu, dla którego nie miałby pewnego dnia tu wrócić - powiedział Temeraire pocieszająco do Laurence'a. - W końcu okręt może popłynąć, dokądkolwiek go skierują, a raz już przysłano go tutaj. Może postanowią wysłać tu jeszcze trochę smoków. I och! to byłoby tak nużące, płynąć znowu przez osiem miesięcy, co najpewniej czeka Iskierkę... To znaczy, jeśli nje zostanie wysłana do Brazylii - dokończył przygnębiony.

Był pewny, że Iskierka zostanie wysłana do Brazylii, bo to byłaby właśnie jedna z tych rzeczy, które się jej przydarzają. Nie wydawało mu się nadto sprawiedliwe, że istocie tak nierozważnej i niedbałej miały przypaść sterty skarbów, że tylko dla niej były te wszystkie krowy z okrętowych zapasów i że czekało ją

o wiele więcej walk niż jego, a także dużo innych przyjemności.

Ale był zdecydowany nie okazywać swojego ponurego nastroju. Nie chciał dodatkowo obciążać Laurence'a, którego także zostawiono na tym brzegu, by użerał się z Rankinem i tym nowym gubernatorem; a ostatnio Temeraire był niestety zmuszony zrewidować swój stosunek do Macquariego. To prawda, że Laurence miał o nim lepsze mniemanie niż o Blighu, i smok nie zamierzał się z nim o to spierać, ale wyglądało na to, że Macquarie miał skłonność do konsultowania się w niemal wszystkich sprawach z Rankinem, a nie Laurence'em, którego nie zaproszono nawet na kilka narad zwołanych w celu przedyskutowania kolejnych wersji planu ataku.

Rankin wracał z tych spotkań do kryjówki i z wielką gorliwością przedstawiał plan awiatorom, a jeśli Laurence chciał zrobić jakąś uwagę lub zadać jakieś pytanie, nazywał go bardzo uszczypliwie „panem Laurence'em”, podczas gdy innych, na przykład porucznika Blincolna, tytułował ich stopniami oficerskimi i tylko do skrzydłowych zwracał się per „panie Peabody” lub „panie Dawes”, a więc było to tym bardziej zauważalne.

- Wcale mnie to nie martwi - odpowiedział Laurence, kiedy Temeraire dał wyraz swojej wielkiej irytacji. - Równie dobrze mógłby w ogóle nie dzielić się ze mną informacjami z narad

I spróbować narzucić kogoś, żeby dowodził nami podczas bitwy; miałby do tego prawo.

- Nigdy bym na coś takiego nie pozwolił - rzucił oburzony smok - i jestem pewny, że on dobrze o tym wie; musiałby st0 czyć tę bitwę beze mnie i, jak sądzę, bez Kulingile.

Kulingile otworzył lekko oko, usłyszawszy swoje imię, i Za. pytał sennym głosem:

- Czy już czas, byśmy znowu coś zjedli?

- Nie, ale myślę, że nie będziesz długo czekać; po drodze minąłem rzeźnika, który zarzynał krowy - odpowiedział mu Tharkay, wchodząc na szczyt wzgórza.

Uścisnął rękę Laurence'a, po czym, ku wielkiej konsternacji Temeraire'a, powiedział, że także przyszedł się pożegnać.

- Kapitan Minwera powiadomił mnie, że zamierza zawinąć do Bombaju - mówił dalej - a ja znam drogę stamtąd do Stambułu. - Uśmiechnął się lekko i nieco krzywo. - Wiele z moich informacji może się okazać już trochę przestarzałymi, kiedy tam dotrę, ale obiecałem je dostarczyć.

Temeraire nie rozumiał, dlaczego Tharkay miałby udać się w tak daleką podróż tylko po to, by dostarczyć wiadomości, zwłaszcza że nie wyglądał na kogoś, kto bardzo pragnie wyruszyć w drogę.

- Jeśli musisz, jedź, ale mógłbyś potem do nas wrócić - powiedział - a jeśli zobaczysz Bezaida i Szerazdę, powiedz im, że ich młode bezpiecznie się wyklulo. Często myślałem, że powinienem wysłać im wiadomość. To oczywiście nie ich wina, że Iskierka jest tak bardzo irytująca.

- Myślę, że jednak rozstaniemy się na dłużej - odezwał się Laurence. - Nie może być zbyt wielu spraw, które w najbliższym czasie wymagałyby twojego powrotu do tej części świata.

Tharkay zawahał się, po czym odpowiedział:

- Jakiś czas temu rozmawialiśmy o przedsięwzięciach, dzięki którym mógłbyś ją opuścić. Będę miał sposobność o to popytać, jeśli się zdecydowałeś.

Laurence milczał chwilę, po czym odpowiedział:

___ Nie; dziękuję, Tenzing. Nie wyobrażam sobie siebie w tej roli- Jestem bardzo wdzięczny...

Tharkay przerwał mu machnięciem ręki.

___ W takim razie mam nadzieję, że znajdziesz sobie jakieś inne zajęcie; nie wydaje mi się, żebyś tu leżał beczynnym. - 2 pudełeczka, które trzymał w kieszeni, wyjął pięknie zdobioną wytłoczonym wzorem kartę wizytową. - Nie wiem, jak zwykle, dokąd rzuci mnie los, ale możesz pisać do mnie na adres moich prawników. Jeśli nie będą mogli mnie znaleźć, przetrzymają listy do czasu, aż się po nie zgłoszę.

Wręczył kartę Laurence'owi, po czym uścisnęli sobie jeszcze raz dłonie i zanim Tharkay odszedł, umówili się na kolację następnego dnia.

- Mam nadzieję, że on ma rację - powiedział Temeraire z lekkim westchnieniem; korsarstwo wydawało mu się wspaniałym zajęciem i bardzo żałował, że Laurence uznał, iż nie jest to coś dla niego. Nie spodziewał się, by kiedykolwiek w tym zapadłym zakątku świata mogło wydarzyć się coś interesującego, a to, że wszyscy z wyjątkiem jego samego i Laurence'a mogli go opuścić, było jego zdaniem wielce niesprawiedliwe.

Kiedy następnego dnia Tharkay i Laurence poszli na pożegnalną kolację, późnym wieczorem wybuchła nagle strzelanina. Temeraire właśnie się obudził z drzemki, by cieszyć się chłodniejszymi godzinami, i zastanawiał się, czy lot na małą odległość od miasta do bardziej ocienionej wodnej dziury, gdzie mógłby się napić zimnej wody, wart był tego wysiłku. Kiedy rozległy się strzały, Kulingile otworzył oczy i usiadł.

- Czy to już czas, by walczyć z węzami? - zapytał z nadzieją. Jego głos nie zgrubiał, ale stał się o wiele bardziej donośny w dziwny, rozbrzmiewający echem sposób, tak że kiedy coś powiedział, odnosiło się wrażenie, iż odzywa się kilka osób naraz, mówiących jednocześnie to samo.

- Oczywiście, że nie jest to jeszcze czas, by walczyć z węzami - odparł Cezar, patrząc w dół stoku. - Gdyby tak było, mój kapitan przyszedłby tutaj po mnie i moją załogę. Widzę tam ludzi, którzy do siebie strzelają: może to pojedynki.

- To nie są pojedynki - wtrącił Temeraire - bo nikt nie toczy ich wieczorem, i to w taki sposób, że dziesiątki ludzi strzelają do siebie; pojedynki stacza się o świcie. Nie rozumiem, dlaczego w tym mieście zawsze są jakieś rozruchy i dlaczego Laurence zawsze musi się znaleźć w samym ich środku, gdzieś, gdzie go nie mogą zobaczyć; och! znowu strzelają.

Na ulicach widać było wielu ludzi w mundurach, walczących ze sobą bagnietami i wręcz; niektórzy trzymali karabiny jak kije i tłukli nimi przeciwników. Temeraire podniósł się i spoglądał z niepokojem w dół, starając się wypatrzeć Laurence'a w tym zamieszaniu, ale jego brązowy płaszcz trudno byłoby wyłowić z tłumu nawet w lepszym świetle, tak więc to, że nie mógł go dostrzec, nie było dla niego zbyt wielką pociechą. Gdyby zobaczył Laurence'a, mógłby przynajmniej spróbować wynieść go w bezpieczne miejsce.

- Lecę tam na dół - powiedział zdecydowanie. - Nie, Roland, nie mogę czekać; Laurence najwyraźniej gdzieś tam jest i być może przestaną się bić, kiedy wylądują wśród nich... Przewróć ten niski dom, który i tak wygląda, jakby miał się sam zawalić, i może ten drugi obok niego.

- Nigdzie nie polecisz - krzyknął zasapany Rankin, wbiegając na wzgórze w swoim stroju wieczorowym, który był w wielkim nieładzie. Za nim podążali Blincoln i drugi porucznik z jego załogi. - Panie Fellowes! Proszę natychmiast założyć uprzęż Cezarowi; to jest rebelia. Ty masz pozostać tutaj - zwrócił się do Temeraire'a. - Laurence'owi nic nie grozi: oni nacierają na rezydencję gubernatora, daleko od gospody, w której on jadł kolację.

- Jakbym miał ci uwierzyć na słowo - odparł pogardliwie Temeraire - lub słuchać ciebie; nie służę pod twoim dowództwem, a jeśli ktoś się zbuntował, to kto to jest i dlaczego to zrobił?

- To nie twoja sprawa - warknął Rankin - ale jeśli zamierzasz « paść tam na oslep i najpewniej zmiażdżyć Laurence'a w swym lekkomyślnym zapamiętaniu, proszę bardzo, zrób to, ale masz nie wchodzić nam w drogę. Cezarze, czy wszystko dobrze leży? Ten pas na piersi nie wygląda mi dobrze. Panie Fellowes, proszę się tym zająć.

- Jest też trochę za luźny na barku - dodał Cezar, wypinając maksymalnie piersi.

Demane powiedział:

- Nie rozumiem, dlaczego powinniśmy... Au!

Emily kopnęła go mocno w piszczel, a kiedy się za nią chwycił, złapała go za ucho i boleśnie je wykręciła.

- Nie bądź osłem - warknęła - a ty na mnie nie wrzeszcz - dodała, gdy Kulingile uniósł gwałtownie głowę, żeby zaprotestować. - To dla jego dobra, i twojego.

- Puszczaj! - syknął do niej Demane, ale ona zrezygnowała z przesuńnięcia się wokół niego, tak że nie mógł się uwolnić, nie robiąc sobie jeszcze większej krzywdy. - Dlaczego powinniśmy mu pozwolić na decydowanie, kto ma rządzić kolonię i wszystkimi, którzy tu...

- Nie powinniśmy - syknęła w odpowiedzi - ale ty nie jesteś synem hrabiego, który ma dwadzieścia tysięcy funtów rocznie i połowę Izby Lordów w kieszeni. Jeśli choćby sprawisz wrażenie buntownika, ktoś po prostu cię zastrzeli, nie zawracając sobie głowy procesem, bo nie masz ani odrobiny wpływów. A poza tym - dodała - jeśli on nie może decydować, to ty masz do tego jeszcze mniejsze prawo. Nie wiesz nawet, kto się zbuntował ' dlaczego, i przypuszczam, że oni wszyscy są pijani.

- Na pewno nie są pijani - odezwał się Temeraire - bo udało im się oddać trzy salwy, a przeładowanie broni nie jest taką prosta sprawą nawet wtedy, gdy jest się trzeźwym. Opanowanie to sprawiło największą trudność naszej kompanii artylerii, choć • jedno działo obsługiwało siedmiu ludzi, więc wydaje mi się, że jeden człowiek z karabinem może mieć z tym jeszcze więcej kłopotów; no i chciałbym wiedzieć, kim oni są...

- To Korpus Nowej Południowej Walii - wyjaśnił ciężko zasapany porucznik Forthing, który właśnie wbiegł na szczyt wzgórza. - Pan Laurence tu idzie, Temeraire. Powiedział, bym ci przekazał, że nic mu się nie stało i nie masz go szukać.

- Gdzie on jest, jeśli łaska? - zapytał Temeraire, wciąż trochę nieufnie. Wiedział, że po ich podróży Laurence nabrał nieco lepszego mniemania o Forthingu, ale sam nie uważał, by porucznik dokonał czegoś szczególnie ważnego; wołałby odzyskać Ferrisa albo może swojego skrzydłowego Martina; gdyby nie to, oczywiście, że Martin zdecydowanie odciął się od nich po procesie.

Zrobiło się zbyt ciemno, żeby móc cokolwiek zobaczyć, ale w dole widać było latarnię, którą niósł ktoś wchodzący po stoku.

- Wszystko leży dobrze, kapitanie Rankin - oświadczył wielce z siebie zadowolony Cezar i stał, czekając, aż wejdą na niego oficerowie, uzbrojeni w karabiny i pistolety. Kiedy

zajmowali miejsca, zwrócił się do Temeraire'a i Kulingile niewybaczalnie protekcjonalnym tonem: - Cóż, moi mili, załatwimy tę sprawę migiem i zaraz tu wrócimy; nie kłopotcie się tym, proszę.

- Nie rozumiem, dlaczego nas się pomija, kiedy jest okazja do walki, a ciebie nie? - odezwał się Kulingile i zdaniem Temeraire^ było to niezwykle stosowne pytanie. - Byłem bardzo senny, ale nikt nie może spać, kiedy zewsząd słychać strzelaninę. No i jeśli to jest Korpus Nowej Południowej Walii, to czy nie oni właśnie dawali nam te owce? I krowy?

- No cóż - odpowiedział roztropnie Temeraire - jeżeli o to chodzi, gubernator Macquarie rzeczywiście dostarczył nam trochę bydła. - Uważał, że w takich okolicznościach należało być sżrupulatnie sprawiedliwym. - Ale zamierza rozpocząć wojnę z Chinami, której nikt nie chce; Laurence - zawołał, odwracając głowę - tak się cieszę, że cię widzę; chciałem polecieć na dół, ale Forthing dotarł tu wcześniej. Dyskutujemy teraz, czy powinniśmy pomóc gubernatorowi Macquariemu, czy Korpusowi, który znowu się zbuntował.

- Tak - odparł ponuro Laurence. - Roland, moja luneta.

Bitwa, jeśli można ją było tak nazwać, toczyła się teraz w pobliżu rezydencji gubernatora, i o ile Temeraire mógł to z tej odległości stwierdzić, wydawała się zamierać. Walki nie były zbyt intensywne, a żołnierze, którzy poprzednio stawiali opór, najwyraźniej przyłączali się do reszty, z wyjątkiem małego oddziału piechoty morskiej, który uciekł. Słychać było śpiewy, a na ulice miasta wyległo wielu mieszkańców z latarniami, dzbanami i butelkami; widać było światło odbijające się od szkła, kiedy ludzie pili i wiwatowali i, strzelano też w powietrze z pistoletów.

Laurence złożył lunetę i oddał ją Emily.

- Cezar - rozkazał Rankin - podnieś mnie.

- Temeraire - powiedział Laurence - nie pozwól mu wzbić się w powietrze, z łaski swojej. Kapitanie - zwrócił się do Rankina - wydarzenia potoczyły się własnym torem: nie może pan skierować swojego smoka na tłum cywilów. Bóg wie, że zdarzało się to aż nazbyt często o podczas tej wojny, i nie pozwolę, by powtórzyło się jeszcze raz.

Rankin zbladł z gniewu i zacisnął dłonie na rzemieniach karabińczyków, które trzymał w pogotowiu.

- Panie Laurence, jeśli ośmieli się pan mi w tym przeszkodzić...

- Ośmielę się - przerwał mu beznamytnie Laurence i cokolwiek Rankin chciał jeszcze powiedzieć, utknęło mu w gardle: nie było żadnej groźby, którą mógłby się posłużyć.

- Jeśli miał pan -nawet najmniejszą nadzieję uzyskania ułaskawienia - wydusił z siebie po chwili zażartej, wewnętrznej walki, która na krótko wykrzywiła jego wąskie, arystokratyczne usta - może pan o tym na zawsze zapomnieć. Jeśli pan myśli, że relacja, jaką zdam na pański temat, nie wystarczy, dojdzie do tego raport gubernatora Macquariego, który z pewnością potępi pana tak samo gruntownie jak ja.

- Nie mam co do tego wątpliwości - odparł Laurence i odwrócił się; nie chciał, by Rankin zobaczył jego twarz.

Epilog

O

czywiście to nie jest prawdziwy bunt - zaczął MacArthur, podając Laurence'owi kieliszek zimnego szampana. Upały w końcu ustąpiły i jesienne powietrze było przyjemnie chłodne, a wieczorną ciszę przerywały krzyki małych nietoperzy, które śmigały między drzewami na obrzeżu ogrodu. - Nie rozumiem, dlaczego mielibyśmy się zachowywać jak ci Jankesi i na złość babci odmrażać sobie uszy, ale nie możemy pozwolić na to, by rządzone nami na tak wielką odległość i w oparciu o czyste spekulacje. Ich lordowskie moście nie mogli wiedzieć, że prosili się o wojnę, której nie jesteśmy w stanie wygrać. Co moglibyśmy zrobić, gdyby Chińczycy wysłali tu z tuzin tych smoczycy albatrosów, o których istnieniu panowie w Londynie nawet nie wiedzą, i skierowali je nad nasze głowy z worami pełnymi bomb? Nie, to

oczywiste, że musimy sami sobą rządzić, ale z pewnością nie mam zamiaru wyrzec się lojalności wobec króla. Nigdy tego nie zrobię.

Rozumiał przez to, jak przypuszczał Laurence, że nie zamierza wyrzec się tej lojalności jeszcze przez przynajmniej półtora roku, zanim z Anglii przybędzie jakaś odpowiedź. Laurence podejrzewał, że gdyby ministrowie nie uznali MacArthura do tego czasu za pierwszego ministra Australii, które to stanowisko sam utworzył i sam się na nim obsadził, jego odczucia w tej sprawie mogły się okazać nieco bardziej elastyczne.

- Porozmawiajmy teraz o tym Rankinie - podjął po chwili milczenia MacArthur. - Nie bardzo widzę, jak mógłby nadal pełnić rolę dowódcy naszych skromnych sił powietrznych...

- Byłbym zaskoczony, gdyby udało się panu go do tego nakłonić - przerwał mu sucho Laurence. Spodziewał się raczej, że Rankin wróci do Anglii z Macquarie'em: obalony gubernator nie zamierzał się oציagać z opuszczeniem kolonii jak Bligh i chciał natychmiast odplłynąć tą samą fregatą, którą przybył, kiedy tylko okręt będzie gotowy do rejsu.

- Myślę, że udałoby mi się pana zaskoczyć - odparł MacArthur. - On jest nieco uparty, nie da się temu zaprzeczyć, ale jego smok jest rozsądnym stworzeniem; przekonałem się, że dobrze jest z nim pogadać przed każdą dyskusją z jego kapitanem. Jednak w obecnych okolicznościach nie ma sensu mówić, że Rankin dowodzi kryjówką; to pana chcemy widzieć w tej roli. Napisałem dla pana ułaskawienie; oczywiście jest to może trochę nieprzepisowe, ale na razie musi wystarczyć...

- Sir - odezwał się Laurence - jestem panu bardzo wdzięczny, ale muszę to nazwać czymś o wiele bardziej niż tylko nieco nieprzepisowym.

- Cóż - odparł MacArthur, zbywając machnięciem ręki to zastrzeżenie jako niewarte uwagi - wszyscy tu działamy mniej lub bardziej nieprzepisowo i jeszcze przez długi czas będzie to raczej bardziej niż mniej. Nie wydaje mi się, że jest pan skłonny siedzieć beczynn timer, czekając, aż dostaniemy jakąś wiadomość: nie jest pan stworzony do tego, by gnuśnieć w jakimś zapomnianym zakątku świata. I dlaczego miałby pan to robić? W końcu przysłano pana tutaj po to, by pracował pan dla kolonii. Nie rozumiem, jak mogłoby to w jakikolwiek sposób naruszyć warunki pańskiego zesłania.

Stwierdzenie, że wyrok dożywocia za zdradę, który otrzymał Laurence, nie wykluczał możliwości objęcia przez niego dowództwa nad powstającą kryjówką i przebywającymi w niej awiatorami, wymagał szczególnego rodzaju czelności; takiej samej oczywiście, jaka była potrzebna do zorganizowania nie jednego, lecz dwóch osobnych zamachów stanu.

Laurence'owi przyszło do głowy, że MacArthur i Bonaparte są ulepieni z tej samej gliny, w sensie duchowym, nawet jeśli nie posiadają takich samych talentów.

- Nie mówiąc już o tym - ciągnął MacArthur - że może być pan cholernie przydatny w tej całej sprawie z Chińczykami. Nie da się nie zauważyć, że robią się niezwykle słodcy, gdy tylko zobaczą pana i tego smoka.

Te słowa mógł poprzeć dowodem w postaci dwóch młodych chińskich urzędników, którzy przybyli do kolonii w ostatnim tygodniu: Temeraire na jego prośbę zdołał dogonić Lung Shen Gaia, smoka, którego niedawno widziano w pobliżu Sydney, i przedstawić jego załodze zaproszenie na rozmowy o kwestiach terytorialnych. MacArthur całym sercem podzielał uczucia swoich obywateli, którzy z wielkim entuzjazmem myśleli o perspektywie napływu wielkich ilości chińskich towarów na ich rynek: słowa „wolny handel” stały się dewizą powtarzaną przez każdego, kto miał jakieś zdanie w tej sprawie, czyli przez wszystkich. Wiadomości z północy o skarbie dostarczonym przez węże, o herbacie i przedmiotach zbytku, rozeszły się już szeroko wśród ludności, głównie za sprawą O'Dei, który każdego wieczoru opowiadał za kilka szklaneczek grogu o tym, co napisał w swoim sprawozdaniu, przy czym jego relacje wcale nie traciły swego powabu w miarę powtarzania, lecz stawały się coraz bardziej nęcące.

- Tak sobie myślę, że jeśli nie zechce pan zostać dowódcą kryjówki - dodał MacArthur - to może wzięłyby pan ministerstwo spraw zagranicznych. To w istocie mogłoby być nawet lepsze.

- Lepiej by pan zrobił, zatrudniając Temeraire'a na tym stanowisku, jeśli byłby skłonny służyć - odpowiedział Laurence. - Nie: dziękuję za okazane mi zaufanie, ale nie. - Odstawił kieliszek na stół. - Proszę przekazać moje ukłony żonie.

Temeraire drzemał na polu za domem. Po miesiącu od powrotu z wyprawy przybrał nieco nawadze, a łuski na jego skórze zaczęły już odzyskiwać ten szczególny, lśniący połysk. Uniósł głowę, kiedy Laurence zbliżył się do niego, i ziewnął.

- Czy kolacja już się skończyła? Co on chciał ci powiedzieć?

- Zaoferował mi świat, a w każdym razie dużą jego część, gdybyśmy się zgodzili objąć dowództwo kryjówki - odpowiedział Laurence, wchodząc na jego grzbiet i przypinając karabińczyki. - Chciałby zrobić ze mnie admirała lub ministra; i oczywiście ułaskawił mnie, choć nie wiem, ile to jest warte w brytyjskim sądzie: przypuszczam, że pewnie dodatkowe dwadzieścia lat do wyroku.

- Niemniej było to z jego strony bardzo miłe - odrzekł Temeraire, unosząc krezę. - Jesteś pewny, że nie chciałbyś zostać ministrem? - zapytał. - To prawie tak jak lord, czyż nie, bo zawsze mówisz ich lordowskie mości, kiedy masz na myśli ministrów króla.

- Jestem całkowicie pewny - odpowiedział Laurence.

Usunięty gubernator był na cyplu, kiedy wrócili, i rozmawiał po cichu z Rankinem; trochę dalej stał mały oddział żołnierzy z Korpusu Nowej Południowej Walii, jego eskorta - lub, co było pewnie bliższe prawdy, strażnicy.

- Chociaż nie mogę pochwalić pańskiej niechęci do działania, miło mi słyszeć, że nie przystał pan całkowicie do rebelii MacArthura - powiedział surowym głosem Macquarie. - Korona będzie chciała usunąć pana stąd natychmiast, razem z kapitanem Rankinem i innymi lojalnymi oficerami. Jeśli zdołamy dogonić Allegiance, wrócimy z nim, żeby mógł posłużyć wam jako środek transportu. Można będzie poczynić pewne przygotowania, żeby mógł pan odbyć swoją karę w Indiach...

- Proszę o wybaczenie, sir - przerwał mu Laurence - ale jeśli może pan nam jedynie zaproponować przewiezienie przez ocean do jakiegoś pudła w Indiach, byle tylko trzymać nas z dala od MacArthura i jego siły perswazji, odmówię sobie tej przyjemności.

Macquarie wcale nie chciał się pogodzić z tym stanowiskiem: protestował i rozkazywał, i tak bardzo zbliżył się do pochlebstw, jak to tylko mógł zrobić człowiek honoru, którego godność właśnie zdeptano, ale Laurence pozostał całkowicie obojętny nawet na ostatnią, niechętną propozycję.

- Jest pan zirytowany tym, że nie przewidziano dla pana żadnego zajęcia. Jestem przekonany, że można będzie znaleźć dla pana jakąś honorową pracę... na pewno znajdziemy coś - mówił Macquarie - co być może stanie się nawet podstawą do uzyskania ułaskawienia...

- W pracy, którą znajdowano dla nas do tej pory, zawsze było coś paskudnego - odparł Laurence - i tak sobie myślę, że nie będę już więcej wystawiać na ciężką próbę cierpliwości moich dowódców.

- Laurence - powiedział niepewnie Temeraire, kiedy sfrustrowany Macquarie już sobie poszedł - nie chodzi o to, że jestem innego zdania, bo sam wolałbym nie mieć już nic wspólnego z rządem i jego rozkazami; ale czy jesteś całkowicie pewny, że nie chciałbyś wrócić na wojnę, gdyby oni nam na to pozwolili?

Laurence milczał przez chwilę, czekając, czy odezwie się w nim poczucie obowiązku, ale ono nie przemówiło. Wiedział, że nie zostaną poproszeni o to, by bronili Anglii, wolności albo czegokolwiek godnego ich służby, tylko o pomoc w sianiu kolejnych zniszczeń. Znalazł w sobie tylko wielką tęsknotę za czymś czystszy, szlachetniejszym.

- Nie - odpowiedział w końcu. - Mam już dosyć kłótni narodów i królów i nie dałbym nawet pół pensa za jakiegokolwiek imperium inne niż nasza dolina, jeśli to może zadowolić twoje ambicje.

- Och! Może, całkowicie - odrzekł Temeraire i rozpromienił się. - Polecimy tam jutro, dobrze? Rozmyślałem o tym, Laurence, i doszedłem do wniosku, że jeszcze przed zimą moglibyśmy postawić pawilon.

1 Premia za wzięcie wszystkich lew podczas gry w pikietę (przyp. tłum.).

2 Debrett's - wydawnictwo publikujące książki na temat brytyjskiej arystokracji (przyp. tłum.).

3 Prau - szybkie statki wiosłowe lub żaglowe, powszechnie kiedyś używane na wodach malajskich i popularne wśród piratów. Choć obecnie prau są raczej matę, dawniej miały pokłady i około dwudziestu metrów długości (przyp. tłum.).

4 Od objęcia rządów przez mandżurską dynastię Qing w XVII w. arystokrację w Chinach zorganizowano w systemie chorągwi (dawnej wojskowo-plemiennej organizacji rodów mandżurskich) (przyp. tłum.).